MIESIĘCZNIK

5 (20) MAJ 1984 CENA 50 ZŁ

fantastyka

NOWA POWIEŚĆ!

Clifford Simak **Czas jest najprostszą rzeczą**



NOWY KOMIKS!

TIM WHITE

NAGRODY „FANTASTYKI”

1. Za twórczość literacką

Ostatnimi laty zapanowało w Polsce ożywienie wokół literatury fantastycznej i fantastyczno-naukowej. Wydawnictwa i pisma szerzej otworzyły gatunkowi swe podwoje, aktywniejszy stał się ruch klubowy, wzrosły nakłady książek. Zjawiły się nowe serie, kilkanaście znaczących krajowych debiutów i sporo wartościowych tłumaczeń. Jesienią 1982 środowisko miłośników SF dostało w końcu swój pierwszy profesjonalny magazyn literacki - „Fantastykę”. Zwiększyła się tym samym możliwość wyboru między książkami, opowiadaniami i artykułami krytycznymi o tematyce SF. Jest teraz ważne, by w tej konkurencji dostrzegano powszechniej dzieła i teksty o rzeczywistych walorach artystycznych, intelektualnych, a także wychowawczych. Nasza redakcja - statutowo powołana do lansowania dobrych wzorów literatury SF, stawiając sobie za cel przyciągnięcie do gatunku wybitnych twórców i zwrócenie uwagi odbiorców kultury na najciekawsze dokonania w dziedzinie fantastyki - postanowiła w tej sytuacji, w porozumieniu z wydawcą pisma oraz przedstawicielami związków twórczych i organizacjami młodzieżowymi, ufundować i przyznawać począwszy od roku 1983 promujące rodzimych twórców i krytyków

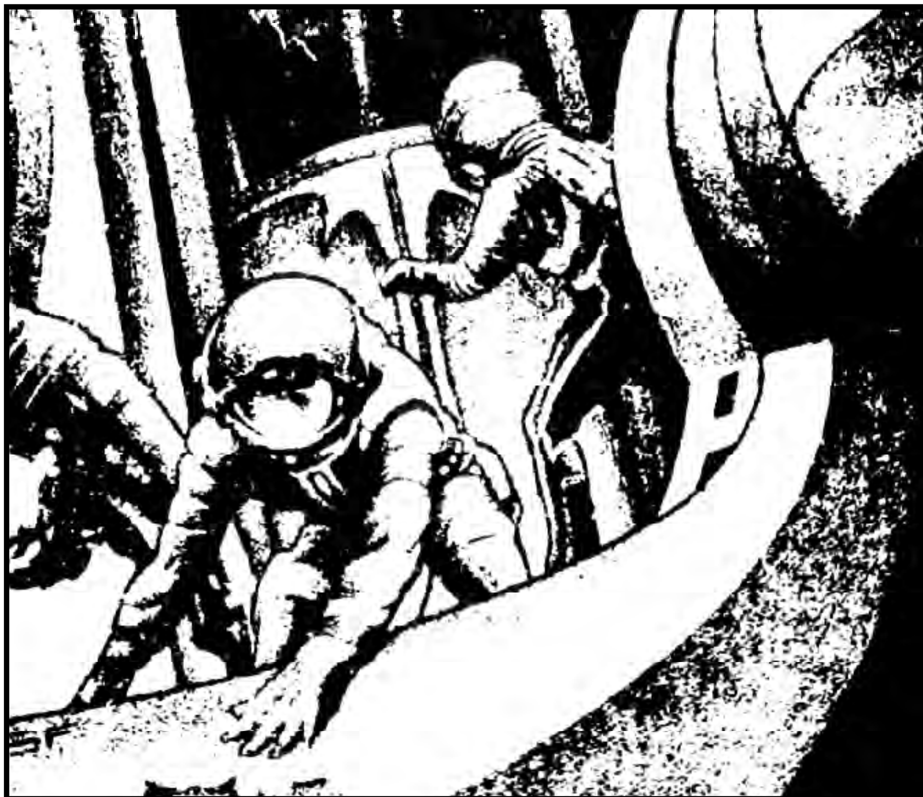
doroczne literackie nagrody ,, Fantastyki” w dziedzinie twórczości fantastycznej i fantastyczno-naukowej

Nagrody stanowiące podsumowanie corocznej produkcji wydawnictw książkowych i prasowych będzie przyznawać Jury, powołane przez Redaktora Naczelnego „Fantastyki”. W skład Jury wejdą uznani krytycy, teoretycy, pisarze oraz przedstawiciel Dyrekcji Krajowego Wydawnictwa Czasopism.
Jury zbierze się po raz pierwszy latem-84, by przyznać nagrody za rok kalendarzowy 1983. Nagrody zostaną wręczone jesienią 1984 w czasie „Dni Fantastyki”. W latach następnych Jury będzie obradować w ta kim terminie, żeby nagrody za rok poprzedzający mogły być wręczane laureatom w czasie majowych Dni Książki i Prasy. m

Ustala się następujące kategorie nagród:

- **za Książkę Roku (powieść lub autorski zbiór opowiadań SF, a także tom krytyki) - 35 tys. zł,**
- **za debiut książkowy (powieść, autorski zbiór opowiadań lub pojedyncze opowiadanie SF)- dotyczy także autorów posiadających już dorobek pisarski, lecz debiutujących w dziedzinie SF lub fantastyki - 25 tys. zł,**
- **za nowelę lub opowiadanie (najlepsze opowiadanie opublikowane w prasie lub książce - po raz pierwszy w roku rozpatrywanym) - 15 tys. zł,**
- **za prace krytyczne (esej, artykuł krytyczny - opublikowany w prasie lub książce, po raz pierwszy w roku rozpatrywanym) - 15 tys. zł.**

Zastrzega się prawo Jury do nieprzyznania nagrody w którejś kategorii lub do innego rozdziału nagród.
Redakcja zaprasza również Czytelników do nadsyłania indywidualnych bądź zbiorowych listów z propozycjami nagród w poszczególnych kategoriach za rok 1983 z dopiskiem na kopercie NAGRODY FANTASTYKI-83. Dane z tej korespondencji, opracowane statystycznie, zostaną przedstawione Jury i będą uwzględnione przy ustalaniu ostatecznego werdyktu. Z uwagą wysłuchamy propozycji dotyczących kształtu konkursu, którego zasady, a także kategorie i wysokość nagród mogą być w następnych latach modyfikowane.



2. Dla klubów miłośników SF

Ruch klubowy miłośników SF odgrywa w Polsce ogromną rolę w upowszechnianiu literatury fantastycznej i fantastyczno-naukowej, stanowiąc znakomitą szkołę społecznej aktywności, prowadząc do integracji młodych ludzi wokół spraw nauki, sztuki, literatury.
Pragnąc udzielić poparcia ruchowi miłośników SF i wyróżnić najbardziej godne uwagi, działania klubowe redakcja „Fantastyki” wspólnie ze swym wydawcą - Krajowym Wydawnictwem Czasopism - ustala doroczną nagrodę pieniężną dla klubów miłośników SF, rozwijających najżywszą działalność w dziedzinie:

- **organizacji seminariów tematycznych,**
- **klubowych przedsięwzięć wydawniczych (m.in. fanziny),**
- **spotkań z naukowcami, pisarzami, twórcami SF,**
- **pokazów filmowych i video,**
- **własnych przedsięwzięć twórczych (np. film amatorski, słuchowiska SF),**
- **współpracy z prasą (z „Fantastyką” także),**

Nagrody „Fantastyki”, o łącznej wysokości 45 tys. zł, przyznaje Jury, w skład którego wchodzą przedstawiciele kierownictwa „Fantastyki” oraz KWCz, przedstawiciele organizacji młodzieżowych oraz sekretarz generalny PSMF. Jury będzie ogłaszać wyniki w maju każdego roku z okazji Dni Książki i Prasy.
Prawo zgłaszania kandydatur klubów do nagród mają wszyscy członkowie klubów i twórcy SF. Podstawę werdyktu, oprócz własnego rozeznania Jury, stanowić będą nadsyłane sprawozdania, w których zostaną przedstawione formy działalności klubu.

PIERWSI LAUREACI

Jury postanowiło przyznać dwie nagrody:

- Polskiemu Stowarzyszeniu Miłośników Fantastyki za działalność integracyjną klubów oraz współudział w organizacji Dni Fantastyki w Dzierżoniowie w 1983 roku. Wysokość nagrody - 30 tysięcy złotych.
- Redakcji czasopisma klubowego „Kwazar”, wychodzącego w Poznaniu, za wysoką jakość pracy redakcyjnej zwłaszcza za dobór tekstów i wartościowych tłumaczeń. Wysokość nagrody - 15 tysięcy złotych.



Ma to być wizja bardzo odległej przyszłości, jak sugeruje autor w tytule opowiadania. Ale odległość w czasie nie ma tak wielkiego znaczenia. Istotniejsze w tej wizji jest co innego: miejsce i rola mężczyzn na tle tego czym staną się kobiety w owej nieokreślonej przyszłości. Przewidywania autora mogą się wydać niektórym Czytelnikom (rodzaju męskiego) dość pesymistyczne. Zresztą i kobiety też chyba nie będą zachwycone.

Eugeniusz Dębski: „Najważniejszy dzień 111394 roku”

Opowiadania i nowele

Bruce M.Sterling
Rój

„Popatrz na tego małego oczyszczacza, unoszącego się obok twojej głowy. Pięć milionów lat temu drżała przed nim cała galaktyka. Kiedy nas zaatakowali, wysłaliśmy przeciwko nim ich własny gatunek...”

Robert A.Heinlein
Długa wachta

„Johny Dahlquist wydmuchnął dym w stronę licznika Geigera. Uśmiechnął się krzywo i dmuchnął znowu. Teraz już całe ciało miał radioaktywne. Nawet jego oddech, dym z papierosa wywoływał wrzask Geigera”.

Heiner Rank
Piękna Bella

„Odsunąłem biurko na bok, otworzyłem nieco drzwi i przecisnąłem się przez szparę. Na naszym szerokim łożu spoczywał wspaniały tygrys. Odruchowo odskoczyłem do tyłu. - Nie obawiaj się - powiedziało zwierzę...”

Powieść

Clifford D. Simak
Czas jest najprostszą rzeczą (1)

Pierwsza część powieści jednego z najpopularniejszych amerykańskich autorów SF. Wielokrotnie nagradzany, dziś uważany za klasyka SF, Simak jeszcze przed II wojną położył podwaliny poczytności gatunku nazwanego space opera. W swoim pisarstwie operuje na granicy SF i fantasy.

Z polskiej fantastyki

Grzegorz Stefański
Kawałek końca
(wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”)

„ - Patrzcie - ktoś wrzasnął. - W deszczu rozpływają się nasze domy!
- Patrzcie - świat rozpuszcza się w deszczu!”

Eugeniusz Dębski
Najważniejszy dzień 111394 roku

„Dzwoneczek w mózgu Barbara zadzwonił jeszcze raz i Rami poczuła, że jej pan budzi się. Odczekała jeszcze chwile i szepnęła: - Dzień dobry...”

Krytyka

Recenzje

Krytycy oceniają: „Planetę zielonych widm” Zbigniewa Prostaka, „Końcówkę” Andrzeja Trepki, „Kosmolot i czółno” Kennetha Browera, „Całą prawdę o planecie Ksi” Janusza Zajdla, i „Czarnoksiężnika z Archipelagu” Ursuli Le Guin.

Krytycy o fantastyce

Fragmenty pierwszego rozdziału pracy Darko Suvina „O poetyce science fiction”. Jeszcze jedna próba systematyzacji gatunku.

Słownik polskich autorów fantastyki

Zbysław Górecki i Gabriela Górska oraz - w „Pożółkłych kartkach” - fragmenty powieści Z. Góreckiego „Delta wraca .na Ziemię.”

Parada wydawców

Fantastyka bliskiego zasięgu

Rozmowa z Adamem Kaśką, kierownikiem redakcji literatury pięknej Wydawnictwa MON.

Nauka i SF

Koń trojański

Dokąd zaprowadzi nas umiejętność tworzenia komórek i organizmów, jakich nie zna natura?

Nasz konkurs

Nagrody i wyróżnienia za prace plastyczne

Spośród 732 nadesłanych prac komisja oceniająca wybrała najlepsze: 4 nagrody i 5 wyróżnień oraz 3 wyróżnienia dla najmłodszych uczestników.

Moda baśniowych opowieści ogarnia świat. Nazwa tego gatunku literatury - „fantasy” poczyna wypierać hybrydę dziewiętnastowiecznych marzeń o potędze nauki i wszechwładzy pisarstwa nad duszami - fantastykę naukową, czyli science fiction. Literaturę nie spełnionych nadziei człowieczych, snów o potędze wiedzy i niepokoju, że postęp - który niby to błyskawicznie dokonuje się w technice - daje ciągle zbyt małe rezultaty praktyczne. Nasi pradziadkowie z czasów fin de siecle u, sprzed stu lat, pragnęli być nieśmiertelni i wierzyli, iż mogłoby to być możliwe, ale niewiele z tych marzeń wychodziło, chociaż w aptekach ukazywało się coraz to więcej cudownych leków przeciw drobnoustrojom. Pisano: „drobnoustrojów całe mrowie czyha na twe wątłe zdrowie”. A dziś? Dziś, po stu latach, marzenia o wszechmocy nauki bardzo wyblakły i poczyna kończyć swój żywot science fiction w swej klasycznej postaci, porzucona przez Stanisława Lema, a za nim przez coraz większą liczbę twórców tego gatunku. Nie poddaje się jednak łatwo. Ciągle jeszcze szerokie kręgi zwolenników ma fantastyka realistyczna. Proza behawiorystyczna, surowa, reportażowa. Z zewnątrz opisuje człowieka i otaczający go świat. Przekształca, widzi i słyszy tylko to, co widzi się i słyszy na zewnątrz i z tego reportażu każe wyciągać czytelnikom wnioski o motywach działania bohaterów. Jest to tak jakby do Hemingwaya dodano rzeczy wprawdzie nie istniejące, lecz takie, które dałoby się wytworzyć, gdyby się je wymyśliło i zbudowało. Charakterystyczny jest dystans autorski do tych realistyczno-fantastycznycn przedstawień. I może właśnie on jest najistotniejszy: autorzy zdają się wychodzić w tej swojej literaturze z zasady głoszonej przez liczne starożytne czy święte księgi ludzkości, że „wszystko się już stało i nic się stać nie może”. Przeszłość uwarunkowuje przyszłość. Losy ludzkie to zamknięty krąg nieustannie powtarzających się wydarzeń. Człowiek zresztą naprawdę przeżył w swej historii wiele wspaniałych wzlotów i tragicznych upadków. Brnie w kółko przez wojny, katastrofy, zrywy ku następnym podobnym wypadkom. I oto z tej realistycznej prozy; zaprawionej posmakiem wykoncypowanych ze zjawisk przeszłości wydarzeń przyszłościowych, rodzi się fantasy. Szuka się po prostu analogii do współczesnych losów ludzkich w prastarych mitach, stwarza się z teraźniejszości mity przyszłościowe. Naukę zaś, za niespełnienie przez nią marzeń o wiecznym życiu i wiecznej potędze, ruguje, zastępując siłami nadprzyrodzonymi, wyobrażeniami jakby żywcem wziętymi ze snów. Jest więc ten nowy gatunek fantastyki również niezupełnie nowatorski, jak większość utworów SF. Pragnąc szukać nadzwyczajnych pomocników czy wrogów ludzkości, sięga się nieraz nawet bezpośrednio do mitologii, która jak gdyby tylko



czekała na tę swoją wielką nową rolę, przysypana kurzem, trochę zapomniana. Oglądałem ostatnio jeden z takich nawrotów do starożytnych mitów w wersji filmowej. Zeusa grał w niej wspaniały niegdyś w roli Hamleta - Laurence Olivier. W ogóle w tym obrazie, ‘mieszającym konsekwentnie sprawy boskie i ludzkie, uczestniczyło mnóstwo sław współczesnego aktorstwa. Była to historia z tych, którymi tak się pasjonował niegdyś nasz Jan Parandowski, o Andromedzie przykutej do skały i dzielnym Perseuszu, który ją uwolnił z kajdan, zabiwszy najpierw potwora, mającego dziewczynę pożreć. Bardzo to ciekawie i zabawnie wygląda, gdy Pegaz w postaci autentycznego rumaka, lata sobie nad prawdziwym i wymyślonym światem, jak ptak. Gdy Meduza laserowymi oczami zabija przyjaciół bohatera, przyczajonego za murem, wyczekującego w niepewności na błąd taktyczny potwory, który umożliwi mu jej zabicie. Cóż biedni wiemy o swych losach, będących w rękach bogów? Wszystko staje się możliwe. Ożywają rzeczy literackie, których większość z nas, kiedyś w szkołach różnych szczebli, uczyła się niechętnie, nie kuszona ich wizualnym urokiem, i które spychała w niepamięć. Co za zemsta po latach, zemsta tej literatury dokonywana na młodych pokoleniach, dla których greka, łacina i mity to sprawy właściwie nieznane lub prawie nieznane. Ci młodzi dzisiejsi z wypiekami na twarzy czytają baśnie typu fantasy lub oglądają mitologiczne filmy, podczas gdy my pod ławkami mieliśmy w zamian za te cuda, literaturę innego typu, ucieczkę przed piłą lekcji o starożytności. Dzisiaj podławkowych, zakazanych lektur „tylko dla dorosłych” raczej się nie spotyka - nie czytuje się Pitigrillego, czy „Dziejów grzechu” Żeromskiego.
W ogóle Żeromskiego mało kto już czyta. Jeden z fanów, zaangażowany zresztą sam mocno w tłumaczenia fantastyki obcej na polski i w krytykę tego gatunku, powiedział mi z pełnym i niezachwianym przekonaniem, że Żeromski to „dla nas bardzo zły pisarz”. Nie ma też powodzenia „poczciwiec” Prus ze swoim „Faraonem”. Równocześnie zaś wśród tych samych ludzi odrzucających klasykę odżywa spontanicznie język findesieclowej literatury ubiegłego stulecia, jak gdyby żywcem przenosiny z niektórych nie najlepszych doświadczeń młodopolskich. A fantastyka europejska coraz bardziej lubi, na przekór amerykańskiemu realizmowi, odświeżać atmosferę „zagadek Dalekiego Wschodu”, zanurzać się w „nirwanach” i innych „nicościach”. Pisze między innymi w tym duchu czołowy zachodnioniemiecki fantasta i wydawca - Wolfgang Jeschke, a u nas drukuje młody i obiecujący Jacek Piekara. Warto obserwować te nawroty, kto wie czy nie szczególną właściwością gatunku SF jest spóźnianie się ze swoimi nowościami. Objawy dekadentyzmu widoczne były i są w prozie iberoamerykańskiej, zahaczającej tylko tu i ówdzie o to, co współczesny fan odbiera jako fantasy. Paradoks fantastyki: ona, próbująca wybiegać w przyszłość lub z perspektywy kosmicznej spoglądać na naszą starą planetę, stylistykę swą czerpie ze źródeł twórczości wcześniej przez innych odkrytych i ugruntowanych. Awangarda skazana na wleczenie się w ogonie prozy współczesnej? A może rola fantastyki polega właśnie na błyskotliwym ukazywaniu zjawisk już znanych, ale zapoznanych. Służy odkrywaniu dawnego po nowemu? I stąd byłoby także to jej szalone powodzenie? Z literackiej skrzyni, z samego dna autorzy SF wyciągają wstydliwie w niej ukryte pytania ostateczne i sytuacje niebanalne. Mają odwagę pytać naiwniutko i prościutko, lecz bezpośrednio: skąd się wzięliśmy? po co istniejemy? jacy powinniśmy być? Wielu twórcom zdawało się, że można banału uniknąć, ale on stoi nad nami i z nami w całym naszym istnieniu codziennym i nie chce się usunąć, jak te pytania takie naiwne, a takie dla każdego ważne.
Jest wiosna, moi drodzy, i całe to nasze myślenie ucieka teraz przed cudownym banałem codzienności - najważniejsze stają się widoki młodej zieleni, kwiatów i woń ciepłego powietrza. Miło wracać wiosną na Ziemię z naszych kosmicznych peregrynacji. Wkrótce zaś ekskursja do krainy fantasy. Cały numer nią zapełnimy.

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. Działu reportażu i informacji), Maciej Makowski (kier, działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Darosław J. Toruń.

Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski,

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.

Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa P. Z. Graf. RSW Łódź

Zam. 990/84.T 70 Nakład 140000 egz.

LĄDOWANIE XV

Wybrałem dziś z korespondencji Czytelników same żądania. Te, które wydawały mi się najważniejsze. Ich ważność starałem się określić nie metodą „pi razy oko”, lecz gromadząc cierpliwie listy powtarzające z uporem takie, a nie inne dezyderaty. Oczywiście do żądań miłośników fantastyki trzeba się ustosunkować, skomentować je. Jedne wydają mi się w pełni uzasadnione, inne są dyskusyjne, a jeszcze inne nie do spełnienia. Sporządziłem więc i komentarz, żeby nie mówiono (co dość często się powtarza), że pozostawiamy dyskusję Czytelnikom, a sami robimy dalej swoje.

Czy tak trudno o leksykon

Oj, panie redaktorze, jak długo jeszcze potrwa to golono-strzyżono. Ja już sam po raz nie wiem który proponuję, żebyście wreszcie wpłynęli na powstanie rodzaju encyklopedii SF, ale jakoś nikt się do tego nie zabiera. I nie ma żadnego wydawnictwa typu encyklopedycznego, dotyczącego dziedziny tak przecież popularnej. Kogo obchodzą Czytelnicy, tysiące miłośników fantastyki?

Jan Grobelny *z Poznania*

Te notki, które dajecie o autorach przy każdym utworze literackim czy krytycznym, nie wystarczają absolutnie w orientacji w światowej sytuacji literatury fantastycznej. Nawet gdy się te noty zbiera i jakoś próbuje segregować. Mam, rzecz jasna, na myśli autorów zagranicznych, o polskich za jakieś kilkanaście lat dowiemy się po kolei wszystkiego, niech żyje słownik pióra pana Niewiadowskiego, tylko strasznie leniwie to idzie.

Stefan Roztowski *z Warszawy*

Obiecujesz pan jakiś leksykon krajów socjalistycznych, zbierają się w tym celu dziesiątki ludzi na zjazdach międzynarodowych i co z tego wynika? Rosjanie mają książki informujące o ich autorach, w NRD też coś takiego istnieje. W innych krajach naszego obozu posucha, dlaczego? Czyżby wydawcy i „Fantastyka” bali się klapy finansowej? Przysięgam, że takie mniemanie jest wprost nonsensem. Jestem gotowa pokryć koszty takiego wydawnictwa, jeśli pozwoli się mi je prywatnie zorganizować i wyciągnąć z niego zyski. Miliony leżą, a-nikt ich nie podnosi.

Joanna Wróbelec *z Krakowa (prywatna inicjatywa)*

Zaprzepaszczacie możliwości

Jesteście jako pismo fantastyczne i to pismo na wysokim poziomie, monopolistami w naszym kraju. Wykazujecie duże ambicje w kreowaniu szkoły krytyki, z rozmachem rozpoczęliście swoją działalność od nieustającego konkursu na opowiadania, ale zaraz wszystko oklapło. Za szybko oklapło. Nie twierdzę, że wyniki konkursu, który niedawno zakończyliście ogłaszając wyniki i publikując opowiadania, były nieciekawe. Przeciwnie na pewno wyłoni się z grona waszych laureatów kilku ciekawych pisarzy. Twórcy nie rodzą się na kamieniu. Boli mnie jednak zbyt mała liczba na łamach „Fantastyki” dzieł pisarzy krajowych, już uznanych, już renomowanych, już cieszących się popularnością nie tylko, w kraju, lecz także i poza jego granicami: Jak to ? Zostawiliście z boku czołówkę krajową twórców, czy też ona was nie uznaje? Czemu nie potraficie zamawiać specjalnie dla „Fantastyki” utworów Fiałkowskiego, Wiśniewskiego, Peteckiego czy Zajdla i innych z tej około trzydziestki, o której pisaliście przy okazji dzierżoniowskiej imprezy...

Kajetan Rybiszyn *z Zielonej Góry*

Zagranicznych drukujecie najlepszych i najciekawszych, gorzej z rodzimą czołówką. Czyżby jej istnienie było tylko legendą, czy fantaści polscy ze średniego pokolenia przestali pisać. Gdzie utwory Borunia czy Trepki?

Jan Lowas *z Krakowa*

Ciągle brakuje papieru?

Jak to właściwie jest? Wychodzi od przeszło roku miesięcznik„Fantastyka”, ale tylko niektórzy, najsprytniejsi czy może najszybsi, potrafią go dostać w kiosku lub w prenumeracie. Większość odchodzi z kwitkiem. Czemu jakoś ta sprawa nie została dotychczas uregulowana, przecież jest sporo papieru na inne miesięczniki czy tygodniki, które zalegają w kioskach?

Stanisław Skórzec *ze Szczecina*

Żeby w małym miasteczku, choć mieszkam przecież na Śląsku, dostać waszą „Fantastykę” trzeba słono płacić takim różnym pośrednikom. Ja zarabiam, ja płacę. Ale za każdym razem mam trudności z nabyciem tej „Fantastyki”. To ja bym wolał niech kosztuje drożej, żeby tylko była.

Jacek Wozimko *z Siemianowic Śląskich*

Jest to główne, a właściwie jedyne źródło literatury nowej, może dlatego u nas egzotycznej. Nie łudźcie się - fantastyka nie jest jeszcze zjawiskiem powszechnym. To literatura - nośnik nowego. Awangarda o bogatych tradycjach. Stąd jej powodzenie. Ta sztuka daje przedsmak przyszłości. To tak, jakbyśmy życie sobie przedłużali, wydłużali w dalekie tysiąclecia. Tę przyszłość w postaci swego pisma moglibyście sprzedawać w większych znacznie ilościach niż to obecnie czynicie. Szkoda waszego wysiłku, a naszych marzeń.

Merita Sztafet *z Bytomia*

„Zacznę od końca”

Tak właśnie zatytułowałem swój komentarz. Literatura SF jest tylko częścią dużego bogactwa zjawisk kulturowych w naszym kraju. Sam fakt, że manifestuje wyraźnie swą obecność, że zdobyła stałych i wytrwałych odbiorców w całym kraju, a także u naszych przyjaciół za granicą, już należy uważać za jej wielki sukces. Nie bądźmy jednak zbyt zaborczy. Sytuacja naszego pisma poprawiła się o tyle, że nasze okładki - jak nas zapewniono - będą na dobrym kredowym papierze. Mimo usilnych starań nie udało się podnieść nakładu pisma. W tych staraniach nie ustajemy. Musimy też na razie zrezygnować z marzeń o zwiększeniu objętości. Zmniejszając objętość materiałów mniej czytywanych w naszym piśmie, takich jak np. nauka (jakkolwiek wcale jej nie lekceważymy; uważamy, że i u nas jest bardzo potrzebna), staramy się zwiększyć liczbę stron przeznaczanych na literaturę.

Macie Państwo natomiast rację, że należy w naszej redakcji zwiększyć wysiłki dla pozyskiwania najlepszych autorów krajowych literatury SF. Przygotowujemy się do ogłaszania listy corocznych nagród przede wszystkim dla autorów rodzimych książek. Będziemy bardzo starannie i uważnie rozpatrywali kandydatury autorów nowych, znaczących dzieł z gatunku fantastyki. Przy tym postaramy się także zadbać o doping dla debiutantów, nagradzając i ich. Oczywiście, jeśli wyłonione jury uzna, że jest za co. Pragniemy także stymulować ruch wydawniczy, przeznaczając wyróżnienia dla najlepszych edytorów, dla najbardziej zasłużonych oficyn wydawniczych. Bliższa niż dotychczas współpraca z klubami fanów otwarcie (stopniowe) łamów dla najlepszych ich osiągnięć w fanzinach, osiągnięć -pisarskich przede wszystkim, umożliwi wyławianie talentów niejako u ich źródła. Głęboko wierzę bowiem w płynność granic między zawodowym a amatorskim uprawianiem pisarstwa. Uprawianiem sztuki w ogóle. To wszystko nastąpi już wkrótce. I owo nagradzanie, i wyławianie talentów, i również pozyskiwanie utworów znanych i uznanych autorów. Podobnie jak postąpiliśmy w przypadku plastyki, zamawiając prace dla ozdobienia łamów naszego pisma u najciekawszych twórców, pragniemy złożyć zamówienia na ręce najlepszych pisarzy SF. Będą to zamówienia na literaturę przede wszystkim nowelistyczną, której w naszym kraju tak bardzo brakuje. Jak widzicie Państwo wychodzimy naprzeciw Waszym dezyderatom. Nie chcemy w żadnym wypadku zaprzepaszczać możliwości, jakie stworzyły literaturze SF powstanie i rozwój „Fantastyki”..

I wreszcie sprawa leksykonów. Rzeczywiście, zaniedbanie jest duże. Jak dotąd żadne z wydawnictw nie podjęło próby stworzenia encyklopedii czy słownika pisarzy rodzimych lub zagranicznych z dziedziny science fiction. Pragnęlibyśmy to zaniedbanie odrobić, pertraktując na forum międzynarodowym, przede wszystkim na Forum Krajów Socjalistycznych, o uzyskanie warunków wspólnego wynegocjowania w wydawnictwach tych krajów edycji leksykonu autorów SF naszych państw. Mamy wrażenie, że sprawa ta ma szybkie szanse urzeczywistnienia. O wszystkim będę Państwa informował. Niestety, nie da się na bieżąco. Chociaż... TV wyszła nam naprzeciw, dzięki czemu próbowaliśmy wspólnie z nią, a także i samodzielnie, zbudować cykliczny program. Program, w którym moglibyśmy kontaktować się z Czytelnikami dodatkowo i szybciej niż na to pozwala nasza poligrafia. Pragniemy, abyście wypowiedzieli się w Waszych listach jak sobie wyobrażacie krótki telewizyjny program „Fantastyki”. Jakie tematy mielibyśmy podjąć, o jakich sprawach najczęściej informować. Proszę o odpowiedzi. I z góry dziękuję za rady.

Redaktor



Bruce Sterling

Rój

(Swarm)

Będzie mi brakowało przez resztę podroży rozmów z tobą – powiedział obcy.
Kapitan-doktor Simon Afriel złożył zdobne w pierścienie dłonie na szamerowanej złotem kamizelce.
- Również nad tym boleje, poruczniku odezwał się w syczącym jeżyku obcych. Wiele skorzystałem z naszych dyskusji. Zapłaciłbym, żeby się tyle dowiedzieć, ale ty mi to dałeś za darmo.
- Ależ to były jedynie informacje - powiedział obcy skrywając swe połyskliwe jak perły oczy za grubymi błonami mrużnymi. My, Inwestorzy, handlujemy tylko energią i cennymi metalami. Przywiązywanie wagi do czystej wiedzy i jej żądza to cechy właściwe rasom niedojrzałym. - Spoza otworów słuchowych obcego, których średnica nie przekraczała średnicy główki od szpilki, uniosła się w górę długa, żebrowana kryza.
- Masz bez wątpienia słuszność - powiedział Afriel lekceważąco.
- W porównaniu z innymi rasami my, ludzie jesteśmy przecież jak dzieci, pewna niedojrzałość wydaje się wiec być w naszym przypadku cechą usprawiedliwioną. - Zdjął przydymione okulary, aby potrzeć nasadę nosa. Kabina kosmolotu była skąpana w rażąco niebieskim, wpadającym niemal w ultrafiolet świetle. Inwestorom najbardziej odpowiadało takie właśnie oświetlenie i nie mieli zamiaru go zmieniać dla jedynego pasażera na pokładzie - człowieka.
- Wasz rozwój przebiega, jak dotąd, prawidłowo - powiedział wielkodusznie obcy. - Zaliczacie się do tego rodzaju ras z którymi lubimy prowadzić interesy; młode, prężne, elastyczne, gotowe wchłonąć szeroką gamę towarów i doświadczeń. Skontaktowalibyśmy się z wami znacznie wcześniej, ale wasza technika stała jeszcze na zbyt niskim poziomie, aby mogło nam to przynieść korzyści.
- Obecnie sprawy wyglądają inaczej - powiedział Afriel. - Zyskacie na kontaktach z nami.
- Bez wątpienia - przyznał Inwestor. Kryza za jego pokrytą łuskami głową zadrgała gwałtownie na znak rozbawienia. - Przed upływem dwustu lat będziecie wystarczająco bogaci, aby kupić od nas tajemnice lotów międzygwiezdnych. A może wasza frakcja Mechaników odkryje ten sekret wcześniej na drodze badań. Ta ostatnia uwaga zirytowała Afriela. Jako członek frakcji Zmodyfikowanych nie mógł ścierpieć wzmianek o jej rywalach - Mechanikach.
- Nie przykładaj zbyt wielkiej wagi do samej tylko doskonałości technicznej - powiedział. - Zauważ zdolności lingwistyczne jakie cechują nas - Genetyków. To czyni naszą frakcje o wiele lepszym partnerem handlowym. Dla Mechaników wszyscy Inwestorzy wyglądają jednakowo.
Obcy zesztywniał. Afriel uśmiechnął się w duchu. Swym ostatnim stwierdzeniem podrażnił ambicje obcego i aluzja trafiła na podatny grunt. To tu właśnie Mechanicy zawsze popełniali błąd. Starali się traktować jednakowo wszystkich Inwestorów, stosując za każdym razem, te same, stereotypowe schematy. Brakowało im wyobraźni.
Trzeba wreszcie cos zrobić z tymi Mechanikami, pomyślał Afriel. Coś bardziej radykalnego niż mało wnosząca, choć śmiertelna konfrontacja miedzy pojedynczymi statkami w Pasie Asteroidów czy w pełnych lodu pierścieniach Saturna. Obie frakcje manewrowały nieustannie, wyczekując okazji do zadania decydującego ciosu, przez ten czas prowadząc wzajemny drenaż mózgów, praktykując zastawianie zasadzek i skrytobójstwo oraz uprawiając szpiegostwo przemysłowe.
Kapitan-doktor Simon Afriel był w tej podjazdowej wojnie mistrzem. To dlatego frakcja Genetyków opłaciła milionami kilowatów energii jego przelot. Afriel był doktorem w dziedzinie biochemii i obcej lingwistyki oraz posiadał tytuł magistra z zakresu militarnego wykorzystania techniki magnetycznej. Miał trzydzieści osiem lat i został zmodyfikowany zgodnie ze stanem tej sztuki w czasie jego poczęcia. Przystosowując go do długich okresów przebywania w stanie nieważkości Zmieniono mu nieco równowagę hormonalną. Nie miał wyrostka robaczkowego. Przebudowano mu serce, zwiększając jego wydajność, a jelito grube zmodyfikowano tak, że samo wytwarzało witaminy, produkowane normalnie przez bakterie jelitowe. Dzięki inżynierii genetycznej i rygorystycznemu szkoleniu w okresie dzieciństwa jego współczynnik inteligencji wynosił sto osiemdziesiąt. Nie był najinteligentniejszym z agentów Rady Pierścienia, ale zaliczał się do najbardziej zrównoważonych psychicznie i najbardziej zaufanych.
- To wstyd - odezwał się wreszcie obcy - żeby ludzie o waszych dokonaniach musieli gnić przez dwa lata na tej nędznej, nie przynoszącej żadnych korzyści placówce.
- Te lata nie będą stracone odparł Afriel.
- Ale dlaczego upieracie się przy badaniu Roju? Niczego się od nich nie dowiecie, bo oni nie potrafią mówić. Nie życzą sobie handlować, nie chcą narzędzi ani technologii. Są jedyną rasą kosmosu nie przejawiającą właściwie inteligencji.
- Samo to czyni ich wartymi zbadania.
- Czy chcecie ich zatem naśladować? Stalibyście się potworami - porucznik znowu urwał. - Być może potrafilibyście to zrobić. To by jednak zaszkodziło naszym interesom.
Z głośników statku buchnęła głośna muzyka obcych. Gdy ścichła, skrzekliwy głos zaczął coś mówić w jeżyku Inwestorów. Większość komunikatu wygłaszana była tonami zbyt wysokimi, aby uszy Afriela mogły je odebrać i niewiele zrozumiał z jego treści.
Obcy wstał. Wysadzana klejnotami szata, którą miał na sobie, opadła na końce jego ptasich stóp.
- Przybył symbiont Roju - oznajmił Inwestor.
- Dziękuje - powiedział Afriel. Porucznik otworzył drzwi kabiny i Afriel poczuł w nozdrzach specyficzny zapach przedstawiciela Roju - na statku o zamkniętym obiegu powietrza ciepło stworzenia i wydzielana przezeń drażniąca woń rozprzestrzeniały sie bardzo szybko.
Afriel sprawdził swój wygląd w kieszonkowym lusterku. Przypudrował twarz i poprawił okrągły, welwetowy kapelusz, spod którego spływały falami długie, sięgające ramion rdzawoblond włosy. W uszach połyskiwały czerwone, wielkie jak koniec kciuka rubiny, wydobyte w kopalni w Pasie Asteroidów. Na sobie miał brokatowy surdut i kamizelkę, a pod nią koszule z niewiarygodnie delikatnego, przetykanego czerwonozłotą nicią materiału. Ubrał się w ten sposób, aby zaimponować inwestorom, którzy oczekiwali od swych klientów wyglądu świadczącego o dobrobycie i wysoko to sobie cenili. Ale jak miał wywrzeć wrażenie na nowym obcym? Może zapachem? Odświeżył perfumy. Przy drugiej śluzie powietrznej kosmolotu symbiont Roju szwargotał cos gwałtownie do dowódcy statku - starego sennego Inwestora, dwa razy większego od przeciętnego członka załogi. Masywną głowę dowódcy otaczał wysadzany klejnotami hełm, z którego wnętrza błyskały jak kamery zachmurzone oczy. Symbiont, wsparty na sześciu tylnych odnóżach, gestykulował niemrawo czterema pozostałymi, zakończonymi kleszczami kończynami. Sztuczna grawitacja statku, o jedną trzecią przewyższająca ciążenie ziemskie, zdawała się sprawiać mu trudności. Mocno zaciskał zanikające, osadzone na szypułkach oczy, nie mogąc znieść blasku światła. Musiał przywyknąć do ciemności, pomyślał Afriel.
Inwestor-dowódca odpowiedział stworzeniu w jego własnym jeżyku. Afriel skrzywił się - miał nadzieje, że stwór zna mowę Inwestorów. Teraz będzie się musiał nauczyć kolejnej mowy mowy istot pozbawionych jeżyka.
Po krótkiej wymianie zdań z przybyszem dowódca zwrócił się do Afriela:
- Symbiont nie jest zadowolony z twego przybycia - oznajmił w jeżyku Inwestorów. - W niezbyt odległej przeszłości musiał tu chyba zdarzyć się jakiś incydent, w który uwikłani byli ludzie. Nakłoniłem go jednak, aby wpuścił cie do Gniazda. Co do dodatkowej opłaty za moje usługi natury dyplomatycznej, to jej wysokość ustalimy w porozumieniu z twoją frakcją po naszym powrocie do układu waszej macierzystej gwiazdy.
- Dziękuje, Wasza Dostojność - skłonił się Afriel. - Proszę przekazać symbiontowi moje najszczersze osobiste pozdrowienie i zapewnić go o mojej przyjaźni i pokojowych zamiarach... urwał w pół zdania, gdyż symbiont rzucił się nań, wbijając z wściekłością zęby w łydkę jego lewej nogi. Afriel wyszarpnął nogę i odskoczył w tył, instynktownie przyjmując pozycje obronną. Symbiont oderwał długi strzęp nogawki jego spodni. Przycupnął teraz pod ścianą i pożerał go spokojnie.
- Przekaże twój zapach i skład swoim współplemieńcom - wyjaśnił dowódca. - To konieczne. W przeciwnym przypadku wzięto by cie za intruza i kasta wojowników Roju z miejsca by cie uśmierciła.

Afriel uspokoił się szybko i przycisnął dłonią powstałą ranę, żeby zatamować krwotok. Miał nadzieje, że żaden z Inwestorów nie zauważył szybkości jego reakcji. Nie pasowałoby to do osoby nieszkodliwego naukowca, za jakiego się podawał.
- Wkrótce ponownie otworzymy śluzę - powiedział flegmatycznie Inwestor, wspierając się na swym grubym, gadzim ogonie. Symbiont żuł bez ustanku strzęp tkaniny.
Drzwi śluzy otworzyły się. Do komory wdarła się intensywna, dusząca woń.
- Wrócimy za sześćset dwanaście twoich dni, jak zostało uzgodnione w naszej umowie - powiedział Inwestor-dowódca.
- Dziękuje, Wasza Dostojność - skłonił się Afriel.
- Good luck - powiedział po angielsku Inwestor. Afriel uśmiechnął się.
Symbiont wczołgał się do śluzy wykonując ciałem faliste ruchy. Afriel podążył za nim. Drzwi zamknęły się ledwo przekroczyli próg. Stwór nie odzywał się ani słowem i żuł głośno strzęp tkaniny. Otworzyły się drugie drzwi. Symbiont wyprysnął przez nie w szeroki, okrągły, wydrążony w skale tunel. Zniknął natychmiast w zalegającym tam mroku.
Afriel wsunął przydymione okulary do kieszeni surduta i wyciągnął parę noktowizyjnych gogli. Przypiął je mocno paskami do głowy i przekroczył próg śluzy. Działanie sztucznej grawitacji statku ustało. Zastąpiło ją niemal niewyczuwalne naturalne ciążenie asteroidu-gniazda Roju. Afriel przyjął to z uśmiechem, po raz pierwszy od tygodni czując się jak ryba w wodzie. Większą cześć swego dorosłego życia spędził w stanie nieważkości w koloniach Genetyków w pierścieniach Saturna. W mrocznej niszy wydrążonej w ścianach tunelu kuliło się dyskogłowe, porośnięte futrem stworzenie wielkości słonia. Afriel słyszał jego oddech. Stwór czekał cierpliwie, aż Afriel minie go i wpłynie do tunelu. Potem zajął swe miejsce u wylotu, nadymając sie powietrzem, aż jego- rozdęta głowa zatkała szczelnie otwór wylotowy korytarza, a kończyny weszły w wydrążone w ścianie wgłębienia.

Statek Inwestorów odleciał. Afriel pozostał tutaj - we wnętrzu jednej z milionów planetoid, obiegających pierścieniem gigantyczną gwiazdę Betelgeuse. Jako potencjalne źródło bogactw naturalnych ten pierścień przerastał cały układ słoneczny, a należał, w mniejszym lub większym stopniu, do Roju. Nie kwestionowała tego, przynajmniej przez okres tak długi, jak sięgała pamięć Inwestorów, żadna inna rasa.
Afriel omiótł wzrokiem korytarz. Wydawał się być opuszczony, a bez ciał, emitujących promieniowanie podczerwone nie mógł widzieć daleko. Odbiwszy się nogą od ściany popłynął niepewnie przed siebie.
- Doktorze Afriel! - usłyszał nagle ludzki głos.
- Doktorze Mirny! - zawołał. - Tutaj jestem! i
Ujrzał najpierw parę młodych symbiontów, które ledwie muskając ściany zakończonymi kleszczami odnóżami, mknęły w oszałamiającym pędzie w jego kierunku. Za nimi płynęła szybko kobieta nosząca takie jak on gogle. Była młoda i na jakiś wyważony, anonimowy sposób, cechujący przekształconych genetycznie atrakcyjna.
Zaskrzeczała coś do symbiontów w ich własnym jeżyku i te zatrzymały się oczekując dalszych poleceń. Podpłynęła do Afriela. Pochwycił ją za ramie, wprawnie wyhamowując ich przeciwnie skierowane momenty pędu.
- Nie masz ze sobą żadnego bagażu? - spytała z niepokojem. Potrząsnął głową.
- Twoje ostrzeżenie dotarło do nas zanim wyruszyłem. Mam tylko ubranie i kilka drobiazgów w kieszeniach.
Przyjrzała mu się krytycznym wzrokiem.
- To tak się teraz ubierają ludzie w Pierścieniach? Zmieniło się to znacznie bardziej niż myślałam. -
Afriel spojrzał na swój brokatowy surdut i roześmiał się.
- To kwestia dyplomacji. Inwestorzy zawsze chętniej rozmawiają z ludźmi, których wygląd zewnętrzny świadczy o gotowości do robienia interesów na wielką skale. Obecnie wszyscy przedstawiciele Genetyków ubierają się w ten sposób. Wysforowaliśmy sie przed Mechaników - oni wciąż noszą te swoje skafandry'. Urwał nie chcąc jej zrazić. Współczynnik inteligencji Galiny Mirny wynosił blisko dwieście. Mężczyźni i kobiety o tak wysokim IQ byli często kapryśni i niezrównoważeni, łatwo uciekali w świat osobistej wyobraźni lub wikłali się w dziwne i nieprzeniknione sieci intrygi. Wysoka inteligencja była strategią, którą wybrali Genetycy w walce o dominacje kulturalną i musieli trzymać sie tej linii pomimo jej nieprzewidzianych wad. Próbowano rozmnażać jednostki superinteligentne - o współczynniku inteligencji przekraczającym dwieście - ale tak wielu rodziło się z defektami, że zaniechano ich produkcji.
- Dziwisz się memu odzieniu? - spytała Mirny.
- Ma w sobie na pewno cos nowatorskiego - odparł z uśmiechem Afriel.
- Zostało utkane z włókien kokonu popa - wyjaśniła. - Moje własne ubranie pożarł symbiont oczyszczacz podczas zeszłorocznych niepokojów. Zwykle chodzę nago, ale nie chciałam cie zrazić zbytnią poufałością.
Afriel wzruszył ramionami.
- Sam, w moim środowisku, chodzę nago. Jeśli temperatura jest ustabilizowana, ubranie staje się bezużyteczne, może z wyjątkiem kieszeni. Mam przy sobie kilka narzędzi, ale większość z nich nie jest mi tak bardzo potrzebna. Jesteśmy Zmodyfikowani, nasze narzędzia znajdują się tufaj - poklepał się po głowie. -Jeśli mogłabyś wskazać mi bezpieczne miejsce, w którym mógłbym złożyć moja rzeczy...
Potrząsnęła głową. Gogle zakrywające oczy uniemożliwiały odczytanie wyrazu jej twarzy.
- Popełniłeś swój pierwszy błąd, doktorze. Tu nie ma miejsc, które moglibyśmy objąć w posiadanie. Ten sam błąd popełnili agenci Mechaników, ten sam o mało nie kosztował życia również mnie. Tutaj nie istnieje pojecie prywatności czy własności. To jest Gniazdo. Jeśli zajmiesz dla siebie jakąkolwiek jego cześć, żeby przechowywać tam swój sprzęt, spać tam, no w ogóle - staniesz sie intruzem, nieprzyjacielem. Tych dwoje Mechaników - mężczyzna i kobieta - próbowało zająć nieużywaną pieczarę na swoje laboratorium komputerowe. Wojownicy wyłamali drzwi i pożarli ich. Oczyszczacze zjedli cały ich sprzęt - szkło, metal, dosłownie wszystko.
Afriel uśmiechnął się chłodno.
- Przetransportowanie tutaj całej tej aparatury musiało kosztować ich fortunę.
Mirny wzruszyła ramionami.
- Są bogatsi od nas. Te ich maszyny, ich kopalnie. Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że chcieli mnie zabić. Potajemnie, żeby nie rozdrażniać wojowników jawnym okazywaniem gwałtu. Mieli komputer, który uczył się jeżyka tych skoczogonów szybciej niż ja.
- Ale żyjesz - podsumował Afriel. - A twoje taśmy i meldunki, szczególnie te wczesne, kiedy miałaś jeszcze większość sprzętu, wzbudziły ogromne zainteresowanie. Rada popiera cie całkowicie. Podczas swej nieobecności stałaś się sławna w Pierścieniach.
- Tak, spodziewałam się tego - powiedziała. Afriel był zakłopotany.
- Jeśli stwierdziłem w nich jakieś niedociągnięcia - powiedział ostrożnie - to tylko z mojej dziedziny - obcej lingwistyki. - Wykonał nieokreślony gest w stronę towarzyszących jej dwóch symbiontów. - Zakładam, że poczyniłaś wielkie postępy w porozumiewaniu się z symbiontami, bo wygląda na to, że gadają za całe Gniazdo.
Spojrzała nań z nieprzeniknionym wyrazem twarzy i wzruszyła ramionami.
- Żyje tu co najmniej piętnaście gatunków symbiontów. Te, które ‘ mi towarzyszą, nazywam skoczogonami, a one mówią tylko za siebie. One są dzikie, doktorze, a zwróciły na siebie uwagę Inwestorów tylko dlatego, że nadal potrafią mowie. Swego czasu tworzyły rasę przemieniającą kosmos, ale już o tym zapomniały. Odkryły Gniazdo i zostały przez nie zabsorbowane. Stały się jego pasożytami. - Poklepała jednego ze skoczogonów po głowie. Oswoiłam te dwa osobniki, bo lepiej niż one nauczyłam się kraść pożywienie i prosić o nie. Przebywają teraz stałe ze mną i bronią mnie przed większymi przedstawicielami swego gatunku. Wyobraź sobie, że są zazdrosne. Przebywają w Gnieździe dopiero od jakichś dziesięciu tysięcy lat i nie są jeszcze pewne swej w nim pozycji. Czasami mam wrażenie, że wciąż mysią. Po dziesięciu tysiącach lat zachowały jeszcze resztki inteligencji!
- Dzicy - mruknął Afriel. - W to mogę uwierzyć. Jeden z nich ugryzł mnie jeszcze na pokładzie kosmolotu. Dużo zapomniał z protokołu dyplomatycznego ambasadora.
- Tak, uprzedziłam go, że przybywasz - powiedziała Mirny. Niezbyt był z tego zadowolony, ale zdołałam przekupić go pożywieniem... Mani nadzieje, że nie wyrządził ci poważnej krzywdy?
- Zwykłe zadrapanie - przyznał Afriel. - Nie ma chyba niebezpieczeństwa infekcji.
- Na pewno nie, o ile nie przywlokłeś ze sobą własn., a bakterii.
- To mało prawdopodobne - żachnął się Afriel. - Nie mam

żadnych bakterii. Jak mógłbym przywlekać mikroorganizmy do obcej kultury?
Mirny odwróciła wzrok.
- Chodziło mi o bakterie celowo zmodyfikowane genetycznie... No, chyba możemy już ruszać. Skoczogon rozproszy twoją woń dotykając pyskiem ściany pieczary. Rozniesie się w kilka godzin po całym Gnieździe, Kiedy dotrze do Królowej, będzie rozprzestrzeniała się bardzo szybko.
Odbiwszy się stopą od twardej skorupy jednego ze skoczogonów, poszybowała korytarzem. Afriel podążył za nią. Powietrze było duszne i zaczynał się już pocić w swym uroczystym stroju, ale jego antyseptyczny pot nie wydzielał żadnej woni, płynęli do ogromnej groty wydrążonej w naturalnej skale.
Było to wysoko sklepione, owalne pomieszczenie o długości jakichś osiemdziesięciu i szerokości dwudziestu metrów. Roiło sie tam od mieszkańców Gniazda.
Były ich setki. Większość stanowili ośmionożni, porośnięci futrem robotnicy, zbliżeni wielkością do dogów. Tu i ówdzie kręcili sie członkowie kasty wojowników - futrzaste potwory wielkości konia z potężnie uzębionymi łbami o rozmiarach i kształtach klubowych foteli.
O kilka metrów dalej dwaj robotnicy dźwigali członka kasty zmysłowców - istotę o fantastycznie spłaszczonej głowie, tkwiącej na znajdującym się w stanie zaniku tułowiu, którego większą cześć stanowiły płuca. Zmysłowiec miał oczy, a jego chityna wykiełkowała długą, skręconą antenę, chyboczącą się ospale w rytm ruchów robotników-tragarzy. Robotnicy czepiali się zagłębień w zwietrzałej, skalnej ścianie pieczary haczykowatymi stopami zaopatrzonymi w przyssawki.
Minął ich jakiś potwór o bezwłosym, pozbawionym pyska łbie, wachlując w dusznym powietrzu podobnymi do wioseł kończynami. Przód jego łba był koszmarem uzębionych szczek i opancerzonych wylotów kwasu.
- To tunelarz - powiedziała Mirny. - Może nas zaprowadzić dalej, w głąb Gniazda. Chodź ze mną.
Poszybowała w kierunku potwora i uczepiła się pokrytego futrem, podzielonego na segmenty grzbietu. Afriel poszedł w jej ślady, a za nim skoczogony. Afriel wzdrygnął się, wyczuwszy pod palcami ciepłą tłustość wilgotnego, cuchnącego futra. Potwór wiosłował dalej, machając w powietrzu swoimi ośmioma strzępiastymi łopatkami niczym skrzydłami.
- Muszą ich tu być tysiące - odezwał się Afriel.
- W moim ostatnim meldunku mówiłam o setkach tysięcy, ale to było przed zbadaniem całego Gniazda. Jeszcze teraz są długie odcinki tuneli, których nie widziałam. Ich liczba musi dochodzić do ćwierć miliona. Ten asteroid ma rozmiary największej bazy Mechaników - Ceres. Odkryłam tu bogate żyły rudy zawierającej węgiel. Daleko jeszcze do wyczerpania jego zasobów.
Afriel zamknął oczy. Gdyby stracił swe gogle musiałby, ślepy, przeciskać się po omacku przez to rojące się, wijące, drgające kłębowisko.
- A wiec ich populacja nadal wzrasta?
- Zdecydowanie tak - przytaknęła. - Kolonia, w której się znajdujemy, wypuści niedługo rój rozpłodowy. W grotach w pobliżu Królowej przebywają trzy tuziny skrzydlatych samców i samic. Po wypuszczeniu zaczną się parzyć i założą nowe Gniazdo. Zaprowadzę cie tam, żeby ci ich pokazać... - urwała. - Teraz wpływamy do jednego z grzybowych ogrodów.
Jeden z młodych skoczogonów zmienił nieznacznie pozycje. Przytrzymując się futra tunelarza przednimi kończynami zaczął ogryzać nogawkę spodni Afriela. Afriel odtrącił go kopniakiem i skoczogon odskoczył, chowając szypułki oczne. Afriel podniósł głowę i zobaczył, że wpłynęli do drugiej groty, znacznie większej niż pierwsza. Jej ściany, sklepienie i podłoga były pokryte nieprzebraną obfitością grzybów. Najczęściej występującymi tu gatunkami były nabrzmiałe, baryłkowate kopuły, zbity gąszcz o niezliczonej liczbie wypustek i przypominające spaghetti, splątane witki, kołyszące się niemrawo w lekkich podmuchach ciężkiego powietrza. Niektóre z baryłek otaczała mgiełka wydalanych zarodków.
- Widzisz te nawarstwione stosy pod grzybami? - spytała Mirny. -To ich grzybnia.
- Tak, wldze.
- Nie mam pewności, czy to jakiś gatunek rośliny, czy też rodzaj złożonego odpadu biochemicznego - powiedziała. - Najważniejsze jest to, że rośnie w świetle słonecznym w otwartym kosmosie! Wyobraź sobie ile byłoby to warte u nas, w Pierścieniach.
- Nie da się tego wyrazić słowami - przyznał Afriel.
- Sama w sobie ta substancja jest niejadalna - ciągnęła Mirny. Próbowałam kiedyś zjeść mały kawałek. Miałam wrażenie, że żuje plastyk.
- A tak w ogóle, dobrze się odżywiałaś?
- Tak. Nasza biochemia jest zupełnie podobna do biochemii Roju. Grzyby nadają się świetnie do jedzenia.
Afriel spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma.
- Przyzwyczaisz się do ich smaku - uspokoiła go, śmiejąc się. Nauczę cie później jak prosić robotników o pożywienie. Wystarczy ich lekko poklepać - ten odruch nie jest kontrolowany przez feromony, jak większość ich zachowania. - Odgarnęła z policzka długi kosmyk tłustych zlepionych włosów. - Mam nadzieje, że próbki feromonów, które wam przesłałam warte były kosztów transportu.
- Ależ oczywiście - powiedział Afriel. - Ich skład chemiczny był fascynujący. Zdołaliśmy zsyntetyzować większość składników. Sam wchodziłem w skład zespołu badawczego. - Zawahał się. Jak dalece mógł jej zaufać? Nic nie wiedziała o zaplanowanym przez niego i władze zwierzchnie eksperymencie. Powiedziano jej, że jest takim samym naukowcem jak ona. Naukowe Społeczeństwo Genetyków odnosiło się nieufnie do tej garstki swych członków, która była czynnie zaangażowana w prace związane z techniką wojskową i w działalność wywiadowczą.
Genetycy wysłali badaczy do każdej z dziewiętnastu obcych ras opisanych im przez Inwestorów, traktując to jako inwestycje, która zaowocuje obficie w przyszłości. Kosztowało to frakcje Genetyków wiele gigawatów cennej energii oraz tony rzadkich metali i izotopów. W większości wypadków można było wysłać jedynie dwie lub trzy osoby, w siedmiu - tylko jedną. Do zbadania Roju wybrano Galinę Mirny. Udała się tam ufając, że jej inteligencja i pokojowe zamiary pozwolą jej utrzymać się przy życiu i przy zdrowych zmysłach. Ci, którzy ją wysyłali, nie wiedzieli, czy jej odkrycia będą miały jakąś wagę albo zastosowanie. Chodziło im jedynie o to, aby, nawet sama i nawet źle wyposażona, znalazła się w Gnieździe, zanim jakaś inna frakcja wyśle tam swych ludzi i być może odkryje technikę lub fakt o strategicznym znaczeniu. No i doktor Mirny odkryła coś takiego. Jej misja stała sie nagle bardzo ważna z punktu widzenia bezpieczeństwa Pierścieni. To dlatego do Roju przybył Afriel.
- Zsyntetyzowaliście składniki - spytała. - Po co?
- Po prostu po to, żeby się przekonać, czy potrafimy to zrobić uśmiechnął się rozbrajająco.
Potrząsnęła głową.
- Tylko proszę, bez żadnych krętactw, doktorze Afriel. Przyleciałam tak daleko częściowo dlatego, żeby uciec od naszego zakłamanego życia. Powiedz mi prawdę.
Afriel patrzył na nią żałując, że przez gogle nie może dostrzec jej oczu.
- Dobrze - odezwał się. - Powinnaś zatem wiedzieć, że Rada Pierścienia poleciła mi przeprowadzić pewien eksperyment, który może kosztować nas życie.
Mirny milczała przez chwile.
- Wiec jesteś ze Służby Bezpieczeństwa.
- Mam stopień kapitana.
- Wiedziałam to... Wiedziałam to, kiedy przybyło tu tych dwoje Mechaników. Byli tak uprzejmi, tak nieufni... Wydaje mi się, że zabiliby mnie od razu, gdyby nie mieli nadziei wyciągnąć ze mnie przekupstwem lub torturami jakiejś tajemnicy. Bałam sie ich śmiertelnie, kapitanie Afriel... ciebie też się boje.
- Żyjemy w przerażającym świecie, doktorze Mirny. Tu chodzi o bezpieczeństwo frakcji.
- Wam zawsze chodzi o bezpieczeństwo frakcji - powiedziała. Nie powinnam prowadzić cie dalej, ani nic więcej pokazywać. To Gniazdo, te stworzenia... one nie są inteligentne, kapitanie. One nie potrafią myśleć, nie potrafią się uczyć. Są niewinne, pierwotnie niewinne. Nie wiedzą w ogóle co to dobro i zło. Nie wiedzą nic. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebują, to stać się pionkami w walce o władze w łonie jakiejś innej, odległej o lata świetlne

Bruce Michael STERLING

jest z pochodzenia Hiszpanem, Włochem, Szkotem i Indianinem. Urodził się w 1954 r. w Bronsville, a wychowywał w Austin, w stanie Texas (USA). Studiował dziennikarstwo W 1974 r. poznał Harlana Ellisona, który zainteresował się jego opowiadaniami „Involution Ocean" i zaproponował rozszerzenie tego utworu do wymiarów powieści (opublikowana w 1977 r. w zbiorze „Harlan Edison Discovery Series"). W 1976 r w antologii Geo W. Proctora i Stevensa Utleya („Lone Star Urwerse") ukazało się pierwsze opowiadanie Sterlinga - „Man-Made Self".

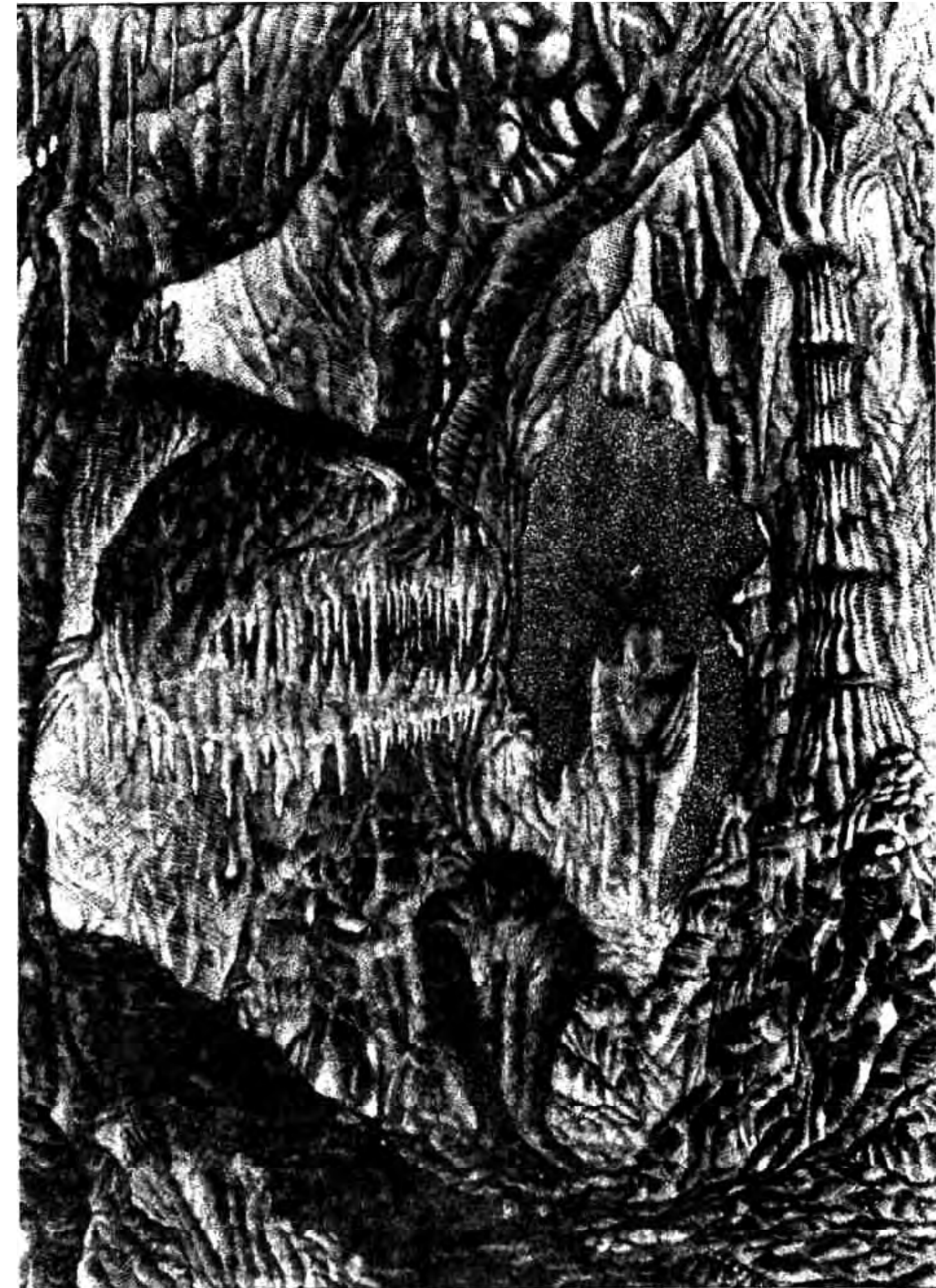
A.N.



rasy.
Tunelarz skręcił i wyleciał z pieczary grzybowej, wiosłując wolno w ciepłej ciemności. Obok, w przeciwnym kierunku, przepłynęła grupa stworzeń, przypominających stare, spłaszczone piłki. Jedno z nich usiadło na rękawie Afriela, czepiając się go kurczowo wątłymi, biczowatymi mackami. Afriel strzepnął je delikatnie i stwór, puszczając się, wyrzucił z siebie strumień cuchnących, czerwonawych kropelek.
- W zasadzie przyznaje ci racje, doktorze - powiedział bez zająknienia Afriel. - Ale weź pod uwagę Mechaników. Członkowie niektórych z ich ekstremalnych frakcji są już na wpół maszynami. Spodziewasz się z ich strony humanitarnych motywacji? To zimne i bezduszne istoty, które bez zmrużenia oka mogą pociąć na kawałki żywego mężczyznę czy kobietę. Większość -innych frakcji nienawidzi nas. Są przekonani, że uważamy się za hołdujących ideom rasizmu nadludzi, ponieważ nie chcemy się z nimi krzyżować, ponieważ wybraliśmy wolność, aby swobodnie manipulować naszymi genami. Może wolałabyś, aby jedna z tych kultur zrobiła to, co my mamy zamiar uczynić, a rezultaty wykorzystała przeciwko nam?
- To się nazywa odwracanie kota ogonem - odwróciła wzrok. Wszędzie wokół, uginając się pod ciężarem wypełniających im paszcze i wnętrzności grzybów, krzątali się robotnicy, przemykając obok nich lub znikając w odchodzących we wszystkich kierunkach odgałęzieniach. Afriel dostrzegł stwora bardzo podobnego do robotnika, ale posiadającego tylko sześć odnóży. Przepływał w przeciwnym kierunku nad ich głowami. Był to pasożyt naśladowca. Jak długo - zastanawiał się Afriel - musiała trwać ewolucja tej istoty, aby w końcu przybrała ona obecną postać?
- Nic dziwnego, że W Pierścieniach mamy tylu ułomnych - odezwała się ze smutkiem Mimy. -Jeśli ludzkość jest tak głupia, żeby sama wpędzać się w uliczkę bez wyjścia, jak mi to opisujesz, to lepiej nie mieć z tym nic wspólnego. Lepiej żyć samotnie. Lepiej nie pomagać w rozpętywaniu szaleństwa.
- Takie rozumowanie doprowadzi tylko do tego, że wszyscy zginiemy - odparł Afriel. - Winni jesteśmy wierność frakcji, która nas stworzyła.
- Powiedz mi, ale szczerze, kapitanie - poprosiła. - Czy nigdy nie odczuwałeś nieprzepartej chęci, aby rzucić wszystko i wszystkich - zerwać wszystkie wieży, porzucić obowiązki i zaszyć sie gdzieś w samotności, żeby to wszystko przemyśleć? Cały swój świat i swoją w nim role? Od wczesnego dzieciństwa przechodzimy tak rygorystyczne szkolenie i tak wysokie stawiają nam wymagania. Czy nie uważasz, że w jakiś sposób tracimy przez to z oczu nasze cele?
- Żyjemy w kosmosie - powiedział apatycznie Afriel. - Kosmos nie jest naszym naturalnym środowiskiem i żeby w nim przetrwać potrzebny jest nadzwyczajny wysiłek nadzwyczajnych ludzi. Naszymi narzędziami są nasze mózgi, a filozofia musi zejść na drugi plan. Odczuwałem, naturalnie, pokusy, o których wspominałaś. Są one po prostu kolejnym zagrożeniem, przed którym trzeba się strzec. Wierze w zorganizowane społeczeństwo. Rozwój techniki wyzwolił potężne siły, które rozdarły ludzkość. Z tych zmagań musi powstać jakaś jedna frakcja i uporządkować wszystkie sprawy. My, Zmodyfikowani, z naszą mądrością i umiarkowaniem jesteśmy zdolni doprowadzić do tego w humanitarny sposób. To dlatego param się taką, a nie inną pracą. Urwał na chwile. - Nie spodziewam się oglądać dnia naszego triumfu. Zginę pewnie w jakimś oczyszczającym konflikcie albo zostanę zamordowany. Wystarczy mi jednak, że mogę przewidzieć nadejście takiego dnia.
- Ileż w tym arogancji, kapitanie! - przerwała mu gwałtownie. Tak, właśnie arogancji, arogancji i wobec twojego nic nie znaczącego życia i nic nie znaczącego jego poświecenia! Jeśli tak pragniesz swej ludzkiej i idealnej organizacji, spójrz na Rój. Ona jest tutaj! Tu, gdzie zawsze jest ciepło i ciemno i gdzie przyjemnie pachnie, i gdzie łatwo o pożywienie, i gdzie wszystko idealnie i w nieskończoność recyrkuluje. Jedyne zasoby, jakie są kiedykolwiek tracone to ciała rojów rozpłodowych i trochę powietrza uciekającego przez śluzy, gdy robotnicy wychodzą na żniwa. Takie Gniazdo jak to może trwać niezmienione przez setki tysięcy lat. Setki-tysiecy-lat. Kto, albo co będzie pamiętać nas i naszą głupią frakcje chociażby za tysiąc lat?
Afriel potrząsnął głową.
- To nie jest dobre porównanie. My nie przetrwamy tak długo. Nim upłynie następne tysiąc lat będziemy maszynami lub bogami.
Poczuł, że nie ma już na głowie kapelusza. Coś go teraz bez wątpienia pożerało.
Tunelarz niósł ich coraz dalej w głąb podziurawionego jak rzeszoto labiryntu asteroidu. Przepływali przez groty poczwarek, a drgającymi w kokonach bladymi larwami, przez główne ogrody grzybowe, nad dołami cmentarnymi, gdzie skrzydlaci robotnicy bili nieustannie skrzydłami w gęste jak zupa powietrze, nagrzane od ciepła gnijących na dnie ciał. Czarne grzyby rozkładały ciała umarłych na czarny proszek, wynoszony z dołów przez poczerniałych robotników, samych na wpół żywych.
Po pewnym czasie puścili tunelarza i popłynęli sami. Kobieta poruszała się z wprawą, nabytą podczas długiego pobytu w Gnieździe. Afriel, zderzając się boleśnie ze skrzeczącymi robotnikami, starał się za nią nadążyć. Były tu tysiące robotników. Czepiali się sklepień, ścian i podłoża, zbijali w pęki albo pędzili w każdym możliwym kierunku.
Później odwiedzili grotę skrzydlatych książąt i księżniczek ogromną, okrągłą pieczarę, gdzie w powietrzu unosiły się czterdziestometrowej długości stworzenia o zakrzywionych kończynach. Miały segmentowe, połyskujące metalicznie tułowia, a tam, gdzie powinny znajdować się skrzydła, sterczały organiczne dysze odrzutowe. Wzdłuż lśniących grzbietów potworów ciągnęły sie złożone anteny radarowe, zamocowane na łukowatych podłużnicach. Te stworzenia wyglądały bardziej na sondy międzyplanetarne w trakcie budowy niż na twory natury. Robotnicy karmili je bezustannie. Baniaste odwłoki olbrzymów pełne były sprężonego tlenu.
Mimy, poklepując delikatnie po antenie przepływającego obok robotnika i wywołując tym akcje odruchową, wyprosiła od niego wielki plaster grzyba. Większość zdobyczy oddała dwum skoczogonom, które pożarły grzyb łapczywie i patrzyły wyczekująco spodziewając się dalszych porcji.
Afriel skrzyżował nogi w pozycji lotosu i zaczął z determinacją żuć łykowaty grzyb. Był twardy, ale smakował jak wędzone mięso - przysmak Ziemian, którego Afriel kosztował tylko raz w życiu. W kolonii Genetyków woń dymu oznaczała katastrofę. Mimy milczała jak zaklęta.
- Pożywienie nie jest wiec problemem - odezwał się wesoło Afriel. - A gdzie będziemy spali?
Wzruszyła ramionami.
- Gdziekolwiek... tu i ówdzie są nieużyteczne nisze. Przypuszczam, że chciałbyś teraz zobaczyć grotę Królowej.
- Oczywiście.
- Będę musiała zebrać więcej grzybów. Stoją tam na straży wojownicy i trzeba ich przekupić pożywieniem.
Odebrała naręcze grzybów jednemu z płynących nieprzerwanym strumieniem robotników i skręcili w następny tunel.

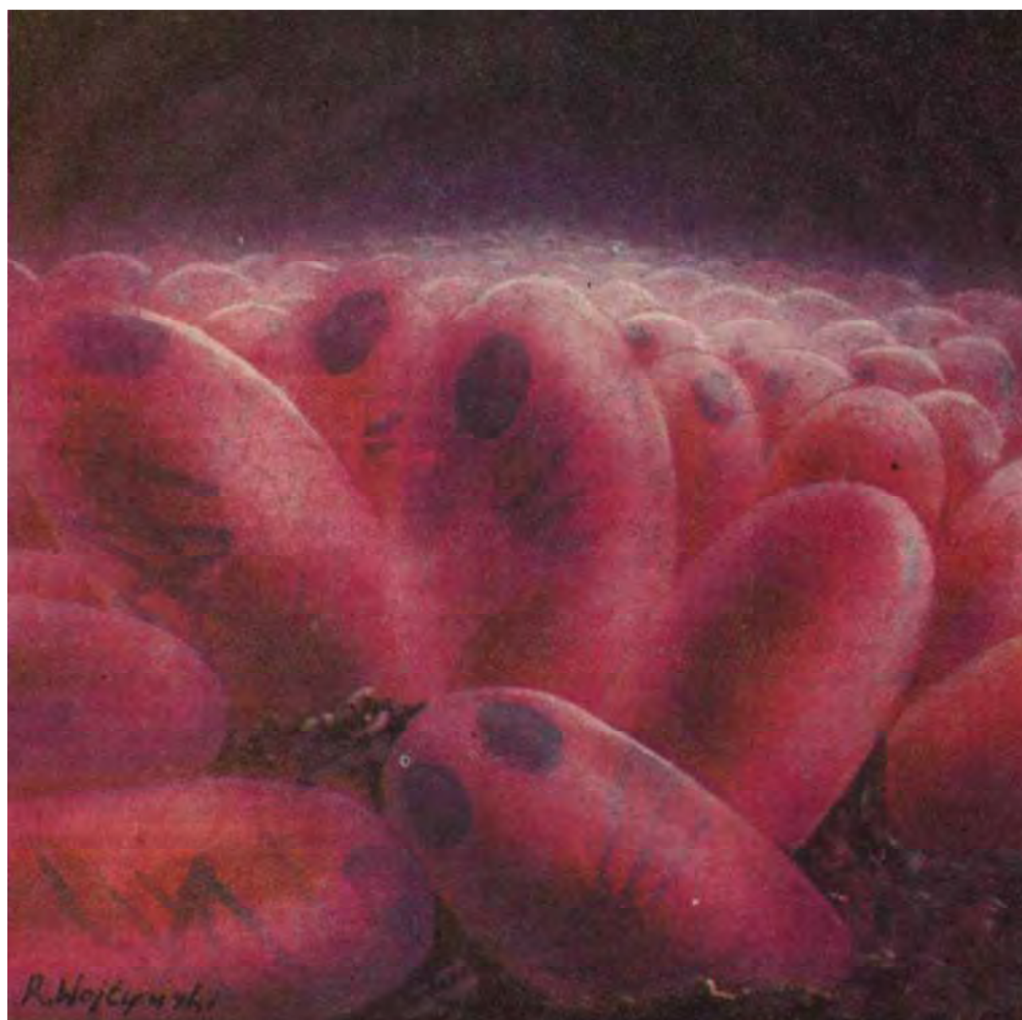
Afriel, całkowicie już zdezorientowany, przemierzał dalej labirynt korytarzy i grot. Wpłynęli w końcu do ogromnej pieczary, rozjaśnianej podczerwonym promieniowaniem bijącym od potwornego cielska Królowej. Była to centralna fabryka kolonii. Fakt, że tworzyło ją ciepłe, miękkie ciało nie zacierał jej przemysłowej natury. Z jednej strony podawane były do gładkiego, ślepego pyska tony nieprzetrawionej papki grzybowej. Obłe zwały miękkiego cielska trawiły ją i przetwarzały wijąc się, zasysając i falując z głośnym, podobnym do wydawanego przez maszynę, bulgotaniem i szumem. Z drugiego końca wydostawał się nieprzerwany strumień jaj, z których każde było powleczone grubą warstwą hormonalnej mazi. Robotnicy chciwie wylizywali jaja do czysta i odnosili je do żłobków. Każde jajo było wielkości torsu dorosłego mężczyzny.
Ten proces trwał bez ustanku. Tu, w nieważkim centrum asteroidu nie było dnia ani nocy. W genach tych istot nie pozostało nic z rytmu dobowego. Tempo produkcji było tak stałe i równomierne jak praca zautomatyzowanej kopalni.
- Właśnie po to tu jestem - wyszeptał ze zgrozą Afriel. - Spójrz na to, doktorze. Mechanicy posiadają sterowane komputerowe maszyny wydobywcze, wyprzedzające nasze urządzenia tego typu o całe generacje. Ale tutaj - w trzewiach tego maleńkiego, bezimiennego świata istnieje technika sterowana genetycznie, która żywi się sama, sama konserwuje, sama steruje swoją wydajnością - w nieskończoność, bezmyślnie. To jest idealne narzędzie organiczne. Frakcja, która potrafi wykorzystać do swych celów tych niestrudzonych robotników, może stać się tytanem przemysłowym. A nasza wiedza z dziedziny biochemii nie ma sobie równych. My, Genetycy, jesteśmy właśnie tymi, którzy tego dokonają
- Jak zamierzasz to zrealizować? - spytała z wyraźnym sceptycyzmem Mimy. - Musiałbyś przetransportować zapłodnioną królową aż do układu słonecznego. Wątpię, czy to

by się nam udało, nawet gdyby pozwolili na to Inwestorzy, a tego oni nie zrobią.
- Nie potrzebuje całej kolonii - wyjaśnił cierpliwie Afriel. - Potrzebna mi tylko informacja genetyczna z jednego jaja. Nasze laboratoria w Pierścieniach mogą wyklonować nieskończone ich ilości.
- Ale robotnicy bez reszty kolonii wydającej im rozkazy są bezużyteczni. Do wyzwolenia różnego rodzaju zachowań potrzebują feromonów.
- Wiem o tym - powiedział Afriel - i mam te feromony w skondensowanej postaci. Teraz musze je tylko przetestować. Muszę się przekonać, czy przy ich pomocy potrafię skłonić robotników do robienia tego, co im każe. Kiedy wykazałem, że



jest to możliwe, upoważniono mnie do przemycenia niezbędnej informacji genetycznej z powrotem do Pierścieni. Wiem, że Inwestorzy nie zgodzą się na to. Wchodzą tu oczywiście w grę kwestie moralne, a oni nie są zbytnio zaawansowani w inżynierii genetycznej. Ale możemy uzyskać ich zgodę obiecując korzyści materialne, płynące z tego eksperymentu. A co najważniejsze, możemy pobić Mechaników ich własną bronią. - Przeszmuglowałeś tu feromony? - spytała Mirny. - Czy Inwestorzy nie zorientowali się o co chodzi, gdy je przy tobie znaleźli?
- Teraz ty popełniłaś błąd - odparł spokojnie Afriel. - Zakładasz, że oni są nieomylni. Jesteś w błędzie. Rasa nie znająca uczucia ciekawości nigdy nie będzie w stanie przewidzieć wszystkich możliwości, tak jak potrafimy je przewidzieć my, Genetycy. Afriel podciągnął nogawkę spodni i obnażył prawą nogę. - Spójrz na ten żylak na mojej goleni. Tego rodzaju problemy z krążeniem są często spotykane u tych, którzy dużo czasu spędzają w stanie' nieważkości. Ta żyła została zablokowana sztucznie, a jej ścianki poddano obróbce biochemicznej, celem zmniejszenia osmozy. W tej żyle znajduje się dziesięć oddzielnych kolonii zmodyfikowanych genetycznie bakterii, każda specjalnie do wytworzenia innego feromonu Roju. - Uśmiechnął się. - Inwestorzy przeszukali mnie bardzo dokładnie, włącznie z prześwietlaniem promieniami rentgena. Zawsze chcą wiedzieć, co jest transportowane na pokładach ich statków. Ale prześwietlenie nic nie wykazało, nie wykryło uwięzionych w żyle bakterii. One są niewykrywalne. Mam przy sobie mały zestaw medyczny. W jego skład wchodzi strzykawka. Możemy jej używać do wydobywania feromonów i testowania ich. Po zakończeniu testów - a wierze, że zakończą sie one pomyślnie, bo prawdę mówiąc rzuciłem na szale całą moją karierę - możemy opróżnić żyłę z wszystkiego, co w niej jeszcze pozostanie. Bakterie zginą w zetknięciu z powietrzem. Potem możemy wypełnić żyłę żółtkiem rozwijającego się embrionu. Jego komórki mogą przetrwać drogę powrotną, ale nawet gdyby umarły, nie rozłożą się. Nigdy nie wejdą w kontakt z bakteriami, które je rozkładają. Znalazłszy się z powrotem w Pierścieniach możemy opracować metodę pobudzania i tłumienia aktywności różnych genów, celem produkowania różnych kast, tak jak czyni to natura. Będziemy mieli miliony robotników, armie wojowników, jeśli zajdzie tego potrzeba. Może nawet uda nam się wyhodować ze zmodyfikowanych skrzydlatych organiczne statki rakietowe. Jeśli się nam to powiedzie, to czy nikt, według ciebie, nie będzie pamiętał mnie i mojego nic nie znaczącego poświecenia?
Patrzyła nań bez słowa. Nawet wypukłe gogle nie mogły skryć wyrazu respektu, a nawet strachu malującego się na jej twarzy.
- A wiec naprawdę zamierzasz tego dokonać?
- Poświeciłem swój czas i energie, doktorze. Spodziewam sie wyników.
- Ależ to jest kidnaping. Dążysz do stworzenia i rozmnażania rasy niewolników. Afriel wzruszył lekceważąco ramionami.
- Przesada, doktorze. Nie wyrządzę tej kolonii żadnej krzywdy. Skradne im nieco siły roboczej, gdy będą wypełniali moje chemiczne polecenia, ale ta kropla w morzu nie będzie nawet odczuwalna. Czyż kradzież jednej drobiny materiału genetycznego można nazywać kidnapingiem? Wydaje mi się, że nie. A co do oszczerczego oskarżenia o tworzenie nowej rasy niewolników, to stanowczo je odrzucam. Te stworzenia są genetycznymi robotami- Określenie niewolnik pasuje do nich tak samo, jak do laserowego wiertła, czy buldożera. W najgorszym przypadku będą zwierzętami domowymi. Mirny ważyła w myślach jego słowa. Nie zabrało jej to dużo czasu.
- To prawda. Ten robotnik nie będzie spoglądał w gwiazdy tęskniąc za wolnością. One są prostu bezmózgimi bezpłciowcami.
- Właśnie, doktorze.
- One po prostu pracują. A czy pracują dla nas, czy dla Roju, nie robi im żadnej różnicy.

- Widzę, że pojęłaś piękno tej idei.
- Jeśli to się uda - powiedziała Mirny - jeśli się to uda, nasza frakcja osiągnie astronomiczne zyski.
Afriel uśmiechnął się szczerze, nieświadomy lodowatego sarkazmu malującego się na jej twarzy.
- A korzyści osobiste, doktorze... cenna ekspertyza pierwszych, którzy wykorzystali w praktyce te możliwości - powiedział cicho i spokojnie. - Czy widziałaś kiedy azotowy śnieg na Tytanie? Rozważam możliwość osiedlenia się tam na stałe. Miejsca jest tam dużo, o wiele więcej niż gdziekolwiek indziej w naszych koloniach... autentyczne miasto, Galina, miejsce, gdzie człowiek może wyrzucić na śmietnik prawa i dyscyplinę, które doprowadzają go do szaleństwa.
- Teraz ty mówisz o dezercji, kapitanie-doktorze.
Afriel milczał przez chwile, potem uśmiechnął się z przymusem.
- Wyrwałaś mnie z zadumy - powiedział. - A tak nawiasem mówiąc opisywałem ci zasłużony odpoczynek bogatego człowieka, a nie ucieczkę umywającego ręce pustelnika... to subtelna, ale wyraźna różnica. - Zawahał się. - Czy mogę, w każdym razie, liczyć na twoją pomoc?
Roześmiała się i dotknęła jego ramienia. W tym cichym śmiechu, tonącym w organicznym hałasie, który wydawały potworne jelita Królowej było coś niesamowitego...



- Spodziewasz się, że będę głucha na twoje argumenty przez całe dwa lata? Lepiej, żebym poddała się już teraz. Oszczędzi nam to starć.
- Właśnie.
- Mimo wszystko nie wyrządzisz kolonii żadnej krzywdy. Nigdy nie dowiedzą się, że cokolwiek się wydarzyło. A jeśli tam, w Pierścieniach, ich linia genetyczna zostanie pomyślnie odtworzona, ludzkość nie będzie miała żadnego powodu, aby ich ponownie niepokoić.
- To prawda - powiedział Afriel, chociaż gdzieś w głębi duszy pomyślał przez chwile o nieprzebranych bogactwach systemu asteroidów Betelegusy. Nadejdzie nieuchronnie dzień, kiedy ludzkość naprawdę masowo wyruszy ku gwiazdom. Dobrze będzie wtedy znać tajemnice każdej rasy, która może stać się rywalem.
- Pomogę ci, jak tylko będę mogła - powiedziała Mimy. Na chwile zapadła cisza. - Napatrzyłeś się już?
- Tak. - Opuścili grotę Królowej.
- Nie powiem, żebyś spodobał mi się od pierwszej chwili - przyznała szczerze. - Jednak teraz chyba bardziej mi się podobasz. Masz poczucie humoru, którego brakuje większości ludzi ze Służby Bezpieczeństwa.
- To nie poczucie humoru - odparł niewesoło Afriel. - To ironia udająca poczucie humoru.

W niekończącym się strumieniu godzin, które później nastąpiły nie było dni. Upływający czas odmierzały tylko nieregularne okresy snu, osobno z początku, później razem, gdy obejmując się nawzajem ramionami unosili się nad podłożem w stanie nieważkości. Byli jak bakterie w strumieniu krwi, pulsującym nieustannie przypływami i odpływami. Badali po kolei wszystkie feromony, a tymczasem godziny rozciągały się w miesiące i czas przestawał mieć jakiekolwiek znaczenie. Prace nad feromonami były trudne, ale nie niemożliwe do przeprowadzenia. Pierwszy z dziesięciu feromonów był prostym bodźcem do grupowania się i po rozprzestrzenieniu z czułka na czułek powodował gromadzenie się w jednym miejscu dużej liczby robotników. Robotnicy oczekiwali potem na dalsze instrukcje, a gdy takie nie nadchodziły, rozpraszali się. Aby feromony działały skutecznie, trzeba je było dawkować w postaci wymieszanej albo seriami, jak rozkazy komputerowe - na przykład, numer pierwszy - „zbiórka” wraz z feromonem trzecim - rozkazem przenoszenia powodowały, że robotnicy opróżniali dowolną wskazaną pieczarę i przenosili jej zawartość do innej. Dziewiąty feromon mógł mieć najlepsze zastosowanie przemysłowe - był to rozkaz budowania, na który robotnicy przeprowadzali zbiórkę tunelarzy i wiertaczy, po czym zmuszali ich do pracy. Były też feromony wywołujące agresje - na przykład zdarły z Afriela resztki ubrania. Ósmy feromon wysyłał robotników na zewnątrz asteroidu do zbioru plonów grzybni z jego powierzchni i w zapale obserwacji skutków jego działania dwójka badaczy omal nie wpadła w pułapkę i nie została wymieciona w kosmos.
Nie bali się już kasty wojowników. Wiedzieli, że dawka feromonu szóstego pośle ich pędem do obrony jaj, tak jak wysyłała robotników do opieki nad nimi. Mimy i Afriel skorzystali z tego i objęli w posiadanie wydrążone przez zmuszonych do tego chemicznie robotników własne pieczary, do których dostępu bronił chemicznie przekupiony strażnik śluzy powietrznej. Do odświeżania powietrza mieli własne ogrody grzybowe, wypełnione grzybami, które najbardziej im smakowały, natomiast trawieniem grzybów zajmował się utrzymywany w stanie oszołomienia robotnik, przygotowujący pożywienie dla Mirny i Afriela. Od ciągłego obżarstwa i z braku ruchu robotnik rozdął się do maksymalnych rozmiarów i zwisał przy jednej ze ścian jak monstrualne winogrono.
Afriel był przemęczony. Nie sypiał już od dłuższego czasu, sam nie wiedział od jak dawna. Rytm biologiczny jego organizmu nie przystosował się do nowych warunków tak dobrze jak Mirny i Afriel łatwo popadał w depresje lub wybuchał złością. Tłumienie tych skłonności zawsze wymagało ogromnego wysiłku woli.
- Inwestorzy wrócą tutaj - powiedział kiedyś. - Wrócą i to niedługo. Mirny wzruszyła ramionami.
- Inwestorzy - powiedziała lekceważąco i dodała w jeżyku skoczogonów jakąś uwagą, której nie zrozumiał. Pomimo swego

lingwistycznego wykształcenia, Afriel nigdy nie dorównał jej w posługiwaniu się tym zgrzytliwym bełkotem. Jego wiedza raczej mu w tym przeszkadzała - jeżyk skoczogonów zdegenerował sie tak bardzo, że trudno było w nim doszukać się jakichkolwiek zasad czy reguł. Znał go na tyle, aby wydawać im proste polecenia, a dzięki swej częściowej kontroli nad wojownikami cieszył sie u symbiontów wystarczającym respektem, aby egzekwować ich wykonanie. Skoczogony bały się go, a te dwa podrostki, które oswoiła swego czasu Mirny, wyrosły na opasłych, przerośniętych tyranów, z łatwością terroryzujących swoich starszych, ale mniejszych współplemieńców. Afriel byt zbyt zapracowany, aby zająć się poważnie badaniami skoczogonów czy innych symbiontów. Miał na głowie zbyt wiele nie cierpiących zwłoki eksperymentów praktycznych.
- Jeśli przylecą za wcześnie, nie zdążę dokończyć moich ostatnich badań - powiedziała Mirny.
Afriel ściągnął z nosa noktowizyjne gogle i zawiesił je na szyi.
- Istnieją pewne granice, Galina - powiedział ziewając. - Bez odpowiedniego sprzętu potrafisz zapamiętać tylko ograniczoną ilość informacji. Będziemy musieli spokojnie zaczekać na ich przybycie. Mam nadzieje, że nie zaszokuje Inwestorów swym wyglądem. Ten strój kosztował mnie fortunę.
- Jest nudno, odkąd został wypuszczony rój rozpłodowy. Poza tym musieliśmy przerwać prace, żeby zagoiła się twoja żyła. Gdyby nie ta nowa narośl w grocie skrzydlatych, zanudziłabym sie na śmierć - obiema dłońmi odgarnęła z twarzy przetłuszczone włosy. - Szykujesz się do spania?
- Tak, jeśli potrafię zasnąć.
- A wiec nie pójdziesz ze mną? Mówię ci, ta nowa narośl ma jakieś znaczenie. Wydaje mi się, że to nowa kasta. Stanowczo nie należy do skrzydlatych. Ma oczy jak skrzydlate, ale czepia sie ściany.
- A zatem nie jest to prawdopodobnie żaden członek Roju - powiedział znużonym głosem. - To prawdopodobnie pasożyt naśladujący skrzydlate. Idź i przyjrzyj mu się, jeśli tak bardzo chcesz. Będę tu na ciebie czekał.
Słyszał jak odchodziła. Nawet bez noktowizorów ciemności nie były całkowite, gdyż grzyby rosnące w pieczarze obok wydzielały słabą poświatę. Przejedzony robotnik poruszył się niemrawo, szeleszcząc i bulgocząc. Afriel zasnął.

Kiedy się obudził, Mirny jeszcze nie wróciła. Nie odczuwał niepokoju. Najpierw odwiedził tunel prowadzący do śluzy powietrznej, gdzie na samym początku pozostawili go Inwestorzy. To było irracjonalne - Inwestorzy zawsze dotrzymywali zawartych kontraktów - ale obawiał się podświadomie, że któregoś dnia przybędą, zniecierpliwią się i odlecą bez niego. Inwestorzy będą musieli, oczywiście, zaczekać. Mimy zajmie ich czymś na krótką chwile, a on tymczasem pomknie do żłobka i okradnie rozwijające się jajo z jego żywych komórek. Najlepiej, żeby było to jajo jak najświeższe.
Później spożył posiłek. Chrupał właśnie grzyby w jednej z grot gdy znalazły go dwa skoczogony Mirny.
- Czego chcecie? - spytał w ich jeżyku.
- Karmicielka niedobrze - zaskrzeczał większy machając przednimi odnóżami w bezmyślnym podnieceniu. - Nie pracować, nie spać.
- Nie ruszać się - dorzucił drugi. - Zjeść teraz? - dodał z nadzieją w głosie.
Afriel oddał im swoje grzyby. Zjadły je bardziej chyba z przyzwyczajenia niż powodowane głodem, co go zaalarmowało.
- Prowadźcie mnie do niej - rozkazał.
Skoczogony ruszyły szybko przodem. Bez trudu dotrzymywał im kroku, zręcznie unikając zderzeń z robotnikami i lawirując w ich tłumie. Skoczogony zaprowadziły go do odległej o kilka mil groty skrzydlatych. Tam zatrzymały się zaskoczone.
- Nie ma - odezwał się większy.
Grota była pusta. Afriel nigdy przedtem nie widział jej opróżnionej. Takie marnotrawstwo przestrzeni było dla Roju czymś niezwykłym. Poczuł, że ogarnia go strach.
- Szukajcie karmicielki - rzucił do skoczogonów. - Węszcie. Bez wielkiego entuzjazmu popłynęły węsząc wzdłuż ściany. Wiedziały, że Afriel nie ma przy sobie pożywienia, a niechętnie robiły cokolwiek bez natychmiastowej nagrody. Wreszcie jeden z nich złapał trop, lub tylko udawał, i podążył nim w górę do wylotu tunelu widniejącego w sklepieniu.
Afriel niewiele widział w opuszczonej grocie, za mało w niej było promieniowania podczerwonego. Poszybował w górę w ślad za skoczogonami.
Wtem usłyszał ryk wojownika i przerażony skrzek skoczogona, który w chwile potem wypadł z tunelu rozpryskując wokół szybko krzepnącą ciecz, buchającą z jego rozłupanej głowy. Miotał sie na oślep we wszystkich kierunkach, aż w końcu z przytłumionym chrzęstem uderzył o przeciwległą ścianę groty. Już nie żył. Drugi skoczogon umknął od razu skrzecząc z żalu i trwogi. Afriel wylądował na skraju tunelu uginając nogi w kolanach, aby zamortyzować siłę rozpędu. Uderzyła go w nozdrza cierpka woń złości wojownika - feromonu tak silnego, że czuł go nawet człowiek. Za kilka minut, może nawet sekund zlecą się tu dziesiątki innych wojowników. Słyszał, jak za plecami rozwścieczonego osobnika robotnicy przesuwają i spajają skały. Mógł zapanować nad jednym rozdrażnionym wojownikiem, ale nigdy nad dwoma czy dwudziestoma. Odbił się nogami od ściany groty i przez jej wylot wypłynął na zewnątrz. Szukał drugiego skoczogona - wiedział na pewno, że go rozpozna, bo był znacznie większy od innych - ale nie mógł go znaleźć. Skoczogon ze swym rozwiniętym zmysłem powonienia mógł sie łatwo przed nim ukryć, jeśli tylko chciał.

Mirny nie wracała. Mijały godziny. Znowu zasnął. Potem wrócił do groty skrzydlatych. Pełnili tam straż wojownicy, wojownicy, których nie interesowało pożywienie i którzy rozdziawiali swe ogromne, uzębione paszcze, gdy się do nich zbliżał.
Wydawali się gotowi rozerwać go na strzępy. Nad tym miejscem, niczym mgła, unosiła się ledwo uchwytna woń feromonu agresji. Nie dostrzegał na cielskach wojowników żadnego rodzaju symbiontów. Istniał taki pasożyt, stwór podobny do ogromnego kleszcza, który czepiał się tylko wojowników, ale nie było nawet tych kleszczy.
Wrócił do swojej groty, aby przeczekać i przemyśleć to wszystko w spokoju. Ciała Mirny nie było w dole na odpadki. Istniała, oczywiście, możliwość, że coś ją pożarło. Czy powinien wydobyć resztę pozostałego w żyle feromonu i spróbować przedrzeć się do groty skrzydlatych? Podejrzewał, że Mirny, czy raczej to, co po niej pozostało, znajduje się gdzieś w tunelu, w którym został uśmiercony skoczogon. Nigdy nie badał tego korytarza.
Czuł się sparaliżowany brakiem zdecydowania i strachem. Jeśli będzie siedział cicho, jeśli nic nie będzie robił... Inwestorzy powinni przybyć lada godzina. Radzie Pierścienia mógł powiedzieć co tylko chciał o śmierci Mirny. Gdyby dostarczył im materiał genetyczny, nie zadręczaliby go zbytnio pytaniami. Nie kochał jej. Szanował, ale nie na tyle, aby w jej obronie ryzykować własnym życiem czy interesami swojej frakcji. Dawno już nie wspominał Rady Pierścienia i myśl o niej otrzeźwiła go. Musiałby wyjaśnić przed nią motywy swego postępowania.

Był nadal w swej grocie, gdy usłyszał syk powietrza, uchodzącego przez kurczącą się, organiczną śluzę powietrzną. Przybyło po niego trzech wojowników. Nie unosiła się już wokół nich woń złości. Poruszali się powoli i ostrożnie. Wiedział, że stawianie oporu nie ma sensu. Jeden z nich pochwycił go delikatnie w swe masywne szczeki i wyniósł z groty.
Minęli grotę skrzydlatych i wpłynęli do strzeżonego tunelu. Na jego końcu znajdowała się nowo wydrążona pieczara. Niemal po brzegi wypełniała ją biała, nakrapiana czarnymi cętkami, galaretowata masa. Pośrodku tej cętkowanej góry cielska znajdowały sie usta i dwoje wilgotnych, błyszczących, osadzonych na szypułkach ślepi. Z bryłowatego grzebienia, biegnącego nad ślepiami zwisały, wijąc się, długie i grube jak węże wąsy, zakończone przypominającymi wtyki, różowymi wypustkami.
Jeden z tych wąsów przeszywał na wylot czaszkę Mirny. Jej bezwładne ciało unosiło się w powietrzu. Oczy były otwarte, ale ślepe.
Drugi wąs tkwił w czaszce zmutowanego robotnika. Robotnik, sądząc po jego bladym zabarwieniu, był jeszcze larwą. Ciało miał skurczone, zdeformowane, a pomarszczone wargi układem i wyglądem przypominały usta człowieka. W ustach tych tkwiło coś, co przypominało jeżyk. Spod warg wystawały białe dziąsła, z których wyrastały ludzkie zęby. Mutant nie miał oczu.
- Kapitanie-doktorze Afriel... - przemówił robotnik głosem Mirny.
- Galina...
- Nie nazywam się tak. Możesz zwracać się do mnie Rój. Afriel zwymiotował. Centralna masa ciała była ogromną głową. Jej mózg wypełniał niemal całą objętość pieczary.

Rój czekał cierpliwie, aż Afriel skończy.
- I znowu się obudziłem - odezwał się w końcu marzycielsko. - Z zadowoleniem stwierdzam, że to nie główny alarm, dotyczący bezpośrednio mego bezpieczeństwa, że to tylko zagrożenie, które stało się już niemal regułą. - Zamilkł na chwile. Unoszące się w powietrzu ciało Mirny drgnęło nieznacznie, jej oddech był nieludzko regularny. Oczy otworzyły się i zamknęły. - Kolejna młoda rasa.
- Kim jesteś?
- Jestem Rój. To znaczy, jestem jedną z jego kast. Jestem narzędziem, adaptacją. Moją specjalnością jest inteligencja. Nie jestem potrzebny często. To dobrze być znowu potrzebnym.
- Byłeś tu cały czas? Dlaczego nas nie powitałeś? Nawiązalibyśmy z tobą kontakt. Nie przybyliśmy w żadnych złych zamiarach.
Wilgotne usta robotnika, nadzianego na koniec wężowatego wąsa rozchyliły się wydając odgłosy przypominające śmiech.
- Podobnie jak wy, lubię ironizować - powiedział Roj. - W piękną wpadłeś pułapkę, kapitanie-doktorze. Zamierzałeś skłonić Rój do pracy dla ciebie i twojej rasy. Zamierzałeś rozmnażać nas, badać nas i wykorzystywać nas. To był świetny plan, tylko że my wpadliśmy na to na długo przed narodzinami twojej rasy.
Myśli kłębiły się bezładnie pod czaszką sparaliżowanego strachem Afriela.
- Jesteś istotą inteligentną - wykrztusił wreszcie. - Dlaczego miałbyś nas skrzywdzić? Porozmawiajmy. Możemy ci pomóc.
- Tak - zgodził się Rój. - Przydacie mi się. Pamięć twojej towarzyszki powiedziała mi, że trwa właśnie jeden z tych nieprzyjemnych okresów, kiedy szerzy się inteligencja galaktyczna. Inteligencja to wielkie utrapienie. Ona sprowadza na nas wszystkie rodzaje kłopotów.
- Co masz na myśli?
- Jesteście młodą rasą i pokładacie wielkie nadzieje w swoim rozumie - powiedział Rój. -Jak zwykle nie zauważacie, że inteligencja nie jest sposobem na przetrwanie. Afriel otarł pot z twarzy.
- Nasz rozwój przebiega prawidłowo - powiedział. - Przybyliśmy do ciebie i to w celach pokojowych. Ty do nas nie przybyłeś.
- Właśnie o to mi chodzi - odparł układnie Rój. - Ten pęd do ekspansji, do eksploracji, do rozwoju jest tym, co powoduje, że wymieracie. W swej naiwności sądzicie, że możecie w nieskończoność karmić swą ciekawość. To stary schemat, według którego postępowały już przed wami niezliczone rasy. Za tysiąc lat może trochę dłużej - nie będzie istot twojego gatunku.
- Zamierzasz nas zatem zniszczyć? Ostrzegam cie, to nie będzie takie proste...
- I znów źle mnie zrozumiałeś. Wiedza to potęga. Czyżbyś przypuszczał, że takie maleńkie, kruche twory jak wy - te wasze prymitywne nóżki, wasze niedorzeczne rączki i dłonie, wasze mikroskopijne, ledwo pomarszczone mózgi - mogą sprostać takiej potędze? Na pewno nie! Wasza rasa już rozlatuje się w kawałki pod naporem nabytych doświadczeń. Oryginalna postać człowieka staje się przestarzała i niewydolna. Zmodyfikowaliście własne geny, a ty kapitanie-doktorze jesteś dopiero niedojrzałym prototypem. Za sto lat będziecie Neandertalczykami. Za tysiąc Jat nie będziecie nawet wspomnieniem. Twoja rasa zmierza tą samą drogą, co tysiące innych.
- A co to za droga?
- Nie wiem - stwór na końcu ramienia Roju wydał odgłos naśladujący chichot. - Wszystkie one przemieściły się poza zasięg mych zmysłów. Wszystkie one odkryły coś, dowiedziały się czegoś, co sprawiło, że przekroczyły granice mego postrzegania. Być może przekroczyły nawet byt. W każdym razie nigdzie nie mogę stwierdzić ich obecności. Zdają się nic nie robić, w nic się nie angażować. Z praktycznego punktu widzenia zdają się nie istnieć. Znikły. Nie ma ich. Mogły stać się bogami, mogły też duchami. W obu przypadkach nie mam zamiaru przyłączać się do nich.
- A wiec... a wiec ty...
- Inteligencja jest w znacznej mierze obosiecznym mieczem, kapitanie-doktorze. Jest użyteczna tylko do pewnej granicy. Koliduje z interesem życia. Życie i inteligencja nie mieszają się dobrze. Nie są wcale ściśle ze sobą powiązane, jak to dziecinnie zakładacie.
- Ale ty... ty przecież jesteś istotą rozumną.
- Jestem, jak już powiedziałem, narzędziem - zmutowany stwór na końcu jego ramienia westchnął. - Kiedy rozpoczęliście wasze eksperymenty z feromonami Królowa szybko wykryła wynikłą z tego nierównowagę chemiczną. Wyzwoliła w swym ciele pewne procesy biologiczne i odrodziłem się. Sabotaż chemiczny jest problemem, który można zwalczyć za pomocą inteligencji. Jestem, jak widzisz, samym mózgiem i to tak zbudowanym, aby przewyższać znacznie inteligencją każdą młodą rasę. Po upływie trzech dni byłem już w pełni świadomy. Po pięciu dniach rozszyfrowałem te piętna na moim ciele. To zakodowana genetycznie historia mojej rasy... Po upływie pięciu dni i dwóch godzin rozpoznałem problem i wiedziałem co uczynić. Teraz to czynie. Mam sześć dni.
- A co zamierzasz zrobić?
- Twoja rasa jest bardzo, bardzo ekspansywna. Spodziewam sie jej tu za pięćdziesiąt lat. Może dużo wcześniej. Zachodzi konieczność dokładnego, zbadania takiego przeciwnika. Proponuje ci przyłączenie się do naszej społeczności na stałe.
- Co to ma znaczyć?
- Proponuje ci, abyś został symbiontem. Mam tu samca i samice, których geny zostały zmodyfikowane, są wiec pozbawione defektów. Tworzycie świetną parę prokreacyjną. Oszczędzi mi to wielu kłopotów z klonowaniem.
- Myślisz, że zdradzę swoją rasę i będę płodził dla ciebie zastępy niewolników?
- Nie masz wielkiego wyboru, kapitanie-doktorze. Albo pozostać inteligentną, żywą istotą, albo stać się bezrozumną kukłą, jak twoja partnerka. Przejąłem wszystkie funkcje jej systemu nerwowego. To samo mogę zrobić z tobą.
- Mogę popełnić samobójstwo.
- To byłoby przykre, ponieważ musiałbym wtedy uciekać się do opracowania techniki klonowania. Technika, chociaż jestem zdolny do parania się nią, sprawia mi ból. Jestem genetycznym tworem sztucznym, mam wbudowane bezpieczniki, które nie pozwalają mi przejmować dla własnych celów kontroli nad Gniazdem. To groziłoby wpadnięciem w te samą pułapkę postępu, co inne rasy inteligentne. Z podobnych przyczyn długość mojego życia jest ograniczona. Będę żył tylko tysiąc lat, dopóki nie dobiegnie końca proces gwałtownego wyzbywania się twojej rasy z energii i ponownie nie zapanuje spokój.
- Tylko tysiąc lat? - roześmiał się z goryczą Afriel. - A co potem? Przypuszczam, że nie mając już z nich żadnego pożytku, zabijesz wszystkich moich potomków.
- Nie. Nie zabiliśmy żadnej z piętnastu innych ras, które przetrzymywaliśmy w Gnieździe dla zbadania ich w celach obronnych. To nie było konieczne. Popatrz na tego małego oczyszczacza, unoszącego się obok twojej głowy, kapitanie-doktorze, tego, który żywi się twoimi wymiocinami. Pięć milionów lat temu drżała przed nimi cała galaktyka. Kiedy nas zaatakowali, wysłaliśmy przeciwko nim ich własny gatunek. Naszą stronę oczywiście zmodyfikowaliśmy tak, że była bystrzejsza, pojętniejsza i ma, sie rozumieć, całkowicie lojalna wobec nas. Nasze Gniazdo było jedynym światem jaki znali i walczyli z męstwem i inwencją, do której my nigdy nie bylibyśmy zdolni... Gdyby przybyła wasza rasa, żeby nas napaść, postąpilibyśmy, naturalnie, tak samo.
- My, ludzie, jesteśmy inni.
- Oczywiście.
- Nie zmieni nas nawet tysiąc lat spędzonych tutaj. Ty umrzesz, a nasi potomkowie obejmą Gniazdo. Będziemy je kontrolować, pomimo twojej obecności, już za kilka pokoleń. Ciemność nie gra tu żadnej roli.
- Oczywiście, że nie. Tutaj nie potrzebujesz oczu. Nie potrzebujesz nic.
- Pozostawisz mnie wiec przy życiu? Żebym nauczył ich wszystkiego, czego chce?
- Przyrzekam, kapitanie-doktorze. Prawdę mówiąc wyświadczamy ci przysługę. Za tysiąc lat twoi potomkowie będą jedynymi przedstawicielami rasy ludzkiej we wszechświecie. Jesteśmy wspaniałomyślni w swojej nieśmiertelności - bierzemy na siebie obowiązek chronienia was.
- Mylisz się, Roju. Mylisz się co do inteligencji, mylisz się pod każdym innym względem. Być może inne rasy zdegenerowałyby sie do poziomu pasożytów, ale ludzie są inni.
- Na pewno. Zgadzasz się zatem?
- Tak, przyjmuje twoje wyzwanie. I pokonam cie.
- Wspaniale. Kiedy powrócą tu Inwestorzy, skoczogony oznajmią, że cie zabiły i powiedzą im, żeby nigdy już tu nie wracali. Oni nie wrócą. Następni przybędą tu ludzie.
- Jeśli nie ja ciebie pokonam, dokonają tego oni.
- To się okaże - Rój znowu westchnął. - Cieszę się, że nie muszę cię zabsorbować. Brakowałoby mi rozmów z tobą.

Przełożył **Jacek Manicki**

Dziewięć statków kosmicznych wystartowało z Bazy Księżycowej. W przestrzeni osiem uformowało szyk kulisty wokół najmniejszego - dziewiątego. Tak odbyły całą drogą do Ziemi. Na dziewiątym widniały insygnia admiralskie, choć na pokładzie nie było żywej istoty. Nie był to nawet statek pasażerski, lecz zdalnie sterowany statek-robot, przeznaczony do przewozu ładunków radioaktywnych. Nie wiózł niczego prócz ołowianej trumny i nigdy nie milknącego licznika Geigera.

(Z artykułu wstępnego pt. „Po dziesięciu latach", film nr 38, 17 lipca 2009, New York Times)

Robert A. Heinlein

Długa wachta

(The Long Watch)

Johnny Dahlquist wydmuchnął dym w stronę licznika Geigera. Uśmiechnął się krzywo i dmuchnął znowu. Teraz już całe ciało miał radioaktywne. Nawet jego oddech, dym z papierosa wywoływały wrzask Geigera.
Jak długo był tutaj? Na Księżycu czas nie ma wielkiego znaczenia. Dwa dni? Trzy? Tydzień? Przywołał niedawne wspomnienia. Ostatnim wyraźnym było wezwanie do Kwatermistrza zaraz po śniadaniu.

Porucznik Dahlquist melduje się na rozkaz Pana Kwatermistrza". Pułkownik Towers podniósł wzrok. „Aaa, John Ezra. Siadaj, Johnny. Papierosa?"
Johnny usiadł, mile zdziwiony. Podziwiał Pułkownika Towersa za błyskotliwość, zdolności przywódcze i czyny bojowe. Johnny nie miał na koncie czynów bojowych - oficerem został po uzyskaniu doktoratu z fizyki jądrowej. Teraz był młodszym oficerem uzbrojenia atomowego Bazy Księżycowej. Johnny był zdumiony: pułkownik chciał porozmawiać o polityce. Wreszcie Towers przystąpił do rzeczy. Pozostawienie kierownictwa świata (tak właśnie powiedział) w rekach polityków było niebezpieczne. Władze musi dzierżyć grupa dobrana na zasadach naukowych. Jednym słowem - Patrol.
Johnny był bardziej zaskoczony niż wstrząśnięty. Myśl Towersa, abstrakcyjnie rzecz biorąc, brzmiała nader słusznie. Liga Narodów rozpadła się, cóż wiec powstrzyma Narody Zjednoczone od podobnego losu? To zaś prowadzi do nowej wojny światowej. „A ty wiesz, Johnny, jak paskudna byłaby taka wojna". Johnny zgodził się z rym zdaniem, Towers zaś oświadczył, że jest niego zadowolony. Starszy oficer uzbrojenia atomowego dałby sobie rade, ale lepiej jest mieć obu specjalistów po swojej stronie.
Johnny drgnął. „Czy pan ma zamiar coś z tym zrobić?" Dotychczas zdawało mu się, że Kwatermistrz po prostu z nim rozmawia.
Towers uśmiechnął się. „Nie jesteśmy politykami, nie gadamy ot tak sobie. My działamy". Johnny gwizdnął. „Kiedy to się zacznie?"
Towers nacisnął przełącznik. Johnny ze zdumieniem usłyszał własny głos. Za chwile pojął: było to nagranie dyskusji w jadalni młodszych oficerów. Przypomniał sobie sprzeczkę polityczną, podczas której wyszedł z pokoju... No i dobrze się stało! Ale rozdrażniło go, że był szpiegowany.
Towers wyłączył tasme. Już się zaczęło. Wiemy, kto jest pewny, a kto nie. Taki Kelly..." - pułkownik machnął ręką w kierunku głośnika. „Kelly jest niepewny politycznie. Zauważyłeś, że nie był na śniadaniu?" „Co? Myślałem, że ma wachtę".
„Z wachtami Kelly'ego koniec. Och, uspokój się, nic mu się nie stało".
Johnny zamyślił się. „Na której liście jestem?" - zapytał. „Pewnych czy niepewnych?"
„Przy twoim nazwisku jest znak zapytania. Ale zawsze mówiłem, że można na ciebie liczyć". Uśmiechnął się zachęcająco. „Chyba nie chcesz, żebym wyszedł na łgarza, Johnny?" Dahlquist nie odpowiadał. Towers rzucił ostro: „A wiec - co o tym myślisz? Gadaj".
„No cóż, jeśli mnie pan pyta to sądzę, że ugryźliście więcej niż możecie połknąć. Baza Księżycowa kontroluje Ziemie, to prawda. Ale ze statku nawet ślepy trafi w Bazę. Jedna bomba - i fiuuut!"
Towers podał mu radiogram. Brzmiał: WIOZĘ CI CZYSTĄ BIELIZNĘ - ZACK. „To znaczy, że wszystkie bomby na pokładzie Trygve Lie zostały rozbrojone. Mam meldunki ze wszystkich wchodzących w grę statków". Pułkownik wstał. „Przemysł to sobie i przyjdź tu po obiedzie. Major Morgan potrzebuje cie zaraz do zmiany częstotliwości kontrolnych w bombach". „Częstotliwości kontrolnych?"
„Oczywiście. Przecież nie możemy pozwolić, żeby nam wyłączyli zapalniki zanim bomby spadną na cel". „Co? Powiedział pan przecież, że idzie o zapobieżenie wojnie".
Towers lekceważąco machnął ręką. „Nie będzie wojny, po prostu demonstracja psychologiczna, jakieś jedno czy dwa nieważne miasteczka. Mały upust krwi dla uniknięcia wojny powszechnej. Zwykła arytmetyka".
Położył Johnny'emu dłoń na ramieniu. „Nie jesteś przecież mimozą, bo nie zostałbyś oficerem uzbrojenia atomowego. Traktuj to jak zabieg chirurgiczny. I pomyśl o swojej rodzinie". Johnny Dahlquist właśnie myślał o swojej rodzinie. „Sir, proszę o przyjęcie przez Dowódcę Bazy".
Towers zmarszczył brwi. „Dowódca nie przyjmuje. Jak wiesz, mówię w jego imieniu. Przyjdź do mnie raz jeszcze - po obiedzie".
Dowódca na pewno nie przyjmował: już nie żył. Ale Johnny o tym nie wiedział.

Dahlquist wrócił do jadalni oficerskiej, kupił papierosy, usiadł i zapalił. Wstał, zdusił niedopałek i skierował się do zachodniej śluzy powietrznej. Wdział skafander próżniowy i podszedł do wartownika. „Otwórz to Smitty".
Żołnierz był zdziwiony. „Nie wolno wypuszczać nikogo na powierzchnie bez zgody pułkownika Towersa, sir. Czy pan o tym nie słyszał?"
„Ależ tak! Daj mi książkę rozkazów". Dahlquist wziął księgę, wypisał dla siebie przepustkę i podpisał: Z rozkazu pułkownika Towersa. „Lepiej zadzwoń do Kwatermistrza i sprawdź to" - dodał. Wartownik przeczytał rozkaz i schował książkę do kieszeni. „Ależ nie, poruczniku. Pański podpis wystarczy." „Nie chcesz zawracać Kwatermistrzowi głowy, he? Może i masz racje". Dahlquist wszedł do śluzy, zamknął drzwi wewnętrzne i poczekał aż ciśnienie spadnie do zera.
Na zewnątrz blask powierzchni Księżyca zmusił go do zmrużenia oczu. Porucznik pobiegł do końcowej stacji wozów rakietowych. Jeden czekał gotowy. Wcisnął się do środka, zamknął kołpak i nacisnął guzik startu. Rakieta wystrzeliła w kierunku wzgórz, przeleciała nad nimi i wyszła nad płaszczyznę, najeżoną rakietami bojowymi jak tort urodzinowy świeczkami. Wleciała w następny tunel w kolejnym łańcuchu wzgórz. Nagłe hamowanie ścisnęło pasażerowi wnętrzności i wóz zatrzymał się u wejścia do podziemnego arsenału bomb atomowych. Wysiadając Dahlquist włączył walkie-talkie. U wejścia wartownik w skafandrze sprezentował broń. Dahlquist powiedział: „Dzień dobry, Lopez", minął go, podszedł do śluzy i otworzył ją.
Wartownik zatrzymał go. „Hej! Nikt tu nie wejdzie bez zgody Kwatermistrza". Przesunął broń, poszukał w chlebaku i wyciągnął arkusz papieru. „Proszę przeczytać, poruczniku". Dahlquist odmówił gestem. „Sam pisałem ten rozkaz. Ty przeczytaj, bo go nie zrozumiałeś". „Chyba nie, poruczniku".
Dahlquist wyrwał mu papier, przebiegł wzrokiem i wskazał jedną z linijek. „Widzisz?" „g; wyjątkiem osób wyznaczonych przez Kwatermistrza. „To znaczy oficerów uzbrojenia, majora Morgana i mnie".
Wartownik spojrzał niepewnie. „Do diabła" - powiedział Dahlquist - „zajrzyj pod wyznaczonych w regulaminie. Figurują w rozdziale »Arsenał atomowy, bezpieczeństwo, przepisy«. I nie opowiadaj, że zostawiłeś regulamin w koszarach!" „Ależ nie, sir! Mam go ze sobą". Wartownik sięgnął do chlebaka. Dahlquist oddał mu papier. Wartownik wziął arkusz w rękę, zawahał się, postawił broń na ziemi, przełożył papier do lewej dłoni, prawą sięgnął do torby.
Dahlquist chwycił broń, wepchnął ją wartownikowi miedzy nogi,

szarpnął. Odrzucił broń daleko i wpadł do śluzy. Zamykając wejście dostrzegł jeszcze, że wartownik gramoli się z ziemi i równocześnie sięga po pistolet. Porucznik zatrzasnął drzwi i w tym momencie poczuł pod palcami drgniecie: we wrota uderzył pocisk.
Rzucił się do drzwi wewnętrznych, szarpnął dźwignie zaworu powietrza, skoczył do zewnętrznych i zawisł na ryglu. Poruszał się. Wartownik go podnosił, porucznik ciągnął w dół, mając jako przeciwwagę tylko własny, niewielki w księżycowym przyciąganiu ciężar. Widział, jak rygiel z wolna unosi się w górę.
Powietrze z wnętrza arsenału wdarło się przez zawór do śluzy. Dahlquist poczuł, że w miarę* jak ciśnienie w śluzie wyrównuje sie z ciśnieniem wewnątrz skafandra, kombinezon zaczyna oblepiać mu ciało. Cofnął ręce i pozwolił wartownikowi unieść rygiel. To już nie miało znaczenia, powietrze z siłą trzynastu ton cisnęło na drzwi. Wystarczy, by je unieruchomić. Otworzył wewnętrzne drzwi składnicy i zahaczył, by nie mogły sie zamknąć. Jak długo pozostaną otwarte, śluzy nie da się uruchomić i nikt do środka nie wejdzie.
Przed nim w sali stały rzędami bomby atomowe. Daleko od siebie, by wykluczyć najmniejszą możliwość spontanicznej reakcji łańcuchowej. Po jednej bombie na rakietę. Najbardziej mordercze twory w znanym człowiekowi wszechświecie. Jego dzieci. Zagrodził do nich drogę każdemu, kto chciałby ich nadużyć. Ale gdy już się tu znalazł, okazało się, że nie ma gotowego planu jak wykorzystać swą chwilową przewagę. Głośnik na ścianie przemówił. „Hej, poruczniku! Co tu się dzieje? Zwariował pan?" Dahlquist nie odpowiedział. Niech się Lopez pomęczy - o tyle później zdecyduje się co z tym zrobić. A Johnny Dahlquist potrzebował ryle czasu, ile tylko da się wydusić. Lopez nadal protestował. W końcu zamilkł.
Johnny działał odruchowo: nie pozwolić, aby bomby - jego bomby! - zostały użyte dla „demonstracji na nieważnych miasteczkach". Ale co dalej? Cóż, Towers nie może przedostać się przez śluzę. Wystarczy poczekać, aż go diabli porwą. Nie okłamuj się, Johnnie Ezro! Towers może się przedostać. Trochę materiału wybuchowego pod drzwi wejściowe - powietrze wystrzeli na zewnątrz i chłopaczek Johnny utonie we własnej krwi z rozerwanych płuc. A bomby będą sobie spokojnie stały, nie uszkodzone. Zostały tak skonstruowane, by wytrzymać skok z Księżyca na Ziemie, próżnia im nie zaszkodzi. Postanowił nie zdejmować skafandra próżniowego - wybuchowa dekompresja wydała mu się mało pociągająca. Co do sposobu własnej śmierci miał wyrobione zdanie: ze starości. Mogą też wyborować w drzwiach dziurę, wypuścić powietrze i otworzyć śluzę nie niszcząc zamka. Towers może nawet kazać wybudować nową śluzę na zewnątrz starej. Ale to mało prawdopodobne, pomyślał Johnny, zamach stanu opiera się na szybkości działania. Prawie pewne, że Towers wybierze najszybszy sposób: wysadzenie drzwi. A Lopez pewno właśnie wywołuje Bazę. Towers ma kwadrans na włożenie skafandra i drogę tutaj, może jeszcze się trochę potarguje i wiuuu! Koniec zabawy. Piętnaście minut...
Za piętnaście minut bomby wpadną w ręce spiskowców, przez piętnaście minut muszą stać się nie do użytku. Bomba atomowa to po prostu dwa albo więcej kawałków rozszczepialnego metalu, na przykład plutonu. Każdy z nich oddzielnie nie jest bardziej wybuchowy niż funt masła; ale gdy się zderzą - wybuchają. Trudność konstrukcyjna polega na zmyślnych urządzeniach, obwodach i przewodach tak obliczonych, by kawałki te zderzyły się dokładnie w zaplanowanym czasie i miejscu. Obwody, „mózg" bomby można zniszczyć bardzo łatwo. Samą zaś bombę bardzo trudno - właśnie z powodu jej prostoty. Johnny zdecydował rozwalić „mózgi" - i to szybko! Były tu tylko proste, potrzebne przy ustawianiu bomb, narzędzia. W sali znajdowały sie: licznik Geigera, głośnik obwodu walkie-talkie, łącze telewizyjne z Bazą i bomby. Poza tym nic. Warsztaty atomowe Bazy znajdowały się gdzie indziej. Nie ze strachu przed wybuchem, lecz dla zmniejszenia napromieniowania obsługi. Materiał radioaktywny w bombie jest otoczony „reflektorem". W tych tutaj - ze złota. Złoto pochłania promieniowanie alfa, beta i znaczną cześć śmiercionośnego gamma. Ale nie neutrony. Podstępne, trujące neutrony wydzielane przez pluton muszą sobie znaleźć ujście albo rozpocznie się reakcja łańcuchowa - eksplozja! Cała sala była skąpana w niewidzialnej, prawie niewykrywalnej ulewie neutronów. Niezdrowe miejsce. Regulamin zezwalał przebywać tu tylko przez chwile. Licznik Geigera sumował odliczane promieniowanie: promieniowanie kosmiczne, ślady radioaktywności skorupy Księżyca, a także wtórną radioaktywność, wywołaną w całej sali przez neutrony. Wolne neutrony mają paskudny zwyczaj zatruwania wszystkiego, w co trafiają, wzbudzając promieniowanie wtórne. Obojętnie w czym: betonowej ścianie czy ludzkim ciele. Z czasem arsenał trzeba będzie przenieść gdzie indziej.
Dahlquist nacisnął guzik obwodu tłumienia, licznik przestał stukać. Włączy się ponownie dopiero wtedy, gdy sumaryczne promieniowanie przekroczy swą obecną wartość. Wszystko to niemiło przypomniało porucznikowi jak niebezpiecznie jest przebywać w arsenale. Wydobył film kontrolny, noszony przez każdego, kto styka się z promieniowaniem. Gdy tu wchodził, film był zupełnie czysty. Najczulszy jego odcinek już trochę zszarzał. W połowie filmu widniała czerwona kreska. Teoretycznie, jeśli w ciągu tygodnia film czerniał aż do niej, właściciel był żywym trupem.
Dahlquist zrzucił krepujący skafander próżniowy - potrzebował swobody ruchów. Zrób, co masz zrobić i poddaj się - lepiej być jeńcem niż marudzić w tak „gorącym" pomieszczeniu. Schwycił młot z półki narzędziowej, wyłączył obwód wizji wideofonu i zabrał się do roboty. Zamachnął się na pokrywę „mózgu" i zatrzymał z wahaniem. Pierwsza bomba speszyła go. Przez całe życie wysoko cenił urządzenia precyzyjne. Zebrał siły i znów wziął zamach. Szkło prysnęło, metal zazgrzytał. Zmiana nastroju: zaczął odczuwać haniebną przyjemność niszczenia. Pełen zapału walił, rozwalał, niszczył.
Był tak pochłonięty robotą, że z początku nie usłyszał wołania po nazwisku. „Dahlquist! Odpowiedz! Jesteś tam?" Otarł pot z czoła i spojrzał na ekran wideofonu. Zaniepokojenie Towersa widać było jak na dłoni.
Johnny policzył uszkodzone bomby. Było ich sześć. To nim wstrząsnęło. Złapią go, nim skończy? O nie, musi skończyć. Migaj się, synku, migaj! „Tak, pułkowniku. Pan mnie wołał?" „Niewątpliwie. Co to wszystko ma znaczyć?" „Przykro mi, pułkowniku".
Rysy twarzy Towersa trochę złagodniały. „Włącz wizje, Johnny, nie widzę cie. Co to był za hałas?"
„Wizja jest włączona" - skłamał Johnny. „Pewnie kamera nie działa. Ten hałas - hmmm, prawdę mówiąc, pułkowniku, blokowałem śluzę, aby nikt nie mógł wejść". Towers zawahał się, w końcu oświadczył twardym głosem: Jestem gotów przyjąć, że zachorowałeś i posłać cie do lekarza. Ale żądam, byś natychmiast wyszedł. To rozkaz, Johnny".
„Po prostu nie mogę, pułkowniku" - odpowiedział wolno Johnny. „Przyszedłem tu, by trochę pomyśleć i jeszcze nie skończyłem. Pan powiedział, żebym zgłosił się po obiedzie". „To znaczyło, że masz być w swojej kwaterze". „Tak, sir. Ale pomyślałem, że musze zaciągnąć wachtę przy bombach na wypadek, gdybym doszedł do wniosku, że nie ma pan racji".
„Decyzja nie należy do ciebie, Johnny. Jestem twoim przełożonym. Przysięgałeś posłuszeństwo przełożonym". „Tak, sir'. Czysta strata czasu, stary lis mógł JUŻ wysłać tutaj pododdział. „Ale przysięgałem także zapewnić Ziemi pokój. Czy mógłby pan przyjść tutaj i wszystko ze mną omówić? Nie chciałbym postąpić niesłusznie".
Towers uśmiechnął się. „Dobra myśl, Johnny. Czekaj na mnie. Jestem pewien, że przejrzysz na oczy". Wyłączył się. „Ano" - mruknął Johnny - „mam nadzieje, że upewniłem cie, iż jestem półgłówkiem. Ty podstępny oszuście!" Podniósł młot, gotów wykorzystać wszystkie wygrane minuty. I zatrzymał się prawie natychmiast. Zrozumiał, że zniszczenie „mózgów" nie wystarczy. Zapasowych „mózgów" nie było, ale był dobrze zaopatrzony warsztat elektroniczny. Morgan zmajstruje naprędce potrzebne obwody. Sam by to potrafił - może nie eleganckie, ale działające. Psiakrew! Musi zniszczyć same bomby i to w ciągu dziesięciu minut. Psiakrew!
Sposób, oczywiście, istniał. Znał dobrze obwody detonujące, wiedział też, jak sobie z nimi radzić. Ta bomba, na przykład. Jeśli wyjmie dźwignie bezpiecznika, wyłączy czujnik odległości od celu, zepnie na krótko obwód opóźnienia i ręcznie przełączy obwód zapalnika - a później odkręci to i sięgnie tutaj, to może zwykłym kawałkiem sztywnego drutu zdetonować bombę. Co spowoduje wybuch pozostałych i zmieni okolice w Dolinę Jozafata.
Wraz z Johnnym Dahlquistem. Na tym polegał haczyk. Rozmyślając, przez cały czas realizował swój plan - aż do fazy gotowości bomby do detonacji. Gotowa bomba zdawała się grozić jak sprężona do skoku bestia. Wyprostował się, oblany potem. Nie wiedział jeszcze, czy zdobędzie się na odwagę. Nie chciał mieć pietra i miał nadzieje, że nie będzie miał. Sięgnął do kieszeni munduru po fotografie Edyty z dzieckiem. „Maleńka" - powiedział. Jeśli się z tego wywinę, nigdy nie bede próbował przejeżdżać skrzyżowania przy czerwonym świetle". Pocałował fotografie i schował. Nie pozostawało nic, prócz czekania. Czemu Towers się spóźniał? Johnny chciał mieć pewność, że Towers będzie w zasięgu wybuchu. Ale numer dla tego jełopa! Ja, tutaj, gotów jestem wysadzić go w powietrze. Myśl była przyjemna. Nasunęła jeszcze lepszy pomysł: po co wysadzać siebie samego - żywcem?
Był jeszcze inny sposób negocjacji z Towersem: bezpiecznik „martwej reki". Wypichcić coś takiego, by ostatnia, powodująca detonacje bomby faza zapłonu nie nastąpiła, dopóki Johnny będzie trzymał rękę na dźwigni, wyłączniku albo czymś podobnym. Wtedy, jeśli wywalą drzwi albo zastrzelą go, czy coś w tym rodzaju - wszystko pofrunie!
A jeszcze lepiej, jeśli będzie trzymać ich w szachu samą groźbą wybuchu. Wcześniej czy później pomoc nadejdzie. Johnny był pewien, że większość Patrolu nie jest zamieszana w ten śmierdzący spisek. A wtedy - Johnny wraca do domu paradnym marszem! Co za powrót! Złoży dymisje z Patrolu i weźmie posadę nauczyciela, swoją wachtę już odbył.
Myśląc, nie przerywał pracy. Przekaźnik elektryczny? Nie, za mało

czasu. Lepiej prosty, mechaniczny. Konstrukcje już wydumał, ale ledwie wziął się za budowę, odezwał się głośnik. Johnny?"
„Czy to pan, pułkowniku?" Dłonie porucznika pracowały gorączkowo.
„Wpuść mnie".
„Ależ pułkowniku, w ten sposób się nie umawialiśmy". Gdzie u jasnego grzyba znaleźć coś na długą dźwignie? „Wejdę sam jeden, Johnny, daje ci słowo. Pogadamy w cztery oczy".
Jego słowo! „Możemy porozmawiać przez głośnik, pułkowniku". Hej, znalazło sie! Na półce narzędziowej wisiała metrowa miarka.
„Johnny, ostrzegam cie. Wpuść mnie albo wysadzę drzwi". Drut - koniecznie potrzebował kawałka drutu, dość długiego i sztywnego. Oderwał antenę radiową od skafandra. „Nie zrobi pan tego, pułkowniku. Zniszczyłby pan bomby".
„Próżnia bombom nie zaszkodzi. Przestań się wykręcać". „Lepiej niech pan sprawdzi u majora Morgana. Próżnia im nie szkodzi ale wybuchowa dekompresja zniszczy obwody elektroniczne". Pułkownik nie był specjalistą broni atomowej, wyłączył sie na kilka minut. Johnny pracował dalej. „Dahlquist" - odezwał się Towers - „To było nędzne kłamstwo, sprawdziłem u Morgana. Masz sześćdziesiąt sekund na włożenie skafandra, jeśli już w nim nie siedzisz. Wysadzam drzwi".
„Nie, nie wysadza pan" - odrzekł Johnny. „Słyszał pan kiedy o bezpieczniku martwej reki?" A teraz przeciwwaga i jakiś pasek.
„Co? Co chcesz powiedzieć?"
„Przestawiłem siedemnastkę na ręczną detonacje. I dorobiłem taki jeden wihajster. Bomba nie wybuchnie, póki trzymam w reku pasek. Jeśli coś mi się przydarzy - wywali. Jest pan około pięćdziesięciu stóp od epicentrum. Radze to przemyśleć". Nastąpiło krótkie milczenie.
„Nie wierze ci". „Nie? Spytaj pan Morgana. On mi uwierzy. Może się przyjrzeć przez video". Johnny przywiązał pasek kombinezonu do końca metrówki.
„Mówiłeś, że video nie działa".
„Skłamałem. A teraz dowiodę swego. Niech Morgan mnie wywoła",
Wkrótce ukazała się twarz Morgana. „Porucznik Dahlquist?" „Cześć, Śmierdzielu. Chwileczkę". Bardzo starannie Dahlquist zrobił ostatnie połączenie, naciskając przez cały czas koniec metrówki. Ostrożnie naciągnął pasek, usiadł na podłodze, wyciągnął rękę i włączył video. „Widzisz mnie, śmierdzielu?" „Widzę cie" - odpowiedział sztywno Morgan. „Co to ?a bzdura?"
„Zmajstrowałem małą niespodziankę". Dokładnie wyjaśnił, które obwody odłączył, które spiął na krótko i jak działa tymczasowy mechanizm.
Morgan skinął głową. „Blefujesz, Dahlquist. Jestem pewien, że nie odłączyłeś obwodu K. Złamiesz się i nie wysadzisz się w powietrze".
Johnny zachichotał. „Oczywiście! W tym cały urok pomysłu. Póki żyje, nie ma wybuchu. Ale jeśli twój zasrany szef, eks-pułkownik Towers wysadzi drzwi, ja ginę, a bomba wybucha. Mnie będzie już wszystko jedno, ale jemu nie. Lepiej go uprzedź". Wyłączył się.
- Wkrótce odezwał się Towers. „Dahlquist?" „Słyszę".
„Nie musisz poświęcać życia. Wyjdź i dostaniesz zwolnienie ze służby z pełnym uposażeniem. Możesz pojechać do domu i rodziny. Obiecuje".

Johnny się wściekł. „Odwal się od mojej rodziny". „Człowieku, pomyśl o nich".
„Zamknij się. Jazda do nory. Mam ochotę się podrapać i cały ten majdan może ci spaść na łeb".

Johnny wzdrygnął się i usiadł. Zdrzemnął się. Paska z reki nie wypuścił, ale dostał dreszczy na samą myśl o tym. A może rozbroić bombę, licząc na to, że tamci nie będą mieli odwagi go stąd wyciągnąć? Ale Towers już miał stryczek na szyi za zdradę, może jeszcze zaryzykować. Jeśli to zrobi, a bomba nie wybuchnie, Johnny będzie trupem, lecz Towers nie dostanie bomby. Nie. Już za daleko się posunął. Nie pozwoli, by za cenę krótkiej drzemki jego mała dziewczynka żyła pod dyktaturą. Usłyszał stukanie Geigera i przypomniał sobie, że włączył obwód tłumienia. To znaczy, że radioaktywność na sali wzrosła, może od rozsypanych obwodów „mózgu". Są na pewno skażone - nazbyt długo i zbyt blisko były przy plutonie. Wyciągnął film kontrolny.
Ciemna strefa zbliżała się do czerwonej kreski. Schował go do kieszeni, mówiąc sobie: „Kolego, lepiej przełam ten impas, bo zaczniesz świecić jak cyferblat zegarka". Była to oczywiście przenośnia. Napromieniowana żywa tkanka nie świeci, po prostu umiera. Długo. Zapalił się ekran telewizyjny, ukazała twarz Towersa. „Dahlquist? Chce z tobą pogadać". „Każ się wypchać".
„Przyznajemy, że sprawiłeś nam pewien kłopot". „Kłopot? Cholerę w bok, zastopowałem was". „Tylko na chwile. Załatwiam transport innych bomb..." „Łżesz".
„...ale ty nas opóźniasz. Mam propozycje". „Nie jestem ciekaw".
„Zaczekaj. Jak to się skończy, bede szefem rządu światowego. Jeśli podejmiesz współprace, nawet teraz, zrobię cie szefem mojej administracji".
Johnny wyjaśnił mu, co Towers ma zrobić z tą ofertą. „Nie bądź głupi" - odpowiedział Towers - „co zyskasz umierając?" Johnny warknął. „Towers, jesteś niebywałym zasrańcem. Mówiłeś o mojej rodzinie. Wole ujrzeć ich martwych niż żywych pod władzą takiego Napoleona za dwa grosze, jak ty. A teraz spływaj, mam coś do przemyślenia". Towers wyłączył się.
Johnny znowu wyjął film kontrolny. Nie był ciemniejszy, ale bezlitośnie przypominał, że czas ucieka. Johnny był głodny, spragniony i nie mógł czuwać bez przerwy. Nie mógł też spodziewać sie ratunku wcześniej niż za cztery dni - czas potrzebny na lot statku z Ziemi. A czterech dni nie wytrzyma. Gdy czerń przekroczy czerwoną linie, będzie załatwiony. Miał jedną szanse: uszkodzić bomby w sposób nieodwracalny i wyjść, zanim film sczernieje jeszcze bardziej. Pomyślał jak to zrobić i wziął się do pracy. Do paska przymocował ciężarek i przywiązał doń linkę. Jeśli Towers wysadzi drzwi, może zdąży szarpnąć dźwignie nim umrze.
Był prosty, choć trudny, sposób uszkodzenia bomb tak, by żaden warsztat Bazy Księżycowej nie mógł ich naprawić. Sercem każdej z nich są dwie półkule z plutonu, o podstawach wypolerowanych do lustrzanego połysku, by zetkniecie przy zderzeniu było doskonale. Najmniejsza nierówność powierzchni uniemożliwia zapoczątkowanie reakcji łańcuchowej i wybuchu. Johnny zaczął rozmontowywać bombę. Musiał wybić cztery bolce, a potem rozbić szklaną osłonę części wewnętrznej. Cała reszta była łatwa. Teraz miał przed sobą dwie, błyszczące jak lustra, doskonale półkule. Uderzenie młotem i jedna przestała być doskonała. Znowu uderzenie i druga prysneła jak szkło - musiał trafić dokładnie wzdłuż osi krystalograficznej.
W parę godzin później, śmiertelnie zmęczony, wrócił do swej ręcznie detonowanej bomby. Z trudem zmuszając się do spokoju, z najwyższą starannością rozbroił ją. Wkrótce i jej dwie srebrzyste półkule były nie do użytku. W całym arsenale już nie było ani jednej zdatnej do użycia bomby. Zamiast nich na podłodze rozsypany skarb: sterta złomu najdroższego, najbardziej trującego i najbardziej morderczego metalu we wszechświecie. Johnny przyjrzał się śmiercionośnym odłamkom. „A teraz, synu" - powiedział na głos - „wskakuj' w skafander i jazda stąd. Ciekawe, co Towers na to powie?"
Podszedł do półki narzędziowej, by odłożyć młot. Licznik Geigera zawarczał przeraźliwie.
Pluton prawie nie działa na Geigera, ale działa promieniowanie wtórne wzbudzone przez pluton. Johnny spojrzał na młotek i zbliżył go do licznika. Licznik zaryczał.
Johnny odrzucił młotek jak oparzony i poszedł po skafander. Gdy przechodził obok, licznik znowu zawarczał. Johnny stanął jak wmurowany.
Przysunął dłoń do licznika. Warkot przeszedł w ogłuszający ryk. Nie ruszając się z miejsca Dahlquist sięgnął do kieszeni po film kontrolny. Był czarny od końca do końca.
Pluton wchłonięty przez ciało szybko dociera do szpiku kostnego. Nic się nie da zrobić, ofiara jest skończona. Neutrony przeszywają ciało jonizując tkanki, przekształcając pierwiastki w izotopy promieniotwórcze, niszcząc i zabijając. Dawka śmiertelna jest niewiarygodnie mała: okruszyna dziesięć razy drobniejsza od ziarnka soli kuchennej to więcej niż potrzeba. Przenika w głąb

Robert Anson HEINLEIN

urodził się w 1907 r. w Butler, w stanie Missouri (USA). W 1929 r. ukończył Akademię Marynarki Wojennej w Annapolis. W 1934 r., jako oficer artylerii, został zwolniony do cywila ze względów zdrowotnych. Pracował w wielu zawodach w górnictwie i architekturze był handlarzem nieruchomościami i.., politykiem. W 1939 r. opublikował pierwsze opowiadanie SF - „Lifetime" (Astounding) i od tego czasu całkowicie poświęcił się pisarstwu. Był jednym z najpopularniejszych autorów ówczesnej science fiction W 1950 r, rozpoczął cykl utworów składających się na tzw „Przyszłą Historie Świata" (1940-2140: „The Men Who Sold The Moon",1950; „The Green Hills of Earth", 1951 „Revolt in 2100", 1953; „Methuselah's Children", 1958; „Orphans In the Sky", 1963). W tym samym czasie ukazały się jeszcze powieści: „The Puppet Masters" (1951), „Double Ster" (1956 r Nagroda Hugo), „The Door Into Summer" (1956), „Starship Troopers" (1959; Nagroda Hugo - 1960); a w latach sześćdziesiątych; „Farnham's Freshold" (1964), „The Moon is a Raeh Mistress". (1965; Nagroda Hugo - 1967), „Stranger In a Strange Land" (1961) Ta ostatnia, opowiadająca o ruchu odnowy moralnej zainicjowanym przez przybysza o pozaziemskim pochodzeniu, zyskała ogromną popularność (7 mln egz do 1974 r) i awansowała do roli biblii hippisów USA Kolejne książki Heinleina „I Will Fear No Evil". (1971), „Time Enough for Love" (1973) i zbiory opowiadań (min. „The World's of R. Heinlein", 1966) rozchodzą się nadal w wielusettysięcznych nakładach. W 1974 r autor otrzymał Nagrodę Nebula w specjalnej kategorii „Wielki Mistrz Gatunku'

AN.



ciała przez najmniejsze zadrapanie. W historycznych czasach „Manhattan Project" za jedyną formę pierwszej pomocy uważano głęboką amputacje.
Johnny wiedział o tym, ale to go już nie obchodziło. Usiadł na podłodze, paląc zaoszczędzonego papierosa i myśląc. Myślał nad wydarzeniami swej długiej wachty.
Wydmuchał kłąb dymu w stronę licznika i uśmiechnął się niewesoło: Geiger zastukał głośniej. Teraz nawet oddech Johnny'ego był „gorący" - zapewne radioaktywny węgiel C14, wydzielany z krwi do płuc w dwutlenku węgla. To już nieważne.
Poddać się teraz nie miało sensu. Nie da Towersowi takiej satysfakcji. Wachtę zakończy tutaj. A poza tym, dalej blefując, że jedna z bomb jest gotowa do detonacji, może im przeszkodzić w przechwyceniu surowca do wyrobu bomb atomowych. Na dłuższą metę i to może być ważne.
Bez zdziwienia skonstatował, że nie czuje się nieszczęśliwy. Poczucie, że nie ma już żadnych zmartwień nie było pozbawione słodyczy. Nic go nie bolało, było mu wygodnie, nawet nie był głodny. Fizycznie czuł się doskonale, umysł miał spokojny. Był martwy, wiedział, że jest martwy, ale jeszcze przez pewien czas będzie mógł chodzić, oddychać i odczuwać. Nawet nie czuł się samotny. Był małym chłopcem, który dłonią zatkał wyrwę w wale przeciwpowodziowym. Ale towarzyszyli mu: pułkownik Bowie, tak chory, że już nie mógł się poruszać, ale żądający, by na noszach poniesiono go do ataku; kapitan okrętu Chesapeake z wyzwaniem śmierci na ustach; Rodger Young bez drgnienia czekający na wieczną ciemność. Zebrali sie przy nim w mrocznej sali arsenału.
I była oczywiście Edyta. Jej obecność czuł wyraźnie. Chciałby tylko lepiej widzieć jej twarz. Gniewała się, czy była dumna i szczęśliwa?
Dumna, choć nieszczęśliwa - teraz widział ją wyraźniej, nawet czuł dotyk jej dłoni. Siedział bez ruchu. Papieros dopalił się aż do palców. Zaciągnął się ostatni raz, wydmuchnął dym na licznik Geigera i zdusił peta. To był ostatni. Pozbierał kilka niedopałków i zrobił sobie skręta z kawałka znalezionego w kieszeni papieru. Zapalił go ostrożnie i ułożył sie wygodnie, czekając aż Edyta pojawi się znowu. Był bardzo szczęśliwy.

Nadal opierał się o korpus bomby, z ostatnim wygasłym skrętem u boku, gdy głośnik odezwał się ponownie. „Johnny? Hej Johnny! Czy mnie słyszysz? Mówi Kelly. Już po wszystkim. Lafayette wylądował, a Towers strzelił sobie w łeb. Johnny? Odpowiedz!"
Gdy otworzyli drzwi zewnętrzne, pierwszy wchodzący niósł przed sobą licznik Geigera na długiej tyce. Zatrzymał się na progu i szybko wycofał. „Hej, szefie! - zawołał. „Lepiej niech pan zażąda zdalnych manipulatorów - och, i również ołowianej trumny".



Przez cztery dni mały statek i jego eskorta płynęły ku Ziemi. Przez cztery dni cała ludność oczekiwała na ich przybycie. Przez dziewięćdziesiąt osiem godzin nie było w telewizji innych programów, niż nieustanna muzyka żałobna. Marsz Umarłych z „Saula”, temat „Walhalh” Wagnera, „Going Home” i marsz poległych Patrolu - „Zejście z Orbity”.
Dziewięć statków wylądowało na kosmodromie Chicago. Zdalnie sterowany traktor wydobył ołowianą trumnę z małego statku, którego zbiorniki znów napełniono paliwem i wystrzelono go z drugą prędkością kosmiczną. Wyrzucony w przestrzeń miał nigdy nie powrócić, by nie być użytym dla mniej godnej misji. Traktor podążył do miasta w stanie Illinois, w którym urodził się porucznik Dahlquist, a muzyka żałobna ciągle rozbrzmiewała. Tam ustawiono trumnę na piedestale, otoczonym barierą, której nie było wolno przekraczać. Żołnierze piechoty marynarki kosmicznej, z lufami skierowanymi ku ziemi i pochylonymi głowami, zaciągnęli wokół niej warte honorową. Tłumy stały dokoła. I brzmiała muzyka żałobna. Gdy minął długi czas, gdy kwiaty pokrywające trumnę dawno już zwiędły, umieszczono ją w marmurowym sarkofagu, który stoi tam do dzisiaj.

Przełożył **Jerzy Wilczyński**

Heiner Rank

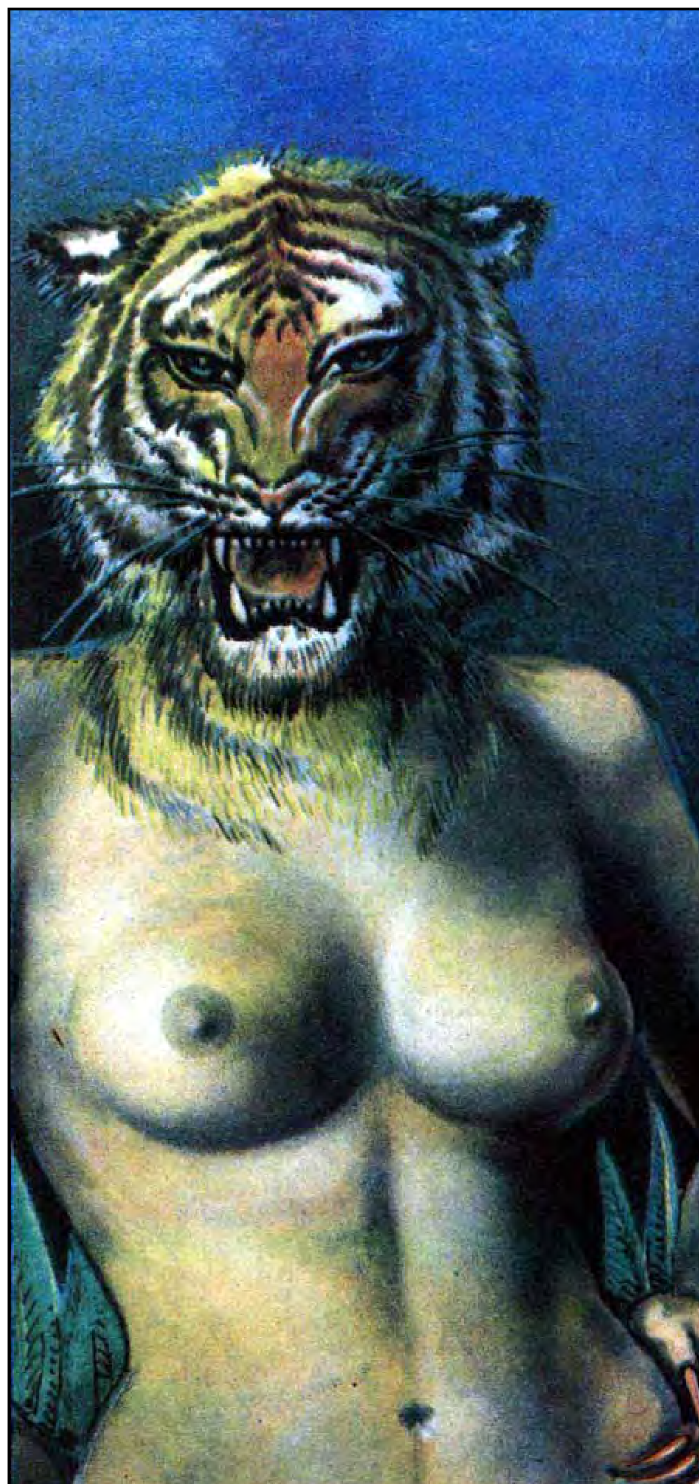
Piękna Bella

(Schoene Bella)

Od morza wiała lekka bryza, na niebie nie było nawet chmurki. Miałem wolny dzień, leżałem więc w słońcu na tarasie dachowym myśląc o Belli.
Bella była najcudowniejszą kobietą na świecie. Poznałem ją dwa lata temu, w domu towarowym. Rozerwała się jej torebka z pomarańczami, ja pomagałem zbierać owoce, a przy okazji spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. W kilka dni później wprowadziłem sie do niej.
Z dnia na dzień kochałem ją coraz bardziej. Początkowo oczarowała mnie jej piękność, naturalna zmysłowość. Potem odkryłem u niej rozum i smak, a wkrótce zorientowałem się, że niemal nie ma mężczyzny, który by oparł się urokowi jej osoby. Ku memu zdziwieniu ona sama zdawała się tego nie dostrzegać, w każdym razie nie wykorzystywała faktu istnienia tak licznej konkurencji, aby choć w najmniejszym stopniu wywrzeć na mnie nacisk. Taka postawa była dla mnie czymś nowym, zbijała mnie z tropu. Zastanawiałem się długo, co się za tym kryje. W końcu zrozumiałem, że nic, że po prostu Bella nie musi posługiwać się tak typowymi dla innych kobiet środkami, aby znaleźć potwierdzenie samej siebie.
Wiatr przybrał na sile, na tarasie trochę się ochłodziło. Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic i się ubrałem. Odstawiłem do szafki olejek do opalania i krem, powiesiłem ręcznik, by wysechł. Wtedy poczułem ten osobliwy zapach. Nie był to zapach nieprzyjemny, ale nieco ostry, jakby zwierzęco-zmysłowy, lekko słodkawy. Próbowałem ustalić, skąd pochodzi, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy. Był to zapach specyficzny, zupełnie nieznany mi do tej pory. Postanowiłem zapytać o to Bellę, gdy wróci do domu.
Wyjąłem z chłodziarki puszkę piwa i usiadłem przed telewizorem. Gitary i hawajskie dziewczęta kręcące biodrami. Właśnie zacząłem się nudzić, kiedy usłyszałem kroki Belli. Wybiegłem jej na spotkanie. Padliśmy sobie w ramiona i - jak zwykle - jej dotyk odebrał mi zdolność myślenia. Miałem tylko jedno pragnienie: wziąć ją na ręce i zanieść do łóżka. Ale ona do tego nie dopuściła. - Dosyć tego dobrego - powiedziała, wysuwając się łagodnie z moich objęć, zdjęła kapelusz i rękawiczki i rozwinęła okrytą bibułką paczuszkę. Orchidee. Około dwudziestu złocisto-brunatnych kwiatów z białymi cętkami na obrzeżach i w kielichu. Nie znosiłem orchidei, wprost nienawidziłem, jeżeli były prezentem od Skiffa. Skiff to szef Belli. Cały świat uważał go za chlubę nauki. Przed kilkoma laty udało mu się za pomocą manipulacji układem genetycznym przekształcić żywego bekasa w żabę. Otrzymał za to nagrodę Nobla i od tej pory stał się kimś. Jego koneksje sięgały najwyższych kręgów, a instytut, którym kierował zmieniono w twierdze. Pieniądze nie grały tu żadnej roli. Jeżeli o mnie chodzi, to właściwie nigdy nie powielałem zachwytu Belli dla tego „epokowego osiągnięcia”. Czułem się trochę nieswojo na myśl o tym, dokąd pewnego dnia mogą zaprowadzić jego genetyczne etiudy. Bella wstawiła orchidee do wazonu.
- Chodź - zaproponowała. - Napijemy się czegoś. Poszedłem za nią z niechęcią. Moj dobry nastrój ulotnił się bezpowrotnie.
Bella wymieszała dwa kieliszki dupontu z lodem i wodą mineralną. Usiedliśmy na tarasie. Postawiłem kieliszek obok fotela i zapatrzyłem się w spienioną toń Atlantyku. Bella odwróciła się ku mnie, szukając mego wzroku.
- Co się stało? Skrzywiłem się tylko.
- Powiedz, co cie gnębi?
- Przyjmujesz od Skiffa kwiaty. Już po raz trzeci.
- Przecież wiesz, że sam je hoduje. Gdybym odmówiła, mógłby sie obrazić.
- On po prostu zaleca się do ciebie. A może chcesz mi wmówić, że o tym nie wiesz?
- Nie tylko on mi nadskakuje. Nic na to nie poradzę, a wiec musze się z tym pogodzić.
- To nie znaczy, że masz go zachęcać. Roześmiała się. - Nigdy go nie zachęcałam.
- Czym wiec jest fakt przyjmowania od niego tych kretyńskich orchidei?

- Czy mam popsuć sobie stosunki w pracy z powodu takiego drobiazgu?
- To nie jest drobiazg. Ten facet cie kocha.
- On nawet nie wie, co to miłość. To, co on nazywa miłością, to co najwyżej pragnienie wyhodowania wydajnego narybku.
- Skąd o tym wiesz?
- Oświadczył mi się.
Poderwałem się z miejsca. - Co takiego? Kiedy?
- Kilka tygodni temu.
- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?
- Gdyż uważałam, że nie ma o czym mówić. Nie pierwszy raz ktoś mi się oświadcza.
- I co mu odpowiedziałaś?
- Odmówiłam mu.
- To wszystko?
- Powiedziałam mu, że kocham ciebie. Ciebie i nikogo innego. Powiedziałam, że nigdy nie przyjmę jego propozycji. Nigdy.
- Jak na to zareagował?
- Cóż, nie jest głupcem. Przyjął to z godnością.
- Może powinnaś zmienić prace?
Bella podeszła do mnie, objęła czule i pocałowała w czoło. - Skiff nic dla mnie nie znaczy - powiedziała. - Jest zdolny wzbudzić we mnie żywsze uczucia w stopniu nie większym niż aparat destylacyjny. Nawet gdybym chciała, nie mogłabym się przełamać. Szanuje go jedynie za jego osiągnięcia naukowe. Masz jeszcze jakieś pytania?
Potrząsnąłem głową. Jej ciepłe wargi spoczęły na moich. Dreszcz rozkoszy przeszył całe moje ciało. Przyciągnąłem ją do siebie. Bella poderwała się na nogi. -Jestem głodna - powiedziała. - Ugotować coś czy pójdziemy do restauracji? Zdecydowałem się na to drugie.

W dwie godziny później wróciliśmy do domu. Szumiało mi trochę w głowie. W restauracji zjedliśmy baraninę, ryż i pomidory, wszystko przyprawione na ostro, a do tego wypiliśmy sporo czerwonego wina.
Bella poszła do kuchni. Uparła się, że przygotuje mi śniadanie, nie zwracając uwagi na moje tłumaczenia, że równie dobrze mogę przecież zjeść w restauracji na lotnisku. Musiałem wstać o czwartej nad ranem, szybko wiec spakowałem małą walizkę, po czym poszedłem do kuchni. Chciałem przekonać Belle, że nie ma sensu marnować tej odrobiny czasu, która nam jeszcze pozostała, na przyrządzanie twarożku. Na progu stanąłem jak wryty.
Znowu ten specyficzny zapach, zaledwie powiew, ale nie mogłem się mylić. Rozejrzałem się dokoła. Wszędzie bijąca wprost w oczy czystość. Bella przeniosła swoje zawodowe zamiłowanie do porządku na nasz dom, a zwłaszcza na posiłki i wszystko, co jest z nimi związane. Zacząłem rozglądać się dokładniej. Orchidee zniknęły z parapetu.
- Szukasz czegoś?
- Gdzie orchidee?
- Wyrzuciłam je.
- Dlaczego?
- Myślałam, że cie denerwują.
- Dziwne.
- Co w tym dziwnego?
- Czujesz ten zapach?
- Jaki zapach?
- Nie wiem. Coś słodkawo-zwierzęcego.
- Może to te orchidee. Tropikalne kwiaty wydzielają nieraz bardzo wyszukane zapachy.
- Nie, to nie orchidee. Poczułem ten zapach już wcześniej, zanim wróciłaś do domu. W łazience.
Bella wyprostowała się. W jej oczach pojawił się błysk czegoś, czego nie potrafiłem określić. Zmieszania? Chyba raczej zirytowanego zdumienia. A może było to tylko wrażenie, wywołane przez jej źrenice, które połyskiwały teraz zielonkawo, chociaż zawsze sądziłem, że są czarne. Chyba jednak było to złudzenie albo refleks świetlny.
Myślała nad czymś intensywnie, nie odrywając wzroku od swoich dłoni.
- Mam nowe perfumy - powiedziała wreszcie.
Zniknęła na moment w łazience, po czym wróciła z chusteczką. Podsunęła mi ją pod nos. Istotnie, miała racje.
- Jak to świństwo się nazywa?
Otworzyła dłoń, pokazując mi mały kryształowy flakonik. Na etykietce widniał napis „Belladonna di Napoli”. Dręczący mnie niepokój ustąpił. I chociaż wydało mi się to śmieszne, poczułem ulgę, że cała sprawa znalazła tak proste rozwiązanie.
- Jest już późno - powiedziałem. - Chodźmy spać, moja piękna.
- Przyjdę później. Musze jeszcze zrobić analizy krwi.
- Praca laboratoryjna w domu? Tego jeszcze nie było!
- Mamy przed sobą decydującą fazę mutacji. To bardzo ważne, kochanie.
Kiedy mówiła do mnie „kochanie”, był to niezawodny znak, że zamierza przeforsować swoją wole- Zresztą nie było mi to tak bardzo nie na rękę, czułem się fatalnie. Czerwone wino było widocznie za ciężkie. Pocałowałem ją i poszedłem spać. Miałem jakiś zwariowany sen, z którego wyrwała mnie muzyka. Skoczna muzyczka na dobry początek dnia. Coś okropnego! Usiadłem w łóżku zlany potem, czułem



się, zmęczony i rozbity.
Przed chwilą błądziłem wraz z grupą stu pięćdziesięciu pasażerów rozbitego samolotu po dżungli mięsożernych orchidei. Kwiaty wabiły nas erotyczną muzyką, po czym gryzły swoje ofiary w uszy.
Ekran zawieszony nad łóżkiem ożył. Dyżurna hostessa, jasna i błękitna, uśmiechała się mile. - Dzień dobry panu - zaszczebiotała radośnie. - Jest godzina czwarta piętnaście. Życzył pan sobie wstać o tej porze.
Wyłączyłem ekran i zapaliłem światło. Łóżko obok mnie było puste. Wygrzebałem się z koców i powlokłem do sąsiedniego pokoju.
Bella spała na kanapie, okryta kocem aż po nos. Oddychała ciężko i nieregularnie. Urządzenie klimatyzacyjne wdmuchiwało do pokoju chłodne powietrze. Ustawiłem regulator na „O” i zamknąłem drzwi wychodzące na taras. Po natrysku poczułem się lepiej, a po trzech filiżankach kawy, jajkach na szynce i twarożku byłem człowiekiem gotowym do czynu.
Musiałem już jechać na lotnisko. Bella nie pokazała się do tej pory, a ja przyzwyczaiłem się do całusa przed wyjściem do pracy. Zajrzałem do pokoju.
Bella leżała zwrócona do mnie plecami, z twarzą wtuloną w poduszki. Biurko było zawalone kasetami maszynowymi, preparatami z hemoglobiny i zwojami papieru z sumatora. Widocznie Bella pracowała zbyt długo. Postanowiłem jej nie budzić. Ostrożnie podszedłem do kanapy i pogłaskałem Bellę po głowie. Jej włosy były sztywne i

szorstkie.
W powietrzu unosił się zapach „Belladonna di Napoli”. Miałem go już dosyć. Był zbyt intensywny. Postanowiłem od razu po powrocie zatroszczyć się o to, aby zaczęła używać innych perfum.

Trzy dni bez Belli. Spieszyłem się do domu tak bardzo, że na połyskującej zielonkawo jezdni pojawiły się żółte pasy ostrzegawcze. Zmniejszyłem szybkość, bowiem w przeciwnym razie w ciągu minuty pojawiłby się helikopter policyjny, by wyłączyć mój silnik za pomocą sygnału laserowego. Te procedurę zna każdy, kto choć raz przekroczył dozwoloną prędkość. Zgrzytałem zębami. Jak długo można wlec się jak żółw, bębniąc palcami o kierownice! Wreszcie na tle nocnego nieba dostrzegłem zarysy naszej jasno oświetlonej piramidy mieszkaniowej. Zjechałem z zielonej autostrady na niebieską nawierzchnie bocznej ulicy, skręciłem do garażu i wstawiłem samochód do boksu. Chwyciłem walizkę i torebkę z drobnymi upominkami, po czym pognałem ku windzie. Na piętrze kosmetycznym do kabiny wsiadła pani Burk, moja sąsiadka. Powitałem ją uprzejmie, a ona w odpowiedzi skinęła głową i spojrzała na mnie, jakby miała przed sobą wyjątkowo odrażający okaz gada. Kiedy wysiedliśmy, zastąpiła mi drogę.
- Niech pan posłucha - zaczęła, oblizując sobie językiem krwistoczerwone wargi. - To naprawdę skandal. Ktoś musi w końcu porozmawiać z panem na ten temat.
Odstawiłem na bok walizkę.
- To bardzo porządny dom - kontynuowała pani BUrk - i takim powinien zostać, chociażby przez wzgląd na wysoki czynsz. Niestety okazuje się, że i tu dotarło ogólne zdziczenie. A może chciałby pan zaprzeczyć?
- Wcale nie - odparłem. - Ale...
- Dawniej sprowadzał pan tu jedynie tak zwane damy. Mówię „jedynie”, gdyż to, na co pozwala pan sobie teraz, przekracza już wszelkie granice.
- Jak to...
- Niech pan nie myśli, że ujdzie to panu na sucho. W każdym razie ja i mój mąż nie będziemy tolerować dłużej sytuacji, w której zamienia pan nasz wspólny dom w cyrk.
- Czy zechciałaby mi pani zdradzić, pani Burk, o co właściwie chodzi?
- Niech pan nie udaje głupiego! - Jej nozdrza zadygotały. - Mam przecież oczy. Mam uszy. Mam też nos. Tak jest, nos!
- Trudno nie zauważyć pani nosa - odparłem. - Ale nie mogę z niego odczytać, czego pani ode mnie chce.
Wyglądała tak, jakby miała zemdleć, ale w następnej chwili zmieniła zamiar.
- Co za cham! - zaskrzeczała. - Pożałuje pan tego! Natychmiast zawiadomię o wszystkim policje!
Odwróciła się do mnie tyłem i weszła do swojego mieszkania, trzasnąwszy drzwiami.
Nie miałem najmniejszego pojęcia, co ta scena miała znaczyć. Może za długo trzymała głowę pod suszarką? Otworzyłem drzwi do mieszkania. Już w przedpokoju uderzyła mnie ostra, zwierzęca woń. W kuchni i łazience panował niesamowity bałagan. Okna i drzwi były otwarte. Pobiegłem do pokoju. Ten sam zapach, ten sam nieład.
- Bella! - zawołałem, r Bella, gdzie jesteś?
Z sypialni dobiegł mnie jakiś odgłos. Rzuciłem się do drzwi, ale okazało się, że są zastawione ciężkim, mahoniowym biurkiem.
- Nie wchodź. - To był głos Belli, brzmiący za drzwiami głucho i gardłowo. - Musze ci coś wyjaśnić. Poczekaj chwilę.
- Wiem o wszystkim - powiedziałem. - Pani Burk zdążyła mnie już poinformować: trzymasz tu w mieszkaniu jakieś zwierzę. Odsunąłem biurko na bok, otworzyłem nieco drzwi i przecisnąłem się przez szparę.
Na naszym szerokim łożu spoczywał wspaniały tygrys. Odruchowo odskoczyłem do tyłu.
- Nie obawiaj się - powiedziało zwierze. - To ja, twoja Bella. Nie byłem w stanie wykrztusić nawet słowa.
- Podejdź bliżej.
Chwiejnym krokiem zbliżyłem się do łóżka.
- Usiądź.
Usiadłem na brzegu łoża. Olbrzymie kocisko odwróciło się i położyło mi łapę na kolanach.
Halucynacja paranoidalna. Czułem na całym ciele zimny pot, ręce drżały mi jak w febrze.
Tygrysia łapa objęła mnie za szyje, przyciągając łagodnie, lecz z nieprzepartą siłą. Z głębi gardzieli zwierzęcia wydobył się delikatny pomruk.
- Spokojnie, mój kochany, spokojnie, to ja, twoja Bella. Nie obawiaj się niczego.
- Jak... jak to się stało? - wyjąkałem.
- Przecież wiesz, że od kilku tygodni pracujemy nad mutacją panthera tigris. Coś się nam widocznie nie udało.
Instytut Mutacyjnej Genetyki Stosowanej! Skiff! Dlaczego nie wpadłem na to od razu? Wszystkiemu winien jest Skiff! Wściekłość poderwała mnie z miejsca, sprawiła, że zacząłem reagować znowu normalnie.
- Ten szarlatan! - krzyknąłem. - Ten łajdak! Nigdy mu nie ufałem! Ale ty mnie nie słuchałaś. Należałoby go wrzucić do wulkanu razem z jego cholerną genetyką mutacyjną!
- Nie obarczaj winą tylko jego, to niesprawiedliwe. Może w rzeczywistości to ja popełniłam jakiś błąd.
- Po co ta idiotyczna wielkoduszność? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji?
- Proces mutacji można odwrócić.
- Kto tak twierdzi?
- Skiff.
- Łatwo mu mówić!
- Od kilku dni nie wychodzi z laboratorium, prawie przestał sypiać.
- Jaki jest do niego numer?
Wymieniła ośmiocyfrowy numer.
Przysunąłem do siebie ekran i wcisnąłem kolejno odpowiednie klawisze. Przez pół minuty pulsował zielony sygnał wywoławczy, następnie ukazał się Skiff. j
Wyglądał jak zwykle. Biała koszula, niebieska mucha w białe groszki, popielaty płócienny garnitur, na wierzchu śnieżnobiały fartuch. Jego ascetyczna twarz nie zdradzała nawet śladów zmęczenia, nie mówiąc już o wyrzutach sumienia.
- Dobrze, że pan jest, przyjacielu - odezwał się tym swoim wyniosłym tonem. - Spodziewałem się, że pan do mnie zadzwoni. Jest pan obecnie jedynym człowiekiem, któremu mogę powierzyć Bellę.
- Niech pan nie będzie taki napuszony - krzyknąłem. - Żądam wyjaśnień na temat tego, co się stało.
- Właśnie usiłuje znaleźć sposób, aby odwrócić proces.
- Więc radze się śpieszyć. Jeżeli świat się dowie, co się dzieje w pańskim kramiku, może pan pożegnać się z karierą.
- Nie sądzę, aby którykolwiek z moich współpracowników okazał się na tyle nieodpowiedzialny, aby trąbić na lewo i prawo o wypadku przy pracy.
- Wypadek przy pracy? To panu nie przejdzie tak łatwo. Zrobię z tego taki skandal, że odechce się panu tych diabelskich sztuczek!
- Cóż, istotnie może pan tak postąpić. Tylko że wtedy Bella nie miałaby już żadnej szansy.
- Czyżby zamierzał mnie pan szantażować, bydlaku?
Jego twarz była nadal nieruchoma, nie drgnął mu nawet jeden mięsień.
-Jest pan chyba na tyle inteligentny, aby zrozumieć, jak istotny jest tu czynnik czasu. Potrzebuje spokoju. Właśnie teraz, zanim będzie za późno. Kiedy już dokonamy na Belli remutacji, może mnie pan publicznie oskarżyć.
- Ile potrzeba panu czasu?
- Cztery tygodnie. Może sześć.
- Wykluczone! Tak długo nie może przebywać w tym mieszkaniu. Sąsiedzi coś już podejrzewają. Spędzimy ten okres w instytucie.
- Dla Belli znajdę tam miejsce, to żaden problem, ale jeżeli chodzi o obcych, wstęp jest surowo wzbroniony.
- Nie pozostawię Belli samej w pańskich rekach. Jeszcze czego!
- Bardzo mi przykro, ale takie są przepisy bezpieczeństwa. Nic na to nie poradzę.
- A więc to wyjście odpada.
- W takim razie niech ją pan przeniesie w środowisko naturalne. To by jej bardzo ułatwiło okres oczekiwania. Odpadłby też panu problem z wyżywieniem i ciekawskimi sąsiadami.
- Ma pan jakąś konkretną propozycje?
- Rezerwat w Tsavo. Mój instytut ma tam stację doświadczalną.
- Dlaczego nie od razu na księżycu? W jaki sposób miałbym dostać się z dorosłym tygrysem do Afryki?
- O ile wiem, jest pan pilotem. Dam panu do dyspozycji samolot transportowy należący do mojego instytutu.
- A co mam powiedzieć celnikom?
Niecierpliwie uniósł brwi do góry. - Chyba jest pan obeznany z metodami na lotnisku. Niech pan coś wymyśli. Zastanowiłem się przez chwilę. W tym, co mówił, tkwiło wiele prawdy. Mieszkając w mieście, narażaliśmy się na możliwość wykrycia. Gdybym natomiast zdobył transportowiec, to przy odrobinie szczęścia przeszmuglowanie Belli do Afryki mogło mi się udać.
- Dobrze, załóżmy, że już tam jesteśmy. I co dalej? - zapytałem.
Wyląduje pan na pasie startowym obok stacji. Będzie tam już czekał na pana samochód terenowy. Wsadzi pan do niego niepostrzeżenie Bellę i pojedzie z nią w głąb buszu. W samochodzie znajdzie pan wszystko, co niezbędne, nawet nadajnik. Co wtorek pomiędzy czwartą a piątą rano będziemy się kontaktować i wzajemnie informować o tym, jak sprawy

Heiner RANK

urodził się w 1931 r w Nowawes (dziś Babelsderg w MRD). Pracował jako robotnik rolny reżyser-asystent. w DEFA. kierownik literacki w teatrze Halberstadt,. a od 1955 r poświecił się całkowicie pisarstwu. Pod pseudonimami A. G. Feterman i Heiner Meindorf pisał powieści i nowele kryminalne oraz scenariusze do filmów młodzieżowych. Jego jedyną powieścią Sf jest „Die Otnmacht der Allmachtigen” (1973) będąca rodzajem historii „kontaktowej”
Opowiadanie „Piękna Betla” (zamieszczone w almanachu Lichtjahr 2 Berlin) powstało w 1981 r

A.N.

stoją. A więc życzę szczęścia.
Jeszcze chwile - powiedziałem. - Mam nadzieje, że dobrze się pan nad tym wszystkim zastanowił. Jeżeli chodzi panu tylko o to, aby pozbyć się Belli i pozostawić ją własnemu losowi w dżungli, to skręcę panu kark. Dostanę pana w swoje ręce nawet wtedy, jeżeli ukryje się pan w sejfie bankowym. Czy wyrażam się jasno?
Dwoma palcami poprawił swoje złote okulary. Pierwszy raz zauważyłem u niego oznaki nerwowości.
- Bardzo pana proszę - powiedział żarliwie - niech mi pan zaufa. W żadnych, nawet najbardziej szczególnych okolicznościach, nie pozostawiłbym Belli na pastwę losu. - Chrząknął z zakłopotaniem, po czym wyjaśnił: - Chyba nie uszło pana uwadze, że już od dawna czuje do Belli głęboką sympatie. A wiec do wtorku. Ekran zajaśniał pustką.
Głęboką sympatie! Ten małpiszon! W żadnych, nawet najbardziej szczególnych okolicznościach nie będzie miał u Belli najmniejszej szansy!

Już od pięciu tygodni siedzieliśmy w buszu. Przez pierwsze czternaście dni polowałem na gazele i antylopy. Potem stały sie tak płochliwe, że nie mogłem podejść do nich na odpowiednią odległość. Na dalekie wycieczki nie mogliśmy sobie pozwolić, gdyż nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi strażników z rezerwatu.
Od tego czasu Bella sama udawała się na polowania. Początkowo nie bardzo jej się to udawało, ale okazała się pojętną uczennicą i przestaliśmy narzekać na brak mięsa.
Więcej zmartwień miałem z nadajnikiem. Godzinami ślęczałem nad nim, ale ta cholerna skrzynia nie chciała wydać z siebie żadnego normalnego dźwięku, jedynie trzaski i piski. Do tej pory tylko trzy razy udało mi się nawiązać kontakt ze Skiffem. Zapewnił mnie, że w badaniach posunął się już do przodu i zaklinał, żebyśmy nie tracili nadziei.
W ostatni wtorek znowu nie mogłem się z nim skontaktować. Sądziłem, że wszystkiemu winne są zakłócenia atmosferyczne, ale nie mogłem też wykluczyć innej możliwości. Kiedy dziewięć czy dziesięć dni temu wróciliśmy z kolejnej wyprawy do naszego namiotu, nadajnik leżał na ziemi. Na pobliskich skałach zabawiały się pawiany, a skrzynka po konserwach, na której był ustawiony nadajnik, chybotała się trochę. Prawdopodobnie zwierzęta, wiedzione ciekawością, gościły w namiocie. A jeżeli nie była to wina pawianów? Może ktoś rozmyślnie strącił nadajnik ze skrzyni? Ale kto i dlaczego? Spojrzałem na zegarek. Było już po szóstej, ale Bella jeszcze nie wróciła. Jej ostatnie polowania przedłużały się coraz bardziej. Widocznie gdzieś dalej, na otwartym stepie, znalazła nowe tereny łowieckie.
Wyszedłem przed namiot i z lornetką przy oczach zacząłem rozglądać się dokoła. Nad morzem traw migotało upalne powietrze. Po przeciwległej stronie łańcucha pagórków krążyło na błękitnym niebie stado sepów. Ogarnął mnie niepokój. Coraz bardziej upewniałem się w przekonaniu, że stało się coś niezwykłego. Może nawet coś złego?
Wszedłem do namiotu po strzelbę. Właśnie brałem naboje, kiedy weszła. Bez słowa przesunęła się obok mnie i opadła na legowisko. Oddychała szybko, jej boki dygotały.
- Nieudane były te łowy - warknęła.
Wiedziałem, że nie mówi prawdy. Przynajmniej częściowo. Z jakiegoś powodu była zmieszana. W jej oczach mogłem wyraźnie odczytać niepewność.
- Coś przede mną ukrywasz, Bella.
- Jestem zmęczona. Zostaw mnie w spokoju.
Unikała mojego wzroku. Nigdy nie umiała dobrze kłamać. Obydwiema rękoma chwyciłem ją za sierść i uniosłem łeb do góry.
- Chce wiedzieć, co się dzieje.
- Puść mnie, to boli.
Puściłem ją i usiadłem na krześle.
Nie patrząc na mnie odezwała się nagle: - Proszę cie, wracaj.
- Wracać? Dokąd?
- Do domu. Do twojego normalnego życia. Nie możesz mi już pomóc.
- Poczekamy tu na Skiffa. To już chyba długo nie potrwa.
- Skiff nas oszukał.
- Skąd o tym wiesz?
- Proszę cie, nie pytaj mnie o nic. Po prostu wiem i już.
- Poniosły cie nerwy. To minie.
- Nie, najdroższy, nie łudź się. Już nigdy nie przybiorę ludzkiej postaci. Najlepszym wyjściem dla nas będzie rozstanie.
- Bzdura - odparłem gwałtownie. - Nie myślisz chyba, że zostawię cie teraz samą.
- Nie jestem już sama.
- E, tam! - Nie rozumiałem jeszcze, co Bella ma na myśli.
- Posłuchaj - powiedziała. - Pojawił się tu tygrys, już kilka dni temu. Najpierw krążył w oddali. Dziś napędził mi antylopę i polowaliśmy wspólnie. W przyszłości będę żyła razem z nim, rozumiesz?
- Z tygrysem? Oszalałaś? Co to za tygrys?
- Cicho! - Bella nadstawiła uszu. - Ktoś nadchodzi. To człowiek.
- Nie tygrys?
- Jest już blisko.
Za moimi plecami ktoś uchylił zasłonę namiotu. Odwróciłem się.
Przy wejściu stał mężczyzna z bronią gotową do strzału. Był to ten sam pracownik stacji badawczej, który z polecenia Skiffa dał mi do dyspozycji samochód.
- Ręce do góry, czarowniku! - zawołał.
- Zabierz te pukawkę.
- Musze zastrzelić tego tygrysa. Zaczarowałeś go.
- Nie bądź śmieszny. To tylko eksperyment naukowy, nic poza tym. Zapytaj swojego szefa, on ci wszystko wytłumaczy.
- To już nie ma znaczenia.
Z trzaskiem odbezpieczył broń, kierując lufę w stronę Belli. Skoczyłem ku niemu, chcąc chwycić za lufę. Zabrakło mi kilku centymetrów. Mężczyzna zamachnął się kolbą. W mojej czaszce nastąpiła nagle potężna eksplozja.

Powoli wynurzałem się z głębin na powierzchnie morza. Moja głowa była jak balon wypełniony wrzącą lawą. Lawa rozprzestrzeniała się, ciśnienie stawało się nie do zniesienia. Chciałem otworzyć oczy, ale wymagało to takiego wysiłku, jak przy uchylaniu wieka własnej trumny.
Leżałem z twarzą unurzaną w piachu. W uszach rozbrzmiewało brzęczenie stalowych drutów, plecy płonęły. Powoli i ostrożnie uniosłem się do pozycji siedzącej. Opanowały mnie mdłości. Wyplułem z ust piasek i to, co miałem w żołądku. Zacząłem rozróżniać kontury otoczenia. Siedziałem na placu przed namiotem. Słońce stało oślepiającą plamą w zenicie. Brzęk drutów w uszach zamierał stopniowo, pozostało tylko ćwierkanie cykad.
Z namiotu dobiegła mnie rozmowa. Podczołgałem się bliżej, tak cicho jak umiałem.
- Nie zostawię go tu tak, zupełnie bezbronnego. Rób co chcesz. To był głos Belli.
- On wcale nie jest taki bezbronny - zaoponował inny głos. -Już może się poruszać. - Po czym głośniej: - Proszę wejść. Podniosłem się i na chwiejnych nogach wszedłem do namiotu. Obok Belli siedział żółty tygrys. Był chyba o pół metra dłuższy od niej i ważył jakieś dwieście kilo.
Po prawej stronie leżał mężczyzna, który zadał mi cios kolbą w głowę. Był martwy. Jedno uderzenie łapą strzaskało mu kark.
- Niech pan siada, przyjacielu - odezwał się żółty tygrys. Skiff!
Znowu zebrało mi się na wymioty. Zataczając się, podszedłem do stołu i chwyciłem za blat, by nie upaść. Wreszcie odzyskałem siły na tyle, by puścić stół i zrobić dwa kroki. Bezwładnie usiadłem na krześle.
- Zabił pan tego człowieka - wydyszałem. To było bez sensu, ale musiałem coś powiedzieć, aby zyskać na czasie. Miałem nadzieje, że zasnuwające mój umysł opary mgły rozwieją się wreszcie.
- Miałem czekać, aż on zabije Bellę? - zapytał Skiff.
- Nie powinien był go pan wysyłać, by zniszczył nadajnik.
- Cóż, był to błąd, przyznaje. Mister Yomo był kierownikiem tej stacji, to inteligentny człowiek. Skąd miałem wiedzieć, że drzemie w nim jeszcze wiara w zabobony, jak u jego przodków.
- Będą go szukać. A kiedy już go znajdą, zaczną szukać mordercy.
- Nikt go nie znajdzie. Pan, przyjacielu, zakopie go w ziemi.
- Ani myślę.
- W takim razie zatrze pan starannie wszelkie ślady, weźmie samochód i pojedzie do Kampali. W biurze Transko czeka na pana bilet lotniczy.
Potrząsnąłem głową.
- Bella potrzebuje jeszcze kilka tygodni. Niech pan milczy do tego momentu. To ostatnia przysługa, jaką może jej pan wyświadczyć.
- Nie! - Rozejrzałem się rozpaczliwie. Nadajnik i obydwie strzelby nadawały się już jedynie na złom.
- Bella, idziemy. A pan też nie powinien marnować czasu. Zerwałem się na równe nogi. - Bella pozostanie tu. Ona należy do mnie.
Żółty tygrys zamruczał coś z satysfakcją. Zabrzmiało to niemal jak śmiech. Do tej pory nigdy nie słyszałem, żeby Skiff sie śmiał.
- Od dziś Bella jest moją żoną - powiedział. - Nieodwołalnie. Objąłem ramionami pięknie pręgowaną szyje Belli.
- Nie możesz iść z nim. Czy nie rozumiesz, że to szaleniec? Milczała.
- Wróć ze mną. W instytucie są jeszcze inni eksperci. Z pewnością nam pomogą.
- Bądź zdrów, najdroższy - odparła Bella. - Nie ma już drogi powrotnej.
Żółty tygrys podniósł się. - Niech pan nie będzie śmieszny. Proszę zejść nam z drogi.
Nie poruszyłem się. Odsunął mnie na bok jak zwiędły liść. Miękkimi susami pędzili po stepie. Spoglądałem za nimi. Na skraju otwartej sawanny Bella przystanęła i odwróciła się ku mnie. Żółty tygrys przysiadł na ziemi, czekając cierpliwie. Wreszcie delikatnie potarł łbem o jej bok i oboje zniknęli w wysokiej trawie.
Spakowałem kilka konserw i wsiadłem do samochodu. Jakaś wściekła desperacja gnała mnie do przodu, a w głowie kołowała sie jedna myśl: nawet jeżeli dla Belli nie ma drogi powrotnej, to dla mnie istnieje droga naprzód.
Wkrótce będę znowu u siebie. A wtedy nie będzie pobłażliwości dla słabszych - zgodnie ze zwyczajami panującymi wśród tygrysów.

Przełożył **Mieczysław Dutkiewicz**

Clifford Simak

Czas jest najprostszą rzeczą

(Time Is the Simplest Thing)

przełożył Michał Wroczyński

Clifford Donald SIMAK

urodził się w roku 1904 w Millville koło Wisconsin w Stanach Zjednoczonych. Jest z pochodzenia Czechem. Po ukończeniu szkoły wyższej pracował w różnych zawodach, był m.in. nauczycielem i dziennikarzem. Debiutował opowiadaniem „World of the Red Sun" w grudniowym numerze „Wonder Stories" z roku 1931. Pisywał również do „Astounding" (zwłaszcza od roku 1938, kiedy John Campbell przejął redakcje tego magazynu). W tym czasie powstała pierwsza space opera Simaka - „Cosmic Engineers" (1938) oraz cały cykl utworów o podobnej tematyce zamieszczanych na łamach „Astounding Science Fiction". W roku 1959 za opowiadanie „The Big Front Yard" Clifford Simak otrzymuje „Hugo Gernsback Award". Od tej chwili pisze coraz więcej, próbując swych sił w dłuższych formach prozatorskich. W roku 1961 wydaje jedną ze swoich ciekawszych powieści „Time Is the Simplest Thing", którą przedstawiamy tu naszym Czytelnikom. W roku 1964 za powieść „Way Station" (1963) otrzymuje nagrodę „Hugo", a w 1976 za całokształt twórczości literackiej (około 30 powieści, ponad 100 opowiadań) zostaje uhonorowany Grand Master Award ufundowaną przez Science Fiction Writers of America.

A.N.

I

Nadszedł ostatecznie czas, gdy Człowiek pojął, że gwiazd nie zdobędzie nigdy. Pierwsze wątpliwości zrodziły się w dniu, gdy Van Allen stwierdził istnienie pasów radiacyjnych wokół Ziemi, a naukowcom z Minnesoty udało się pochwycić protony słoneczne i zbadać ich naturę. Lecz pomimo tych tak oczywistych faktów Człowiek, który z dawien dawna śnił o przestrzeni międzygwiezdnej, nie chciał ustąpić.

Próbował wiec. Nie ustawał w wysiłkach, choć całe generacje astronautów świadczyły własną śmiercią o tym, że kosmos jest dla Człowieka niedostępny, że Człowiek to istota zbyt krucha, by lecieć do gwiazd, że zbyt łatwo umiera, że zabija go nawet promieniowanie macierzystego słońca.

Od początku istnienia swego gatunku, Człowiek snuł marzenia i patrzył w niebo. Lecz teraz było bezbrzeżne rozczarowanie i gorycz w tym spoglądaniu ku odległym gwiazdom, które nagle okazały sie niedostępne.

Po wielu wiec latach, gdy przebrzmiał już huk startujących rakiet, po tysiącach niepowodzeń i zawodów, Człowiek na dobre wyrzekł się gwiazd.

To było wszystko, co mógł zrobić.

Istniał jednak lepszy sposób na gwiazdy.

II

Shepherd Blaine odniósł wrażenie, że znalazł się w czymś, co było rodzajem domu. Jeśli nie był to dom, to z całą pewnością miejsca zamieszkałe. Takich bowiem proporcji oraz ładu form, na jakie sie natknął, nie spotyka się w naturze, nawet tak bardzo obcej jak natura tej odległej od Ziemi planety.

W pomieszczeniu panowała cisza mącona jedynie szuraniem automatycznych nóg maszyny Blaine i dobiegającym z zewnątrz delikatnym zawodzeniem wiatru. Dźwięki te wydawały się zaledwie szmerem w porównaniu z potępieńczym hukiem burzy szalejącej pośród piaszczystych wydm, przez które człowiek z mozołem brnął kilkadziesiąt godzin.

Jasnobłękitna podłoga była twarda i gładka, a porozstawiane wokół - również niebieskiej barwy przedmioty, których kształt nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, że są one wytworem rozumu, nie kojarzyły się człowiekowi z niczym znanym. Równie dobrze mogła to być aparatura naukowa, jak obce i dziwaczne dzieła sztuki lub po prostu urządzenia codziennego użytku.

Pokój, bo tak w duchu nazwał Blaine to miejsce, nie miał ścian ani sufitu: gładka, olśniewająco błękitna płaszczyzna zastawiona nieznanymi sprzętami, wyrastała pośród bezmiaru piasków. Na ów pokój natknął się całkiem przypadkowo po wielogodzinnym błądzeniu w mroku zalegającym powierzchnie planety: jej niesłychanie odległe słońce dawało niewiele światła, wskutek czego Blaine przez cały czas pobytu mógł widzieć błyszczące nad głową gwiazdy.

Pełen emocji i podniecenia, Blaine sunął powoli z odkrytym i nastawionym na pełną moc percepcji układem sensorycznym. Im dłużej przebywał w tym pomieszczeniu, tym silniejsze było jego przekonanie, iż jest to rzeczywiście dom, dom zamieszkały, gdzie na dodatek czuło się obecność gospodarzy.

Pełzł. Podeszwy szurały po błękitnej podłodze, czujniki badały każdy szczegół otoczenia, a wirująca z lekkim poświstem taśma wszystko to zapisywała. Rejestrowała wszelkie obrazy, dźwięki, kształty i zapachy pozostające w zasięgu zmysłów Blaine'a. Zapisywała temperaturę, czas i magnetyzm, notowała wszystkie zjawiska zachodzące w otoczeniu.

Wreszcie w zasięgu wzroku przybysza pojawiło się owo przeczuwane od początku życie: wielka, rozlana istota spoczywała w absolutnym bezruchu na podłodze - jak ogromnie leniwy człowiek rozkoszujący się odpoczynkiem w trakcie poobiedniej sjesty.

Swym powolnie odmierzanym krokiem Blaine zaczął zbliżać się ku stworzeniu, podczas gdy urządzenia odbiorcze rejestrowały całą dostępną w tej chwili wiedze o leżącej nieruchomo istocie. Była zachwycająco różowa. Różowa przepięknym ko-

lorem porównywalnym jedynie do sukienki, którą siedmioletnia dziewczynka wkłada na swój pierwszy, urodzinowy bal.

Blaine przysunął się do mieszkańca pokoju i zatrzymał w odległości zaledwie sześciu stóp od niego. Wzniósł powoli oczy w górę. Zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, że stworzenie ma świadomość jego obecności, że spogląda na niego choć nie posiada oczu. I że się wcale przybysza nie boi.

Było wielkie: wysokie na dwanaście stóp, swym rozlazłym cielskiem zajmowało powierzchnie ponad dwudziestu. Kolos piętrzył się nad maszyną, która tutaj była Blainem. Stworzenie nie przejawiało żadnych uczuć: ani przyjaźni, ani wrogości, ani ciekawości. Po prostu ogromna, nieforemna i obojętna bryła.

Blaine również stał nieruchomo. Czekał. Już wcześniej cofnął swe sensory i tylko wirująca powoli taśma nie ustawała w pracy. Był w rozterce. Zdając sobie sprawę z tego, że sytuacja wymaga niesłychanie rozważnego i ostrożnego działania, wiedział, że musi się spieszyć. Jego czas się kończył. Pozostało go naprawdę niewiele. Tymczasem dla istoty spoczywającej przed nim czas zdawał się nie istnieć.

Równocześnie Blaine poczuł drgania przekazane mu przez elektroniczne obwody maszyny, która pełniła funkcje jego ciała. Drżenie pochodzące bez wątpienia od istoty rozlewającej się różowo na podłodze, drżenie transmitujące w połowie tylko sformułowaną myśl, stanowiło zapowiedź porozumienia, zbliżającego się kontaktu.

Szok spowodowany przechwyceniem tych impulsów minął prawie natychmiast, gdy tylko człowiek swym chłodnym, analitycznym umysłem pojął, że nic nie wskazuje na telepatyczne zdolności owego różowego stworzenia, bo chociaż drgania niedwuznacznie wskazywały na ich istnienie, to wieloletnia praktyka Blaine'a...

Trzymaj się! - szepnął do siebie. - Trzymaj się! Musisz zmieścić się w wyznaczonym czasie! Pozostało już tylko trzydzieści sekund!

Znów drżenie - tym razem silniejsze, bardziej wyraźne, jakby stwór chrząknął, szykując swe psychiczne ośrodki komunikowania do rozpoczęcia rozmowy.

Blaine był zdumiony. Niesłychanie rzadko zdarzało się, by człowiek potrafił nawiązać kontakt telepatyczny z innym gatunkiem istot rozumnych. Zbyt potężne bowiem były bariery biologiczne i umysłowe dzielące poszczególne rasy kosmiczne, aby telepatia mogła je przełamać i okazać się przydatna w takim stopniu, jak sądzili zwolennicy starodawnej - jasnej i klarownej - sztuki telepatycznej.

I wówczas stworzenie odezwało sie:

- WTTAJ PRZYJACIELU. WYMIENIAM Z TOBĄ ŚWIADOMOŚĆ.

Mózg człowieka zaskowyczał w bezgłośnym, pełnym paniki zdumieniu. Bo oto nagle, bez żadnego ostrzeżenia, stał się Blaine podwójną osobowością: sobą samym i tym różowym stworem. W tym samym momencie widział jak on, czuł tak samo, jak on, posiadał jego wiedze i był jednocześnie sobą, Shepherdem Blaine'em, badaczem Fishhooka, umysłem poza Ziemią, daleko od domu.

W tej samej chwili zatrzasnął się jego czas.

Doznał uczucia szaleńczego pędu, jak gdyby przestrzeń w ułamku sekundy stała się eksplodującą hukiem gromu przeszłością, ku której gnał w niewyobrażalnym pędzie. Shepherd Blaine, wbrew własnej woli, został raptownie przeniesiony przez pięć tysięcy lat świetlnych do wybranego punktu w północnym Meksyku.

III

Ze ślepym, wręcz instynktownym uporem wydobywał się ze studni ciemności. Wiedział gdzie jest, wiedział kim jest, jakkolwiek w żaden świadomy sposób nie potrafił tej wiedzy sobie przyswoić. Tak zresztą było zawsze, gdy wracał stamtąd. Tym razem jednak odczuwał to nieco inaczej. Tkwiła w nim dziwaczna obcość jakiej nigdy dotychczas nie doświadczył. Odnosił wrażenie, jakby w połowie tylko był sobą, drugą zaś jego cześć stanowiła nieznana, przerażona istota. Czuł dreszcz skamlącego leku pochodzącego od intruza, który nie potrafił opanować swego strachu.

Wydobywał się w gore korytarzem mroku, usiłując jednocześnie wypchnąć ze swego umysłu dręczącą go swym lekiem osobowość. Był to jednak daremny wysiłek. Obcość bowiem wniknęła w jego mózg po to, by tam żyć, by pozostać jego częścią już na zawsze.

Odpoczywał chwile, próbując uporządkować rozbiegane myśli. Istniał jednak w zbyt wielu miejscach, był zbyt wieloma rzeczami i osobami, by tego dokonać. Z każdą podejmowaną próbą jego mózg pogrążał się coraz bardziej w szaleństwie skłębionego zgiełku i chaosu. W tym samym momencie Blaine wiedział, że jest istotą ludzką, ale też maszyną błądzącą pośród gwiazd oraz różowością rozlaną na jasnobłękitnej podłodze i wreszcie jest także świadomą nicością spadającą przez nieskończone eony czasu, sprowadzone - wedle określenia matematyków - do najdrobniejszych ułamków sekundy.

Wracał do siebie. Wydobył się już z mrocznego szybu i ciemność pozostała za nim. Jej miejsce zajęło łagodne światło. Gdy tak leżał płasko na plecach, rozsadzało go uczucie dumy, a zarazem ulgi; był w domu.

I wreszcie wiedział.

Wiedział, że jest Shepherdem Blaine'em, badaczem Fishhooka, że bywa daleko w przestrzeni kosmicznej, gdzie przemierza setki i tysiące lat świetlnych badając odległe gwiazdy. Raz napotyka na swym szlaku rzeczy wielkie i niezwykłe, innym razem nie znajduje nic. Lecz teraz natknął się na coś, czego cześć przybyła razem z nim, tu, na Ziemie.

Opanowując lek odszukał to w głębiach swego umysłu. Tak, było tam. Czuł to, czuł w swojej czaszce obecność skulonej, drżącej ze strachu istoty.

To okropne - pomyślał, wiedziony nagłym współczuciem dla tego nieszczęsnego stwora wypełniającego mu czaszkę - to straszne być tak pochwyconym we wnętrze obcego mózgu. I natychmiast błysnęła mu myśl przeciwna, że jeszcze straszniejszą jest rzeczą, gdy intruz taki zagnieździł się w jego własnym mózgu.

- TO CIĘŻKIE DLA NAS OBU - szepnął, zarówno pod swoim adresem jak i pod adresem obcego.

Leżał spokojnie zbierając i porządkując ulotne, gorączkowe myśli. Opuścił Ziemie trzydzieści godzin temu. Oczywiście nie on sam, gdyż ciało pozostało tutaj. Wyruszył tylko jego umysł zamknięty w niewielkiej maszynie. Wyruszył na obcą planetę wirującą wokół odległej, nie nazwanej jeszcze gwiazdy.

Planeta nie różniła się zasadniczo niczym od innych, martwych planet, na których ongiś bywał. Jedne porastały tropikalne dżungle, inne skuwał lód lub piętrzyły się na nich nagie, nieprzystępne skały. Powierzchnie tej pokrywały piaszczyste pustynie.

Blisko trzydzieści godzin włóczył się pośród bezkresnych, kołtunionych burzą piaskową wydm nie znajdując nic interesującego. I dopiero pod sam koniec swego pobytu, gdy nabrał już przekonania, że planeta jest całkowicie jałowa, natknął się na ów wielki, błękitny pokój i rozciągniętą w nim Różową Istotę. A gdy powrócił do domu, owa Różowa Istota - lub jej cień - przybyła razem z nim.

Obcy znów wypełzł z najgłębszego zakątka jaźni Blaine'a w którym znalazł kryjówkę. Człowiek czuł te lepką, wstrętną obecność, czuł dotknięcia obcego, znał jego myśli, jego uczucia, posiadał jego wiedze. Pod wpływem tych obrzydliwych dotknięć zesztywniał cały, jakby krążąca mu w żyłach krew przemieniła się nagle w bulgoczące, lodowate błoto. Narastać zaczęła w nim potrzeba krzyku, okropnego wrzasku, którą zdołał jednak poskromić. Znów leżał nieruchomo i Różowa Istota odpełzła w końcu do wybranych przez siebie zakamarków jego mózgu.

Blaine rozchylił powieki. Klapa urządzenia, w którym spoczywało jego ciało była uchylona i oczy poraził mu ostry blask zawieszonej nisko żarówki w kryształowym kloszu.

Poruszył lekko rekami, potem nogami. Pokręca głową, jakby chciał sprawdzić, czy z ciałem jest wszystko w porządku. Nie było jednak żadnego powodu do obaw, gdyż ciało spoczywało tutaj wygodnie przez ostatnie trzydzieści godzin. Rozejrzał się wokół i dostrzegł pochylone nad sobą ludzkie twarze spoglądające z wyczekiwaniem.

- Ciężką miał pan podróż, Sir? - dobiegło go pytanie.

- Wszystkie są ciężkie - odparł.

Usiadł, a następnie wygramolił się niezdarnie z maszyny, przypominającej kształtem trumnę. Zadrżał lekko; w sali panował dotkliwy chłód.

- Pańska marynarka, Sir - dziewczyna w białym czepku wyciągnęła rękę z ubraniem.

Gdy nałożył kurtką, ta sama dziewczyna podała mu szklanką. Siorbnął mleko. Spodziewał sią tego. Znał to przecież na pamięć. Wracających z podróży zawsze witano tu szklanką mleka. Być może zresztą było ono z czymś tam jeszcze zmieszane, lecz Blaine'owi nigdy nie przyszło do głowy o to spytać. Szklanka

mleka po powrocie stanowiła jeden z obowiązujących rytuałów, którym on - i jemu podobni - musieli sią podporządkować. Istniało zresztą u Fishhooka o wiele więcej tego typu uświęconych tradycją zwyczajów; przez ponad sto lat funkcjonowania koncernu narosły w nim setki nudnych i głupich ceremonii - nie wolno było od nich odstąpić na krok. Szklanka mleka była właśnie jedną z nich.

Kolejny szczęśliwy powrót - myślał siorbiąc mleko i rozglądając się po gigantycznej sali zastawionej szeregami lśniących, błyskających kolorowymi światłami maszyn gwiezdnych: jedne z nich były zamknięte, inne miały - jak ta jego - uniesione wieka. W zamkniętych spoczywały ciała tych, których umysły krążyły jeszcze pośród odległych, kosmicznych szlaków.

- Która godzina? - spytał Blaine.

- Dziewiąta wieczór - odparł mężczyzna trzymający w dłoni notatnik.

Obcość ponownie dała o sobie znać. Poczuł w umyśle lekkie muśnięcie obcej myśli i ponownie dobiegł go wewnętrzny głos:

- WITAJ PRZYJACIELU. WYMIENIAM Z TOBĄ ŚWIADOMOŚĆ.

Ale tym razem, w tej sali, pośród innych ludzi było to stokroć bardziej absurdalne, niż gdyby własnymi oczami ujrzał piekło, zwykłe piekło wyjęte ze średniowiecznej ryciny. Piekło pełne rogatych diabłów, smrodu płonącej siarki i udręczonych, skazanych na wieczne potępienie dusz. A jednocześnie było to jak pozdrowienie płynące od obcego, jak potrząśniecie umysłu, jak zwykłe ludzkie potrząśnięcie ręki w geście przywitania. Złowieszczego przywitania.

- Proszę już skończyć to mleko - dobiegły go słowa dziewczyny. Poczuł jednocześnie na ramieniu dotyk jej palców.

Potrząśniecie świadomości oznaczało, że istota ma zamiar pozostać w jego mózgu na trwałe. Znów czuł jej wszechobecność, czuł ten brudny, obcy osad oblepiający mu czaszkę od wewnątrz.

- Nie było żadnych kłopotów? Maszyna wróciła w porządku? - zapytał.

- Najmniejszych - mężczyzna z notatnikiem w reku potrząsnął głową. - A taśmy są już odesłane.

Pół godziny! Mam jeszcze pół godziny! - pomyślał spokojnie Blaine, sam zaskoczony swoim spokojem.

Pół godziny! - tyle bowiem zajmie odczytanie taśm. Na nich będzie wszystko, wszystko to, co mu sie przytrafiło na planecie. Cała historia kontaktu. Co do tego Blaine nie żywił żadnych wątpliwości. Pół godziny! Tyle ma czasu, by zniknąć. Zniknąć na zawsze.

Rozejrzał się. pełen dumy, jak przed laty, gdy po raz pierwszy przekroczył próg tej sali. Tu znajdowało się bowiem centrum układu nerwowego Fishhooka. Tu biło jego serce. Tu był jego mózg. Stąd rozpoczynały się niezwykłe podróże, stąd wyruszano do odległych i niedostępnych miejsc.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężko będzie rozstać się z tym miejscem, odwrócić się plecami i po prostu odejść. Zbyt dużo bowiem włożył tu siebie, zbyt wiele tu przeżył.

Ale musi to zrobić. Po prostu musi odejść.

Dopił mleko i oddał czekającej cierpliwie dziewczynie pustą szklankę. Odwrócił się w stronę drzwi.

- Proszą chwile zaczekać! - krzyknął za nim mężczyzna, wręczając notatnik. - Zapomniał się pan wypisać, Sir.

Blaine mrucząc z niezadowolenia, wyjął przypięte do notatnika pióro i złożył podpis. To było idiotyczne. Wpisywać się przy wejściu, wypisywać przy wyjściu. Blaine podchodził jednak do tego wszystkiego filozoficznie. Wpisywał się, wypisywał, pił mleko, wykonywał tysiące drobnych i głupich czynności. Bo i po co się buntować? Skoro Fishhook przykłada do tych spraw aż taką wagę, skoro tak mu na tym zależy, cóż to mogło szkodzić Blaine’owi.

Oddał notatnik.

- Przepraszam bardzo, panie Blaine - ponownie odezwał się mężczyzna kartkując notes. - Kiedy pan stawi się na przegląd i analizę taśm?

- Jutro o dziewiątej rano.

Mogą zapisywać sobie, co tylko chcą - pomyślał. - Jego już i tak tutaj nie będzie. Lecz na razie pozostało mu tylko trzydzieści minut. Pół godziny, które musi w pełni wykorzystać.

Bardzo potrzebował tego czasu, bo pamiętał noc sprzed lat. Z każdą umykającą obecnie bezpłodnie sekundą, tamte chwile pojawiały się mu w pamięci coraz wyraźniej. Owej nocy zatelefonował do niego Godfrey Stone. Oddychał ciężko, jak po wyczerpującym biegu, a w głosie brzmiały nutki paniki i histerii.

- Dobranoc wszystkim - pozornie beztroskim głosem wykrzyknął Blaine.

Zamknął za sobą drzwi i wyszedł na pusty, pogrążony w ciszy i martwocie korytarz. Otaksował szybkim spojrzeniem długi hall. Wszystkie drzwi wtopione w ściany korytarza były pozamykane na głucho, jakkolwiek na wielu z nich płonęły jaskrawe światła, znak, że wewnątrz pracują ludzie. Pomimo tej panującej wszędzie ciszy, bez względu na porę dnia i nocy, wrzała tu gorączkowa praca: w laboratoriach i salach wykładowych, w stanach doświadczalnych i zakładach przemysłowych Fishhooka, w dyspozytorniach komputerów, w rozległych bibliotekach i magazynach Fishhook czuwał zawsze, dyżurował okrągłą dobę, nigdy nie zamykał swych oczu, nigdy nie zapadał w sen.

Blaine stał chwile, trzymając dłoń na klamce i zastanawiał się, co ma dalej czynić. Pozornie wydawało się to proste. Może wszak wyjść przez nikogo nie zauważony, przez nikogo nie nagabywany, może wsiąść do samochodu zaparkowanego parę bloków dalej i skierować się na północ, ku granicy. Lecz to byłoby zbyt proste. Tego właśnie spodziewać się będzie Fishhook.

Ponadto istniał jeden jeszcze problem: natrętna myśl, obsesyjna wątpliwość: czy naprawdę musi uciekać?

Pięć osób w ciągu ostatnich trzech lat, od chwili ucieczki Godfreya Stone’a; czyż może to stanowić jakikolwiek dowód?

Idąc spiesznym krokiem w stronę wind, roztrząsał kwestie raz jeszcze. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie czas na wątpliwości, że słusznie czyni podejmując decyzję natychmiastowej ucieczki. Lecz racja mieściła się w kategoriach rozumu, a wątpliwości w sferze uczuć.

Jednego był pewien. Nie chce uciekać od Fishhooka, chce być tutaj, chce robić to co robił dotąd, nie pragnie porzucać swego zajęcia.

Lecz ta kwestia była już rozstrzygnięta, rozwiązana wiele, wiele miesięcy wcześniej, wtedy, gdy podjął decyzje, że gdy nadejdzie czas, zniknie. Bez względu na to, jak bardzo chciałby pozostać, porzuci wszystko i odejdzie.

A to z powodu Godfreya Stone’a i jego ostatniego, desperackiego telefonu. Rozmowy telefonicznej, w której Godfrey nie prosił wcale o pomoc, a ostrzegał:

- Shep - Stone oddychał ciężko jak po wyczerpującym biegu - Shep, posłuchaj mnie i nie przerywaj. Jeżeli kiedykolwiek staniesz się obcym, zwiewaj. Nie czekaj ani minuty. Po prostu natychmiast pryskaj. I to jak najdalej i najszybciej jak potrafisz.

Trzask odkładanej słuchawki po drugiej stronie zakończył te rozmowę. Blaine pamięta, że długo jeszcze trzymał głuchy aparat w zaciśniętej dłoni.

- Dobrze, Godfrey - odparł w końcu w cisze mikrofonu. - Dobrze, będę pamiętał. Ani słowa więcej.

Blaine nigdy już nie usłyszał o Godfreyu Stone.

„Gdybyś stał się obcy”, rzekł wówczas Godfrey Stone. I tak się rzeczywiście stało. Zmienił się w obcego, czuł skuloną pod czaszką obcość, która czaiła się w drugiej części jego mózgu. Wiedział jak do tego doszło, jak to się stało i za czyją sprawą. Ale ci inni? Z całą pewnością nie wszyscy natknęli się na Różową Istotę odległą stąd przecież o pięć tysięcy lat świetlnych. Na ile jeszcze sposobów człowiek może stać się obcym?

Fishhook zrozumie natychmiast, że on - Blaine - ma odmienioną świadomość. Pojmie to natychmiast po odczytaniu taśm. I nie istnieje sposób, by temu zapobiec. Pochwycą Blaine’a i przyślą szperacza, bo jakkolwiek taśmy powiedzą im, że jest obcy, to tylko na ich podstawie nie będzie można stwierdzić jak to się stało ani w jakim stopniu został odmieniony. Szperacz okaże się - jak zawsze uprzedzająco grzeczny, wręcz współczujący, ale zrobi wszystko by wyciągnąć intruza na światło dzienne i poznać, kim naprawdę jest.

I bez względu na to, jak szczelnie Blaine zamknąłby swój umysł, szperacz z łatwością dotrze wszędzie tam, gdzie tylko zechce.

Blaine podszedł do windy i nacisnął taster wzywający kabinę. Ale wtedy właśnie otworzyły się jedne drzwi w korytarzu.

- Oh, to ty, Shep! - wykrzyknął mężczyzna, który pojawił się w progu. - Słyszałem, że ktoś nadchodzi. Byłem strasznie ciekaw, kto to taki.

- Właśnie wychodzę - odparł Blaine, rozglądając się wokół gorączkowo.

- Wpadnij do mnie na chwile - Kirby Rand wykonał zapraszający ruch ręką. - Miałem właśnie zamiar otworzyć butelkę.

Blaine zdał sobie sprawę, że nie ma czasu na wahanie. Albo

wyrazi zgodę na drinka, albo musi zdecydowanie odmówić. Odmowa może jednak wzbudzić podejrzenia Randa. A podejrzenia to jego specjalność. Rand jest szefem ochrony Fishhooka.

- Doskonale - Blaine starał się nadać swemu głosowi najbardziej beztroski ton, na jaki go było stać. - Ale tylko na jednego szybkiego. Rozumiesz, dziewczyna... nie chce, by czekała.

Miał nadzieje, że ta wymówka pozwoli mu uniknąć zaproszenia na wspólną kolacje lub wypad do kabaretu.

Podjechała przywołana winda, lecz Blaine udał, że jej nie dostrzega. Bo i cóż miał zrobić innego? Ale była to jednak cholerna zwłoka...

W pokoju Rand ujął go przyjacielskim gestem za ramiona.

- Jak podróż?

- Normalnie.

- Byłeś gdzieś daleko?

- Około pięciu tysięcy.

- Głupie pytanie - Rand potrząsnął głową. - Teraz latacie tylko daleko. Skończyliśmy z krótkimi wypadami. A za sto lat... za sto lat będziemy latać na dziesięć tysięcy. Albo dwadzieścia.

- To już nie robi żadnej różnicy. Skoro tylko znajdziesz się w przestrzeni, odległość przestaje być problemem. Chyba, że się zejdzie z kursu. Można wtedy złapać niezłe opóźnienie: pół galaktyki... Ale wątpię osobiście czy taka przygoda mogłaby się przytrafić.

- Chłopcy od teorii sądzą przeciwnie - roześmiał się Rand i pożeglował w stronę biurka, na którym stała nie napoczęta butelka. Zdjął kapsel.

- Wiesz, Shep - odezwał się podnosząc głowę znad butelki. - To jest fantastyczna robota. Może czasami podchodzimy do tych podróży zbyt sztampowo, przez co to wszystko staje się nieco monotonne. Niemniej tkwi w tym wszystkim masa fantazji.

- I tak zaczęliśmy podróżować zbyt późno - odparł Blaine oglądając paznokcie - za długo nie braliśmy w rachubę wszystkich własności człowieka. Bo było to zbyt fantastyczne. Bo nie byliśmy w stanie uwierzyć w nasze możliwości. A one tkwiły w nas zawsze. Już starożytni znali je, ocierali się o nie. Lecz nie rozumieli tego i traktowali je jak czary lub magie.

- Większość ludzi uważa tak do dzisiaj - odparł szybko Rand, a po twarzy przeleciała mu chmura. Postawił na biurku dwie szklanki. Wyjął z lodówki kostki lodu. Nalał hojnie porcje.

- No, to wypijmy - wręczył Blaine'owi szklankę. Sam usiadł za biurkiem. Obrzucił Blaine'a karcącym wzrokiem.

- Na co czekasz? Siadaj! Nie musisz się tak okropnie spieszyć. A picie na stojąco traci cały urok. Blaine usiadł, a Rand wyciągnął się w fotelu kładąc nogi na biurku.

Pozostało już nie więcej niż dwadzieścia minut!

Blaine, lekko zgarbiony nad szklanką, w sekundzie milczenia, które zapadło nim Rand zaczął ponownie mówić odniósł wrażenie, że słyszy puls tego gigantycznego organizmu jakim był Fishhook. Zupełnie jakby to była żywa istota spoczywająca w bezruchu na łonie matki-Ziemi w spowitym mrokiem nocy północnym Meksyku; istota posiadająca serce, płuca i tętniące krwią aorty.

- Wy, chłopaki, macie fajną zabawę - odezwał się Rand zabawnie marszcząc nos. - Czasami aż wam zazdroszczę.

- Wykonujemy swoją prace - ostrożnie odparł Blaine.

- Byłeś dziś pięć tysięcy lat świetlnych stąd. A to już mówi samo za siebie.

- Z pewnością masz racje - zgodził się Blaine. - Możemy przynajmniej zobaczyć na własne oczy, jak tam jest. Ale tym razem było jeszcze lepiej... Wiesz, wydaje mi się, że spotkałem życie...

- Opowiedz... - żywo zainteresował się Rand.

- Niewiele jest do opowiadania - wzruszył ramionami Blaine. - Rzecz odkryłem w chwili, gdy mój czas się kończył. Nic nie zdążyłem zrobić. Musiałem wracać do domu. A swoją drogą, moglibyście coś dla nas zrobić...

- Uhumm - Rand skrzywił się lekko.

- Powinniście zostawić nam więcej inicjatywy, a przede wszystkim limit czasu nie może być tak sztywno ustalany. Trzydzieści godzin! Raz trzymacie tam człowieka, choć mógłby z powodzeniem wracać już po godzinie, kiedy indziej znów - jak mnie dzisiaj - wyrywacie z powrotem w chwili, gdy potrzebuje tego czasu więcej. Rand wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Tylko nie mów, że nie możecie tego zrobić z przyczyn technicznych - napierał Blaine. - Nie udawaj, że to niemożliwe. Fishhook ma specjalistów na pęczki, posiada stosy ultranowoczesnej aparatury...

- Oh, z pewnością - odrzekł niedbale Rand. - Ale my lubimy mieć wszystko pod ścisłą kontrolą.

- Boicie się, by ktoś nie nawiał? - wykrzyknął ironicznie Blaine.

- Chociażby.

- Po co? Tam przecież nie jest się człowiekiem. Jest się tylko nagim umysłem uwięzionym w niezwykle skomplikowanej maszynie.

- Wolimy tak, jak jest - uciął Rand. - No, a poza tym wy, chłopaki, jesteście cenni. To również musimy brać pod uwagę. Bo co na przykład zrobisz, jeśli tam, piec tysięcy lat świetlnych od domu, przydarzy ci się wypadek? Co będzie, jeśli stracisz kontrole nad maszyną? Jesteś dla nas stracony. A tak to wszystko idzie automatycznie. Wysyłamy was, a po pewnym, z góry określonym czasie, automaty ściągają was z powrotem. Mamy przynajmniej pewność, że wrócicie.

- Zbyt wysoko nas cenisz - sucho odparł Blaine.

- To niezupełnie tak - dodał szybko Rand. - Czy wiesz, ile w was zostało zainwestowane? Czy zdajesz sobie sprawę, ilu musimy przesiać, by wybrać jednego? Kogoś, kto jest zarówno telepatą i teleporterem szczególnego rodzaju, kogoś o tak zrównoważonym umyśle, że podoła psychicznie presji tego wszystkiego, na co się może natknąć. 1 w końcu rzecz niebagatelna: kogoś, kto jest gotów dochować wiary Fishhookowi.

- Kupujecie naszą lojalność. Nie spotkasz wśród nas nikogo, kto uskarżałby się na brak pieniędzy.

- To akurat nie jest żadna wada - roześmiał się Rand. - Poza tym wiesz doskonale, że nie o tym mówię.

A ty - rzucił w myśli Blaine pod adresem Randa - a ty, jakie masz kwalifikacje na ochroniarza. Tu potrzebny jest sprawny szperacz. Gdybyś sam posiadał naturalne predyspozycje na szperacza, nie zatrudniałbyś innych. - A na głos powiedział: - Ale ja w dalszym ciągu nie widzę powodów, dla których nie chcecie dać nam czasu wedle własnego uznania. Moglibyśmy przecież...

- A ja nie widzę powodu, byś tak się tym gryzł - odparł pogodnie Rand. - Wróciłeś dopiero co na swoją drogocenną planetę, ale zawsze możesz powrócić tam, skąd przybyłeś.

- Oczywiście, że wrócę - odrzekł Blaine i dopił do końca whisky. Odstawił pustą szklankę na biurko. - Okay, musze już zmykać. Wielkie dzięki za drinka.

- Okay, skoro musisz, nie zatrzymuje. Wpadniesz jutro?

- O dziewiątej rano. Na analizę.

IV

Blaine przekroczył ogromny, zdobiony wymyślnym zwieńczeniem łuk bramy wyjściowej, wyprowadzającej na rozległy plac. Zawsze, ilekroć wychodził tedy o tej porze roku, przystawał dłużej, sycąc się urokiem miejsca. Uliczne latarnie lśniły tęczowymi kulami blasku, a liście na okalających plac drzewach drżały lekko w podmuchach morskiej bryzy pełnej zapachu soli, ryb i wodorostów. Po chodnikach sunęły postacie przechodniów, niczym ulotne niematerialne zjawy. Samochody z cichym świstem atomowych silników mknęły jezdnią, pozostawiając za sobą barwne smugi światła. Lekka mgiełka spowijała cały plac, tworząc jedyny w swoim rodzaju, czarodziejski klimat pogodnego, jesiennego wieczoru.

Dzisiaj jednak Blaine nie przystanął swoim zwyczajem, choć wieczór był wyjątkowo piękny i sprzyjający zadumie. Nie miał po prostu czasu. Pozostało mu zaledwie osiem minut; osiem wszawych minut.

Gdy dotarł do zaparkowanego nie opodal auta i ta rezerwa czasu się skończyła. Nie mógł już skorzystać z pojazdu. Postanowił go zostawić. Stojąc przy bezużytecznym już samochodzie, zastanawiał się chwile nad dziwnym spotkaniem z Kirby Randem. Czemu właśnie dziś, czemu właśnie tego wieczoru Rand otworzył te cholerne drzwi proponując drinka?

Blaine czuł trudny do sprecyzowania niepokój. Ta rozmowa, ta dziwna, nieoczekiwana rozmowa z Randem. Zupełnie jakby tamten coś podejrzewał, ostrzegał, jakby zdawał sobie sprawę z pośpiechu Blaine'a i bawił się z nim, jak kot z myszą, kradnąc świadomie tak cenne dla Blaine'a minuty. No, było i minęło - pocieszył się szybko Blaine. Po prostu przypadek, czysty przypadek, który, na szczęście, nie okazał się zgubny w skutkach. Wręcz przeciwnie: gdyby Blaine dysponował większą rezerwą czasową, uciekałby samochodem, ułatwiając tym samym Fishhookowi pościg. A tak, zmuszony do pozostania w mieście, wy-

bierze inny, znacznie lepszy wariant zmylenia pogoni. Potrzebuje tylko dziesięciu minut.

Odwrócił się na piecie i pomaszerował raźnym krokiem w dół ulicy, zostawiając za sobą zaparkowany samochód.

Dajcie mi jeszcze dziesięć minut, jedynie dziesięć minut - powtarzał jak w żarliwej modlitwie. Potrzebował tego czasu. Jeśli mu go los podaruje, istnieje tuzin miejsc, gdzie może się ukryć. Tam odetchnie, spokojnie przemyśli sytuacje, ustali plan działania. Bo na razie, pozbawiony samochodu, oszołomiony lawiną niespodziewanych zdarzeń, nie miał żadnego planu.

Był świecie przekonany, że jeśli nie spotka kogoś, kto go rozpozna, będzie miał owe dziesięć minut.

Szedł szybkim krokiem, czując jednocześnie, jak narasta w nim napięcie przeradzające się powoli w strach, w obłędny lek zalepiający gęstą pianą czaszkę. W ułamku sekundy skonstatował, że to nie jest jego strach. To nie było w ogóle ludzkie uczucie. Było to czarne jak otchłań, obce, skowyczące przerażenie, które legło się w umyśle wepchniętym w czaszkę Blaine'a. W umyśle, który nie potrafił już dłużej bronić się przed grozą tej nowej, obcej planety i nie chciał być dłużej wciśnięty w mózg człowieka. W umyśle, który nie był w stanie stawić czoła obcemu światu, zupełnie dlań niepojętemu.

Pierwszym odruchem Blaine'a była próba psychicznego zapanowania nad intruzem, uspokojenia go, uciszenia. Ale już nie był w stanie rozdzielić tej pary umysłów - swego i obcego - zlanych jakby w jedno, złączonych ze sobą w jakiś przedziwny sposób, skazanych na dzielenie wspólnego losu.

Wtedy, pod wpływem dzikiego impulsu płynącego z obcej świadomości, opanowany bezrozumną trwogą, Blaine pognał przed siebie. Był już o krok od szaleństwa, lecz ostatkiem sił zdołał się opanować. Przystanął. Oddychał ciężko, a przed oczyma wirowały mu barwne kręgi. Zawrót głowy. Zachwiał się i wyciągając na oślep ręce, trafił dłońmi na rosnące na skraju chodnika drzewo. Objął ramionami gruby pień, przytulił do niego rozpalony policzek, jakby samo zetkniecie twarzy z czymś ziemskim mogło przynieść ulgę, wzmocnić nadwątlone siły człowieka.

Długo obejmował ramionami drzewo. Nie wolno pozwolić sobie na panikę. Nie wolno zwracać na siebie uwagi. Nie wolno dać się tak bez reszty opanować oszalałemu ze strachu obcemu umysłowi.

Przerażenie stopniowo malało, a intruz, jak zbity pies, odpełzał do swojej dziury w najgłębszych zakątkach czaszki człowieka, by tam lizać swe rany. Był po prostu żałosny.

- W PORZĄDKU. ZOSTAŃ TAM GDZIE JESTEŚ - odezwał się do niego Blaine. - Nie denerwuj się. Zostaw wszystko mnie. Ja się wszystkim zajmę.

Blaine powiedział to, gdyż zrozumiał, że obcy starał się zbiec, próbował wyrwać się na wolność. Ale gdy to mu nie wyszło, cofnął się w bezpieczne zakamarki swego wiezienia - azylu.

Dość tego - skarcił siebie Blaine, potrząsając w zamyśleniu głową. Nie mogę sobie pozwolić na jeszcze jeden, podobny wyskok. Jeśli on mnie znowu opęta, nie wytrzymam. Zacznę gnać na oślep i wyć. I to będzie naprawdę mój koniec.

Dopiero teraz puścił zbawczy pień drzewa. Jeszcze długą chwile stał chwiejnie na miękkich, niczym z waty nogach. Nawilgła potem koszula lepiła się do ciała, nieprzyjemnie ziębiła skórę, wywołując dreszcze. Oddychał ciężko, jak po długim, wyczerpującym wyścigu, jakby płuca wypełniał mu płynny ołów.

Jak mogę uciec, jak mogę znaleźć kryjówkę? - zapytywał samego siebie. Jak mogę uciekać mając cały czas w sobie tego małpiszona? Sytuacja jest wystarczająco paskudna dla mnie samego, a tu jeszcze musze wlec za sobą to przerażone, skamlące stworzenie.

Nie było jednak sposobu, by się pozbyć balastu, wytrząsnąć z mózgu obcą świadomość. Obaj byli skazani na siebie i Blaine, we własnym już interesie, musiał działać tak, jakby ów upiorny bagaż nie istniał. Ruszył przed siebie, pozostawiając drzewo daleko w tyle. Szedł teraz o wiele wolniej, jakby pod stopami miał nie wygładzone płyty trotuaru, lecz miałki i grząski piach. Był zmęczony i głodny. Wszak poza tą szklanką mleka po powrocie, od ponad trzydziestu godzin nie miał nic w ustach. A chociaż jego ciało przez cały ten czas spoczywało w najgłębszym, niczym nie zakłóconym śnie, to jednak trwało to trzydzieści godzin.

Wlókł się z głową opuszczoną nisko na piersi, pełną ponurych myśli. Szedł bez celu, bez żadnego konstruktywnego planu. Mijały go w szaleńczym pędzie limuzyny znaczące drogę barwnymi pasmami. Docierał do jego uszu szum poduszek powietrznych i niski pomruk nuklearnych silników. Zatopiony w posępnych myślach Blaine nie zwracał na to uwagi. Podniósł twarz dopiero wtedy, gdy jedno z aut wyskoczyło naraz z pędzącego sznura pojazdów i zatrzymało się przy krawężniku, tuż przed nim.

- Shepf Shep, co za szczęście! - z auta wychyliła się roześmiana twarz mężczyzny. - Shep, właśnie cie szukałem i miałem nadzieje, że w końcu cie dopadnę.

Blaine'a ogarnęła nagła panika, gdyż poczuł, że przerażony stwór znów zaczyna brać w nim górę. Z najwyższym wysiłkiem zapanował nad intruzem, wpychając go w najgłębsze zakamarki czaszki.

- Freddy, kopę lat! - siląc się na spokój zawołał prawie normalnym głosem.

Był to Freddy Bates, osobnik bez określonego zawodu i statusu społecznego. Blaine jednak był najgłębiej przekonany, iż Bates reprezentuje nieoficjalnie jakąś osobistość lub firmę; zresztą prawie każdy w tym mieście okazywał się być w końcu czyimś agentem lub reprezentantem. Freddy otworzył drzwiczki samochodu.

- Wsiadaj - wykrzyknął. -Jedziemy na przyjęcie!

To będzie właśnie to - błysnęło w głowie Blaine'owi. - To właśnie jest najlepszy sposób na zmylenie tropu i wymkniecie się z sieci zastawionej przez Fishhooka. Poszukującym go agentom nawet za milion lat nie wpadnie do głowy szukać go właśnie na głośnym w całym mieście party. Poza tym była to wyśmienita okazja do dyskretnego wsiąknięcia w tłum i ulotnienia się. Będzie tam z pewnością masa osób i nikt nawet nie zauważy kiedy i gdzie Blaine zniknie. Na pewno znajdzie jakiś gotowy do jazdy samochód z kluczykami w stacyjce. No i znajdzie tam jedzenie, dużo jedzenia.

- Pospiesz się - przynaglał Freddy. - Pospiesz się, Charline czeka na nas.

Blaine wśliznął się już bez wahania do wnętrza pojazdu. Trzasnęły zamykane drzwiczki i po chwili samochód włączył się w nurt pędzących środkiem jezdni aut.

- Mówiłem Charline - paplał Freddy - że przyjęcie nie może odbyć się bez jakiejś duszy od Fishhooka. Dobrowolnie zaoferowałem się dostarczyć jakąś szychę...

- Ależ ja nikim takim nie jestem - roześmiał się Blaine.

- Jesteś, jesteś. Jesteś jeszcze ciekawszy - żarliwie zapewniał Freddy. - Jesteś badaczem, masz masę do opowiadania...

- Wiesz, że nigdy nie opowiadamy...

- Wiem, wiem, tajemnica - Freddy klepnął go w kolano.

- Takie mamy przepisy - bąknął Blaine.

- I słusznie. Nasze miasto jest tak rozplotkowane... Ale to głównie wasza wina. Sami stwarzacie wokół siebie aurę tajemniczości i sekretów. Ludzie tego nie lubią, ludzi to denerwuje, podnieca ich ciekawość, powoduje tyle szumu i komentarzy. Tyle plotek...

- W dodatku nieprawdziwych lub monstrualnie przesadzonych.

- Raczej to drugie - pokiwał głową Freddy.

Blaine nic nie odrzekł. Siedział wtulony w siedzenie i wyglądał przez okno. Patrząc na mijane ulice pełne światła, zgiełku i ruchu, co chwile wznosił odruchowo oczy wyżej, ku górującemu nad miastem posępnemu kompleksowi Fishhooka. Ponownie - któryż to już raz - zdumiał się, że po tylu latach tam spędzonych wciąż jeszcze nie potrafił opanować wzruszenia na myśl o znaczeniu i baśniowej wręcz potędze tego miejsca.

Bo tutaj, właśnie tutaj, znajduje się rzeczywista stolica Ziemi - myślał Blaine. Tu bowiem - u Fishhooka - leży cała nadzieja i przyszłość świata, tu bierze początek nić łącząca Ziemie z Kosmosem.

A on, Blaine, opuszcza to miejsce. Absurdalne i przerażające, że właśnie on, z całą swą miłością i bałwochwalczym wprost uwielbieniem dla tego miejsca, z całą wiarą i czcią, którymi je otaczał, musi uciekać stąd jak wypłoszony zając.

- Co wy z tym wszystkim robicie? - dobiegł go z półmroku głos Freddy'ego.

- Z czym?

- Z tą całą wiedzą, pomysłami, koncepcjami, które przywozicie stamtąd?

- Nie wiem - odparł krotko Blaine.

- Całe zastępy naukowców głowią się z pewnością nad tym. Technologowie usiłują opracować rozwiązania i wdrożyć je do produkcji. Jak daleko - ty i tobie podobni - wyprzedzacie nas wszystkich? Milion lat?

- Kierujesz się pod niewłaściwy adres - burknął Blaine. - Nie znam się na tym. Po prostu wykonuje swoją prace. Jeśli mówiąc to chcesz mnie dotknąć...

- Nie gniewaj się, Shep. Ale właśnie ten problem mnie nurtuje.

- Ciebie i miliony innych - kwaśno odparł Blaine.

- Postaraj się jednak spojrzeć na to z mojego punktu widzenia - odezwał się poważnie Freddy. Jestem całkowicie poza Fishhookiem. Nawet tam nie zaglądam, choć już tyle lat żyje w jego cieniu. Ale widzę przecież tego kolosa, ten wzór ludzkiej doskonałości, niedościgłych i niewyobrażalnych zamierzeń. I po prostu wam zazdroszczę; zazdroszczę tego, że to wy tam jesteście, a nie ja. Czuje sie upośledzony, odsunięty na boczny tor, jestem obywatelem drugiej kategorii. To tyle ja. A inni? Czy dziwisz się, że tak was nienawidzą?

- Nienawidzą? Naprawdę?

- Shep! - żarliwie wykrzyknął Freddy. - W jakim ty świecie żyjesz? Rozejrzyj się tylko wokół...

- Nie musze. Wiem wystarczająco dużo. Pytam tylko: czy naprawdę Fishhook jest tak znienawidzony?

- Sądzę, że tak - odparł w zamyśleniu Freddy kiwając głową. - Tutaj, w mieście, może nie. Tu panuje moda na Fishhooka, wszystko się tutaj kreci wokół niego. Ale dalej, na prowincji... Ludzie naprawdę boją się Fishhooka. Nienawidzą go, i wszystkiego, co ma z nim jakikolwiek związek.

Blaine nie odrzekł nic. Zapatrzył się w okno. Ulice pustoszały powoli, gasły światła, zmniejszał sie ruch. Jeszcze tylko centrum usługowe i handlowe kipiało życiem.

- Kto będzie u Charline?

- Jak zwykle masa ludzi - wzruszył ramionami Freddy. - Ogród zoologiczny... ona jest zwariowana. Można tam spotkać właściwie każdego. Straszna zbieranina.

- Rozumiem - mruknął Blaine i zamilkł, gdyż obcy znów drgnął w jego umyśle; senny, niemrawy ruch.

- WSZYSTKO OKAY - mruknął do niego Blaine. - SIEDŹ SPOKOJNIE I ŚPIJ. WSZYSTKO IDZIE JAK TRZEBA.

Freddy skręcił z głównej autostrady w boczną, zacienioną aleją. Jechali teraz głębokim kanionem. Wyraźnie pochłodniało. Szumiały drzewa. Roznosił się zapach sosnowej żywicy.

Auto skręciło gwałtownie biorąc ostry wiraż i na wysokiej, skalistej skarpie ukazał się przed nimi rzęsiście oświetlony dom; nowoczesne pueblo przylepione do urwiska niczym jaskółcze gniazdo.

- No, dobiliśmy do portu - sapnął z zadowoleniem Freddy wyłączając silniki.

V

Pomimo stosunkowo wczesnej pory, przyjęcie było już niezwykle ożywione. Cały dom wypełniał trudny do zniesienia hałas: dźwięki muzyki, szum rozmów, szuranie dziesiątków stóp, głośne wybuchy śmiechu. Jak wszystkie tego typu imprezy w mieście, bankiet bardzo szybko przekształcił sie w jarmark jałowych spekulacji, plotek i błahego paplania. Mimo otwartych na oścież okien, przez które napływało z kanionu chłodne, żywiczne powietrze, panował tu ciężki zaduch dymu papie rasowego wymieszanego z zapachem kanapek, perfum, alkoholu i ludzkiego potu.

Herman Dalton, rozparty niedbale w fotelu, wyciągnął nogi na całą ich długość. W kąciku ust tkwiło mu ogromne cygaro, włosy miał lekko zwichrzone, a wąsy sterczały mu czupurnie jak twarde włosie nowej szczoteczki do zębów.

- Mówię panu, Blaine - dudnił. - To musi się skończyć. Już nadszedł czas. Fishhook musi zacząć sie liczyć z prawami obowiązującymi w świecie biznesu. To musi się skończyć, powtarzam, albo wszystko diabli wezmą. Już teraz my, biznesmeni, jesteśmy przez Fishhooka przyparci do muru.

- Panie Dalton - odezwał się znużonym głosem Blaine. - Jeśli już chce pan koniecznie o tym mówić, to proszę o jakieś konkretne przykłady. Mimo że pracuje u Fishhooka, nie znam się na interesach.

- Fishhook wchłania nas - odparł ze złością Dalton. - Pozbawia dochodów, burzy doskonały system umów społecznych, budowany z takim mozołem przez stulecia. Lamie całą, tak pieczołowicie tworzoną strukturę handlową. Rujnuje nas powoli i systematycznie. Nie wszystkich od razu, lecz powoli, kolejno, jednego po drugim. Weź pan, na przykład, plantacje mięsne. Toż to korsarstwo. Każdy sobie sieje i czeka aż mu wyrośnie. Potem tylko wykopuje, jakby to były kartofle, a nie najwyższej klasy proteiny...

- ...dzięki czemu miliony ludzi po raz pierwszy w swoim życiu mogą bez ograniczeń jeść mięso wpadł mu w słowa Blaine. - Przedtem, dzięki waszemu doskonałemu systemowi umów społecznych i zasad etycznych, ludzi nie stać było na to, by codziennie jeść mięso.

- Ale co w takim razie z farmerami? - wykrzyknął czerwieniejąc Dalton. - Co z organizatorami rynku mięsnego, nie mówiąc już o producentach opakowań?

- Podejrzewam, że bardziej by wam pasowało, panie Dalton, aby ziarno otrzymywały wyłącznie supermarkety lub potężni farmerzy. Aby to oni właśnie sprzedawali je po dolarze lub półtora za sztukę, a nie Fishhook, który bierze za całą paczkę dziesięć centów. To zachowałoby naturalną konkurencje handlową i zapewniłoby wam pokaźny zysk ekonomiczny. Tylko, że w takim przypadku miliony ludzi...

- Pan mnie nie rozumie. Biznes jest najżywotniejszym komponentem naszego społeczeństwa. Zniszcz pan biznes, a zniszczysz samego Człowieka.

- Bardzo w to wątpię.

- Ależ cała historia naszej cywilizacji i naszego gatunku udowadnia niepodważalną role handlu. To on stworzył świat takim, jaki jest dzisiaj. To dzięki niemu odkryto nowe lądy, to on zrodził odkrywców, wzniósł fabryki...

- Tak, tak, tak. Znam to wszystko. Pan, panie Dalton, jest bardzo oczytany w historii! - wykrzyknął ironicznie Blaine.

- Prawda? - rozpromienił się biznesmen. - W historii jestem wprost rozkochany.

- W takim razie wie pan z pewnością, iż wszystkie koncepcje, instytucje czy wierzenia przeżywają się. Na tym właśnie polega ewolucja i na tym zasadza się historia. Świat, panie Dalton, rozwija się, idzie naprzód, a ludzie - wraz ze stosowanymi przez siebie metodami działania - ulegają stałym przemianom. Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że biznes, jakim go pan pojmuje, przeżył się? Biznes spełnił swe historyczne zadanie, a świat poszedł naprzód. Biznes jest już martwy, jak ptak dodo...

Dalton podskoczył jak oparzony, cygaro zafalowało mu gwałtownie w ustach. Twarz nabrzmiała, na skroniach wystąpiły żyły, a szczoteczka wąsów zjeżyła się.

- Na Boga, Blaine! - wykrzyknął. - Pan oszalał albo stroi ze mnie żarty. Czy tak sądzi Fishhook?

- Nie, to moje prywatne zdanie - odparł sucho Blaine. - Nie mam najmniejszego pojęcia co w tej materii sądzi Fishhook. Nie należę do Zarządu.

I tak jest zawsze - pomyślał z goryczą Blaine. - Nieistotne gdzie i z kim rozmawiasz. Tak jest zawsze. Zawsze znajdzie się obok ktoś, kto zacznie to cholerne podpytywanie o sekrety Fishhooka, jego plany, opinie, zamierzenia i ostatnie osiągnięcia. Jak stado sepów, jak stado ścierwojadów, jak banda hien, jak cały tłum podglądaczy. Wszędzie ta małpia ciekawość, niezdrowa sensacja, podejrzliwość i plotki.

To miasto było siedliskiem intryg, szeptów, plotek, pomówień, ścierających się ze sobą interesów. Pełne tajnych agentów i szpicli najróżniejszych związków, firm, koncernów, korporacji, partii politycznych i grup przemysłowców. A ten tutaj, siedzący naprzeciw Dalton - Blaine mógłby się założyć - przybył z całą pewnością na czele delegacji reprezentującej wielki biznes, w celu zaprotestowania przeciw jakimś pociągnięciom Fishhooka.

Dalton milczał, zaciągając się mocno cygarem. Nagle pochylił się do przodu i zajrzał Blaine'owi prosto w oczy.

- Mówił pan, że nie jest w Zarządzie - odezwał się z lekkim uśmiechem. - Zgoda. O ile pamiętam, przedstawiono mi pana jako badacza, czy tak?

Blaine potakująco skinął głową.

- To znaczy, że wychodzi pan w przestrzeń i leci do gwiazd?

- Może byśmy jednak zmienili temat, panie Dalton?

- Zatem jest pan dewiatem.

- Wiem, że stać pana, by tak mnie nazwać. Chciałbym jednak zaznaczyć, iż w kulturalnym towarzystwie nie używa się raczej tego określenia.

Uczucie wstydu było jednak Daltonowi obce.

- Jak tam jest?

- Już mówiłem, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Latacie tam samotnie, czy grupami?

- No dobrze. Nie jestem sam. Mam ze sobą taśmy.

- Taśmy? - brwi Daltona uniosły się.

- Komplet zminiaturyzowanych urządzeń badawczo-pomiarowych, które wykonują badania i rejestrują wszelkie dane.

- Ale w tym urządzeniu jest pan?

- Nie, do cholery. Mówię przecież, że biorę to ze sobą. Tak, jak pan jakąś niewielką torbą.

- Aha, pański umysł i to urządzenie.

- Tak, zgadza się. Mój umysł i to urządzenie - odparł kąśliwie Blaine.

- Rozumiem - odrzekł poważnym głosem Dalton. - Dzięki za informacje. Blaine nie zadał sobie trudu, by cokolwiek odpowiedzieć.

Dalton wyjął z ust cygaro i pomrukując z cicha, kontemplował je dłuższą chwile. Cześć cygara, którą trzymał w wargach, była obrzydliwie przeżuta i zwisały z niej groteskowo pasma zaślinionego tytoniu. Po chwili włożył cygaro ponownie do ust i zaczął intensywnie ssać jego końcówkę.

- Wracając do poprzedniego tematu - odezwał się po chwili głosem wyroczni - Fishhook jest w posiadaniu wielu rzeczy pochodzenia pozaziemskiego. I bardzo dobrze. Są one z pewnością bacznie strzeżone i wnikliwie badane nim trafią na rynek. W tej kwestii nie żywilibyśmy najmniejszych wątpliwości. Ale tylko w przypadku, gdyby towary te trafiały na rynek oficjalnymi kanałami. Ale tak niestety nie jest. Fishhook uzurpuje sobie wyłączne prawo do dysponowania towarami, które wy, badacze, dostarczacie mu z innych planet. Towary te są następnie rozprowadzane za pośrednictwem stworzonej przez Fishhooka sieci specjalistycznych agend, nazwanych, o ironio, Punktami Handlowymi. Zupełnie, jakby handlował z bandą dzikusów w dawnych, kolonialnych czasach.

- Widocznie ktoś u Fishhooka, dawno, dawno temu, miał poczucie humoru - zachichotał Blaine.

- I tak drobiazg za drobiazgiem - wściekał się Dalton - stopniowo, krok za krokiem, rujnujecie nas. Z każdym rokiem Fishhook staje się coraz poważniejszą konkurencją w handlu chodliwymi towarami. Niszczy nas swoją działalnością. A to są metody po prostu gangsterskie. Słyszałem ostatnio, że chce udostępnić do powszechnego użytku nowy system transportu. Czy pan sobie wyobraża skutki, jakie to pociągnie za sobą?

- Podejrzewam, że wyeliminuje przestarzałe metody tradycyjnego przewozu, jak również większość istniejących obecnie linii lotniczych - odparł niedbale Blaine.

- No właśnie. Żadna tradycyjna forma transportu nie ma szans równać się z systemem teleportacyjnym.

- Cóż mogę panu radzić w tej sytuacji? Rozwiń pan własny system teleportacji. Mógł pan dokonać zresztą tego dużo wcześniej. Istnieje wiele osób poza Fishhookiem, znających się na tym i potrafiących pokazać panu jak to się robi.

- Wariaci! - prychnął Dalton.

- Nie ma pan racji, Dalton. To nie wariaci. To tylko ludzie o paranormalnych możliwościach. Tacy właśnie wariaci stworzyli dzisiejszą potęgę Fishhooka, na którą tak pan narzeka. Fishhook po prostu w stosownym czasie potrafił wykorzystać ich zdolności. Te same, którymi pan, i ludzie pańskiego pokroju, gardzili.

- Po prostu liczyliśmy się z opinią publiczną.

- Opinia publiczna! - Blaine parsknął szyderczo. - Znam to doskonale, panie Dalton. Co ma do tego opinia publiczna? Dawno już chyba minęły czasy, kiedy ludzi krzyżowano za zdolności paranormalne.

- Hmm, ogólny klimat potępienia moralnego wstrzymywał nas...

- Aha, trele-morele - Blaine lekceważąco machnął dłonią przed nosem Daltona. Przemysłowiec ponownie wyjął z ust cygaro i oglądał je z wyrazem niesmaku na twarzy. Po chwili powolnym, odmierzonym ruchem zgniótł niedopałek w wielkiej donicy z kwiatem. Przeżuty koniuszek cygara sterczał groteskowo z ziemi. Dalton poprawił się w fotelu, zaplótł dłonie na brzuchu i wlepił wzrok w sufit.

- Panie Blaine - odezwał się po chwili.

- Tak, słucham.

- Pan jesteś człowiekiem niezwykle bystrym, by nie rzec inteligentnym. Przekonał mnie pan w niektórych aspektach spraw, o których mówiliśmy.

- Zawsze do usług - schylając ironicznie głowę, odparł Blaine.

- Ile pan zarabia u Fishhooka?

- Wystarczająco.

- Dobra, dobra, pieniędzy nigdy dość. Nie spotkałem nikogo, kto miałby ich za wiele.

- Jeśli chce mnie pan kupić, toś trafił pan kulą w płot.

- Nie chce wcale kupować. Chce pana wynająć. Żebyś był pan i u mnie, i Fishhooka. Zna pan wielu ludzi, a biorąc pod uwagę pańskie doświadczenie i zdolności byłby pan dla nas wręcz bezcenny. A jeśli idzie o wyna...

- Pan wybaczy - przerwał mu bezceremonialnie Blaine. - Sądzę, że absolutnie nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Zresztą w obecnym układzie nie przydałbym się panu na nic. Proszę mi wierzyć.

Był już na tym przyjęciu godzinę. Zjadł, wypił, pogawędził z Daltonem; zbyt dużo czasu zresztą mu poświecił. Musi zniknąć. Musi stąd wyjść, zanim wieść o jego pobycie u Charline dotrze do Fishhooka.

Usłyszał za plecami szelest materiału i czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Dobiegł go głos Charline Whittier:

- Cześć, Shep. Okropnie się cieszę, że przyszedłeś.

Blaine odwrócił głowę i spoglądając w górę zajrzał dziewczynie w oczy:

- To mnie jest miło, że nie zapomniałaś o mojej skromnej osobie. Charline zmrużyła filuternie oczy:

- Nie zapomniałam..? - zawiesiła głos.

- No nie, musze uczciwie przyznać, że to Freddy ściągnął mnie do ciebie. Ale mam nadzieje, że nie masz nic przeciwko temu.

- Och, Shep. Wiesz przecież, że jesteś zawsze u mnie najmilej widzianym gościem - jej palce zacisnęły się znacząco na jego ramieniu. - Tam jest ktoś, kto koniecznie chce cie poznać. Czy wybaczy nam pan, panie Dalton? - zwróciła się z olśniewającym uśmiechem do finansisty.

- Ależ oczywiście - odparł przedstawiciel biznesu unosząc się lekko z fotela, a dziewczyna odciągnęła Blaine’a w przeciwległy kąt pokoju.

- Postąpiłaś dość brutalnie w stosunku do tego Daltona - roześmiał się cicho Blaine.

- Spostrzegłam, co się świeci i przybyłam z odsieczą - odparła z lekkim uśmiechem. - To przerażająco nudny i ponury facet. Zupełnie nie mam pojęcia, jak tu trafił. Jestem przekonana, że wcale go nie zapraszałam.

- Kim on właściwie jest?

- Przewodniczy jakiejś delegacji handlowców - wzruszyła ramionami. - Przybyli tu po to, by wypłakać swe smutki na szerokiej piersi Fishhooka.

- Właśnie miałem okazje przekonać się, jak bardzo jego serce jest złamane.

- Piłeś już coś? - zmieniła temat Charline.

- Właśnie skończyłem drinka.

- Jadłeś? - A gdy Blaine skinął potakująco głową, dodała: - Dobrze się bawisz? Mam najnowszy model dimensino. Gdybyś miał ochotę...

- Na razie dzięki. Może potem...

- No to idź i wypij jeszcze za moje zdrowie. Musze lecieć do nowych gości. Zostaniesz dzisiaj? Już tyle czasu minęło...

- Wybacz, Charline, naprawdę. Przykro mi, ale...

- No dobrze. Nie tłumacz się - odparła cicho, bez urazy w głosie. Odwróciła się by odejść, ale Blaine zatrzymał ją.

- Charline, czy ktoś ci mówił, że jesteś najlepszą dziewczyną pod słońcem?

- Nikt. Absolutnie nikt - roześmiała się i wspinając na czubki palców musnęła go lekko ustami w policzek. - No uciekam, baw się dobrze.

Zamyślonym wzrokiem spoglądał za nią jak niknęła w pstrym tłumie gości. I znów poczuł w mózgu znajome drgniecie. Różowość dawała znać o sobie. W drgnięciu tym Blaine wyczuł nieme pytanie.

- JESZCZE CHWILĘ - odparł, spoglądając wciąż w tłum. - TO MUSI CHWILĘ POTRWAĆ. NA RAZIE NIC NIE GADAJ I NIE WTRĄCAJ SIĘ.

Obce zwinęło się i odpełzło w głąb mózgu, pozostawiając całą inicjatywę człowiekowi.

- WIESZ DOBRZE, ŻE JESTEŚMY NA SIEBIE SKAZANI. JESTEŚMY SKLEJENI - dodał po chwili. Obce było wystraszone i w każdej chwili Blaine mógł spodziewać się ponownego ataku paniki. Na razie jednak wydawało się, że intruz, jakby ufając człowiekowi, akceptuje wszystkie posunięcia Blaine’a. Ale sytuacja z całą pewnością musiała trwożyć istotę wyrwaną nagle ze swej rodzimej planety, przeniesioną z błękitnego pokoju tak daleko od domu, wtłoczoną w mózg obcego tworu, jakim bez wątpienia był dla niego Blaine.

Rozmyślając tak lawirował miedzy gośćmi wypełniającymi pokój. Obszedł dwukrotnie bar, zajrzał do sąsiedniego pomiesz-

czenia, gdzie zainstalowane było dimensino, a następnie skierował sie do foyer. W głowie kołatała mu tylko jedna myśl: jak najszybciej wydostać się z przyjęcia. Nim nastanie nowy dzień, musi już być daleko stąd albo - jeśli zostanie w mieście - tutaj wynaleźć dobrą kryjówkę.

Wyminął kilka grup plotkujących gości, pokiwał z daleka ręką znajomym. Zdawał sobie sprawę, że znalezienie odpowiedniego samochodu zajmie trochę czasu. Samochód oczywiście musi być otwarty i z kluczykami w stacyjce. Wiedział też, że może wcale takiego pojazdu nie znaleźć. I co wtedy? Uciekać w pobliskie góry i tam szukać schronienia? Zwrócić się o pomoc do Charline? Tak, Charline z pewnością pomogłaby mu. Ale dziewczyna była gadatliwa; zbyt gadatliwa, zanadto uwielbiała sensacje i tajemnice... Nie, lepiej nie mieszać do tego Charline. Nikt więcej nie przychodził mu do głowy. Miasto oplatane było bowiem siecią matactw i intryg, a Blaine zdawał sobie sprawę, że wśród jego rozlicznych przyjaciół i znajomych jest wielu, którzy zgodziliby się na popełnienie najgorszej podłości już nawet nie za przywileje u Fishhooka, lecz za najbardziej mglistą obietnice poparcia.

Wszedł do foyer. Było to jak wyjście z głębokiego lasu na niezmierzony przestwór łąki pełnej wiatru i przestrzeni. Z oddali, jak szum drzew, dobiegał go stłumiony gwar głosów, a zapach jodeł płynący przez otwarte okna przesycał powietrze.

Nagle drzwi zewnętrzne otworzyły się gwałtownie i do środka wtargnęła kobieta.

- Harriet! - wykrzyknął Blaine. - To ty? Ach prawda, powinienem się był domyśleć wcześniej, że tu przyjdziesz. Ty, która jesteś żywą kroniką tego miasta, nigdy nie zrezygnowałabyś z przyjęcia u...

Nie dokończył, gdyż w jego mózg wgryzł się ostry, telepatyczny szept dziewczyny:

- SHEP, TY OŚLE. TY ZUPEŁNY KRETYNIE! CO TY TU JESZCZE ROBISZ? (OBRAZ PRZEDSTAWIAJĄCY MAŁPĘ W BŁAZENSKIĘJ CZAPCE Z DZWONECZKAMI, NAJBARDZIEJ TYLNĄ CZĘŚĆ KOBYŁY ORAZ ŻARTOBLIWY RYSUNEK PENISA).

- Ależ Harriet...

- OCZYWIŚCIE... DLACZEGO NIE? (SZEREG PULSUJĄCYCH ZNAKÓW ZAPYTANIA). SĄDZISZ, ŻE TYLKO TY WIESZ, CO W TRAWIE PISZCZY? TAJEMNICA? ZGODA, ALE JA RÓWNIEŻ MAM DO NICH DOSTĘP. W JAKIŻ INNY SPOSÓB DOBRY DZIENNIKARZ MÓGŁBY UTRZYMAĆ SIĘ W BRANŻY? (STERTY POROZWIEWANYCH WIATREM ŚMIECI, NIE KOŃCZĄCE SIĘ KOLUMNY JAKICHŚ TABEL STATYSTYCZNYCH, OGROMNE UCHO Z PARĄ PORUSZAJĄCYCH SIĘ BEZGŁOŚNIE UST). Och, przenigdy nie opuściłabym przyjęcia u Charline - mówiła Harriet swoim słodkim, lekko śpiewnym głosem. - Gdzież indziej mogłabym spotkać tak interesujących ludzi?

- ALE TY MASZ MANIERY! - wykrzyknął telepatycznie Blaine, gdyż tylko w wyjątkowych przypadkach wolno było posługiwać się telepatią. A już nigdy w życiu codziennym.

- DO DIABŁA Z TYM - odpowiedziała Harriet. - ODSŁANIAM SWĄ DUSZĘ PRZED TOBĄ (JEGO CHARAKTERYSTYCZNA TWARZ I SPOCZYWAJĄCA NA NIEJ DROBNA, OZDOBIONA PIERŚCIONKAMI KOBIECA DŁOŃ). PRZEWRÓCILI JUŻ MIASTO DO GÓRY NOGAMI I WIEDZĄ, ŻE TUTAJ JESTEŚ. ZJAWIĄ SIĘ WKRÓTCE; JEŚLI JESZCZE ICH NIE MA. PRZYBYŁAM, GDY SIĘ TYLKO DOWIEDZIAŁAM... MÓW COŚ, DURNIU! KTOŚ MOŻE NAS PODGLĄDAĆ.

- Marnujesz czas - odparł natychmiast lekko schrypniętym głosem Blaine. - Nikogo ciekawego tu dzisiaj nie spotkasz. To najgorsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek zorganizowała Charline. SZPERACZE!!!

- BARDZO MOŻLIWE. ALE MAMY JESZCZE SZANSE. MUSISZ PRYSKAĆ STĄD JAK NAJSZYBCIEJ. JAK STONE. JAK WSZYSCY INNI. JAOW TYM POMOGĘ.

- Rozmawiałem z takim jednym finansistą. Był koszmarnie, ale to koszmarnie nudny. Urwałem sie, by zaczerpnąć haust świeżego powietrza. STONE! CO O NIM WIESZ!

- NIE CZAS TERAZ O NIM MÓWIĆ. Uciekam w takim razie, skoro twierdzisz, że nic ciekawego sie nie dzieje. Szkoda mojego czasu. MÓJ SAMOCHÓD STOI PRZED DOMEM, ALE NIE MOŻEMY WYJŚĆ RAZEM. WYJDĘ PIERWSZA I ZABIORĘ AUTO SPRZED FRONTU. TY POSZWENDAJ SIĘ JESZCZE TROCHĘ PO POKOJACH, A POTEM IDŹ DO KUCHNI (PLAN DOMU Z DROGĄ DO KUCHNI OZNACZONĄ CZERWONĄ LINIĄ).

- WIEM GDZIE JEST KUCHNIA.

- TYLKO NICZEGO NIE SPARTACZ. MASZ BYĆ NATURALNY; OT, ZWYKŁY, ŚMIERTELNIE ZNUDZONY PRZYJĘCIEM GOŚĆ (RYSUNEK MĘŻCZYZNY Z ZACZERWIENIONYMI SENNYMI OCZYMA, Z PRZYLEPIONYM DO WARG PÓŁUŚMTESZKIEM. SYLWETKA OKLAPŁA, LEKKO ZATACZAJĄCY SIĘ OD NADMIARU WYPITEGO ALKOHOLU, SZKLANKA W DŁONI). GDY JUŻ BĘDZIESZ W KUCHNI, WYJDŹ TYLNYMI DRZWIAMI NA ULICĘ. BĘDĘ TAM CZEKAŁA.

- Ale czemu tak od razu uciekasz? Mogę się mylić. Wiesz, że nie umiem oceniać właściwie tego typu przyjęć. ALE DLACZEGO TO ROBISZ? JAKI MASZ W TYM CEL? (ZMIESZANA, ROZEŹLONA OSOBA Z PUSTYM WORKIEM W RĘKACH).

- KOCHAM CIĘ (PŁOT Z DESEK Z WYRYTYMI NA NIM DWOMA SPLECIONYMI SERCAMI).

- NIE WIERZĘ CI (KOSTKA MYDŁA ZMYWAJĄCA ENERGICZNIE USTA).

- Nie mów nikomu, że tu byłam. Charline nie wybaczyłaby mi tego. JESTEM DZIENNIKARKĄ I PRACUJĘ NAD KOLEJNYM TEMATEM. TY JESTEŚ CZĘŚCIĄ TEGO TEMATU.

- ZAPOMNIAŁAŚ, ŻE FISHHOOK MOŻE NAS OCZEKIWAĆ U WYLOTU KANIONU?

- SHEP, NIE PRZEJMUJ SIĘ. WSZYSTKO OBMYŚLIŁAM. ZROBIMY Z NICH DURNIÓW.

- Okay, nie powiem ani słowa. Trzymaj się. I DZIĘKI.

Otworzyła drzwi i wyszła. Słyszał odgłos jej kroków, gdy przemierzała patio, a następnie stukot pantofli na schodach.

Wolnym krokiem skierował się do pokoju pełnego gości. Z chwilą przekroczenia progu poraził go jazgot i hałas, o istnieniu których zdążył już zapomnieć. Zgiełkliwy szum wielu rozmawiających jednocześnie osób. Gwar nic nie znaczącej pogawędki, nie posiadającej ani treści, ani sensu. Po prostu trajkotania dla samego trajkotania. Jedno wielkie, przepastne morze bełkotliwego dźwięku.

Czuł coś w rodzaju podziwu dla Harriet, dla jej zimnej krwi i opanowania. Czuł również wdzięczność za przyjazną pomocną dłoń wyciągniętą w chwili, gdy tak jej potrzebował. Jednocześnie uświadamiał sobie, że Harriet, jeszcze bardziej niż kobietą, jest dziennikarką. Jednym z najlepszych pismaków, jakich znał.

Zatrzymał się przy barze. Wziął czystą szklankę, nalał sobie dużą porcje szkockiej, wsypał lód. Stał chwile bezczynnie, pociągając drobnymi łykami alkohol. Nie wolno mu okazywać pośpiechu, nie może pokazać, że zmierza w jakimś określonym kierunku. Jednocześnie nie mógł sobie pozwolić na przyłączenie się do którejś z rozgadanych grup ludzi. Na to nie miał czasu.

Stał chwilę przy drzwiach prowadzących do pokoju, gdzie mieściło się dimensino, którym pochwaliła się Charline. W pierwszej chwili chciał wejść do środka. Było to jednak ryzykowne, gdyż człowiek zbyt łatwo mógł tam stracić poczucie czasu i rzeczywistości. Poza tym Blaine zawsze odczuwał niechęć do tego typu rozrywki.

Nie, to stanowczo głupi pomysł - mruknął do siebie, odwracając się plecami do sali z dimensino. Skierował się w głąb kipiącego gośćmi pokoju. Wymienił kilka zdawkowych uwag ze znajomym małżeństwem, poklepał przyjacielsko po plecach zawianego dżentelmena, którego poznał na jednym z poprzednich przyjęć, wysłuchał dwóch zupełnie nie śmiesznych dowcipów, poflirtował chwile z efektowną wdową, zdradzającą wobec niego wyraźnie uwodzicielskie zamiary. Ale cały czas konsekwentnie przemieszczał się w stronę drzwi wiodących na dół, do kuchni. Gdy dotarł do nich był kompletnie mokry od potu. Rozejrzał się dyskretnie i przekonany, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wymknął się za drzwi i ostrożnie zaczął schodzić po schodach.

W kuchni było pusto i chłodno. W jaskrawym świetle wypełniającym pomieszczenie lśniły metalicznie chromowane okucia urządzeń kuchennych. Na ścianie naprzeciw drzwi wisiał duży zegar z sekundnikiem, wypełniając dźwięcznym chrobotem mechanizmu panującą w kuchni cisze.

Postawił nie dopitą szklankę whisky na stole i rozejrzał sie: od drzwi wyjściowych dzieliło go sześć metrów lśniącej, czystej posadzki. Bez zastanowienia ruszył w ich stronę, gdy bezgłośny, ostrzegawczy krzyk poraził jego mózg. Zamarł, a następnie błyskawicznie obejrzał się za siebie.

Obok olbrzymiej lodówki stał Freddy Bates. Prawą rękę trzy-

mał głęboko w kieszeni kurtki.

- Shep - odezwał się cicho Freddy Bates. - Nie masz szans. Nie próbuj uciekać. Dom jest obstawiony. Powtarzam, nie masz najmniejszych szans.

VI

Blaine stał osłupiały, a zdumienie brało w nim górę nad gniewem i strachem. Pośród wielu ludzi wobec których żywił jakieś podejrzenia i uprzedzenia, Freddy Bates był tym, którego w ogóle nie brał pod uwagę. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że właśnie Freddy, najbardziej zblazowany playboy w mieście, może być tajnym agentem Fishhooka i podwładnym Randa.

I jeszcze sam Kirby Rand; kiedy zapraszał Blaine'a do pokoju, znał już całą prawdę. Mimo to pozwolił mu odejść. Natychmiast jednak po wyjściu Blaine'a sięgnął po telefon i włączył do akcji Freddyego Batesa. Ścigany musiał sam przyznać, że było to bardzo chytre posunięcie. Chytre i inteligentne. Mądrzejsze od wszystkiego, czego dotychczas dokonał on sam. Niczego nie podejrzewał, ciesząc się w duchu, że zmylił czujność Randa, przechytrzył Fishhooka, oszukał Freddyego. No i teraz ma za swoje.

Stopniowo jednak osłupienie mijało, przemieniając się w gniew. W dziki gniew, że dał się tak głupio podejść, wystrychnąć na dudka temu frajerowi Fredd'emu.

- Wychodzimy - syknął Freddy Bates. - Wracamy do Randa. Tam sobie wszystko wyjaśnimy. Ale pamiętaj, żadnych gwałtownych ruchów. Bez awantur. Nikt z nas nie pragnie chyba robić tutaj zamieszania. To mogłoby narazić Charline na nieprzyjemności.

- Masz racje - mruknął przez zęby Blaine. - Nikt z nas nie chce ściągać na nią kłopotów. Myślał gorączkowo jak wyrwać się z matni, wyplątać z pułapki tak sprytnie zastawionej przez

Randa i Fredd'ego. Wiedział jedno: nie może wrócić do pokoju Randa i cokolwiek by się miało stać on, Blaine - nie wróci tam.

I poczuł w mózgu ruch, jak gdyby Różowa Istota próbowała ponownie wydostać się na zewnątrz.

- Nie!!! - wrzasnął. - Nie!!!

Było jednak za późno. Różowość wypełzła już bowiem ze swej kryjówki, wypełniając sobą świadomość człowieka, który ponownie stał się podwójną osobowością: sobą i kimś jeszcze. A ponadto dziać się zaczęło coś niesłychanie dziwnego.

Przestrzeń wokół zamarła w bezruchu, jakby całe pomieszczenie zostało zatopione w krysztale. Cisze mącił jedynie chrobot ściennego zegara; ale też inny niż poprzednio: przeciągły zgrzyt zamiast szybkiego cykania mechanizmu.

Blaine instynktownie postąpił krok do przodu. Freddy nie zareagował. Stał nieporuszenie, stale trzymając rękę głęboko w kieszeni.

Kolejny krok i znów żadnej reakcji z jego strony. Twarz Fredd'ego była nieruchoma, a rozwarte oczy lśniły nienaturalnie, odbijając w źrenicach jaskrawe światło lampy rozjaśniającej swym blaskiem kuchnie. Dopiero po dłuższej chwili Blaine dostrzegł lekki ruch jego głowy i dłoni, która zaciśnięta na czymś kurczowo drgnęła nieznacznie w kieszeni. Sprawiało to wrażenie, jakby Freddy budził się powoli z głębokiego, stuletniego snu.

Kilka szybkich kroków i Blaine stanął twarzą w twarz z nieruchomym przeciwnikiem. Wziął szeroki zamach. Zaciśnięta pieść zatoczyła szeroki łuk. Usta Fredd'ego leciutko rozwarły się, a powieki wolnym, karykaturalnym ruchem nakryły gałki oczne. Pieść, jak tłok hydrauliczny, grzmotnęła w podbródek stojącego nieruchomo mężczyznę. Uderzenie, w które Blaine włożył całą swą siłę, było tak potężne, że ostry ból, biegnący od knykciów po nadgarstek, poraził rękę bijącego. Freddy nie wykonał żadnego obronnego gestu. Upadł, lecz nie tak zwyczajnie, jak wali się bezwładne ciało po mocarnym ciosie. Upadał powoli, płynnie, niby ścięte drzewo. W trakcie tego powolnego chylenia sie ku ziemi, wysuwała mu się z kieszeni dłoń zaciśnięta na kolbie rewolweru. Nim jeszcze ciało dotknęło podłogi, broń wypadła z bezwładnych palców, uderzając z przeciągłym brzękiem w posadzkę.

Blaine błyskawicznie schylił się i podniósł pistolet. Stanął zaciskając w spotniałej dłoni chłodny metal i spoglądał zdumionym wzrokiem na wciąż jeszcze padającego Fredd'ego. Po długich niczym wieczność sekundach bezwładne ciało uderzyło wreszcie o ziemie. A właściwie nie uderzyło, lecz łagodnie upadło, miękko, nieledwie z wdziękiem rozciągając się na podłodze.

Powyżej, na ścianie, chrobotał zegar. Blaine spojrzał kątem oka w jego stronę. Wskazówka sekundnika zamiast pędzić po cyferblacie, wlokła się w żółwim tempie, a z wnętrza zegara, zamiast szybkiego cykania, wydobywał się tylko ów przeciągły, drażniący chrobot.

Zegar też oszalał - szepnął do siebie zbielałymi wargami Blaine.

Cos stało się z czasem. Wskazywał na to kompletny brak reakcji Fredd'ego na atak Blaine'a, powolne upadanie ciała, wreszcie ta wlokąca się wskazówka sekundnika.

Upływ czasu został spowolniony.

A to przecież niemożliwe.

Czas nie może zwolnić biegu. Czas jest zawsze i wszędzie taki sam. A jeśli z jakichś powodów rzeczywiście przystanął, to czemu to nie dotyczy Blaine'a?

Chyba, że...

Zakładając, że to nie czas stanął w miejscu, lecz on, Blaine, został przyspieszony, to oczywiste, że poruszał się tak szybko, iż Freddy nie był w stanie zareagować w porę, obronić się, wyjąć z kieszeni rewolwer.

Blaine stał bez ruchu z wyciągniętą przed siebie, uzbrojoną w pistolet ręką. Rozszerzonymi ze zdumienia oczyma wpatrywał się w ów pękaty, metalowy przedmiot.

Tym razem Fishhook i Freddy nie żartowali. Nie bierze się ze sobą broni, gdy gra idzie o niską stawkę. Nie bierze się rewolweru, kiedy nie istnieje potrzeba jego użycia, Ale tym razem - Blaine miał dowód przed sobą - broń została szczególnie uważnie przygotowana do użycia.

Nie spuszczając oczu z bezwładnie leżącej postaci Fredd'ego wykonał kilka kroków do tyłu. Zdawał sobie sprawę, że upłynie jeszcze dużo czasu, nim Freddy podniesie się z podłogi. Schował rewolwer do kieszeni i ruszył w stronę drzwi. Jeszcze raz rzucił okiem na zegar. Wskazówka sekundnika przesunęła się nieznacznie do przodu. Zamykając za sobą drzwi, obrzucił pomieszczenie ostatnim, uważnym spojrzeniem. Kuchnia wciąż była taka sama: jasna, pełna chromowego połysku sterylnie czystych urządzeń. I tylko spoczywające na posadzce ciało mąciło ów jasny obraz.

Wyszedł na patio wyłożone wielkimi, kamiennymi płytami i ruszył w kierunku schodów prowadzących skośnie w dół wykutą w skale galeryjką. Na dole czekał jakiś mężczyzna. Na widok zbiegającego w szaleńczym pędzie Blaine'a podniósł się niesłychanie wolno ze stopnia, na którym siedział. Promień światła padający z otwartego okna oświetlił jego twarz i pędzący niczym wichura Blaine dojrzał na niej wyraz najwyższego osłupienia.

- Przykro mi, stary - szepnął Blaine i zacisnąwszy pieść, wyrżnął w sam środek tej zdumionej, nieruchomej twarzy.

Człowiek zatoczył się do tyłu i wolno, robiąc krok za krokiem, coraz bardziej przechylał się. W końcu upadł na plecy.

Blaine nie czekał jednak aż to się stanie. Gnał wielkimi susami w stronę zaparkowanych przy krawężniku aut za którymi, w pewnym oddaleniu, czekał samochód z zapalonymi światłami i pomrukującym na jałowym biegu silnikiem.

To samochód Harriet - pomyślał Blaine. Ale przecież zaparkowała go w złym kierunku: w górę kanionu, nie w dół. Przecież tam, w górze, droga niebawem się kończy.

Biegł, klucząc pomiędzy stojącymi autami. Harriet czekała przy kierownicy. Okrążył samochód, wśliznął się do środka i ciężko opadł na fotel. Był wykończony. Czuł przeraźliwy ból w kościach i znużenie w mięśniach, zupełnie jakby przebiegł nie kilkadziesiąt metrów, lecz dystans maratoński. Dyszał ciężko, a złożone na kolanach dłonie mocno drżały.

- Nie zabrało ci to zbyt wiele czasu - Harriet odwróciła głowę w jego kierunku.

- Spieszyłem się - szepnął urywanym głosem.

Dziewczyna wyprowadziła samochód na środek drogi. Włączyła odrzutowe silniki i pojazd uniósł sie na poduszce powietrznej, której szum poniósł się echem pośród urwistych ścian wąwozu.

- Mam nadzieje, że wiesz co robisz - odezwał się cicho Blaine, pochylając się do przodu. - Ta droga nigdzie nie prowadzi. Kończy się za mile lub dwie.

- Nie przejmuj się, Shep. Wiem, co robie.

Opadł na fotel bez słowa. Był zbyt zmęczony i rozbity, by podejmować dyskusje.

Cóż, mam prawo do zmęczenia - pomyślał. - Poruszał się dziesięć (a może sto?) razy szybciej niż normalny człowiek. Wydatkował straszną ilość energii, serce biło mu o wiele szybciej,

płuca pracowały ciężej, mięśnie, ścięgna...

Siedział bez ruchu i zastanawiał się nad przyczyną tego niezwykłego zjawiska, którego doświadczył. Była to tylko czcza formalność, bo doskonale znał jego przyczynę. Tkwiła w nim. Była nią Różowość. Odszukał ją w umyśle.

- DZIĘKI - szepnął z gorzkim uśmiechem.

Śmiesznie zabrzmiało to podziękowanie. Wszak obcy stał się jego częścią, osiedlił się w jego czaszce, gnieździł w jego mózgu i Blaine, dziękując intruzowi, dziękował samemu sobie... Nie! Nie, obcy nie był jeszcze jego częścią. Nie był! Ale już nie ukrywał się dłużej, nie tail swoich możliwości, nie miał już zamiaru uciekać z mózgu Shepherda Blaine'a.

Auto zagłębiało się coraz bardziej w mroczny kanion. Powietrze ochłodziło się, a przesycający je zapach sosen przypominał woń wytwornych i delikatnych perfum.

Być może obcy nie miał wcale zamiaru mi pomagać, wydobywać z opresji - zastanawiał się Blaine. - Może ta obca istota czająca się w jego mózgu postąpiła tak, jak zwykle w takich wypadkach postępuje. A może był to tylko jej odruch samoobrony.

Lecz to już nie miało znaczenia, skoro obcy, ratując siebie, uratował również jego. Są bowiem nierozłączni. Są jednym. Żaden z nich nie może już działać niezależnie. Byli sklejeni za sprawą jakiejś kuglarskiej sztuczki owej rozlazłej Różowej Istoty z odległej planety. Tej dwoistej osobowości, która weszła w niego, a stanowiła cień swej drugiej części, odległej stąd o pięć tysięcy lat świetlnych.

- Były jakieś kłopoty? - spytała Harriet.

- Natknąłem się na Fredd'ego. - Fredd'ego Batesa?

- Jest tylko jeden Freddy w tym mieście.

- Żałosny pajac.

- Ten twój żałosny pajac miał broń i chciał mnie zabić - odrzekł cierpko Blaine.

- Chyba żartujesz?

- Nie, nie żartuje. Posłuchaj, Harriet. To naprawdę poważna i śmierdząca sprawa. Daj sobie spokój. Wysiądę i...

- Za nic na świecie. Jeszcze nigdy nie bawiłam się tak znakomicie.

- W takim razie spytam raz jeszcze: czy dobrze jedziemy? Przed nami pozostało już niewiele drogi.

- Shep - głos dziewczyny zabrzmiał nagle bardzo poważnie. - Nie sądź mnie po pozorach. W sumie nie jestem tak zupełnie głupia. Naprawdę dużo czytam. A najbardziej pasjonuje mnie historia. Szczególnie historia wielkich, krwawych bitew. A już najbardziej lubię, gdy do lektury dołączone są szczegółowe mapy i szkice sytuacyjne...

- No i co z tego? - niecierpliwie wzruszył ramionami Blaine.

- A to, że jedną z najistotniejszych rzeczy w bitwie jest dokładne rozeznanie ewentualnych dróg odwrotu...

- Ale przecież nie w górę tego wąwozu - odparł kwaśno Blaine.

- A właśnie, że w górę.

Milczeli. Dziewczyna skupiła całą swą uwagę na prowadzeniu samochodu, a Blaine ukradkiem obserwował jej profil. Nie, Harriet z pewnością nie reprezentowała typu zidiociałej świergotki, nie była jedną z tych gazetowych dziewcząt goniących wyłącznie za tanią sensacją, żadną egzaltowaną babą ani łzawą pisarką jakich wiele można spotkać we wszystkich redakcjach prasowych świata. Była jedną z najlepszych dziennikarek w kraju, wysłaną do Fishhooka w charakterze korespondenta jednej z największych redakcji w Ameryce Północnej.

Blaine miał pewność, że nie ma u Fishhooka tajemnicy, której nie znałaby zarazem Harriet. Pisała o wszystkim z przerażającym obiektywizmem, zakrawającym wręcz na cynizm i obojętność. Ale nawet w tak specyficznym rodzaju prozy, jakim jest twórczość gazetowa, potrafiła w swoje artykuły tchnąć bardzo dużo zwykłego, ludzkiego ciepła.

Jaką wiec role gra Harriet w ostatnich wydarzeniach? Czemu jest tutaj, z nim?

Była jego przyjaciółką, to fakt. Znają się od paru dobrych lat, od dnia - krótko po jej przybyciu do Fishhooka - gdy wybrali się razem na obiad do niewielkiej knajpki. Od niewidomej kwiaciarki kupił wówczas Harriet róże. Pamięta doskonale, jak dziewczyna, ogarnięta nagłą, dojmującą tęsknotą za odległym domem, tuląc róże do twarzy, uroniła w purpurowe płatki kwiatu kilka łez. Od tego czasu jednak Blaine nie widział ani razu, by płakała.

Dziwne to wszystko - myślał. - Bardzo dziwne. Na przykład Fishhook, ten kolos i legenda nowoczesnego świata, którego ten właśnie świat nigdy nie chciał w pełni zaakceptować...

Zawsze intrygowało Blaine'a jak to było, kiedy uczeni - sto lat temu z górą - przyznali otwarcie, że Człowiek nigdy nie zdobędzie przestrzeni kosmicznej, że gwiazdy nie są mu pisane. Jakie było uczucie Człowieka, gdy musiał długie, długie lata żyć w przeświadczeniu, że wszechświat jest dla niego niedostępny? Gdy Człowiek miał pustkę w sobie, bo wszystkie jego sny i marzenia legły w gruzach, a całe istnienie miało zamknąć się w maleńkiej, planetarnej śmierci?

Upadły marzenia, sny się rozwiały, a pułapka zatrzasnęła na głucho. Pragnienie gwiazd było jednak o wiele silniejsze. Istnieli ludzie wystarczająco uparci, by nie rezygnować. Oni to odkryli całkiem inną metodę otwarcia wrót wszechświata. A był to sposób zarzucony przez Człowieka, pominięty, wyszydzony, chociaż pozostawał cały czas pod ręką. I dziś nawet, mimo całej potęgi i wspaniałości Fishhooka, wielu jeszcze wykpiwało ową metodę, przylepiając jej etykietkę czarów.

Czary. Czary wymyślono dla dzieci. Stanowiły domenę babci opowiadającej bajki. Pomijano je w książkach naukowych i rozprawach medycznych. W racjonalnym świecie zbudowanym przez Człowieka takich rzeczy nie tolerowano. Czary! Tylko ktoś niespełna rozumu mógł w nie wierzyć.

Lecz owi uparci ludzie właśnie wierzyli w czary; a ściślej w to, co świat opatrzył etykietką czarów i bredni, a co z czarami miało tylko tyle wspólnego, że tak zostało ochrzczone. Bo to nie była wcale magia ani wymysły fantastów. Miało równie racjonalne podstawy jak każda gałąź nauki, jak fizyka, jak chemia. Sprowadzało się w sumie do jednego: do używania utajonych w umyśle ludzkim sił wszędzie tam, gdzie zawodziły ręce.

I z tego uporu właśnie, z wiary i religii owych upartych ludzi narodził się Fishhook. „Fishhook", gdyż sięgał tam, gdzie Człowiek rekami nie mógł sięgnąć. Gdyż łowił w przestrzeni kosmicznej, wysyłając umysł człowieka tam, gdzie ciało w żaden sposób nie mogło dotrzeć*.

Ostry wstrząs samochodu wyrwał Blaine'a z rozmyślań. Zwolnili. Dalej droga skręcała raptownie w prawo i tworzyła pętle. Tu był koniec szosy.

Skręcili z drogi i wjechali w kamieniste koryto wyschłego potoku. Poduszka powietrzna utrzymująca pojazd nad nierównym, pełnym wybojów gruntem zawyła na zwiększonych obrotach i auto z hukiem przyspieszyło. Silniki ryczały przeraźliwie. Gałęzie drzew i krzewów tłukły o szyby i dach pojazdu, który kilkakrotnie przechylił się niebezpiecznie.

- Nie jest źle - odezwała się znad kierownicy Harriet, gdy samochód wyrównał nieco swój bieg. Dalej może być gorzej.

- To jest ta droga odwrotu - ni to spytał, ni stwierdził Blaine.

Zajęta wyborem najdogodniejszej drogi dziewczyna tylko skinęła w milczeniu głową.

Skąd Harriet zna ten szlak? - zastanawiał się w duchu Blaine. - Po co jej w ogolę znajomość tej drogi? Chciał o to zapytać, po namyśle jednak powstrzymał jeżyk na wodzy.

Harriet prowadziła samochód uważnie. Coraz bardziej zagłębiali się w pozornie niedostępne góry, trzymając się suchego koryta rzeczułki. Nocne ptaki zawodziły w mroku, gałęzie, jak oszalałe, obijały dach wozu, łamiąc się z suchym trzaskiem.

Gdy w świetle przednich reflektorów pojawił się ogromny głaz wielkości stodoły, który tarasował dalszą drogę, Harriet bez wahania skierowała samochód w wąziutki prześwit pomiędzy nim a skalną ścianą. Auto z trudem, zaledwie o grubość lakieru, wyminęło skałę. Gdy przeszkoda była już za nimi, dziewczyna wyłączyła silniki i samochód osiadł łagodnie na kamienistym gruncie. Zapadła przejmująca cisza.

- Dalej idziemy piechotą? - spytał Blaine.

- Nie, ale musimy tutaj poczekać. Polują na nas i odgłos motorów mógłby nas zdradzić.

- Zamierzasz się dostać na samą górę? - Blaine wykonał ruch głową, wskazując piętrzący się nad nimi, niewidoczny w mroku, ostry szczyt góry.

- Tak, na samą górę.

- Jeździłaś już tedy?

- Wiele razy. Zdawałam sobie sprawę, że gdy nadejdzie chwila próby, nie będzie czasu na wyszukiwanie dogodnych przejść. Musiałam dokładnie poznać cały szlak.

- Ale, na Boga, do czego ci to było potrzebne?

- Słuchaj, Shep, wpadłeś w tarapaty, a ja pomagam ci się z nich wydostać. Czy to mało?

---

*Fishhook - dosł.: haczyk na ryby.

- Skoro zdecydowałaś się mi pomoc, to niech ci Bóg wynagrodzi. Ale zrozum, że nadstawiasz karku. Nie ma sensu, byś razem ze mną szła na dno.

- Już kiedyś nadstawiałam karku. Zresztą dobry dziennikarz zawsze jest przygotowany na ryzyko, jeśli wymagają tego okoliczności.

Może i ma racje - pomyślał Blaine wzruszając lekko ramionami. Lecz nie był wcale przekonany. Wielu dziennikarzy akredytowano u Fishhooka. Blaine znał prawie każdego z nich. Z wieloma pił wódkę. Kilku z nich mógłby nazwać swymi przyjaciółmi. Ale żaden z nich, z wyjątkiem Harriet, nie poważyłby się na to, co ona.

Samo dziennikarstwo nie może tu być wystarczającym powodem. Nawet ich kilkuletnia przyjaźń. Powód musiał być dużo, dużo poważniejszy. To z kolei mogło znaczyć, że Harriet jest nie tylko dziennikarzem, lecz jeszcze kimś ponadto. Z pewnością prowadzi jakąś grę. Tak, musi działać na dwa fronty. Musi bowiem istnieć - poza samym dziennikarstwem i ich przyjaźnią - inna jeszcze przyczyna, dla której dziewczyna zaangażowała się w te nieprawdopodobną hece.

- Powiedziałaś, że już kiedyś nadstawiałaś karku? - odezwał się. - Czy to miało związek ze Stone’em?

- Nie, o nim tylko słyszałam.

Z dołu kanionu dobiegł ich warkot silników samochodowych. Zamilkli, wsłuchując się w coraz wyraźniejszy dźwięk. Blaine na podstawie natężenia hałasu starał się obliczyć ilość pojazdów. Wydało mu się, że trzy. Ale pewności nie miał.

Nagle warkot ucichł: auta dojechały do pętli kończącej szosę i tam przystanęły. Słychać było trzask otwieranych drzwiczek, a potem krzyki nawołujących się w ciemnościach ludzi, którzy brali udział w obławie.

Harriet zacisnęła palce na ramieniu Blaine’a.

- SHEP, COŚ TY ZROBIŁ FREDDYEMU? (WYSZCZERZONE ZĘBY TRUPA).

- ZNOKAUTOWAŁEM GO.

- MÓWIŁEŚ, ŻE MIAŁ PRZY SOBIE BROŃ.

- MIAŁ. ZABRAŁEM JĄ ZE SOBĄ.

- (FREDDY W TRUMNIE, Z ZAKRZEPŁYM NA TWARZY PÓŁUŚMIESZKIEM, Z GIGANTYCZNYCH ROZMIARÓW LILIĄ MIĘDZY ZŁOŻONYMI RĘKAMI).

- NIE, NIE TAK (FREDDY Z WYTRZESZCZONYMI ZE ZDUMIENIA OCZAMI, ZAKRWAWIONYM NOSEM I KROSTOWATĄ TWARZĄ W PLASTRACH).

Siedzieli w milczeniu i słuchali. Krzyki pogoni ucichły, rozległ się trzask zamykanych drzwiczek, a następnie szum oddalających się pojazdów.

- TERAZ?

- POCZEKAJMY JESZCZE - odparła Harriet. - PRZYJECHAŁY TRZY SAMOCHODY, A ODJECHAŁY TYLKO DWA. JEDEN CIĄGLE TAM JEST (RZĄD OGROMNYCH, PODSŁUCHUJĄCYCH USZU). SĄ PRZEKONANI, ŻE POJECHALIŚMY W GÓRĘ WĄWOZU I NIE WIEDZĄ TERAZ, CO SĄDZIĆ O NASZYM ZNIKNIĘCIU. JEST TO (OTWARTE SIDŁA Z NAJEŻONYMI ZĘBAMI). UCZĄ, ŻE DAMY SIĘ NABRAĆ NA TEN TRICK Z SAMOCHODAMI.

Czekali. Gdzieś z ostępów leśnych dobiegł ich przenikliwy krzyk szopa, potem kwilenie ptaków, rozbudzonych przez jakiegoś nocnego intruza.

- ISTNIEJE TYLKO JEDNO MIEJSCE, GDZIE BYŁBYŚ BEZPIECZNY - stwierdziła Harriet. - JEŻELI CHCESZ, MOŻEMY TAM POJECHAĆ.

- GDZIEKOLWIEK. NIE MAM ŻADNEGO WYBORU.

- ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ Z TEGO, JAK JEST TAM, NA ZEWNĄTRZ?

- COŚ NIECOŚ SŁYSZAŁEM.

- W NIEKTÓRYCH MIASTACH USTAWIANE SĄ SPECJALNE ZNAKI (TABLICA OGŁOSZENIOWA ZESŁOWAMLDLA DEWIATOW KLIMAT TU NIEZDROWY). MAJĄ WIELE UPRZEDZEŃ. SĄ NIETOLERANCYJNI. SPOTKASZ TAM (BRODACI, STARODAWNI KAZNODZIEJE WALĄCY PIĘŚCIĄ W PULPIT AMBONY, MĘŻCZYŹNI UBRANI W KOSZULE POKUTNE, Z TWARZAMI UKRYTYMI ZA MASKAMI, ZE SZNUREM IPLETNIĄ W RĘKACH, WYSTRASZENI LUDZIE KLĘCZĄCY PRZED SYMBOLICZNĄ KORONĄ CIERNIOWĄ). To wstyd i hańba naszych czasów - dodała śpiewnym szeptem Harriet.

Wreszcie i ten trzeci, pozostawiony przez ludzi Fishhooka, samochód odjechał. Słuchali oddalającego się warkotu silnika.

- Dali za wygraną - z ulgą w głosie odezwała się Harriet. - Możliwe zresztą, że zostawili tam kogoś na czatach. Ale nie mamy wyboru. Ruszamy.

Włączyła silniki i dysze odrzutowe. Samochód ruszył z zapalonymi reflektorami, wciąż wzdłuż wyschłego potoku. Teren coraz bardziej nabierał charakteru wysokogórskiego. W pewnej chwili koryto strumienia zniknęło gdzieś w ciemności. Zdani już byli wyłącznie na orientacje dziewczyny.

Nagle w stromym, skalistym zboczu pojawiła się wąska, piarżysta rynna pnąca się ostro w gore. Dalsza droga prowadziła tym właśnie żlebem.

Rynna kończyła się raptownie wąską półeczką. Nad nimi piętrzył się już tylko chaos urwistych, czarnych skał. Poniżej, prawie pionowe zbocze opadało zawrotnie w dół, tworząc czarną, groźną otchłań. Blaine’owi zdawało się, że pokonanie tej ostatniej przeszkody trwa całe wieki.

W pewnej chwili przez uchylone okienko wtargnął do wnętrza samochodu zimny powiew o lekko gorzkawym zapachu. I oto wyłonił się przed nimi rozległy płaskowyż skąpany w strumieniach księżycowego światła.

Harriet zatrzymała wóz i ciężko opadła na oparcie fotela. Blaine długo grzebał w kieszeni, zanim wydobył z niej barwne, płaskie pudełko. Zajrzał do środka. Pozostał w nim już tylko jeden, niemiłosiernie wygnieciony papieros. Ostrożnie rozprostował go i wygładził, po czym zapalił. Wysiadł z auta. Odetchnął kilkakrotnie pełną piersią i obchodząc pojazd podszedł do Harriet. Wsunął przez okienko dłoń z papierosem, wtykając go w usta dziewczyny. Zaciągnęła się bardzo głęboko.

- Granica jest tam, przed nami - powiedziała. - Teraz ty siadaj za kierownicą. Najbliższe pięćdziesiąt mil to płaski i łatwy teren. Po drodze jest małe miasteczko. Tam zatrzymamy się na śniadanie.

VII

Wokół samochodu kłębił się gesty tłum mieszkańców miasteczka. Ludzie szeptali coś gorączkowo miedzy sobą, a w ich oczach malował się gniew zmieszany z odrazą i strachem. Blaine i Harriet stali przyparci do muru budynku, w którym mieściła się restauracja i obserwowali z rosnącym niepokojem gęstniejącą wokół nich ciżbę. A przecież jeszcze przed chwilą, w czasie śniadania, wszystko było w porządku. Nikt nie zwracał na nich uwagi, nikt ich nie zaczepiał, nie odzywał się do nich, nikt się nie gapił na dwoje przybyszów. Wszystko było normalnie.

- Czyżby się czegoś domyślali? - ściszonym głosem zapytał Blaine.

- Skąd mogę wiedzieć - wzruszyła ramionami Harriet.

- Czyżby celowo zdjęli znak?

- Możliwe. Ale nie sądzę. Równie dobrze mógł sam spaść. Albo w ogóle nigdy go nie było. Nie wszędzie je wieszają. Ostatecznie jest to trochę wyzywające...

- Ale spójrz na te dwie dziewczyny. Spoglądają na nas wojowniczo i...

- Eeee, jesteś przewrażliwiony - próbowała się roześmiać.

- Może - odparł z lekkim wahaniem Blaine.

- POSŁUCHAJ MNIE TERAZ UWAŻNIE, BLAINE. GDYBYŚMY MUSIELI SIĘ ROZSTAĆ, JEDŹ DO POŁUDNIOWEJ DAKOTY, DO MIASTECZKA PDERRE (MAPA STANÓW ZJEDNOCZONYCH Z NANIESIONĄ NAZWĄ MIASTECZKA OZNACZONEGO CZERWONĄ GWIAZDKĄ I Z PURPUROWĄ WSTĘGĄ DROGI ŁĄCZĄCEJ TĘ MALEŃKĄ, PRZYGRANICZNĄ OSADĘ, W KTÓREJ SIĘ ZNAJDOWALI, Z MIASTEM NAD SZEROKĄ MISSOURI).

- WIEM, GDZIE TO JEST - odparł Blaine.

- W PIERRE PYTAJ O MNIE. JEST TAM RESTAURACJA (FASADA BUDYNKU WZNIESIONEGO Z SUROWYCH KAMIENI, Z SZEROKIMI OKNAMI; W JEDNYM Z NICH UMOCOWANO INKRUSTOWANE SREBREM SIODŁO, A NAD DRZWIAMI-WEJŚCIOWYMI ROZŁOŻYSTE ROGI ŁOSIA). W TEJ KNAJPIE ZNA MNIE PRAWIE KAŻDY. TAM O MNIE PYTAJ. TAM CI POWIEDZĄ, GDZIE MNIE ZNALEŹĆ.

- ALE CZY MUSIMY SIĘ ROZDZIELAĆ?

- MOŻEMY BYĆ PO PROSTU DO TEGO ZMUSZENI.

- ZGODA. TAM WŁAŚNIE BĘDĘ CIĘ SZUKAŁ. POTRAFIŁAŚ TAK ZGRABNIE WYRWAĆ MNIE Z ŁAP FISHHOOKA, WIĘC BĘDĘ CI POSŁUSZNY DO KOŃCA.

Wymianę ich myśli przerwał nagły tumult, który powstał w otaczającym tłumie. W zbiegowisku narastał ponury, złowrogi

pomruk. Ciżba zafalowała lekko jak gęstwina trzcin pod wpływem podmuchu wiatru, a ze środka parła do przodu, rozpychając się łokciami, obrzydliwa starucha. Wyczłapała na czoło tłumu.

Była nieprawdopodobnie stara. Niechlujna i odrażająca wiedźma. Jej skóra była jedną wielką zmarszczką, poczynając od małpiej twarzy, przez ręce, a na gołych i zabłoconych stopach kończąc. Siwe i tłuste, zlepione brudem, skołtunione włosy porastały jej czaszkę gęstymi kępkami. Gdy starucha wystąpiła przed tłum, ludzie ucichli, zamarli w bezruchu. Wiedźma uporczywie wpatrywała sie w Blaine'a. Po długiej jak wieczność chwili wzniosła chudą rękę, której zwiotczałe i obwisłe mięśnie pokrywała sinawa skóra. Pokrzywiony, kościsty paluch wycelowała w stronę Blaine'a.

- To on - zaskrzeczała. - Ten, którego wskazuje. Jest w nim coś dziwacznego. Nie potrafię dostać sie do jego umysłu. Jego mózg jest jak lśniące, odbijające zwierciadło. On jest...

Reszta jej słów zginęła w nagłym zgiełku, a tłum - niczym na umówione hasło - zaczął posuwać sie powoli, krok za krokiem, coraz ściślejszym pierścieniem otaczając Blaine'a i Harriet opartych o ścianę budynku. W tym parciu naprzód dawało się wyczuć skrzętnie skrywane wahanie, jakby ludzi powstrzymywał irracjonalny lek, a zarazem jakiś wewnętrzny przymus kazał im przezwyciężać ów strach i iść do przodu.

Blaine wsunął ukradkiem dłoń do kieszeni i zacisnął palce na chłodnej kolbie zdobycznego rewolweru. Natychmiast jednak cofnął rękę i spuścił ją luźno wzdłuż tułowia. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to nie jest żadne wyjście z sytuacji. Użycie broni, czy choćby tylko grożenie nią, pogorszyłoby tylko ich położenie.

Jednocześnie doznał wstrząsu, gdyż uświadomił sobie, że był od dłuższego czasu sam, był tylko człowiekiem. Różowa Istota zniknęła, nie czuł delikatnego drżenia obcej świadomości w mózgu, drżenia świadczącego o obecności intruza pod jego czaszką. A przecież w chwilach zagrożenia, jak wskazywały ostatnie doświadczenia Blaine'a, w krytycznych momentach obcość uaktywniła się. Teraz wiec, nie czując w sobie intruza, Blaine zastanawiał się, czy należy się cieszyć czy też martwić tym faktem. I nagle - jakby w odpowiedzi na wołanie człowieka - obce dało znać o sobie, wypełzając ze swej nory umiejscowionej w którymś z zakątków mózgu. Blaine, mimo woli, odetchną}, odprężył sie i czekał na dalszy bieg wypadków. Nic godnego uwagi się jednak nie wydarzyło. Obca istota przypomniała mu tylko, że jest, że czuwa, że czeka na wezwanie człowieka. I ponownie odpełzła do swojej kryjówki.

Zajęty dziwacznymi myślami Blaine stracił na chwile poczucie rzeczywistości, zapomniał o otaczającym go tłumie i podżegającej ludzi wiedźmie. Dopiero gwałtowne nasilenie się wrzawy wyrwało go z zamyślenia i zmusiło do. skupienia uwagi na motłochu, kłębiącym się zaledwie kilkanaście metrów przed nim i przed Harriet. Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem wzburzonych, spoconych ludzi o twarzach wykrzywionych grymasem nienawiści i trwogi, poczuł zimny dreszcz biegnący po krzyżu. Przez tych kilka chwil jego duchowej nieobecności w nastrojach tłumu zaszła zasadnicza zmiana. W oczach ludzi malował się teraz wyraz nieprzytomnej furii i determinacji. Nie było to już zbiegowisko rozgniewanych, zdenerwowanych gapiów, lecz wyjąca ochryple horda wilków osaczających ofiarę. Przewodziła im stara wiedźma oskarżycielsko wskazując paluchem Blaine'a.

- Stój spokojnie - szepnął do Harriet. - Spokój to nasza jedyna i ostatnia szansa.

Zdawał sobie sprawę, że tajone, trzymane wciąż jeszcze na wodzy uczucia i namiętności tłumu mogą w każdej chwili znaleźć ujście w bezprzytomnym, niemożliwym do opanowania ataku agresji. Najlżejszy ruch Blaine'a lub Harriet, jakaś niekontrolowana reakcja, wypowiedziane słowo lub niebaczny ruch mogą skrzesać iskrę, która podpali te beczkę prochu. Blaine wiedział, że w ostateczności wyszarpnie z kieszeni pistolet i zacznie strzelać. Nie dlatego, by tego pragnął, by uważał, że to przyniesie im ratunek. Po prostu otworzy do tłumu ogień w geście rozpaczy kogoś, komu nie pozostawiono innego wyboru.

Z tyłu, wciąż jeszcze na poły ostrożnego, na poły bojaźliwego tłumu, rozległ się nagle tupot szybkich, energicznych kroków. Blaine kątem oka spostrzegł, że przez tłum przepycha się wysoki mężczyzna o kanciastej sylwetce i niezwykle bladej twarzy. Człowiek ów, przedostawszy się na czoło zgromadzenia, stanął obok Blaine'a. Zwrócił swą nieruchomą twarz w kierunku napierających. Nie odzywał się ani słowem, lecz ludzie - jakby pod wpływem jego wzroku - zatrzymali się. Tylko ze środka ciżby dobiegł męski głos:

- Witaj szeryfie!

Ten jakby nie dosłyszał powitania. Stał nieporuszony niczym posąg, świdrując ludzi twardym wzrokiem.

- To dewiaci! - wykrzyknął ten sam męski głos z tłumu.

- Kto wam to powiedział?

- Tak mówi stara Sara.

- Ty, Saro? O co chodzi? - szeryf zwrócił twarz w stronę staruchy.

- Tom mówi prawdę - zaskrzeczała w odpowiedzi. - Ten tam... - wskazała znów palcem na Blaine. - Ten tam posiada zabawny umysł: odbija cudze myśli.

- A kobieta?

- Są przecież razem, no nie?

- Wstyd mi za was - odezwał się szeryf tonem nauczyciela strofującego nieposłuszne dzieci. Macie się natychmiast rozejść. Natychmiast. Co do jednego.

- Ależ to dewiaci, szeryfie! - dobiegł z tłumu czyjś urażony głos. - My nie chcemy ich w naszym mieście.

- Wracajcie do swoich zajęć - powtórzył szeryf. -Już ja się bym zajmę.

- Obojgiem?

- Nie widzę powodu, by zajmować się tą panią - odparował szeryf. -Jej umysł jest w porządku. Ona nie jest dewiatem, wiec po prostu opuści nasze miasteczko. To powinno wam wystarczyć.

I zatrzymując wzrok na Harriet, spytał:

- Jesteście razem, prawda?

- Tak. I nie mamy wcale zamiaru się rozłączać.

- NIE! - przekazał do dziewczyny Blaine. - (ZNAK MILCZENIA: PALEC NA USTACH).

Zrobił to bardzo szybko, aby nikt z tłumu nie przechwycił myśli. Najwidoczniej w tym mieście telepata mógł sobie napytać biedy. Ale musiał to przekazać Harriet.

- Czy to jest pani samochód? - ignorując odpowiedź dziewczyny zapytał szeryf wskazując na auto.

Harriet spojrzała pytająco na Blaine'a.

- Tak, nasz - odparł za nią.

- To świetnie. Proszę mnie posłuchać. Wsiądzie teraz pani grzecznie do tego samochodu i natychmiast opuści miasto. Oni panią przepuszczą - przy ostatnich słowach szeryf wskazał głową przysłuchujących się z uwagą mieszkańców miasta.

- Ależ my wcale nie mamy zamiaru...

- Zrobisz, jak ci radzi szeryf _ przerwał dziewczynie Blaine. Harriet zawahała się.

- Tak będzie lepiej. Odjedz, proszę - powtórzył z naciskiem.

Harriet trochę zbyt gwałtownym ruchem oderwała się od ściany i szybkim krokiem przebyła odległość dzielącą ich od samochodu. Tam odwróciła się i spojrzała na Blaine'a.

- Będę czekała na ciebie. Do zobaczenia.

I kierując pełen pogardy wzrok w stronę szeryfa, parsknęła:

- Kozak.

Na twarzy przywódcy miasteczka nie drgnął żaden muskuł; pierwszy raz w życiu słyszał to słowo. Spojrzał na dziewczynę niemal przyjaźnie.

- No, niech pani już zmyka.

Tłum, mrucząc gniewnie, drgnął i opornie zaczął się rozstępować przed ruszającym autem. Harriet pomachała jeszcze w stronę Blaine'a wystawioną za okno ręką i włączyła silniki. Samochód uniósł się na poduszce powietrznej, po czym gwałtownie ruszył do przodu. Tłum, oślepiony tumanami piasku wzbitymi przez odrzutowe silniki pojazdu, rzucił się w popłochu na boki, wydając okrzyki przestrachu.

Szeryf obserwował całe zajście z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Gdy auto skryło się już za zakrętem, odwrócił się w stronę tłumu.

- Widziałeś szeryfie sam - dobiegł go ze środka gniewny głos. - Czemu pozwoliłeś jej odjechać?

- Dobrze wam tak. Samiście zaczęli całą drakę - pogodnym głosem odrzekł szeryf. - Myślałem, że fride miał spokojny dzień, a tymczasem...

Lecz nie sprawiał wrażenia osoby specjalnie czymś zmartwionej. Tłum zaczął głośno i gwałtownie protestować, ale szeryf machnięciem reki uciszył gwar.

- No, zabierać mi się stąd. Już po zabawie. Każdy z was ma swoją robotę. Ja również. I zwracając się do Blaine'a dodał:

- Proszę iść za mną.

Ruszyli zgodnie obok siebie w dół ulicy w stronę biura szery-

fa. Mieściło się ono w budynku sądowym.
- Powinniście być bardziej rozważni - odezwał się cierpko szeryf. - To bardzo złe miejsce dla dewiatów. Piekło!
- A skąd miałem to wiedzieć? - wzruszył ramionami Blaine. - Nigdzie nie było znaku ostrzegawczego.
- Był. Ale obsunął się jakiś rok czy dwa temu. Nikomu nie chciało się go poprawić. Fakt, że ktoś to jednak powinien zrobić. Niemniej, gdybyście się baczniej i dokładniej rozglądali, dostrzeglibyście te tablice. Mimo że jest ona zwichrowana, a litery zatarte przez lotne piaski, można jeszcze coś odczytać.
- Co zamierzasz ze mną zrobić, szeryfie? - zmienił temat Blaine.
- Mam nadzieje, że nic nie będę musiał robić. Przeczekamy aż w mieście opadnie gorączka i wypuszczę pana.
Zamilkł, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś co było dla niego przykre. Po chwili dodał:
- Nic innego nie mogę zrobić. Oni są bardzo czujni i będą mi patrzeć na ręce.
Dotarli do celu. Wspięli się po stromych, wydeptanych schodach i szeryf otworzył drzwi.
- Proszę prosto tym korytarzem - ruchem reki wskazał Blaine'owi dalszą drogę.
Weszli do biura. Szeryf dokładnie zamknął drzwi i odwrócił się w stronę kłopotliwego gościa.
- Nie sądzę, by istniały podstawy do przetrzymywania mnie w areszcie - odezwał się natychmiast Blaine. - Co by było, na przykład, gdybym teraz, ot tak, po prostu, wziął i wyszedł sobie na zewnątrz?
- Nic nie mógłbym zrobić - wzruszył ramionami szeryf. - Nie mogę pana formalnie zatrzymać. Lecz proszę mi wierzyć, nie uszedłby pan daleko.
- A samochodem?
- Synu - szeryf potrząsnął głową i rozłożył ręce w szerokim geście. - Synu, znam tych ludzi. Wychowałem się z nimi. Jestem jednym z nich i wiem, jak daleko mogę się posunąć. Te kobietę byłem w stanie uwolnić, ale was obojga - nigdy. Czy widział już pan kiedyś tłum w akcji?
Blaine potrząsnął przecząco głową.
- Wiec niech mi pan wierzy, że nie jest to przyjemny widok.
- No dobrze, a co w takim razie z Sarą? Przecież, ona również jest dewiatem.
- Powiem ci, mój przyjacielu, że ona, wbrew pozorom, pochodzi z bardzo dobrej rodziny, która podupadła w złych czasach. Przodkowie starej Sary osiedlili się tutaj już ponad sto lat temu i miasto Sarę toleruje.
- Jest niewątpliwie użyteczna - odrzekł z ironią Blaine. - Użyteczna jako lokalizator. Szeryf zachichotał cicho i pokiwał głową.
- Nie ma nikogo, kto umknąłby uwadze naszej starej Sary - rzekł z dumą mieszkańca miasteczka. - Ona cały swój czas poświecą na śledzenie przybywających do nas obcych ludzi.
- Wielu dewiatów odkryliście w ten sposób?
- Tak sobie, w miarę - szeryf, nie wiadomo czemu skrzywił się, po czym wskazał ręką na biurko:
- Proszę opróżnić kieszenie... przepraszam, ale takie są przepisy. Zaraz wystawie panu pokwitowanie.
Blaine bez słowa zaczął wyjmować zawartość kieszeni: portfel z wizytówkami, chusteczkę do nosa, kółko z kluczami, zapałki i na końcu rewolwer. Broń położył delikatnie obok innych przedmiotów i kątem oka spojrzał na szeryfa. Ten na widok pistoletu zatrzymał na Blainie zdezorientowany wzrok.
- Miał to pan cały czas przy sobie? - zapytał trochę bez sensu. Blaine pokiwał głową.
- Że też potrafił pan nie sięgnąć po ten pistolet - z mimowolnym uznaniem w głosie odezwał sie szeryf.
- Zapomniałem... - bąknął pod nosem Baline.
- Czy posiada pan zezwolenie?
- To nie moja broń.
Szeryf gwizdnął lekko przez zęby. Podniósł pistolet do oczu i złamał go. Błysnął miedzią pełny magazynek. Ponownie złożył broń, otworzył szufladę i wsunął przedmiot do środka.
- W porządku - szepnął. - Zapałki może pan legalnie zabrać ze sobą do celi. - Podniósł z biurka kartonik i podał go Blaine'owi. -Jeśli nie ma pan papierosów, mogę dać paczkę.
- Nie, dzięki. Prawie w ogóle nie pale. Czasami tylko. Szeryf zdjął z gwoździa pęk kluczy:
- No, to chodźmy.
Szli korytarzem, w którym rząd drzwi wyznaczał poszczególne cele. Przy jednych szeryf zatrzymał się i zaczął manipulować kluczem w zamku.
- Będzie pan sam - rzekł. - Ostatniego wypuściłem wczoraj wieczorem. Młodziak przeszedł granice i popił sobie zdrowo. W pijackim zwidzie zaczęło mu się wydawać, że jest równy białym chłopakom.
Blaine nie odparł nic. Wkroczył do celi, a drzwi zatrzasnęły się za nim. Po chwili rozległ się metaliczny szczek i w judaszu pokazała się twarz szeryfa.
- Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę tylko zawołać. Będę u siebie w biurze.

VIII

W historii miało to wiele nazw. Raz określano to mianem postrzegania pozazmysłowego, kiedy indziej psioniki - krócej: „psi" - czy też kinetyki paranormalnej, zdolności parapsychicznych lub zjawisk paranormalnych. Lecz na samym początku była to najczystsza magia.
Praktykował te wiedze szaman z grzechotkami magicznymi i sakwami pełnymi wstrętnych talizmanów i fetyszów. Czarownik z Konga i kapłan w Egipcie potrafili wykorzystać ów dar natury, którym zostali obdarzeni. Mędrzec tybetański w zaciszu himalajskiego klasztoru usiłował zgłębić tajemnice postrzegania pozazmysłowego. Nigdy jednak nie poznali istoty tego zjawiska, nigdy nie potrafili go w pełni wykorzystać w taki sposób, na jaki zasługiwało.
A potem, gdy nastała era rozumu i naukowej interpretacji świata, zjawiska paranormalne zostały ostatecznie zdyskwalifikowane, uznane za czary i nikt już prawie nie wierzył w ich istnienie. W świecie stworzonym przez oficjalną naukę nie było miejsca na czary. Nie dawały się bowiem włączyć w żaden istniejący system, wymykały się wszelkim definicjom i równaniom naukowym, trudno było ustalić metody ich badania. Wszak każde ze zjawisk parapsychicznych wiązało się ze swoistym poznaniem dokonywanym bez udziału zmysłów, a więc przebiegało w sposób nie dający sie wyjaśnić i uzasadnić naukowo. W taki sposób, tkwiące w człowieku zdolności paranormalne, wraz z całym istniejącym dotychczas arsenałem przesądów, wierzeń i zabobonów, pojęć i zjawisk magicznych, potraktowano jako stek horrendalnych bzdur i nikt już, kto posiadał choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie poświęcał im chwili uwagi.
Ów los zjawisk paranormalnych podzieliły również osoby obdarzone tymi zdolnościami. Na osoby takie - określane potocznie mianem dewiatów - skierowano cały lek i nienawiść. Ludzi tych mordowano bezlitośnie lub - w najlepszym przypadku - wsadzano do więzień.
Lecz, o ironio losu - myślał Blaine - przecież właśnie nauce, oficjalnej nauce, która była sprawcą cierpień tysięcy niewinnych dewiatów, kinetyka paranormalna zawdzięcza swoje ostateczne, oszałamiające zwycięstwo.
Gdyż to właśnie rozwój nauki stanowił konieczny warunek, by Człowiek mógł uwolnić swój umysł z krepujących go wieki kajdanów, by przełamać wszelkie uprzedzenia i bariery i przerzucie most nad otchłanią, która dzieliła naukę oficjalną od zjawisk paranormalnych. Dzięki nauce można było dopiero dotrzeć do sedna owej potężnej energii drzemiącej w ludzkim mózgu. Studia nad tym zagadnieniem wymagały specjalnych metod, które tylko nauka mogła wypracować.
Mówiło się, że w zamierzchłej przeszłości droga rozwoju ludzkości rozwidliła się, tworząc dwie ścieżki prowadzące w przeciwnych kierunkach: „Magie" i „Naukę". Człowiek wybrał te ostatnią. Twierdzono również, że popełnił wówczas wielki błąd, czyniąc ten wybór, bo było to zejściem na manowce. Spójrzcie tylko, jak daleko moglibyśmy zajść - argumentowano - gdyby ludzkość na samym początku wybrała „Magie".
Nikt z nich nie miał racji - myślał Blaine. Cały szkopuł tkwi bowiem w tym, że Człowiek nie miał żadnego wyboru. Zawsze istniała tylko jedna droga: „Nauka". Gdyż aby stać się władcą „Magii", najpierw trzeba było poradzić sobie z „Nauką".
I rzeczywiście, niewiele brakowało, by nauka wyparła całkowicie magie, odzierając tym samym Człowieka z tego, co było w nim najcenniejsze. Istniała jednak na szczęście grupka upartych ludzi gotowych na wszystko, by tylko ziścić odwieczny sen o gwiazdach.
Blaine z najwyższym trudem potrafił sobie wyobrazić czasy, gdy Fishhook był zaledwie nieśmiałą, pełną uroku nadzieją, ekscytującą fantazją, przedmiotem gorącej i żarliwej wiary nielicznej garstki owych upartych ludzi, których prośby o wsparcie

świat zbywał śmiechem, szyderstwem i znaczącym pukaniem się w czoło.

Byli jednak wystarczająco uparci. Pewnego dnia zjawili się w Waszyngtonie z apelem o poparcie finansowe. Pomocy tej naturalnie im odmówiono; rząd absolutnie nie był zainteresowany ich awanturniczymi - jak to określono - planami. Jakże ta grupa entuzjastów i szaleńców zdoła sięgnąć do gwiazd, skoro wszechpotężna nauka nie była w stanie tego dokonać?

Pracowali wiec dalej w osamotnieniu i izolacji, wspierani niewielkimi zasiłkami płynącymi z Indii, Filipin i Kolumbii, drobnymi datkami towarzystw metafizycznych oraz darami swych sympatyków.

Aż nadszedł ów pamiętny dzień, w którym fortuna uśmiechnęła się wreszcie do owych upartych, nie do pokonania ludzi. Oto Meksyk - wielki kraj z jeszcze większym sercem - zaprosił ich do siebie, zaopatrzył niezwykle sowicie w środki finansowe, zbudował i oddał im do dyspozycji gigantyczne centrum badawcze wyposażone w drogocenną, skomplikowaną aparaturę.

Od tej właśnie chwili Fishhook stał się faktem dokonanym i rozwiną) się niebawem w potężną instytucje, dysponującą nieograniczonymi kredytami nie tylko dla siebie, lecz również dla gościnnego kraju, który okazał mu w trudnych chwilach tyle serca.

I ja, mimo że siedzę tu, w tej celi, stale jestem częścią Fishhooka - prowadził w duchu monolog Blaine. Jestem fragmencikiem tego potężnego, hermetycznego środowiska, którego izolacja od świata zewnętrznego została zawiniona przez ten właśnie świat: pełen zawiści, podejrzeń, nietolerancji przesądów i zabobonów. Chociaż ucieka od Fishhooka, chociaż agenci koncernu tropią go jak dziką, niebezpieczną bestie, to stale jest częścią tej instytucji.

Stał na wąskiej pryczy przykrytej brudnym kocem i tuląc policzek do chłodnych krat wyglądał oknem. Przed jego oczyma rozciągała się beznadziejnie przygnębiająca panorama miasteczka. Spalona słońcem, wyprana ze wszelkich barw ulica wysadzona była rachitycznymi drzewkami. Pasowały do nich odrapane budynki na wpół zbankrutowanych przedsiębiorstw i zaparkowane przy krawężnikach stare, rozklekotane samochody, z których większość miała jeszcze silniki spalinowe i koła. Mężczyźni siedzieli grupkami na schodkach pobliskich sklepików i żując monotonnie tytoń, popluwali co chwile na chodnik. Tworzyły się w tych miejscach małe, bursztynowe kałuże gęstej śliny, przywodzące na myśl krople krwi. Siedzieli apatyczni, odzywając się z rzadka do siebie, pochłonięci żuciem i spluwaniem. Obojętni, leniwi, zrezygnowani.

Lecz Blaine zdawał sobie sprawę, że ów bezruch to tylko pozory. Mężczyźni nie spuszczali z oka budynku sądowego z zamkniętym wewnątrz, znienawidzonym dewiatem. Pilnowali Blaine’a, bo o jego umyśle stara wiedźma Sara powiedziała, że odbija jak zwierciadło.

To samo musiał spostrzec Rand! To właśnie zdradziło Blaine’a. A wiec Rand, który z całą pewnością nie był szperaczem, musiał być całkiem sprawnym lokalizatorem. Ale to nie miało już żadnego znaczenia: szperacz czy lokalizator. Nawet szperacz zaglądając do jego ekranowanego umysłu, niewiele by się dowiedział.

A to znaczy, że mam mózg, który jest jak rozbłyskujący czerwonym światłem dzwonek alarmowy, słyszalny i dostrzegalny nawet dla niezbyt sprawnego telepaty - uświadomił sobie Blaine. A stąd już prosty i przerażający wniosek, że on, Blaine, nigdzie nie będzie bezpieczny. Nie ma na świecie takiego miejsca, gdzie mógłby się skryć. Jest dzwonkiem alarmowym nie tylko dla katalizatorów i szperaczy, lecz także dla wszystkich innych intuicjonistów, jasnowidzów i telepatów.

Pewien był jednego: cała ta nieprawdopodobna historia z jego lustrzanym umysłem była czymś absolutnie nowym. W przeciwnym bowiem razie, słyszałby z całą pewnością o takim przypadku.

- EJ, TY - mruknął do ukrytej w mózgu istoty - WYLEŹ NO NA CHWILĘ STAMTĄD!

Obcy poruszył się pod czaszką, przeciągnął rozkosznie jak zadowolony psiak. Ale nie wyszedł na wezwanie człowieka.

Blaine zszedł z pryczy i usiadł na jej brzegu.

Harriet z pewnością mogłaby mi pomóc - pomyślał. Mogłaby przybyć skrycie do miasteczka, a szeryf dyskretnie wypuście go na wolność. Z drugiej jednak strony, on sam podsunął szeryfowi doskonały pretekst do przytrzymania go w areszcie: jako posiadacza nielegalnej broni.

- KOLEŚ - zwrócił się do swego towarzysza - CHYBA ZNÓW POTRZEBNA MI BĘDZIE TWOJA
POMOC, MUSIMY WYMYŚLEĆ JAKĄŚ NOWĄ SZTUCZKĘ.

Istota w jego czaszce pokazała już, na co ją stać: trick z czasem. A może z metabolizmem Blaine’a. Trudno dociec, jak naprawdę rzecz się miała: czy to on poruszał się szybciej, czy też czas został spowolniony.

No i dokąd w końcu uciekać?

Do Południowej Dakoty, jak radziła Harriet?

Zdrowy rozsądek nakazywał Blaine’owi udać się właśnie tam. Nie miał przecież wyjścia alternatywnego. Nie miał dotychczas czasu, by ustalić jakikolwiek plan działania. Przed laty postanowił wprawdzie, że ucieknie. Planował nawet poczynić stosowne przygotowania na taką ewentualność. Zwlekał jednak, odsuwał wszystko na potem... Na nigdy. No i teraz ma za swoje: siedzi w celi więziennej w małym miasteczku, którego nawet nazwy nie zna, ma przy duszy piętnaście dolarów, a i te zamknięte w szufladzie szeryfa.

Zza okna dobiegał go od czasu do czasu warkot silników spalinowych samochodów-rupieci i świergot ptaków. Blaine nie musiał wyglądać oknem, by przekonać się, że mężczyźni stale tkwią w bezruchu na swych stanowiskach.

Ktoś właśnie wchodził do biura szeryfa. Blaine usłyszał trzask otwieranych drzwi, następnie odgłos kroków i szmer przyciszonej rozmowy, której nawet nie usiłował podsłuchiwać. Bo i po co? Co by mu to dało? Czy cokolwiek miało jeszcze sens?

Zaczynał ponownie pogrążać się w rozmyślaniach, gdy dobiegł go z korytarza energiczny stukot butów szeryfa. Potem usłyszał zgrzyt klucza i w drzwiach celi ukazał się sam przedstawiciel prawa.

- Blaine - odezwał się szeryf. - Przyszedł do pana Ojciec.

- Ojciec? Czyj?

- Kapłan, poganinie. Proboszcz naszej parani.

- Aha, proboszcz - mruknął Blaine. -1 cóż go tak zainteresowało w mojej skromnej osobie? Ostatni sakrament?

- Jesteś pan istotą ludzką, nieprawdaż? Wiec posiada pan również dusze...

- Nie zaprzeczam...

- Czemu mi pan od razu nie powiedział, że jest od Fishhooka? - przerwał szeryf, obrzucając Blaine’a ciężkim, chmurnym spojrzeniem.

- Czy to by cokolwiek zmieniło?

- Wielki Boże, człowieku! - wykrzyknął szeryf wytrzeszczając na Blaine’a oczy. - Gdyby oni wiedzieli, gdyby tylko wiedzieli, że pan jest stamtąd! Moj Boże! Jak amen w pacierzu, już by pan wisiał. W zeszłym miesiącu minęły trzy lata od chwili, gdy spalili tutejszy Punkt Handlowy. Ajent uciekł w ostatnim momencie.

- No i co pan na to, szeryfie? Pan oczywiście pozwoli by mnie powieszono?

- Znalazłem lepsze wyjście.

- Wielkie dzięki. Podejrzewam, że zawiadomił pan Fishhooka.

- Zgadza się. Prosiłem ich, by pana jak najszybciej stąd zabrali.

- Nie to szlag trafi...

- Wiec po jaką cholerę przybyliście do tego miasta? - wybuchnął szeryf, czerwieniejąc na twarzy. Przez was, dewiatów, zawsze jest tyle kłopotów.

- Byliśmy głodni. Musieliśmy w końcu gdzieś zjeść śniadanie - odwarknął Blaine.

- No i najadł się pan. Na całe życie - burknął ponurym głosem szeryf. - Mam jeszcze nadzieje, że uda mi się jakoś pana z tego wyciągnąć.

I odwracając się w stronę drzwi, rzucił jeszcze przez ramie:

- Zaraz przyśle tu Ojca.

IX

W drzwiach celi ukazał się ksiądz. Przystanął na chwile u wejścia, by przyzwyczaić oczy do półmroku.

- Miło mi widzieć księdza - Blaine na widok gościa poderwał się z łóżka. - Niestety, obawiam się, że mogę służyć wyłącznie pryczą.

- Nie szkodzi, nie szkodzi - machnął ręką ksiądz. - Jestem Ojciec Flanagan. Mam nadzieje, mój synu, że nie zakłóciłem ci spokoju i nie potraktujesz mnie jak natręta.

- Ależ skądże - potrząsnął głową Blaine. - Jestem wręcz rad,

widząc tu księdza.

Ojciec Flanagan był tęgim mężczyzną w średnim wieku. Miał białe dłonie i powykręcane artretyzmem palce. Podszedł do pryczy i postękując usiadł. Poklepał lekko dłonią koc.

- Siadaj obok mnie, synu. Chciałbym na wstępie zastrzec, że jestem człowiekiem niezwykle dociekliwym, by nie rzec - ciekawskim. Bierze się to stąd, że jestem duszpasterzem tutejszej parafii, a ludzie, którym przewodzę, pomimo swego wieku, posiadają mentalność i umysły dzieci.

Kapłan zamyślił się na chwile, a potem gwałtownie unosząc głowę, spojrzał bystro na Blaine'a.

- A ty, czy może chciałbyś o czymś szczególnym ze mną pomówić? - spytał.

- Nie sądzę, byśmy mogli rozmawiać ze sobą o czymś konkretnym - odparł z lekkim wahaniem Blaine. - Może tak w ogóle, o religii...

- Nie jesteś wierzący, mój synu?

- Prawdę mówiąc, niezbyt.

- Nastały bezbożne czasy - starszy mężczyzna potrząsnął bezradnie głową. - Czasy, w których trudno jest zachować wiare, czasy nie sprzyjające głębszej refleksji, kontemplacji... Wielu jest takich jak ty, mój synu. Wielu. To właśnie tak mnie zasmuca. Żyjemy i działamy w czasach, kiedy dusza ludzka bardziej koncentruje się na leku przed złem niż na kontemplacji dobra. Prowadzi się obecnie rozmowy o wilkołakach, inkubach i diable, mimo że pojęcia te - i strach przed nimi - zdawać by sie mogło, zostały już dawno wymazane ze świadomości ludzkiej.

Odwrócił się niezgrabnie, by lepiej widzieć Blaine'a.

- Szeryf wspomniał, że jesteś od Fishhooka.

- Nie ma wiec potrzeby, bym zaprzeczał.

- Nie rozmawiałem dotąd z nikim stamtąd - mrucząc pod nosem, jakby rozmawiał sam ze sobą, rzekł Ojciec Flanagan. - Słyszałem natomiast o Fishhooku wiele. Przeważnie niewiarygodne i przerażające opowieści. Był tutaj, co prawda, ajent spalonego w swoim czasie Punktu Handlowego, lecz nie zdecydowałem się na pogawędkę z nim. Ludzie mogliby opacznie zrozumieć moje intencje.

- Po tym, co widziałem i czego doświadczyłem dzisiejszego ranka, też tak sądzę - wtrącił cierpko Blaine.

- Oni twierdzą, mój synu, że posiadasz paranormalny...

- Chciałeś powiedzieć, Ojcze, że jestem dewiatem, czy tak? Nie ma potrzeby ubierania tego w ładne słówka.

- I rzeczywiście nim jesteś?

- Ojcze, jaki masz cel w tym, że mnie o to pytasz? - była w tym pytaniu niezamierzon agresja.

- Czysto akademicka ciekawość, mój synu. Czysto akademicka. Mogę cie o tym z czystym sumieniem zapewnić. Po prostu sam się tym problemem interesuje. Dla własnego użytku. I śpieszę zapewnić, że cokolwiek powiesz, nie wyjdzie to poza obręb tej celi. Traktuj naszą rozmowę jako spowiedź.

- Powiem w takim razie księdzu jedną rzecz. Były czasy, mroczne i straszne, gdy naukę traktowano jako największego i najgroźniejszego wroga prawdy. Prawdy religijnej. A dziś te czasy ponownie wróciły.

- Bo ludzie się boją - odparował natychmiast Ojciec Flanagan. - Zamykają okna i tarasują drzwi swych domostw. Nie opuszczają nocą mieszkań. Noszą amulety magiczne. Amulety - wyobraź sobie mój synu - zamiast poświeconego krzyżyka. Zawieszają je na bramach i drzwiach swych siedzib. Szepczą miedzy sobą rzeczy, które - zdawałoby się - dawno, wraz ze średniowieczem, bezpowrotnie przeminęły. Przesiąknięci są strachem do szpiku kości. Stracili wiele ze swej starodawnej, żarliwej wiary. Oczywiście, nie odprawiają już tych wszystkich barbarzyńskich i okrutnych rytuałów, ale one tkwią w nich głęboko. Widzę je w ich oczach. Słyszę w rozmowach. Wyczuwam w duszach. Stracili całą prostotę wiary.

- Nie, Ojcze. To nie utrata wiary. To zagubienie...

- Cały świat jest zagubiony - odparł sentencjonalnie kapłan, wzruszając lekko ramionami.

Ma racje - pomyślał Blaine. Ma cholerną racje ten stary kapłan. Cały świat jest zagubiony, gdyż stracił swego przewodnika, swego nowoczesnego bohatera. Kulturowy Ideał. Ludzie odrzucili go, a na nowy już ich nie stać. Stracili kotwice, która chroniła ich statek przed naporem nielogiczności i absurdu; żeglują teraz bez map i kompasu po wzburzonym, obcym oceanie.

Do niedawna nauka właśnie była owym bóstwem nowoczesnej kultury. Reprezentowała sobą rozum i logikę, precyzje, która drążyła atom, wyrywała Człowieka do gwiazd, wnikała w przepastne głębie wszechświata. To ona, nauka, fundament i bohater całej kultury podarowała swym wyznawcom wygodę, komfort i bezpieczeństwo. Pośród mnogości rzeczy, właśnie nauka stanowiła dobro cenione najwyżej. Była czymś, w co można wierzyć ślepo i bez zastrzeżeń.

O jej wartości decydowała namacalność jej wytworów: maszyny i technologia. Bo nauka jako taka jest abstraktem, lecz maszynę można zobaczyć na własne oczy, można dotknąć dłońmi, usłyszeć jej warkot na własne uszy.

Ale nadszedł tragiczny dzień, w którym okazało się, że mimo tych maszyn, mimo tej cudownej technologii, wszechświat jest przed Człowiekiem zamknięty. Zamknięty na zawsze. Owego właśnie fatalnego dnia Człowiek, niczym zbuntowany anioł, strącony został z niebiańskich wyżyn w mroczną otchłań Nory-Ziemi. I tego samego dnia Bóstwo Nauka przestało lśnić dotychczasowym blaskiem, a w duszach i umysłach ludzkich zakiełkowały pierwsze ziarna zwątpienia.

Potem nastąpił ów drugi dzień, gdy Człowiek wyrwał się jednak ku gwiazdom; ale już bez rakiet grzmiących echem gromu, bez stosów atomowych i strumieni antymaterii. Tego dnia załamała sie wiara w technikę. Nauka jednak egzystowała w dalszym ciągu - stale użyteczna, stale ważna, stale potrzebna. Przestała jednak być ideałem, przedmiotem powszechnego kultu.

Bo choć Fishhook używał maszyn, nie były to narzędzia, które by Człowiek mógł ustawić na ołtarzu. Nie posiadały guzików i indykatorów, kół, tłoków, wałów i dźwigni. Nie miały nic wspólnego z obiegowym wyobrażeniem potężnej, wszechmocnej maszyny. Były dziwne i obce, niepojęte i straszne. Nastąpił rozbrat miedzy Człowiekiem a Techniką.

W ten sposób świat utracił swe Kulturowe Bóstwo. Ale natura ludzka jest tak ukształtowana, że nie znosi próżni. Musi mieć jakiś autorytet, ideał, coś, czemu można zaufać i wierzyć; pustka jest przestrzenią, która domaga się wypełnienia.

Siły parapsychiczne, tkwiące w Człowieku, były wystarczająco dziwaczne i obce, by zająć miejsce zdetronizowanej nauki. Ale z chwilą, gdy coś tak konkretnego, jak nauka, zostało zastąpione czymś tak enigmatycznym, niepojętym i zatrważającym jak parapsychika ludzkiego mózgu, najbardziej zwariowane kulty stawały się całkiem usprawiedliwione. W siłach paranormalnych tkwiła jednak obietnica spełnienia wszelkich życzeń i tęsknot Człowieka, najbardziej nawet nierealnych, najbardziej fantastycznych.

Bo to była Magia.

Świat cofnął się w rozwoju i stanął ponownie w obliczu Magu.

Wahadło wychyliło się zbyt daleko i wracając - już siłą inercji - cofnęło się również za daleko. Człowiek, pozbawiony swego Kulturowego Ideału, pozyskał na jego miejsce upiorny świat neozabobonu, wkraczając tym samym w posępną epokę nowego Średniowiecza.

- Stoję bezradny wobec tej sytuacji - przerwał Blaine'owi rozmyślania Ojciec Flanagan. - A to jest przecież coś, co ze swej natury musi obchodzić sługę Kościoła. Wszystko bowiem, co dotyczy ludzkich umysłów i dusz żywo interesuje Kościół i Ojca Świętego. Na tym zresztą polega historyczna rola i znaczenie Rzymu.

Blaine poczuł coś w rodzaju sympatii dla księdza, podziwu dla jego szczerości. Nie zdołał jednak opanować w swym głosie goryczy i ironii.

- Wiec przybyłeś tu, by mnie podpytywać, Ojcze?

Ksiądz żałośnie pokiwał schyloną głową, a w głosie zabrzmiał nieskrywany smutek:

- Pragnąłem, byś nie traktował mojej wizyty w ten właśnie sposób. No cóż, stało się. Przyszedłem do ciebie jako do człowieka, który jest w stanie mi pomóc. Mnie, a wiec i Kościołowi, gdyż jemu służę. Bo Kościół, mój synu, też czasem rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Nie jest to wyznanie proste, vviem. Ale przez tysiąclecia trwania Kościoła nagromadziło się w nim wiele rzeczy, z którymi nie potrafi sobie poradzić. Zebrało się przez nadmierną durne i pychę Kościoła. A ty jesteś częścią tego właśnie, co tak zatrważa Kościół, czegoś, przed czym my, jego słudzy, stoimy z bezradnie opuszczonymi rękoma. I sądzę, że w was, w dewiatach, tkwi sedno problemu. A ty - jako jeden z nich - byłbyś może w stanie mi pomóc.

- Nie mam osobiście nic przeciwko temu, choć bardzo wątpię, czy cokolwiek to zmieni. A ostatecznie ty też, Ojcze, jesteś częścią tego, co się wyprawia w tym mieście.

- Tu się bardzo mylisz, mój synu - żywo zaoponował Ojciec

Flanagan. - Kościół, a wiec i ja, niczego nie sankcjonuje ani nie potępia. Po prostu w tej chwili my, słudzy boży, posiadamy jeszcze zbyt mało danych.

- Opowiem wiec o sobie - zgodził się nieoczekiwanie Blaine. - Jestem badaczem u Fishhooka. Moja praca polega na tym, że opuszczam Ziemie i lecę do gwiazd. Wchodzę do maszyny - może niezupełnie maszyny, raczej skomplikowanego urządzenia - które pozwala uwolnić się memu umysłowi i umożliwia mi przeskok we właściwym kierunku. No i oczywiście upraszcza nawigacje...

Blaine urwał, uśmiechnął się lekko, jakby z zażenowaniem:

- No, widzi Ojciec sam, jak trudno to wyrazić potocznymi słowami. Brzmi to bełkotliwie i...

- Ależ skąd - zaprzeczył szybko kapłan. - Jak dotąd wszystko rozumiem.

To doskonale. Bo weźmy na przykład kwestie nawigacji. To kolejna zabawna rzecz... Występują tutaj współczynniki niemożliwe do wyrażenia słowami, jak w matematyce. Ale to nie jest matematyka. To... To po prostu sposób dotarcia do wyznaczonego celu, świadomość tego, dokąd się zmierza...

- Magia?

- Do diabła, nie!... przepraszam Ojca... Nie, to nie czary. To jest tak, że nagie się czuje, nagle rozumie, nagle wie. Jest to proste i jasne. Staje się twoją częścią. Jest łatwe jak kopniecie kamyka, naturalne, jak oddychanie. Wyobraziłbym to...

- Nie sądzę, byśmy musieli poruszać techniczną stronę zagadnienia. Proszę raczej powiedzieć, jak się tam człowiek czuje, tam, na tych obcych planetach.

- Tak samo jak tutaj. To znaczy początkowo czułem się tylko nieprzyzwoicie nagi: goły umysł pozbawiony ciała.

- I twój umysł wędruje sobie po planecie?

- Noo, niezupełnie tak wędruje. Teoretycznie mógłbym tak wędrować, ale raczej unikamy tego. Zazwyczaj siedzę wewnątrz maszyny, którą biorę ze sobą...

- Maszyny?

- Skomplikowane urządzenie odbiorcze, które rejestruje wszystkie dane na specjalnej taśmie. Za jego pośrednictwem zdobywamy wszelkie parametry obcego świata; nie tylko to, co widzę czy czuje osobiście. Maszyna zbiera je i notuje, a ja jestem tam jedynie w celu interpretacji tych danych.

- No i co tam widziałeś?

- Ojcze! - roześmiał się Blaine. - Opowiedzenie tego wszystkiego zabrałoby więcej czasu niż go obaj mamy.

- A czy spotykasz tam planety takie jak Ziemia?

- Bardzo rzadko. Nie ma wiele takich planet. To znaczy - proporcjonalnie, gdyż światów ziemiopodobnych istnieje w kosmosie bardzo dużo. Lecz my nie ograniczamy się do penetracji wyłącznie takich planet. Docieramy wszędzie tam, gdzie to możliwe dla maszyny, dla jej konstrukcji i funkcjonowania. To znaczy prawie wszędzie...

- Nawet do samego jądra obcego słońca? - z niedowierzaniem spytał Ojciec Flanagan.

- Maszyna nie. To by ją zniszczyło. Ale umysł chyba tak. O ile się orientuje, nie było jeszcze takich prób. Sądzę jednak, że umysł ludzki jest w stanie bez szwanku dotrzeć nawet do atomowego jądra gwiazdy.

- No i co się tam czuje, co myśli?

- Po prostu obserwuje. Po to tam jestem.

- A czy przypadkiem nie czujesz się tam, synu, panem wszelkiego stworzenia? Nie odnosisz wrażenia, że Człowiek trzyma wszechświat w swoich dłoniach?

- To, co Ojciec mówi, jest grzechem pychy i próżności. Nie, nigdy nie doznaje podobnych uczuć. Czasem czuje dreszcz emocji, często jestem olśniony i zachwycony, najczęściej jednak natykam sie na zagadki, których nie potrafię rozwiązać. Uświadamiam sobie - wciąż i wciąż - jaki jestem mały, jaki niepozorny, jak niewiele znaczę, ot, kropelka życia w oceanie istnienia. Jednocześnie poczuwam sie do braterstwa ze wszystkim, co istniało, istnieje i co będzie istnieć.

- A czy myślisz tam czasem o Bogu?

- Nie, nigdy.

- To straszne. To straszne i przerażające być tam tak samotnie - wzdrygnął się kapłan.

L Ojcze, na początku naszej rozmowy przyznałem się, że jestem człowiekiem niewierzącym. Cały czas jestem wobec Ojca uczciwy i konsekwentny...

- Zgadzam się, ale...

- Wiec jeśli następne pytania Ojca brzmieć będą: czy lecąc go gwiazd można zachować swą wiarę? Czy wierzący, jeśli już tam trafi, powróci również jako wierzący? Czy podróż taka nie odbierze mu choćby części wiary, jaką posiada? - w takim przypadku będę domagał się wyjaśnienia terminów Ojca.

- Moich terminów?

- Tak. Na przykład: wiara. Co Ojciec rozumie przez pojecie wiary? Czy wiara bez reszty wystarcza Człowiekowi? Czy nie istnieją inne sposoby dotarcia do Prawdy? Czy wiara w coś, na co nie ma dowodu - oprócz filozoficznych spekulacji - może być rzeczywiście znakiem chrześcijanina? Albo^. czy Kościół powinien tak długo...

Ojciec Flanagan wzniósł ręce w górę:

- Mój synu! - wykrzyknął. - Mój synu!

- Zapomnij o tym, Ojcze - wykrzyknął z kolei Blaine, zdając sobie sprawę, jak swym wybuchem dotknął kapłana. - Zapomnij, nie powinienem był tego mówić.

Siedzieli pogrążeni w milczeniu, spoglądając na siebie ukradkiem. Jak obcy - błysnęło w głowie Blaine'owi. Jak dwie obce sobie istoty z różnych planet, choć obaj jesteśmy ludźmi.

- Bardzo mi przykro, Ojcze. Naprawdę.

- Mówiłeś szczerze. A to się liczy najbardziej. Wielu ludzi, którzy myślą podobnie, którzy wierzą święcie w to, co myślą, nie przyznaje się do tego. Ty jesteś ostatecznie tylko szczery i uczciwy, pozbawiony hipokryzji...

Wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Blaine'a.

- Jesteś telepatą?

- I teleporterem. Ale w ograniczonym zakresie. W bardzo ograniczonym.

- I to wszystko?

- Nie wiem - Blaine wzruszył ramionami. - Nie zgłębiałem tego problemu specjalnie.

- Ale podejrzewasz w sobie istnienie innych jeszcze zdolności?

- Posłuchaj, Ojcze. Do kinetyki paranormalnej zalicza się bardzo wiele różnego typu możliwości psychiki ludzkiej. Na początku jest się wszystkim po trochu, choć w ograniczonym i nieskomplikowanym stopniu: telepatą, teleporterem, telekinetykiem, kryptoskopą, jasnowidzem czy intuicjonistą. W miarę biologicznego rozwoju człowieka jedne z tych zdolności pozostają bierne, inne rozwijają sie

wraz z całym organizmem. Nie są jednak zintegrowane, lecz pozostają od siebie niezależne. I dopiero ich suma rzutuje na to, jaki jest umysł danej jednostki. Wszystkie razem sprawiają, że mózg pracuje w taki sposób, w jaki pracuje; jeśli oczywiście człowiek rozwijał w sobie owe parapsychiczne uzdolnienia.

- Ale czy one nie są właśnie tym złem, które tkwi w człowieku?

- Tak ale z całą pewnością. Ale pod warunkiem, że są wykorzystywane niewłaściwie. Tak sie zresztą częstokroć dzieje. Wykorzystują je ludzie, którzy nie zadali sobie trudu zastanowienia się. nad swoją potęgą, zrozumienia jej, przeanalizowania konsekwencji tych możliwości. Ale człowiek również źle Wykorzystuje swoje ręce: kradnie, zabija.

- A więc nie jesteś, synu, czarownikiem?

Blaine chciał w pierwszej chwili wybuchnąć głośnym śmiechem. Szybko jednak owa niewczesna wesołość ustąpiła miejsca narastającej zgrozie.

- Nie, Ojcze. Przysięgam na wszelkie świętości. Nie jestem czarownikiem, nie jestem wilkołakiem ani...

- Przesłań, proszę. Mnie również zdarza się powiedzieć czasami coś, czego nie powinienem mówić.

Podniósł się z pryczy, wyciągnął rękę o powykręcanych stawach.

- Dziękuje. - rzekł. - Niech ci Bóg dopomoże, mój synu.

- Czy Ojciec przybędzie tu wieczorem?

- Wieczorem?

- Tak, gdy będą mnie wieszać - na twarzy Blaine'a wykwitł krzywy, zły uśmieszek.

- Nie krotno ci tak myśleć! - wykrzyknął gwałtownie Ojciec Flanagan. - To naprawdę nie jest...

- Spalili przecież Punkt Handlowy. Niewiele brakowało, by razem z ajentem.

- Wiem - szepnął kapłan spuszczając oczy. - Mówiłem o tym swoim parafianom prosto w oczy. I nie tłumaczy ich wcale fakt, iż większość stanowili wówczas przybysze z okolicy, nie należący do mojej parafii. Moi powinni wiedzieć lepiej. Całe życie poświeciłem, by nie dochodziło do takich rzeczy.

Blaine objął dłońmi rękę Ojca Flanagana, zamknął w mocnym

uścisku kalekie palce kapłana.

- Szeryf jest bardzo dobrym człowiekiem - rzekł ksiądz. - Zrobi wszystko, co będzie mógł. Poza tym porozmawiam z ludźmi w mieście.

- Dziękuję, Ojcze.

- Czy boisz się śmierci, synu?

- Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że nie. Ale tak naprawdę, to nie wiem... - uśmiechnął się z niezamierzonym szyderstwem:

- Poczekamy, zobaczymy...

- Powinieneś jednak więcej ufać. Niech Bóg czuwa nas tobą. Dziś będę się za ciebie modlił.

X

Przez kraty wpadały do izby ostatnie promienie zachodzącego słońca, barwiąc krwawymi refleksami białe ściany pomieszczenia. Blaine od dłuższego czasu tkwił nieruchomo w oknie celi i obserwował gęstniejący z każdym kwadransem tłum po przeciwnej stronie ulicy. Tłum bynajmniej nie rozgorączkowany ani hałaśliwy jak zwykle w takich razach, ale spokojny, wręcz nonszalancki. Ludzie, którzy schodzili się niespieszne przed budynek sądu, sprawiali wrażenie dobrodusznych wieśniaków, przybywających do miasta na zebranie spółdzielcze lub zgoła w celach czysto towarzyskich.

Jednocześnie docierał do uszu Blaine’a powolny, jakby mierzony, krok szeryfa, który przechadzał sie po swoim biurze. Błysnęła Blaine’owi w głowie mysi, że szeryf chyba sobie nie zdaje sprawy z tego, co się świeci na zewnątrz, przed budynkiem sądowym. Z pewnością jednak się domyślał. Żyje wszak w tym miasteczku wystarczająco długo, by poznać jego mieszkańców i wiedzieć, na co ich stać.

Blaine stał z policzkiem przytulonym do zimnej kraty, wsłuchując się w ostatnie trele ptaków dobiegające z gęstej kępy drzew zasadzonych na dziedzińcu. Za chwile świergot ucichnie, a ptaki skulą się na gałązkach, by zapaść natychmiast w sen.

Gdy tkwił tak zamyślony, pod jego czaszką wszczął się znajomy ruch i Różowa Istota wypełzła z ukrycia, rozciągnęła się na całą swą długość, aż wypełniła sobą cały mózg człowieka.

- PRZYBYŁAM, ABY POZOSTAĆ Z TOBĄ - zdawało się mówić stworzenie. - PO TO ZRESZTĄ UKRYŁAM SIĘ W TWOJEJ CZASZCE. ZNAM JUŻ CIEBIE, SPENETROWAŁAM KAŻDY ZAKĄTEK KAŻDĄ SZCZELINĘ TWOJEGO MÓZGU I ŚWIADOMOŚCI, WIEM JUŻ, JAKĄ JESTEŚ ISTOTĄ, A ZA TWOIM

POŚREDNICTWEM ZOBACZYŁAM RÓWNIEŻ TWÓJ ŚWIAT. TWÓJ - A WIĘC I MÓJ, PONIEWAŻ OD TERAZ I JA W NIM ŻYJĘ.

- TO JUŻ WSZYSTKIE GŁUPOTY, KTÓRE CHCIAŁAŚ MI ZAKOMUNIKOWAĆ? - spytała ta cześć dwoistej istoty, która należała do Blaine’a.

- TO JUŻ WSZYSTKIE GŁUPOTY, KTÓRE CHCIAŁAM CI ZAKOMUNIKOWAĆ - jak echo odparła ta druga cześć. - KONIEC ZE STRACHEM. KONIEC Z PRÓBAMI UCIECZKI, KONIEC Z USIŁOWANIEM WYDOSTANIA SIĘ Z CIEBIE.

- A POZA WSZYSTKIM INNYM, ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE. W OGÓLE NIE ISTNIEJE NIC TAKIEGO JAK ŚMIERĆ. BO POJĘCIE KOŃCA ŻYCIA JEST CAŁKIEM NIEZROZUMIAŁE. CZEGOŚ TAKIEGO WCALE ME MA. CHOCIAŻ ZARAZ, ZARAZ... NA SAMYM DNIE MEJ PAMIĘCI TKWI WSPOMNIENIE ISTOT KTÓRYM RZECZ, TAKA JAK ŚMIERĆ, ZDARZAŁA SIĘ.

Blaine potrząsnął głową i zszedł z pryczy. Usiadł ciężko na jej brzegu i opierając łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach. Opadły go nagle jakieś dziwne wspomnienia, których obecności w sobie nawet nie podejrzewał. Były mętne, jakby otoczone gęstą kurtyną utkaną z buroszarej mgły. Płynęły z oddali, z bardzo daleka, z przeszłości. I już po chwili nie był w stanie rozróżnić, co z tego wydarzyło się naprawdę, a co było tylko wytworem jego wyobraźni.

W mgnieniu oka, niczym huczący, wzburzony ocean, zalały mózg Blaine’a miliardy bitów informacji pochodzących z najodleglejszych zakątków kosmosu. Posiadał w tej chwili pełną znajomość nieprzeliczonej ilości planet we wszechświecie, milionów ras i istot, które zamieszkiwały odległe w czasie i przestrzeni galaktyki, krocie obcych, niepojętych i nieprawdopodobnych pojęć oraz zjawisk.

- Jak samopoczucie? - pytanie wdarło się w jego rozmyślania przykrym dysonansem. Drgnął zaskoczony, uniósł w górę twarz i napotkał błyszczące w judaszu oczy szeryfa, którego nadejścia nie usłyszał.

- Dziękuje, wyśmienite - odrzekł jadowicie Blaine. - Poza tym - dodał z kpiną w głosie - obserwowałem właśnie przez okno pańskich przyjaciół, szeryfie. Gromadzą się na ulicy. Nie ma wiec najmniejszych podstaw do obaw?

- Nie ma - uśmiechnął się w odpowiedzi szeryf. - Oni nie odważą się przejść na te stronę ulicy. Nawet gdyby to zrobili, wyjdę i przemówię do nich osobiście.

- Nawet jeśli wiedzą, że jestem od Fishhooka? - Blaine spojrzał mu uważnie w oczy.

- To jedyna rzecz, której nie wiedzą i której nie wolno im wiedzieć.

- Ale pan poinformował o tym Ojca Flanagana.

- Nie mogłem tego zataić przed Ojcem.

- A czy on tego nie rozgłosi?

- Czemu miałby to zrobić? - odrzekł pytaniem szeryf.

Blaine nie znalazł odpowiedzi. Było to bowiem jedno z pytań, na które się nigdy nie znajduje odpowiedzi.

- Pan, szeryfie, wysłał już o mnie wiadomość?

- Nie bezpośrednio do Fishhooka. Powiedziałem mojemu przyjacielowi, który miał dopiero zawiadomić Fishhooka.

- To było zbyteczne. Fishhook i bez tego dobrze wie, gdzie teraz jestem - chłodno odparł Blaine.

Jasnowidze Fishhooka już wiele godzin temu wytropili go i mogą być w tym przygranicznym miasteczku lada chwila. Na te myśl ogarnęła go fala nadziei. Fishhook - był o tym przekonany wysłał jego śladem cały oddział agentów, którzy poradzą sobie niewątpliwie z tłumem zdziczałych mieszkańców tej osady.

Wstał i podszedł do okna.

- Lepiej wyjdź do nich, szeryfie - odezwał się, wyjrzawszy na zewnątrz. - Oni właśnie przechodzą ulice.

Blaine pojmował, że mieszkańcy miasteczka muszą się spieszyć. Pozostało im niewiele czasu. Niedługo zapadnie noc. A gdy ciemność spowije świat, muszą się znaleźć w bezpiecznym zaciszu własnych mieszkań. Muszą zaryglować drzwi, pozamykać okiennice i zaciągnąć story. Na zewnątrz pozostaną jedynie magiczne amulety porozwieszane na bramach i drzwiach domostw. Wtedy dopiero będą bezpieczni, będą poza zasięgiem ukrytych, złowrogich sił, czających się w ciemnościach nocy. Będą zabezpieczeni przed banshee** i wilkołakiem, przed wampirem, gnomem i chochlikiem.

Szeryf wyszedł. Blaine wsłuchiwał się dłuższy czas w jego szybki, nerwowy teraz krok. Potem dobiegł go zgrzyt metalu zdejmowanej ze stojaka strzelby, szczek łamanej broni i dźwięk wsuwanych do magazynku naboi.

A tłum, w ciszy mąconej tylko szuraniem dziesiątków stóp, posuwał się jak ciemna, falująca płaszczka.

Blaine, jak urzeczony przyglądał się temu złowieszczemu pochodowi. A jednocześnie spoglądał na to całe widowisko z dziwnym dystansem, jak na coś odległego, co nie miało związku z jego osobą. Ów stoicki spokój w obliczu śmierci zaskoczył go; uświadomił sobie bowiem naraz, że ci ludzie kłębiący się tam, w dole, idą przecież po niego.

Lecz to nie miało w tej chwili dla Blaine’a żadnego znaczenia. Wszak śmierć nie istnieje. Słowo „śmierć” jest tylko pustym dźwiękiem, który nie ma realnego odpowiednika.

Ale skąd w nim ta pewność? Kto to powiedział? Skąd o tym wie?

Bo zdawał sobie sprawę, że śmierć istnieje. Śmierć jest warunkiem ewolucji, jest jednym z podstawowych mechanizmów wyznaczających postęp biologiczny i awans poszczególnych gatunków.

- TY - mruknął do istoty gnieżdżącej się pod jego czaszką, istoty, która przestała już być samodzielnym bytem, a stała się jego częścią - TO TWÓJ WYMYSŁ. ALE TO TYLKO WYMYSŁ. BO ŚMIERĆ JEST CZYMŚ NAD WYRAZ KONKRETNYM, CZYMŚ, CZEGO TYLKO TY ŻADNĄ MIARĄ NIE JESTEŚ W STANIE ZAAKCEPTOWAĆ.

Śmierć trzeba uznać, trzeba się z nią pogodzić. Jest ona chwilą teraźniejszą, jest wszechobecnością, jest czymś, co pojawia się zawsze i wszędzie tam, gdzie trwa jakiekolwiek życie.

Bo śmierć istnieje i jest już blisko; zbyt blisko, by Blaine mógł się jej zaprzeć. Dawała o sobie znać pomrukiem tłumu. Ciżby, która zniknęła teraz z oczu Blaine’a, bo tłoczyła się już u wejścia

---

** Banshee - w mitologii szkockiej i irlandzkiej upiór kobiety wieszczącej wyciem śmierćw rodzinie, który szuka kolejnej ofiary.

do budynku sądowego, spierając się z szeryfem, którego dudniący głos docierał do celi.

- Rozejdźcie się do domów. Rozejdźcie, dobrze wam radze - grzmiał przedstawiciel prawa.

Tłum odpowiadał krzykiem na ponawiane wciąż wezwania szeryfa. Gdy tak wrzeszczeli do siebie: szeryf i tłum, Blaine stał bez ruchu w swoim wiezieniu i czekał. W miarę upływu czasu narastał w nim strach, napływał coraz silniejszymi, gorącymi falami do gardła, zalewał je jak gęsta, zamulona woda.

Blaine usłyszał w końcu ciężki krok kilku osób przemierzających korytarz. Szczek judasza. W otworze ukazała się pobladła, obleczona obłudnym uśmiechem, twarz szeryfa.

- Wybacz, Blaine. Nie potrafiłbym do nich strzelać. Zrozum, to są wszystko moi przyjaciele. Wyrosłem z tymi ludźmi. Jeszcze jako brzdąc bawiłem się z nimi w Indian. Nie umiem do nich strzelać.

- Oczywiście, że nie, ty śmierdzący skunksie - odparł Blaine z jakimś przerażającym spokojem w głosie.

- Dawaj klucze - warknął do szeryfa jeden z trzech towarzyszących mu mężczyzn. - Już my go stąd wyprowadzimy.

- Wiszą na gwoździu w moim biurze - odparł potulnie szeryf. Ponownie spojrzał w kierunku Blaine'a.

- Uwierz mi, nie byłem w stanie niczemu zaradzić...

- Spierdalaj i zastrzel się. Tyle tylko ci mogę doradzić, gnojku.

Wrócił mężczyzna z kluczami i szeryf - bez słowa - cofnął się, robiąc miejsce przy drzwiach. Klucz zachrobotał w zamku.

- Słuchaj, wyjdę sam - warknął Blaine pod adresem otwierającego cele. - Nie dotykajcie mnie swymi brudnymi łapami.

- Wyjdziesz tak, jak my chcemy.

- Pozwólcie mu - wtrącił się szeryf. - To w końcu nic takiego.

- No dobrze. Niech idzie sam - odparł mężczyzna robiąc Blaine'owi przejście.

Ten wyszedł na korytarz sztywnym krokiem. Tam natychmiast został otoczony eskortą złożoną z przedstawicieli mieszkańców miasteczka: dwaj z nich stanęli po jego bokach, a jeden z tyłu. Na samym końcu wlókł się szeryf. Mężczyzna, który otworzył cele, cisnął pękiem kluczy o podłogę. Upadły z donośnym, przenikliwym dźwiękiem. Blaine'owi ścierpły zęby.

- A wiec stało się - pomyślał. - Niewiarygodne, a jednak prawdziwe.

- Prędzej, prędzej. Ruszaj się ty ohydny dewiacie! - krzyknął mężczyzna z tyłu i uderzył Blaine'a boleśnie w plecy.

- Chciałeś leźć sam, to leź - dodał drugi. - Tylko się pośpiesz.

Blaine szedł równym, mocnym krokiem wyprostowany, z uniesioną głową: byle się nie potknąć, nie zachwiać, nie okazać strachu i słabości, do końca zachować godność.

- Jeszcze żyje - myślał. A wiec jeszcze ciągle istnieje szansa. Może na zewnątrz czekają już ludzie Fishhooka. A może Harriet przybyła z pomocą.

Maszerował równym krokiem. Korytarz się skończył i weszli do biura szeryfa, a z niego do dolnego hallu prowadzącego już prosto na dziedziniec. Szedł, a towarzyszący mu mężczyźni, jak cienie, postępowali za nim.

Drzwi wejściowe były otwarte; najwidoczniej ktoś je trzymał od zewnątrz.

Zawahał się. Krew gorącą falą odpłynęła mu z głowy ku nogom. Gdy przekroczy te drzwi i wyjdzie na szczyt schodów, gdy stanie twarzą w twarz z tłumem, gdy zajrzy w jego rozszerzone nienawiścią źrenice, straci wszelką nadzieje.

- No, zasuwaj kurewski dewiacie - wychrypiał mężczyzna za nim. - Tam już wszyscy na ciebie czekają.

Ciężka dłoń spadła na plecy Blaine'a i bardzo silne pchniecie cisnęło nim do przodu. Zachwiał się. Natychmiast jednak odzyskał równowagę. Wyprostował się i uniósł wysoko głowę.

Przeszedł przez próg, zostawiając za sobą ostatnie w swym życiu drzwi. Stanął twarzą w twarz z tłumem oprawców.

Przeciągły ryk dziesiątków gardzieli rozdarł wieczorną cisze. Wrzask rozszalałej nienawiści i czającego się za nią strachu był jak skowyt wilczego stada pędzącego krwawym tropem, jak warczenie tygrysa podrażnionego zbyt długim oczekiwaniem. Ale w krzyku tym Blaine wyczuł inny jeszcze ton: skargę, żałosny skowyt zaszczutego, skazanego na śmierć zwierzęcia.

Bo to oni, właśnie oni są tymi zaszczutymi, śmiertelnie wystraszonymi zwierzętami - pomyślał, spoglądając obojętnie na kłębiący się u jego stóp, w dole schodów, tłum.

Przepełnieni nienawiścią, zdają sobie sprawę, że pozostał im już tylko ten krwawy i okrutny czyn. Wiedzą, że są poza głównym nurtem wydarzeń, że nie potrafili go w porę pojąć, i włączyć się wen, a wiec ich gatunek wymiera. Stary ład, w którym wciąż jeszcze żyją, wali się w proch, a grunt usuwa sie im spod nóg. Giną pod naporem nowego, wdeptywani w błoto i kurz butami innych, nowych, lepszych ludzi przychodzących tu z przyszłości.

Mogą go oczywiście zabić. I zabiją. Tak, jak zabijali innych. Tak, jak zrobią to jeszcze nieraz. Ale ich los jest już przesądzony. Przegrali wojnę. Są martwi.

Ktoś uderzył go nieoczekiwanie w plecy. Cios zachwiał nim i Blaine dał szybki krok do przodu. Noga nie trafiła na stopień. Upadł. Zaczął staczać się po wygładzonych setkami ludzkich stop schodach. Stoczył się na sam dół, prosto w objęcia czekającego tam, rozjuszonego tłumu, który zamknął sie natychmiast nad nim. Gąszcz rąk, niczym macki gigantycznej ośmiornicy, wyciągnął się w jego stronę. Ludzie zaczęli go szarpać, kopać, poszturchiwać, a potem bić. Owiał go wstrętny, cuchnący odór ich oddechów.

Czyjeś ręce uniosły go w górę, postawiły na nogi i miotały miedzy sobą jego na wpół bezwładnym ciałem. Posypał się grad dotkliwych, bolesnych uderzeń. Czyjaś pieść wylądowała na żołądku Blaine, inna na żebrach. Silny cios w twarz rozkrwawił mu usta.

- Pokaż nam, śmierdzący dewiacie, sztukę teleportacji! - jak zza muru dobiegł go jakiś głos. - No, teleportuj sie! Teleportuj! Pokaż, co potrafisz!

Słowa te zabrzmiały w uszach Blaine'a szczególnie szyderczo. Niewielu bowiem ludzi posiadało dar autoteleportacji. Istniały osoby mogące lewitować, unosić się swobodnie w powietrzu jak ptaki, inni - jak Blaine - potrafili teleportować różne drobne przedmioty, inni jeszcze - te umiejętność Blaine również posiadał - potrafił teleportować swój umysł na odległość wielu lat świetlnych. Ale natychmiastowa autoteleportacja była zjawiskiem niezwykle rzadko spotykanym.

- Teleportuj sie! Teleportuj sie! Teleportuj się, ty cholerny, cuchnący dewiacie! - skandował tłum, niczym upiorną litanie. I śmiejąc się histerycznym, niepohamowanym śmiechem, bił i kopał swą ofiarę. Ludzie pluli na Blaine'a, szarpali go.

Pokiereszowana twarz paliła nieznośnie. Zmiażdżona warga napuchła i zwisała bolesnym workiem, a w ustach rozchodził się smak krwi wymieszanej z gęstą, jak guma arabska, gorzką śliną.

Całe ciało Blaine'a przeszywał ostry ból, który brał początek w brzuchu i żebrach. Bez przerwy spadały nowe ciosy, stale potęgujące cierpienie. I nagle ponad zgiełk wybił się ostry, przenikliwy głos:

- Przestańcie! Zostawcie go!

Tłum posłusznie cofnął się nieco, robiąc miejsce wokół Blaine'a. Zmaltretowany człowiek, słaniając się na nogach, uniósł twarz. Jak za jakimś strasznym całunem utkanym z pulsującej purpurą mgły, dojrzał twarze prześladowców: szczurze, błyszczące oczka, płaty śliny na ustach. Prawie fizycznie czuł emanujący od nich strumień głębokiej, bezgranicznej nienawiści.

Krąg ludzi rozstąpił się i naprzód wystąpiło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był małym, niepozornym człowieczkiem o wyglądzie typowego urzędnika. Drugi - chłopem na schwał z wyrazem twarzy przypominającym minę kury szukającej w trawie dżdżownic. Trzymał on na ramieniu zwój grubej liny, której koniec związany był w zgrabny, szubieniczny węzeł.

Dwójka ta zbliżyła się majestatycznie do Blaine'a. Mały człowieczek wyjął pętle z dłoni towarzysza i wzniósłszy sznur wysoko nad głowę, odezwał się głosem zawodowego przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Drodzy państwo. Chciałbym prosić jednak o spokój i zachowanie rozsądku. Musimy bowiem postępować przyzwoicie i godnie, jak wymaga tego powaga chwili. Wszak nie żywimy najmniejszych uprzedzeń czy urazów do tego dżentelmena. Po prostu karząc go, piętnujemy ohydę, którą sobą reprezentuje i której jest nieodłączną częścią.

- Mów, mów Buster! - wyrwał się z brzegu tłumu czyjś rozentuzjazmowany okrzyk. Człowieczek uciszył go ruchem reki. I ciągnął dalej, wykrzywiając szyderczo twarz.

- To smutny, ale i poważny obowiązek. Powiem więcej: to nasz najświętszy obowiązek. Pozwólcie wiec państwo, że my dwaj, w waszym i swoim imieniu, zajmiemy się tym człowiekiem. Zajmiemy sie w sposób nader przyzwoity i skuteczny.

- Yeah! - zawył tłum. - Powiesić skurwysyna!

Wyższy mężczyzna odebrał pętle z reki Bustera i przełożył ją

delikatnym, wręcz pieszczotliwym, ruchem przez głowę Blaine-'a, któremu sznur zatrzymał się na ramionach. Olbrzym zaczął powoli zaciskać pętle, aż węzeł dotknął szyi ofiary.

Lina była nowa i szorstka. Paliła skórę skazańca niczym rozpalone do czerwoności żelazo. Zetknięcie z szorstkim sznurem wyzwoliło w Blainie energie, odegnało całe odrętwienie i apatie. W pełni świadom swego losu, stał zimny i pusty wewnętrznie na progu zbliżającej się wieczności. Oto teraz, wraz z dotykiem tego szorstkiego sznura, uświadomił sobie z przerażającą jasnością, że śmierć nadchodzi wielkimi krokami, że narzędzia kaźni są gotowe, że ma na szyi pętle. A ludzie, których nie zna, których nigdy nie widział na oczy, mają mu odebrać życie.

Chciał unieść dłonie, uchwycić linę i zedrzeć ją z szyi. Ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa: jak sparaliżowane zwisały nieruchomo wzdłuż tułowia. Przełknął z wysiłkiem ślinę, by usunąć dręczące, okropne uczucie duszności, które dręczyło go, pomimo że lina nie była jeszcze napinana przez oprawców. Zrobiło mu się zimno. Chłód ogarniał coraz rozleglejsze partie ciała.

To był strach, który ściskał go lodowymi kleszczami, mroził krew w żyłach i rozsadzał zimnem czaszkę. Blaine nie krzyczał tylko dlatego, że jeżyk miał zbyt sztywny, zbyt zdrętwiały, a gardło zbyt ściśnięte na to, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Krzyk rozsadzał go jednak od środka. Narastał w nim ów okropny glos, który - nie znajdując ujścia - dusił.

Był pewien, że zbliża się krytyczny moment, gdy on cały, jego czaszka i zamknięty w niej mózg, rozsadzone tym potwornym ciśnieniem, rozbryzną się na tysiące kawałków.

I w tej chwili nastąpiła sekunda straszliwego rozszczepienia - chwila wypełniona nie ciemnością, nie oślepiającym blaskiem, lecz dziwną bezświadomością. I oto on, Shepherd Blaine, stał samotnie w tym samym miejscu, lecz nie czuł już ani zimna, ani strachu.

Stał na wysypanej rozdrobnioną cegłą ścieżce, która prowadziła do budynku sądowego i biura szeryfa. Z szyi wciąż jeszcze zwisał mu sznur. Lecz na dziedzińcu nie było nikogo.

Był sam w pustym mieście.

XI

Było jaśniej, a wkoło panował nieopisany spokój. Nie było trawy.

Nie było drzew.

Ludzie zniknęli.

Nie było nawet śladu człowieka.

Trawnik przed budynkiem sądowym był teraz pustą, gołą przestrzenią, sięgającą aż po asfaltów, i jezdnie. Trawa już nie rosła. Pozostał tylko piasek, ziemia i kamienie.

Zupełny brak trawy. Jak gdyby nigdy jej tu nie było. Jakby nigdy nie istniało nic takiego jak trawa.

Zapomniawszy o zwisającym mu ciągle z szyi sznurze, Blaine wodził osłupiałym wzrokiem. Wszędzie tak samo. Budynek sądu, jak wymarły, piętrzył się nieruchomą, posępną bryłą, ulica była pusta, przy krawężnikach stały zaparkowane auta, a witryny sklepowe i okna mieszkań tworzyły rzędy ciemnych prostokątów. Na rogu, obok zakładu fryzjerskiego, dostrzegł jedyne drzewo: martwe i uschnięte.

Toż to martwy świat - myślał zdumiony Blaine. Jestem w martwym świecie. Nie ma tu śladu życia; śladu człowieka, śladu ptaka, psa, kota. Nawet bakterii czy mikroba.

Ostrożnie, jakby bał się nieopatrznym ruchem zdjąć czar, Blaine uniósł w górę ręce i rozluźnił pętle, następnie zsunął ją zręcznie przez głowę i cisnął na ziemie. Zaczął lekko masować palącą szyje. W skórze pozostały drobniutkie kawałki włókna, które drażniły teraz zaczerwienione ciało, sprawiając dotkliwy ból.

Wysunął nogę do przodu i zrobił pierwszy, ostrożny krok. Mógł się w miarę swobodnie poruszać, jakkolwiek w każdym calu swego ciała czuł ostatnie dramatyczne przejścia. Wyszedł na ulice i przystanął na środku jezdni. Bacznie rozejrzał się wokół. Wszędzie panowała głucha cisza, a ulica w zasięgu wzroku Blainea była pusta.

Słońce już zaszło. Powoli nadchodził zmrok.

Zachód słońca! - pomyślał. A wiec musiałem cofnąć się w czasie.

Stał bez ruchu na środku ulicy, zaskoczony właściwie tym swoim zdumieniem: powinien bowiem zdawać sobie sprawę z tego, co zrobił.

Bo doskonale przecież wiedział! Bezsprzecznie dobrze wiedział, czego dokonał. Jakkolwiek uczynił to bezwiednie, bez udziału świadomości, wręcz instynktownie - dokonał tego, by ujść przed nie bezpieczeństwem.

Nie potrafił wyjaśnić, jak to zrobił. Wszak jeszcze przed minutą pomysł taki nawet nie zaświtałby mu w głowie. Było to po prostu niemożliwe, sprzeczne z naturą człowieka. Tego nie uczyniła dotąd żadna ludzka istota. Nikomu z ludzi nawet nie śniło się próbować takiej sztuczki.

Przemieścił się w czasie, uciekł w przeszłość. Sądząc po położeniu słońca, cofnął się o jakieś pół godziny.

Stojąc wciąż na środku ulicy, próbował zrozumieć lepiej, co właściwie zaszło, w jaki sposób dokonał tego niesłychanego przeskoku w czasie. Ale jedyne, co pamiętał, to rosnące przerażenie, napływające coraz potężniejszymi, dławiącymi falami.

Istniało jedno tylko wytłumaczenie: dokonał czegoś, do czego w gruncie rzeczy zawsze był predysponowany, chociaż nigdy nie podejrzewał, że stać go na taki wyczyn. Samo przemieszczenie się w czasie było już tylko kwestią instynktownego wysiłku, tak jakby odruchowym machnięciem reki sparował cios przeciwnika.

Z drugiej strony jednak, dla niego jako istoty ludzkiej, taki przeskok był rzeczą absolutnie niewykonalną. Ale mógł być możliwy dla obcego umysłu. Musiał wiec dokonać tego za pośrednictwem Różowej Istoty gnieżdżącej się w jego mózgu.

Lecz wydawało się, że obcy na dobre opuścił Blaine'a. Człowiek rozpoczął długi i systematyczny przegląd najtajniejszych zakamarków swego umysłu, ale nie trafił na intruza. Wzywał obcego, wołał. Bez skutku.

Odwrócił się na piecie i trzymając się cały czas środka jezdni, ruszył do przodu przez widmowe miasto przeszłości.

Cmentarzysko - pomyślał, wstrząsany mimowolnym dreszczem. Cmentarzysko przeszłości. Nic. Śladu życia. Tylko śmierć, goły kamień i cegła. Glina i drewno.

Ale gdzież podziało się życie?

Czemu przeszłość jest martwa?

I co stało się z obcym, który na odległej planecie wymienił z nim świadomość?

Ponownie zaczął szczegółową penetracje swego umysłu. Bez rezultatu. Obcego nie znalazł. Natknął się jednak na ślad: drobny, krety trop wiodący w najgłębsze otchłanie świadomości. Znalazł to, co po obcej istocie pozostało: dziwaczne i chaotyczne wspomnienia, urwane, nie powiązane z niczym, niewiele mówiące informacje: bezładne, unoszące się. w przestrzeniach jego jaźni - jak bura piana wymieszana z odpadkami unosi się na falach morskiego przypływu.

Obcego nie znalazł, lecz wiedział z całą pewnością, że Różowa Istota wcale go nie porzuciła, nie odeszła, lecz przeciwnie - pozostała w nim, zlewając sią z Blaine'em z jedną, nierozłączną całość. W skomplikowanej mieszaninie strachu, przerażenia i niebezpieczeństwa istniał widać współczynnik, który umożliwił to zjednoczenie się dwóch odrębnych umysłów.

Był ciągle istotą ludzką. Czuł to każdą komórką swego ciała, każdym neuronem mózgu. Czyżby wiec świadomość zjednoczenia dwóch obcych sobie struktur umysłowych miała okazać się tylko złudzeniem? Nie, z pewnością nie. A to już był czysty absurd. Gdyby był zlepkiem dwóch świadomości, gdyby był w połowie tylko człowiekiem, a w połowie obcym, czułby to. Czułby różnice.

Handlowa cześć miasta skończyła się i Blaine dotarł na przedmieścia. Zatrzymał się, by rzucić ostatnie spojrzenie na miasteczko, którego mieszkańcy przed niespełna trzydziestoma minutami (a może za pół godziny?) zamierzali go zlinczować.

W gęstniejącym mroku dostrzegł zarys budynku sądowego. Widok ów przypomniał mu, że w szufladzie biurka szeryfa pozostawił wszystkie swoje rzeczy. Wahał się chwile, czy nie wrócić po nie. Szczególnie chodziło mu o pieniądze, bez których dalsza podróż mogłaby się okazać nader kłopotliwa.

Gdybym wrócił, mógłbym zabrać przy okazji jeden z tych samochodów, zaparkowanych w miasteczku - pomyślał. W razie braku kluczyków poradziłby sobie łatwo, powodując w zapłonie krótkie spięcie. O tym jednak powinien był pomyśleć wcześniej, tam, w miasteczku. Widział wszak bezużytecznie stojące auta, czekające tylko na zabranie jednego z nich.

Nie zwlekając zawrócił, kierując się ponownie w stronę miasta. Szybko jednak zmienił zamiar.

Nie, za żadne pieniądze, za żaden samochód, za żadne skarby nie odważy się tam powrócić. Nie istniała na całym świecie rzecz, dla której wróciłby tam.

Zmierzch szybko zapadał i Blaine, już bez dalszej zwłoki, ruszył przed siebie, kierując się cały czas na północ. Szedł szyb-

kimi, długimi krokami, które odbijały się lekkim, dźwięcznym echem od zniszczonej nawierzchni drogi.

Opuścił już miasteczko i posuwał się wśród pól; ich pustka pogłębiała jeszcze poczucie opuszczenia i samotności. Widmowe rzędy słupów telegraficznych wzdłuż szosy i gąszcz kompletnie uschniętych krzewów bawełny rozprzestrzeniający się wzdłuż płynącego w dół doliny potoku, wzmogły jeszcze to przygnębienie. A wokół była tylko odarta z trawy i porostów ziemia. I tylko wiatr zawodził cicho pośród tej pustyni.

Robiło się coraz ciemniej. Wyszedł księżyc, jak srebrne, popstrzone ciemnymi plamami zwierciadło, które odbija w swym sinawym wnętrzu wyschniętą, obumarłą powierzchnie ziemi.

Przez potok był przerzucony wątły mostek zbudowany z nierównych, szorstkich desek. Blaine postanowił przy nim trochę odpocząć. Odwrócił się i obserwował beznadziejny krajobraz wymarłej planety. Najlżejszego ruchu, błysku światła, śladu życia. Na wzgórzu ponad potokiem majaczyły tylko ruiny jakiejś zapomnianej farmy - obora, zabudowania gospodarskie i budynek mieszkalny. . Blaine stał w mroku, chciwie wciągając w płuca chłodne powietrze, które zdawało się być równie martwe jak świat. Nieruchome, bez zapachu, bez smaku.

Wyciągnął bezwiednie rękę, by oprzeć się o poręcz mostku. Lecz dłoń, nie natrafiając na żaden opór, przeszła przez drewno jak przez powietrze. Nie istniały żadne deski. Żaden most nie istniał naprawdę.

Jak oparzony cofnął dłoń. Przemógł się jednak i postanowił ponownie dotknąć poręczy. Przekonywał sam siebie, że poprzednio było to wyłącznie złudzenie spowodowane zwodniczym światłem księżyca, że po prostu nie trafił ręką w poręcz mostu.

Powolnym, starannie odmierzonym ruchem wyciągnął rękę.

Palce znów przeniknęły przez deski.

Odskoczył gwałtownie kilka kroków wstecz. Oddychał ciężko. Było to nieprawdopodobne. Nieprawdopodobna fatamorgana, ułuda, duch zagradzający dalszą drogę. Gdyby nie zmęczenie, które zmusiło go do odpoczynku w tym właśnie miejscu, próbowałby przejść po moście i w rezultacie, stoczył się do rzeki.

Czyżby wszystkie te wyschnięte drzewa, te słupy stojące rzędami wzdłuż drogi, ta farma na wzgórzu, wszystko, co go otacza, miało być również złudzeniem?

Stał jak wrośnięty w ziemie, a pod czaszką kołatała mu tylko jedna myśl: czy cały otaczający go świat jest tylko cieniem? Ogarnięty bezrozumną irracjonalną trwogą stał nieporuszenie, bojąc sie nawet głębiej odetchnąć, jakby niebacznym ruchem mógł zburzyć stan jakiejś wątłej równowagi, w jakiej utrzymywał się jeszcze ten kruchy i nierealny świat. Równowagi, która raz ruszona runęłaby przemieniając czas i przestrzeń w pył i nicość.

Ale ziemia pod stopami była jak najbardziej materialna. Zdesperowany Blaine tupnął lekko nogą, potem jeszcze raz - mocniej. Twarda, zwykła ziemia. Ostrożnie schylił się, ukląkł i rozpostarłszy ręce, zaczął macać wokół siebie. Rozgarniał cienką warstwę kurzu, naciskał opuszkami twarde, kamieniste podłoże, przesiewał miedzy palcami piasek, jakby chciał zbadać gęstość ziemi, poznać, na ile jest ona rzeczą realną. To jakiś obłęd. Chyba oszalałem - dudniła mu pod czaszką natarczywa myśl. Szedł przecież drogą i ta wcale nie znikała pod ciężarem jego ciała, pod uderzeniami jego obcasów. Była twarda, jak najbardziej materialna i zwykła. Aż tu nagle ten piekielny most.

I przestał być pewien czegokolwiek. Świat, w którym już dość długo żył, okazał się raptem miejscem, gdzie nie obowiązywały już dłużej żadne niezmienne prawa. Zmuszał on do formułowania cudacznych, najbardziej niedorzecznych sądów w rodzaju: drogi istnieją, ale mosty nie.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Istniał inny istotny szczegół: w tym świecie nie istniało życie. Ów świat był martwy.

To wszystko, co go otaczało, było przeszłością, martwą przeszłością. Tu spotykało się wyłącznie zwłoki, a jeszcze ściślej - ich cienie. Wszystkie uschnięte drzewa, słupy telegraficzne, zabudowania na wzgórzu, mosty - to tylko cienie, niematerialne odbicia. Nigdzie tu nie istniało życie. Pulsowało daleko w przodzie, w przyszłości. Życie bowiem przejawiać się może wyłącznie w jednym, jedynym punkcie czasu i wraz z tym czasem posuwa się do przodu. Dlatego też Człowiek - myślał Blaine porzucił mrzonki o podróżach w przeszłość i aktywnym życiu pośród ludzi, którzy - w rzeczywistości - są już tylko cieniem i prochem. Dlatego też nie istnieje żywa i realna przeszłość. Przeszłość może funkcjonować wyłącznie w zapisach: na taśmach filmowych i dźwiękowych, na płytach. Egzystencja może trwać tylko w punkcie czasowym zwanym teraźniejszością. Posuwa się do przodu, idąc krok w krok z czasem teraźniejszym. Gdy teraźniejszość mija, wszelkie ślady życia bledną, giną, umierają.

Prawdopodobnie istnieją rzeczy podstawowe, jak na przykład sama Ziemia, która istnieje konkretnie w każdym punkcie czasoprzestrzeni, stanowiąc zarazem pewien specyficzny, choć ograniczony, rodzaj wieczności. Ona jest dopiero podstawą wszystkiego innego. Wytwory ludzkie pozostają natomiast w przeszłości wyłącznie cieniami. I nimi są właśnie te słupy telegraficzne z rozpiętymi drutami, most, krzaki, drzewa, zrujnowana farma. Są widmowym reliktem teraźniejszości w przeszłości.

Z chwilą upływu czasu obecnego stają się martwe, zostaje im odebrana możliwość aktywnego istnienia. Gdyż każda rzecz, każdy przedmiot, każda istota ograniczona jest swoim czasem i przestrzenią i potem może istnieć już tylko jako długi, coraz dłuższy, rozciągający się w nieskończoność cień.

Blaine'owi przebiegł po plecach dreszcz, gdy uświadomił sobie, że jest jedyną żyjącą istotą w tym świecie. Tylko on. On i nikt ani nic więcej.

Podniósł się z kolan i otrzepał dłonie z kurzu. Stał długą chwile spoglądając w zamyśleniu na most, obejmując spojrzeniem krajobraz martwego świata. I choć wszystko to sprawiało wrażenie realnego świata, Blaine doskonale zdawał sobie sprawę, że jest inaczej.

Wpadłem w pułapkę bez wyjścia - pomyślał. Nie miał bowiem najmniejszego pojęcia, jak wydostać się z tego świata przeszłości. I nie istniało nic - żadne ludzkie doświadczenie ani wiedza - co umożliwiłoby mu powrót do właściwego czasu. Tkwił w potrzasku.

Stał na drodze, zastanawiając się, ile jeszcze pozostało w nim człowieczeństwa, na ile jest jeszcze istotą ludzką. Bo jeśli nie jest już człowiekiem - lub jest nim tylko w połowie, a pozostałą jego cześć stanowi obca istota - to w takim przypadku ma szanse wydostania się z matni.

Osobiście czuł się człowiekiem. Lecz zapytywał siebie w duchu, czy istnieje jakikolwiek sposób, by sie o tym przekonać, by pewności tej nie czerpać wyłącznie z subiektywnych odczuć. Bo przecież fakt, że czuje się samym sobą, nie przeczy wcale temu, że jest kimś zupełnie obcym. Mógł być człowiekiem, mógł być pół-człowiekiem, mógł być zgoła ową Różową Istotą lub kimś całkiem innym jeszcze, a jednocześnie czuć się sobą. Nie, zdecydowanie nie istniał sposób, by się przekonać kim jest w rzeczywistości. Nie było żadnego obiektywnego punktu odniesienia, dzięki któremu można by rozstrzygnąć nurtujący go problem.

On (lub ktoś, kim naprawdę jest) zna sposób, by w chwili przerażenia i paniki przemieścić się w czasie. Z tego wynika logicznie, że powinien również znać sposób powrotu do punktu, w którym życie jest możliwe.

Istniała jednak twarda rzeczywistość: nie ma pojęcia jak tego dokonać!

Rozejrzał się rozpaczliwie po pustych polach zalanych zimnym, księżycowym blaskiem i poczuł ogarniające go dziwne drżenie. Próbował zapanować nad nim, bo wiedział już, że za chwile popadnie w ów, tak już sobie dobrze znany, stan niepohamowanej trwogi. Nie potrafił jednak zawładnąć sobą i tym okropnym, przenikającym go dygotem.

Zacisnął zęby natężając wole do ostatecznych granic, ale obrzydliwy dygot narastał w nim, potężniał, targał jego ciałem, jego umysłem. Aż nagle, bez żadnego przejścia, pojął, że już wie jak wydostać sie z przeszłości, powrócić do świata teraźniejszego. Drżenie ustało.

Wiatr szumiał pośród gęstego listowia krzaków bawełny, w trawie i zaroślach grały świerszcze, plamki zielonkawego światła znaczyły drogę robaczków świętojańskich, a z wykoślawionych drzwi na wpół zrujnowanej farmy na wzgórzu wymykał się wąski strumień światła. Blaine znów był sobą.

Szybko zbiegł z drogi, przekroczył potok brodząc po kostki w wodzie i wyszedł na drugi brzeg. Zaszył się w gęstych zaroślach bawełny. Powrócił. Powrócił do swego czasu. Przemieścił się z przeszłości w teraźniejszość. I dokonał tego sam, Po prostu w pewnej chwili, na przeciąg najdrobniejszego ułamka sekundy, znał sposób i wiedział jak tego dokonać. Ale teraz nie potrafił już powiedzieć jak.

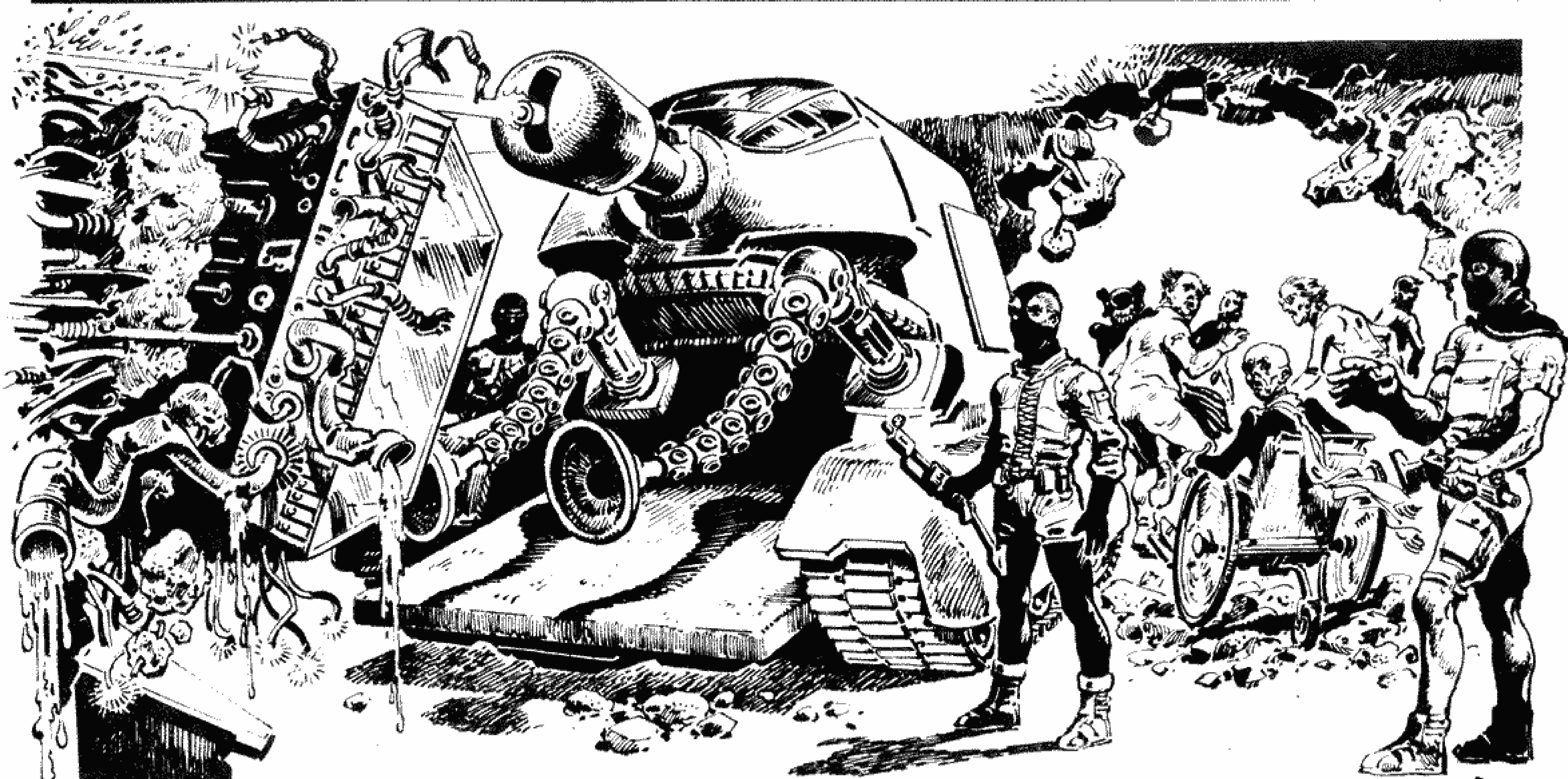
Lecz to nie było takie istotne. Powrócił bezpiecznie do domu.

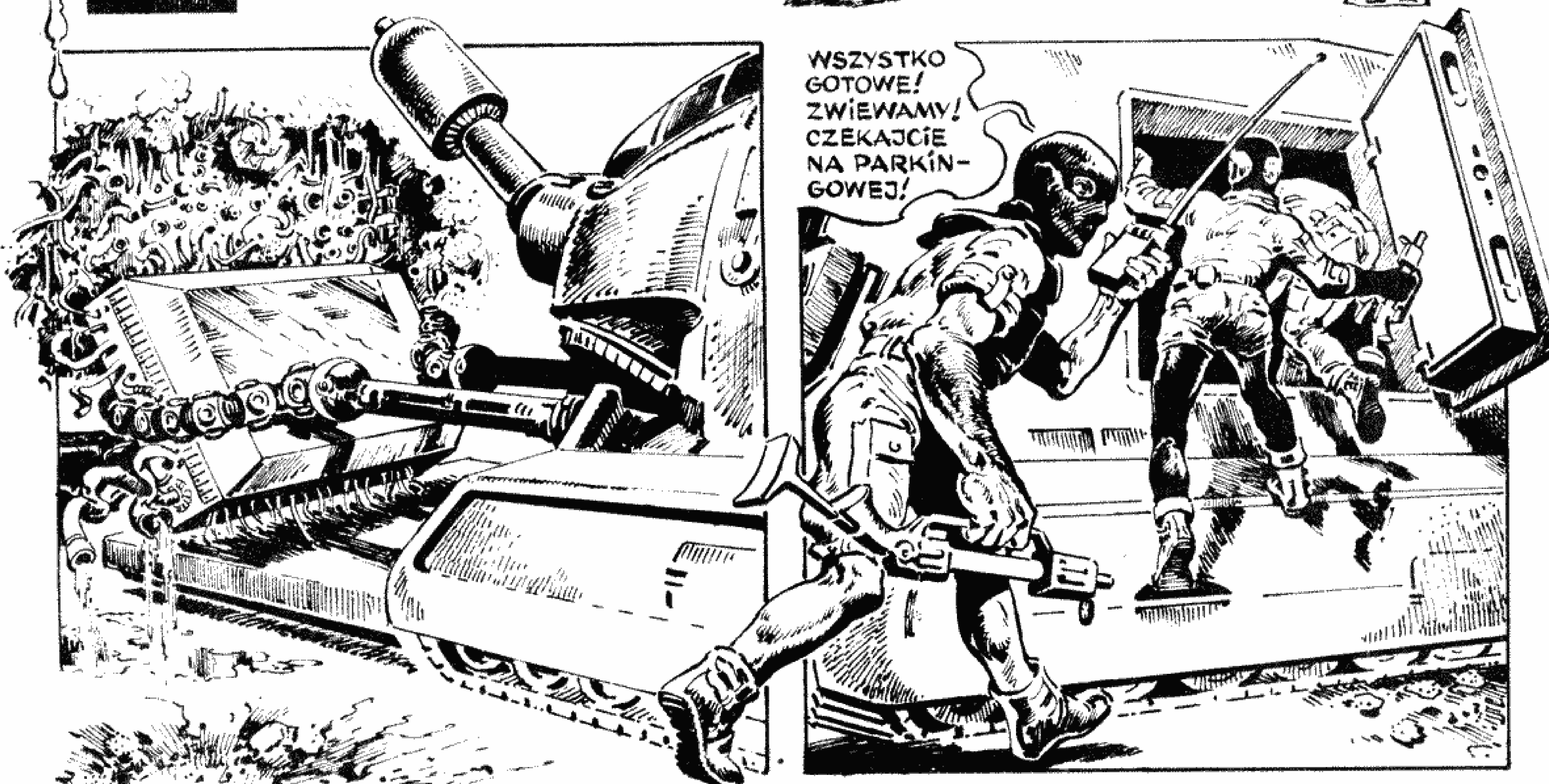

WSZYSCY POD ŚCIANĘ! I SPOKÓJ BO...
BANCO DE
?!


SZYBCIEJ! ZA CHWILĘ TU BĘDĄ!


WRRUUM!!
GRRAPPP!!

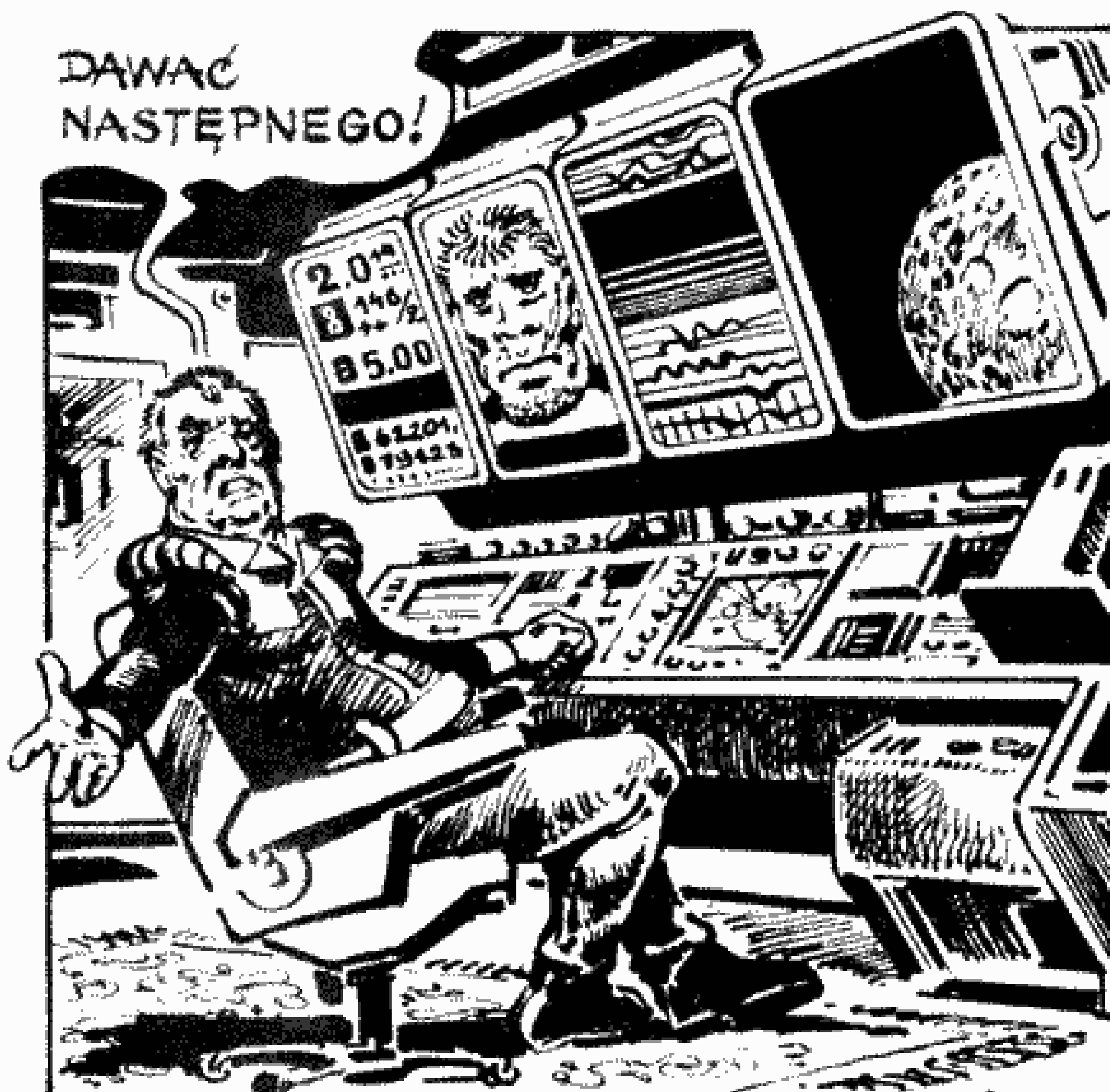

DO LICHA!
BANCO D




WSZYSTKO GOTOWE! ZWIEWAMY! CZEKAJCIE NA PARKINGOWEJ!


ALARM W SEKTORZE D-5! NAPAD NA BANK PRZESZCZEPÓW! WSZYSTKIE JEDNOSTKI POŚCIGOWE...

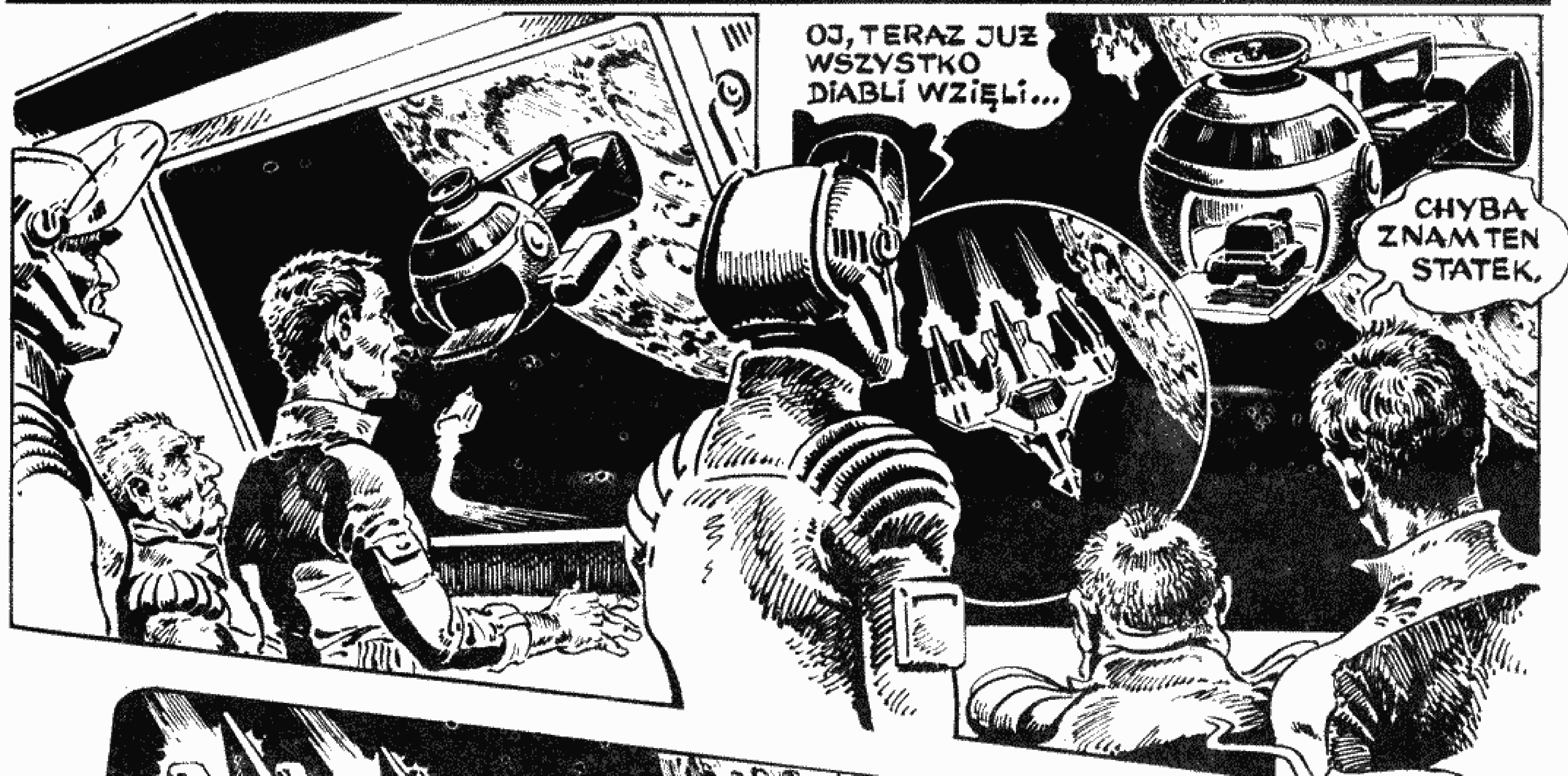

SACRA! ROZWALILI WSZYSTKO ULTRONAMI!
POLICE
ZABRAĆ ICH STĄD I SPRAWDZIĆ. DO CENTRUM!


DAWAĆ NASTĘPNEGO!


NUMER? NAZWISKO? ZAWÓD? CO W BANKU ROBIŁ?
AB+, 2476583, ALFRED JAAS, REPORTER. BYŁEM...


KTO?
CHAPSY! ZNOWU ZŁOŻĄ Z TEGO PARU AGENTÓW I PODRZUCĄ ICH NA ZIEMIĘ. JUŻ CHYBA ZE DWUSTU TAKICH...
BEZCZELNE DRANIE! W BIAŁY DZIEŃ! W SAMYM ŚRODKU MIASTA!


A PAN TEŻ TAKI Z BYLE CZEGO POSKŁADANY. RĘCE ZA DUŻE, NOGI ZA MAŁE...
JA ZŁOŻĘ SKARGĘ...
CICHO TAM, DO CHOLERY!



TRASH!!
DROUMB!!
DLACZEGO?
SMASH!!
NAWET GDYBY NASI CHŁOPCY ZDĄŻYLI, TO I TAK WSZYSTKO PRZEPADŁO.

Z. KASPRZAK 83.





Wyróżnienie w konkursie „Fantastyki”

Kawałek końca

Grzegorz Stefański

Małe miasteczko, ściślej - mieścina. Kilka ulic, parterowe domki z ogródkami, kościół, szkoła, przystanek autobusowy, dwa sklepy. Setki takich miejscowości rozsianych po świecie istnieją dla samego tylko istnienia, nieznane ogółowi ludzkości. Dlaczego więc wydarzyło się to właśnie tam? Trudno odpowiedzieć. Może po prostu gdzieś musiało się TO wydarzyć.
Mieszkańcy dbali o swoje miasteczko, poprawiali co pewien czas jego zabudowę. Wznieśli nawet lokalną maleńką rozgłośnie radiową, która emitowała audycje. Śmiało można stwierdzić, że dobrze wiodło się ludziom - dobrze, bo przeciętnie. Oczywiście zdarzały się kłopoty. Gdzież ich nie ma? Kłopoty z synem, który ucieka ze szkoły; z żoną, która nie potrafi na czas ugotować jedzenia; z mężem, przesiadującym w knajpie od popołudnia do wieczora.
Ludzie - mieszkańcy miasteczka - tacy: ani źli ani dobrzy. Trudno wiec to, co się zdarzyło określić mianem kary. Warto powtórzyć: zdarzyło się tam, bo GDZIEŚ SIĘ ZDARZYĆ MUSIAŁO. Na pewno nie była to kara związana ze szczególną winą mieszkańców. Maleńki szczegół: na skraju miasteczka mieszkał domorosły filozof. Miał około czterdziestu lat. Żył w tej miejscowości od dawna. Nie utrzymywał żadnych kontaktów. Dnie spędzał w domu, wieczorami przechadzał się ulicami. Co robił i z czego się utrzymywał - nikt nie wiedział. Nagabywany przez wścibskich obywateli odburkiwał, żeby dali mu spokój.
Skąd wiedziano, że był filozofem? Miał coś takiego w twarzy. Kiedy przyjechał do miejscowości nie wiadomo skąd, szum podniósł sie wokół jego osoby. Domyślano się wielu rzeczy, w końcu po odrzuceniu setek plotek ogół zdołał ustalić, że przybyły ukończył uniwersytet i przyjechał do miasteczka w poszukiwaniu natchnienia. Próby dalszego uściślenia tej informacji spełzły na niczym. Wkrótce poniechano wiec dociekań. Do jego domu nikt nie zaglądał, choć filozof istniał stale w świadomości mieszkańców. Jakie poglądy głosił? - nikt lub prawie nikt nie interesował się nimi. Filozof żyjąc w miasteczku tkwił na zewnątrz społeczności. Nie martwił się tym. Według mieszkańców nie robił absolutnie nic. On sam mniemał, że pracuje ciężej od innych. Myślał i medytował od kilkunastu lat dzień po dniu, dzień po dniu, dzień po dniu...

To nadeszło niewidocznie, na palcach, bezszelestnie. Trudno powiedzieć, żeby stało się nagle, raptownie - wprost przeciwnie. Prawie nikt nie zauważył, że coś się dzieje! Stara Kobieta siedząca na ławce przed domem spojrzała w niebo. Było lato. Prażyło sierpniowe słońce. Rośliny umierały w potokach żaru. Ludzie szukali cienia.
- Będzie deszcz - powiedziała Stara Kobieta nie wiadomo do kogo.
Nikt też jej nie odpowiedział.
- Będzie deszcz - powtórzyła schrypniętym głosem, rozglądając sie wokół.
- Co mówisz Stara? - zapytał z wnętrza domu męski głos.
- Deszcz będzie - powtórzyła po raz trzeci i zajęła się żuciem drożdżowego ciasta. Okruszki rozrzucała kurom.
- Głupstwa pleciesz, w telewizji mówili...
- Głupiś Stary, żebyś się z tą telewizją nie przeliczył.
- No, a tak w ogóle deszcz by się przydał, warzywa marnieją w tym skwarze, człowiek nie ma siły ich podlewać - poskarżył sie siwy Stary Mężczyzna, który wychynął z chałupy i teraz wycierał w spodnie zabrudzone ręce. Popatrzył w niebo i pokręcił głową.
- Cholerny upał.
Za płotem migały głowy przechodniów. Kłaniali się Staremu Mężczyźnie i Starej Kobiecie, a ci odpowiadali, każde z osobna, na pozdrowienia. Zieleń roślin, czerwone dachy domów, wszystko nabierało ciepła.
- Będzie deszcz - z uporem powiedziała Stara, wstała, wytrzepała fartuch i skryła się do wnętrza chałupy.
Stary podszedł do furtki i patrzył na drgające powietrze. Pot lał się ciurkiem spod jego czapki.
- Obyś miała racje, Kobieto - mruknął. Splunął gęstą śliną na grządki marchewki. Rozwinął gumowego węża i zaczął podlewać warzywa.

Nazajutrz było parno i bezwietrznie. Przepowiednia Starej rzeczywiście zaczynała się spełniać. Ludzie z nadzieją patrzyli w niebo. Stara Kobieta jak zwykle siedziała na ganku.
- Nie jest dobrze - mruczała pod nosem i kręciła głową.
Po południu zaczęły nadciągać chmury. Groźne stalowe obłoki, zanosiło się już nie na deszcz, lecz na burze. Ludzie z przestrachem patrzyli na niebo. Burza z gradem może wyrządzić dużo szkód. Cień padł na miasteczko. Chmury zbierały się zakrywając słońce.
- Źle się dzieje - powiedziała Stara na widok Mężczyzny stojącego przy ogrodzeniu.
- Gadasz, jakbyś miała umrzeć. Przecież to tylko burza... Co ty Stara?
- Ja ci mówię, że źle się dzieje - złowieszczo warknęła.
- Od twojej mowy, aż człowieka ciarki przechodzą. Zamiast pleść głupstwa, weź ty się lepiej do roboty.
W tej chwili z sąsiedniego domu dał się słyszeć przeciągły krzyk:
- Ratunku! Ratunku!
Stary rzucił się do furtki i zniknął w wejściu sąsiedniego domu. Krzyk umilkł.
Po kilku minutach Mężczyzna wrócił, w jego spojrzeniu kryła sie zaduma. Spojrzał na Kobietę z uznaniem.
- Sąsiad zabił swoją żonę - powiedział. - Poderżnął jej gardło, bo jak wrócił z pracy na stole nie było obiadu.
Kobieta nie zdziwiła się. Podniosła oczy w górę.
- Paskudne chmury.

Chmury zbierały się. Słońca od dawna nie było widać nad miejscowością. Ciężkie, przesiąknięte parą powietrze przytłaczało znękanych mieszkańców. Tylko leciutka poświata wydobywała się spoza chmur. Zniknęły cienie, rzeczywistość pociemniała i przybladła. Ludzie zaczęli sie bać. Lecz nie bali się opadów czy kataklizmu. Zanosiło się na burze, a wszyscy zachowywali się tak, jak gdyby za chwile coś strasznego miało ich zniszczyć. W ciężkim powietrzu oprócz pary unosił się lek. I to właśnie było dziwne. Przyczyny leku nie znał nikt.
Stara twardo siedziała przed domem. Twarz jej wyrażała oczekiwanie i napięcie. Usta wyschły, źrenice znieruchomiały. Czekała.
- Dziecko mi zabił! - rozległ się kobiecy histeryczny głos. - Dziecko mi zabił! Stary dureń! Morderca! Tak bił, tak bił, że zabił na śmierć. I za co? Ludzie, za co? Idioto ty! Oddaj mi dziecko! Lament nie ustawał.
Kilku gapiów zatrzymało się przed domem skąd dochodził krzyk. Matka trzymała bezwładne ciało. Obok ze spuszczoną głową stał ojciec dziecka.
- Nie chciałem - mówił cicho - nie wiem co -sie ze mną stało. Musiałem go nauczyć, żeby nie kradł. Znalazłem w jego kieszeni kradzione jabłka. Musiałem go zbić.
- Zamknij się, zbrodniarzu! Chłopak poruszył się nagle.
- Żyje - zawyła dziko matka - lekarza, lekarza!!!
Po kilku minutach sprowadzono lekarza. Matka i ojciec niosąc wspólnie syna weszli do domu. Zbiegowisko rozproszyło się. Wszystko to Stary Mężczyzna obserwował zza płotu. Pokręcił z niedowierzaniem głową.
- Widziałaś to? - zwrócił się do Starej.
- Słyszałam to - odrzekła spokojnie.
- Miałaś racje, źle się dzieje.
Wydęła pogardliwie wargi i nic nie odrzekła. Cały czas czekała na dalszy bieg wypadków. Czuła, że będą niezwykłe, nie znała tylko ich przyczyny i sensu.
- Co to się porobiło na świecie? - mruknął Stary.
Zegary wskazywały wieczór. Odcień szarości na dworze nie zmienił się ani na jotę. To czasomierze przejęły kontrole nad

rytmami, w których żył człowiek; kiedy zabrakło słońca one wyznaczały ramy ludzkiej egzystencji. Szykowano się wiec do snu. Z niepokojem ryglowano zamki, zatrzaskiwano okiennice. Raz po raz wybuchał histeryczny krzyk. Ludzie w domach szukali bezpieczeństwa. A w górze były tylko chmury i chmury. Ciężkie ołowiane, złowieszcze i bez znaczenia. Były tylko zapowiedzią - znakiem właściwych wydarzeń. Miasteczko powoli zasypiało wśród nocnych łkań i narzekań, lek zdawał się zanikać.

Niedługo jednak ocknął się odrodzony i spotęgowany pierwszym gromem burzy. Zmartwychwstał na nowo i przeszedł metamorfozę przeistaczając się w swe wyższe stadium - grozę. Groza narodziła się z leku. Huk i błyskawica nie są aż tak straszne, aby siać grozę. Wszystko to jednak zdawało się nierealne. Grzmoty wybuchały coraz częściej, dźwięki zlały się w jeden potężny huk. Czas mimo wszystko płynął. Na zegarach był ranek, godzina szósta, w miasteczku mało kto spał.
- Co się dzieje do cholery! - krzyknął Stary wychylając się z okna na ulice. Samotny przechodzień zatrzymał się zdziwiony. Odwrócił twarz, którą Stary zdawał się rozpoznawać w świetle błyskawic.
- Nic - wycedził przechodzień z dziwnym spokojem. - To KONIEC - dodał.
Stary stracił orientacje. Skądś przecież znał to oblicze, nieruchomą maskę nieznajomego.
- Przepraszam, kim pan jest? - zapytał przekrzykując grzmoty. Tamten tylko uśmiechnął się i odszedł. Stary Mężczyzna stał z otwartymi ustami pośród burzy.
Ależ tak! - przypomniał sobie nagle. - Przecież to ten przybłęda, mędrzec. Ten filozof. Co on powiedział?... KONIEC. Jak to KONIEC. Czego do diabła KONIEC? Co za bzdura. I strach, skąd bierze się u mnie ten strach? Nigdy nie bałem się burzy?! Żeby wreszcie zaczęło padać. Gdy spadnie deszcz wszystko się rozładuje, rozejdzie - myślał gorączkowo. - Trzeba obudzić Starą. Wszedł do izby. Potrząsnął leżącą na łóżku kobietą.
- Wstawaj, już dzień! Pospiesz sie! Grzmi jak cholera, a deszcz nie pada, wstawaj prędko! - Zaczął ją szarpać coraz gwałtowniej.
W końcu przestał. Złapał ją za rękę szukając pulsu. Nie znalazł go. Stara nie żyła. Umarła w nocy przeżywszy dziewięćdziesiąt dwa lata. Tej doby nie był to odosobniony przypadek.

Odziesiątej spadły pierwsze krople. Grzmoty ustały. Deszcz padał spokojnie, miarowo, bez wściekłych parkosyzmów, bez strumieni druzgocżących zasiewy. Padał jednostajnie, cicho i uparcie... Tak, ten deszcz był UPARTY.
Mieszkańcy nie wychodzili z domów obserwując przez szyby świat w deszczu. Było na co patrzeć. Gdyby nie groza, ciekawość wypchnęłaby obywateli na zewnątrz domostw. Deszcz bowiem zaczął wypłukiwać ze świata kolory, odbarwiając stopniowo rzeczywistość.
Krople wody w niczym nie wyjaśniały niezwykłości sytuacji. Była ona nadal bardzo zawikłana i trudna do pojęcia. Ze świata znikały barwy. Zjawisko to trąciło METAFIZYKĄ, ale początkowo nikt nie zwrócił na nie uwagi.
W południe pochowano Starą Kobietę. Główną ulicą miasteczka przeciągnął czarno-biały kondukt przykryty czarnymi parasolami. Wraz ze Starą chowano kilkunastu innych zmarłych tej nocy. Stary Mężczyzna popadł w stan odrętwienia. Szedł jak automat w kondukcie tuż przy trumnie. Bezmyślnie patrzył jak zasypują jamę mokrym błotem. Czuł, że nie ma to większego znaczenia. Barwy znikały powoli, trudno było to zauważyć. A jednak... Dziewczyna zorientowała się pierwsza.
- Patrz - powiedziała do chłopca - nie ma czerwieni?!
- Oszalałaś!
- Spójrz na moją sukienkę.
- Rzeczywiście, jest szara! Czemu nie zauważyłem tego wcześniej?
- Powiedz, co się dzieje - zakwiliła Dziewczyna i załamała ręce.
- Sam chciałbym wiedzieć.
- Czy ty się nie boisz?
- Nie wiem - Chłopak mówił jakby do siebie - nic z tego nie rozumiem, ale to straszne!
- Nie wszystko trzeba rozumieć. - Dziewczyna zaczęła płakać. Ja już nie mogę. To wszystko mnie przygniata!
Chciała współczucia, opieki, czuła się taka bezradna. Niestety Chłopak odszedł zafrapowany, przeniknięty grozą. Coś kiełkowało w jego umyśle... Myślał również Stary Mężczyzna.

Czas mijał. Zniknął żółty - pobladły płatki słoneczników. Słońca dawno już nie było widać. Potem deszcz wymył ze świata zieleń; zastąpiła ją czerń. Następnie zniknął błękit.
Czas mijał. Woda wyżłobiła koryta na piaszczystych ścieżkach, kałuże zamieniły się w bajora. Czas mijał. Nie przejaśniało się zresztą nikt z mieszkańców (nie wiadomo dlaczego) nie oczekiwał tego. Czekano raczej na wyjaśnienie zachodzących zjawisk.
Deszcz padał od trzech dni bez przerwy. Z początku usiłowano zachować normalny rozkład dnia. Pracowano. Stary Mężczyzna krzątał się w obejściu.
Dzień od dnia nie różnił się niczym. Po tygodniu Stary odczuł zniechęcenie. Wyszedł na ulice. Minął parę budynków i usłyszał krzyk.
- Co to w ogóle jest? Co się dzieje! CO TU SIĘ DZIEJE! Stary Mężczyzna pokiwał głową.
- Wiem! - szepnął i zadrżał. - Wiem wszystko - powtórzył. Potrzebował jednak potwierdzenia swoich domysłów... Czas mijał.
Mieszkańców ogarniała depresja. Kilkadziesiąt samobójstw nie wywarło na nikim wrażenia. Miasteczko było odcięte od świata. Gromady ludzi wyległy na ulice.
- Patrzcie - ktoś wrzasnął - w deszczu rozpływają się NASZE DOMY!
- PATRZCIE - ŚWIAT ROZPUSZCZA SIĘ W DESZCZU!!!
Deszcz zdawał się niwelować wszelkie nierówności terenu jakby dążąc do utworzenia gładkiej powierzchni. Niektóre domy znikały stopniowo wyrównując powierzchnie ziemi. Tłum zareagował na to biernie. Pomieszanie było tak ogólne, że prawie nikt nie był zdolny do racjonalnego myślenia.
- Zgadza sie! - wymamrotał Stary - chyba wszystko się zgadza. Mógł już wyjaśnić prorocze leki Starej Kobiety; znikanie barw, rozpuszczanie się domów i lakoniczną odpowiedź Filozofa. Łamigłówka utworzyła w jego umyśle niepojętą całość, całość wstrząsającą.
- Tak, tak - mruczał - nie ma się z czego cieszyć. Niesamowite, niesamowite.

Tłum dokądś zmierzał, Stary pogrążony w rozmyślaniach automatycznie dreptał w rozhisteryzowanej grupie ludzi. Nie zdawali sobie sprawy, że dokądś idą. Byli kierowani. Od pewnego czasu Chłopak usiłował sterować obłąkaną tłuszczą. Z ogromnym wysiłkiem nadawał właściwy kierunek marszrucie ludzi biadających i opętanych trwogą. Stary zorientował się w końcu. Zobaczył na czele Chłopaka. Pięściami zaczął torować sobie drogę. Odpychał mokre ciała, przedzierając się w jego kierunku. Bardzo się zmęczył, lecz znacznie zbliżył do przewodnika. Opadł na chwile z sił. Tłum zaczął go natychmiast wchłaniać i odległość pomiędzy nim a Chłopakiem zaczęła się zwiększać. Jeszcze jeden wysiłek.
- Odsuńcie się do cholery! - charczał. - Z drogi durnie, na boki!
W końcu osiągnął cel. Znalazł się przy Chłopaku.
- Hej, ty - krzyknął.
- Czego Stary?
- Dokąd prowadzisz tych ludzi?
- No, a jak myślisz?
- Idziesz w kierunku chałupy Mędrca.
- Faktycznie!
- Chce wiedzieć po co?
- Głupie pytanie, czy i tobie strach wyżarł mózg tak jak im?
- Chcesz, żeby Filozof odpowiedział ci na kilka pytań, tak?
- Tak.
- Czemu nie porozmawiasz z nim sam?
- Bo ze mną nie będzie chciał rozmawiać.
- Dureń jesteś - zdenerwował się Stary. - Myślisz, że przestraszy sie tłumu? Może właśnie z tłumem nie będzie chciał rozmawiać?
- Jak to nie będzie? Jeżeli chce żyć to lepiej byłoby, żeby porozmawiał.
- On nie ulegnie groźbom. Ja z nim już rozmawiałem.
- No i co?
- Zanim ci powiem chce się dowiedzieć co ty o tym myślisz powiedział Stary obserwując badawczo twarz Chłopaka*
- O tym cholernym deszczu?
- Tak.
- Nie zastanawiałem się.
- Tak myślałem, wiec zanim pójdziesz do niego lepiej się zastanów.
- A ty Stary się zastanawiałeś?
- Trochę.
- Co z tego wynikło?
- Musze się upewnić, co do moich domysłów.

Chłopak nagle się zniecierpliwił. - Dobra, dosyć tego gadania, pomóż mi lepiej zagnać to bydło - wskazał ręką na płaczący tłum.
- Idź do niego sam, bez tych ludzi.
- Dlaczego?
- Tak czuje, no idź już!
Chłopak patrzył na Starego niezdecydowany. Zastanawiał sie-Z Bumu wypadła postać. To Dziewczyna. Ubranie mokre od deszczu przylepiło się jej do ciała. Nie widać było czy płacze, czy twarz ma mokrą od deszczu. Widocznie słyszała końcowy fragment rozmowy, bo zaczęła wrzeszczeć do Chłopaka.
- Nie idź! Nigdzie nie chodź - wyciągnęła ramiona, żeby go złapać. On odsunął się i Dziewczyna upadła na kolana.
- Nie idź sam - szepnęła. Chłopak oddalał się powoli. Stary przyglądał się wszystkiemu z boku.
- Czekaj - krzyknęła Dziewczyna. Młody mężczyzna zatrzymał się. Podbiegła do niego. - Idę z tobą. - Ogarnął ją ramieniem. Przechyliła lekko głowę.
Szli brnąc w błocie, szli w szumiącym deszczu. Stary obserwował ich. Przeszli tak może z dziesięć metrów szepcząc coś do siebie. Stopniowo znikali. Znikły ich głowy, ciała zrobiły się przezroczyste. Rozpuścili się w deszczu i zniknęli NA ZAWSZE.
- Tak, tak - Stary ruszył raźnym krokiem w kierunku chaty Mędrca.
Spojrzał na zegarek: nie chodził, wskazówki zatrzymały się na godzinie 12. Żaden chyba mieszkaniec nie potrafiłby określić czy była to 12 w dzień czy w nocy. Tłum sunął za Starym. Tamten był tak zajęty swoimi myślami, że nawet tego nie zauważył.
- CZAS stanął w miejscu - mruknął i dreptał uporczywie przez bajora szarej cieczy.

Szarość zdobywała świat. Domy rozpuszczały się stopniowo. Rzeczywistość traciła wszelkie kontrasty. Czas stanął, nierówności terenu zacierał deszcz, barwy zniknęły... Teraz Stary przekonał się na własne oczy, że ludzie również znikali w deszczu. Wszystko pasowało do jego koncepcji.
Szedł wiec do filozofa uporczywie myśląc. W głowie pulsowały mu słowa Mędrca: TO KONIEC, TO KONIEC, TO KONIEC... Za nim dreptał tłum. Tłum żałosny, zwierzęcy, bezmyślny. Stary bał się, ale wiedział więcej od innych, wiec mógł działać. Bał się szarych twarzy, szarych rąk, szarych ust. Świadomość, którą posiadał zmniejszała lek. Chwilami myślał, że zwariował. Pochód szedł przez miasteczko. Wiatr ucichł. Strugi deszczu padały prostopadle do powierzchni. Mijali pogrążone w ciszy, rozmywane przez deszcz, konające domy. Nie upadały z hukiem, z dymem, w gromach błyskawic. Ginęły cichutko, w taki sam sposób, w jaki ze świata znikały barwy - NIEPOSTRZEŻENIE. Ludzie również ginęli w deszczu. Najczęściej ci, którzy za bardzo odłączyli się od grupy. Oddalali się na kilka metrów, a potem niknęli rozpuszczani w strugach wody.
Stary zatrzymał się.
- Tak, to tutaj. - Rozejrzał się wokół. Dostrzegł ciągnący za nim pochód.
- Idźcie stąd! - zawołał.
Tłum nie drgnął.
- No jazda! Do domu! - nalegał. Ludzie stali nieruchomo.
- Jeśli cie zostawimy, rozpuścisz się w deszczu - przemówił do niego ktoś z grupy.
- Jak chcecie, ale nie przeszkadzać do cholery! W oknach domu Mędrca było ciemno.
- Hej! jesteś tam? - zawołał Stary. Cisza, żadnego znaku.
- Odezwij się mądralo! - ponowił próbę Stary Mężczyzna.
Nikt mu nie odpowiedział. Chata była pusta. Filozofa w niej nie było. Stary usiadł zrezygnowany w błocie. Ktoś wyszedł z grupy.
- Kogo szukasz? - zwrócił się ten ktoś do Starego.
Stary spojrzał przenikliwie w twarz nieznajomego i zrozumiał wszystko. Pod czaszką przebiegło wspomnienie: KONIEC, KONIEC, KONIEC.
- Ciebie, Mędrcze - odrzekł.
- No wiec chodźmy do chaty, póki jeszcze stoi - powiedział Filozof z szyderczym uśmiechem.



Weszli do domu. Tłum otoczył budynek. Wszyscy zamilkli nasłuchując. Stary zasiadł za stołem. Przyglądał się zawiedziony wnętrzu chałupy. Spodziewał sie tysięcy opasłych tomów na półkach. Nic z tego. Książki owszem były, ale w małej ilości. Ustawione jedna na drugiej pod ścianami tworzyły wysokie piramidy. Mędrzec usiadł po drugiej stronie.
- Przyszedłeś tu, by znaleźć odpowiedź na to, co dzieje się w naszym miasteczku.
- Nie całkiem. Przyszedłem by potwierdzić swoje przypuszczenia - odrzekł twardo Mężczyzna.
- A wiec masz jakieś przypuszczenia? No to słucham, jaka jest twoja teoria, która wyjaśniałaby zachodzące u nas zjawiska? zabrzmiał ironiczny ton Filozofa.
- To dość oczywiste. Nie jest to zresztą żadna teoria. TO KONIEC ŚWIATA.
- Bardzo słusznie. Ale co z tego?
- Po to tu przyszedłem, żeby dowiedzieć się więcej.
- Dobrze, dowiesz się więcej, chociaż możesz tego żałować. Filozof był zadowolony, zacierał ręce. Jego uśmiechnięta twarz wyrażała podniecenie.
- Tak, tak - mówił jak w transie. - Wszystko po kolei, po kolei, wszystko wyjaśnię. A wiec to co obserwujesz Stary i to co obserwują ci ludzie na zewnątrz to najprawdziwszy koniec świata. Ile jeszcze potrwa? Nie wiem. Na pewno niedługo. Ale nie to jest ważne. Ważne jest dlaczego świat się. kończy? DLACZEGO!!!
Mężczyzna spojrzał na Filozofa zdziwiony.
- Aha, Stary, zatkało cie, co? No świetnie, powiedz dlaczego świat sie kończy?
Stary oniemiał.
- No śmiało, ŚWIAT SIĘ ROZPADA! Wydobądź na wierzch intelekt, za chwile zabraknie ci czasu. Mów, co myślisz stojąc w obliczu tak potężnego zjawiska. - Filozof umilkł, drżąc cały.
- Nie wiem, skąd można TO wiedzieć? - odrzekł Stary zbity z tropu.

- Można wiedzieć, można! JA WIEM dlaczego świat się kończy. I ja jeden MOGĘ ODWRÓCIĆ BIEG WYPADKÓW.
- Ty?!
- JA, WŁAŚNIE JA. Ja spowodowałem koniec. Ja mogę zatrzymać cały proces.
- Niemożliwe! Nie wierze, żebyś ty miał być przyczyną wszystkiego. Człowieku, oszalałeś.
- Nie! Sam się za chwile przekonasz! - Filozof uśmiechnął sie jadowicie. - Otóż mówiłem ci, że nie wiesz DLACZEGO świat sie kończy. Teraz ci na to odpowiem. Od chwili, gdy przyszedłem do waszego miasteczka oddawałem się rozmyślaniom. Przez dwadzieścia lat mój umysł na chwile nie odpoczął. Rezultaty mojej pracy możecie obserwować wszyscy. Świat się kończy, bo odkryłem jego sens, jego istotę. - Słowa te Filozof wykrzyczał do Starego, rozpościerając ręce w teatralnym geście. - Rozwikłałem zagadkę człowieczej egzystencji, odkryłem sedno wszechświata, rozwiązałem wszechproblem, który nadawał sens ludzkiemu istnieniu. Czymże, wobec mojego odkrycia są wszystkie odkrycia fizyków i matematyków, chemików i biologów razem wziętych? Niczym! Powtarzam, niczym! Są marginalną częścią, jedną miliardową, jedną biliardową tej całości, którą ja ogarnąłem w jednej chwili swym umysłem. Odsłoniłem rozumem istotę UNIWERSUM. Wy zwykli ludzie nie potrafilibyście nawet zadać tych pytań, na które JA w tej chwili znam odpowiedź. Nie zdajecie sobie bowiem sprawy z tego, o ilu rzeczach nie macie pojęcia. Mój geniusz sprawił, że ŚWIAT NIE MA PO CO ISTNIEĆ. Ginie właśnie dlatego, że rozwikłałem jego Wszechtajemnice. Boże, jakie to wszystko proste! Ta wielka całość zawiera się w kilku słowach zaledwie. Gdybyście wiedzieli co ja wiem... Widzisz Stary świat ginie, bo ja swoim umysłem doszedłem do jego TAJEMNICY. Filozof zachłysnął się śliną i przerwał. Stary siedział sparaliżowany i wpatrzony w twarz Mędrca. Gorączkowo myślał.
- Mówiłeś, że możesz odmienić bieg wypadków - zagadnął nieśmiało.
- Jedynie moja śmierć odwróci losy tego świata, gdy informacja zawarta w moim mózgu umrze wraz ze mną, proces zostanie zatrzymany.
- Nie wierze w to co mówisz - wyszeptał Stary - i nigdy nie uwierzę. Nie ma rzeczy zależnej od jednego tylko człowieka, niczego do końca nie można przewidzieć, skądże wiec ty... Od ciebie zależą losy świata?! Nie!
- Głupi jesteś Stary - rzekł Mędrzec.
W tym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Jednocześnie z futryny wyleciały z łoskotem drzwi. Do wnętrza chaty wtargnął tłum. Szare twarze otoczyły rozmawiających.

Oknami i otworem powstałym po wyłamaniu drzwi wdzierali się mieszkańcy miasteczka. Zacieśniali pierścień. Z ich twarzy biła wrogość. Stary osłupiał. Filozof zaczął się cofać ku ścianie.
- Czego chcecie! - wychrypiał.
- Musisz zginąć - wyskandował tłum zgodnym chórem. Ręce wyciągnęły się w kierunku postaci przypartej do ściany. Ktoś wykrzyknął:
- Słyszeliśmy wszystko! Musisz zginąć, żeby nam dać szanse przeżycia. Sam sobie jesteś winien!
Stary zasłonił Mędrca przed tłumem.
- Zostawcie go - zwrócił się do ludzi - on jest obłąkany! Jego śmierć nic nie zmieni, a jeśli nawet to nie w takim stopniu, w jakim sobie wyobrażacie, rozejdźcie sie! Tylko czas może wyjaśnić wszystko, puśćcie go!
- Nie. On zginie, dalej, naprzód, udusmy go, rozerwijmy wszystko jedno jak, musimy pozbawić go życia - padła twarda odpowiedź tłumu.
Ręce sięgały gardła. Drapieżne szare ręce. Usta wykrzywione grozą i rozpaczą. Za oknami umierający świat, do którego wchodziła Wieczność.
- Odejdźcie - ryczał Stary, choć nikt go nie słuchał. -Jego śmierć nic wam nie da. On jest szalony - łkał klęcząc na ziemi.
- My wierzymy mędrcom! - zawołał ktoś z tłumu do Starego. Potężny wysiłek i Filozof odtrącił od siebie napastników. Nabrał powietrza do płuc i zużywając całą swoją energie wewnętrzną wydał z siebie nieludzki skowyt.



- Stać!!!
Napastnicy zatrzymali się na chwile. Filozof wykorzystał to natychmiast.
- Jeśli ktoś z was ruszy się chociaż na krok, wykrzyczę wszystko co wiem. Mogę to zawrzeć w kilku zaledwie słowach. A wtedy dowiecie się i wy... I wówczas świat zdoła ocalić tylko wasze grupowe samobójstwo.
Nikt z otaczających go ludzi nie drgnął. Mędrzec powiódł tryumfalnym wzrokiem po oniemiałej szarej grupie. Odetchnął.
- W ten sposób macie jeszcze szanse, cień szansy - poprawił sie szyderczo. - Musicie robić, co wam każe. Chce sobie wszystko obejrzeć do końca. Całą te hece. Chodźcie za mną - zwrócił się do tłuszczy.
Wyszli z izby, po której walały się stratowane książki. W kącie siedział Stary i jęczał. Filozof działał szybko, postanowił zdążyć nim tłum odzyska rozsądek. Wszyscy słuchali go będąc pod wpływem szoku. To mogło się zmienić. Szli w kierunku radiowej rozgłośni lokalnej. Mędrzec drżał. Wiedział, że każdy rzut kamieniem może pozbawić go życia. Zanim ludziom to przyjdzie do głowy musi dotrzeć do rozgłośni. Jeszcze panował nad sytuacją, ale jak długo to potrwa? Rozglądał się wokół.

Jakże świat się zmienił. Nieskończoność niemal całkowicie zawładnęła rzeczywistością. Deszcz padał i niszczył wszystko. Odległości zmieniły się. Przestrzeń umierała razem z czasem i materią. Do radiostacji dotarli idąc po zawiłej krzywiźnie. Ile metrów przeszli i w jakim czasie - nie wiadomo. Może zresztą to były kilometry? Tak, przestrzeń rozpuszczała się w deszczu, czas uciekał przed wiecznością, materia ginęła. Filozof już dochodził do celu gdy świsnął koło jego głowy pierwszy kamień.
- Dalej w niego! Rzucać, zabić go, oszukał nas! Ludzie, na co wy jeszcze czekacie!!! - okrzyk jakiegoś wyrostka rozdarł szmer padających kropli.
Tłum zawył. Rzucano czym popadnie. Filozof uciekał, mamrocząc pod nosem wszechprawdę o istnieniu wszechświata.

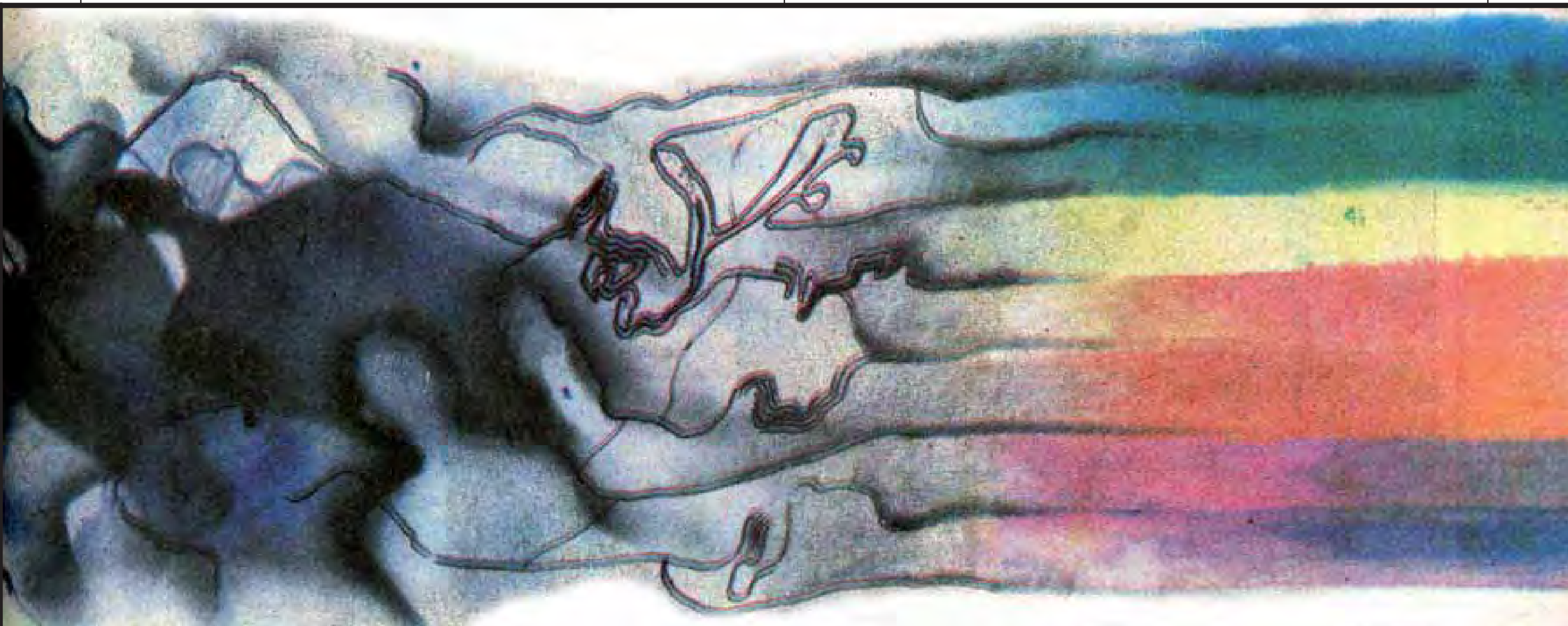
- Banda głupców!
Pociski nie trafiały celu. Przestrzeń tak się pokrzywiła, że trafić w cokolwiek można było jedynie przez przypadek. Mędrzec biegł. Kamienie rzucane przez wyjący tłum obierały najdziksze trajektorie. Żaden nie zbliżył się do uciekiniera na niebezpieczną odległość.
Rozgłośnia - obszerny budynek ze stalowym masztem - raz stała bliżej raz dalej. Pokrzywiony maszt tkwił jeszcze na swoim miejscu.
Mędrzec nieoczekiwanie dla samego siebie dotarł do gmachu. Drzwi rozgłośni były otwarte. Wpadł do środka i zabarykadował sie od wewnątrz.
Splątana przestrzeń utrudniała działanie. Wymiary mieszały sie ze sobą. Uruchomił aparaturę, która była sprawna mimo wszystko. Programy lokalne mogły być nadawane. Ale przyszedł mu inny, lepszy pomysł. Wystawił kolumny przez okno i czekał na tłum. Kiedy tłuszcza otoczyła budynek przemówił przez urządzenia nagłaśniające:
- Stać! Nie życzę sobie żadnego działania z waszej strony. Ja zorganizowałem te zabawę i chce ją obejrzeć do KOŃCA. Nie pozwolę, by ktoś to udaremnił. W tej chwili jestem na antenie programu lokalnego. Wystarczy, że nadam w eter swoją Wszechprawdę, a nigdy nie odnajdziecie odbiorcy informacji. Nie wierze, że w całym miasteczku są powyłączane radia. A jeżeli nawet, i tak zdążę wam wszystko wykrzyczeć przez to proste urządzenie. Każde działanie z waszej strony to sygnał dla mnie. Możecie jedynie przyglądać się wraz ze mną. Macie szczęście, że właśnie w tej małej mieścinie zaczął się koniec świata. - Głośnik zamilkł. Zdesperowany tłum rozsiadł się wokół budynku tracąc wszelką nadzieje.

Stary siedział w chacie. Przestrzeń wynicowała się i gięła w najdziwniejszy sposób. Czuł już dotyk wieczności. Długość i szerokość zatraciły się tworząc coś pośredniego. Istniejąca jeszcze materia stała się igraszką wśród złowieszczych pląsów przestrzeni. Stary istniał świadomie, lecz nie był już zdolny do działania. Rozrastał się w nieskończoność, by znów maleć, cały zaplątany w niknący świat. Mimo to rozumował jasno.
- Nie wierze - mamrotał - nie wierze mu. - Słyszał pogłos swojego szeptu, gdyż fale dźwiękowe odbijały-sie od powstających i nagle ginących krawędzi przestrzeni. - Jeżeli nawet to KONIEC, to Filozof jest tylko narzędziem OPATRZNOŚCI. On nie może być sprawcą, nie jest sprawcą, sprawcą... jest narzędziem, tylko narzędziem, nie wierze w to co mówił, to wariat, szaleniec... wszystko zbieg okoliczności niesamowity zbieg... ostrzeżenie...
Przestrzeń wirowała pochłaniając materie. Ściany gięły się i rozkładały tak jak kartka papieru w reku dziecka, które robi latawce.
Dół i góra - te pojęcia już nie istniały. Stary nie wiedział czy żyje, czy nie. Zresztą kategorie, którymi rozumował człowiek dawno straciły sens.
Istniał intelekt, tego Stary był pewien. Intelekt jednak zlewał się z czymś, tracił na chwile tożsamość, to znów po wielkim wysiłku odzyskiwał ją.
- Zniszczenie postępuje, rozkład, destrukcja... To były ostatnie myśli Starego. Stracił tożsamość, stał się. kroplą w morzu. Świadomość zgasła.

Filozof radował się widokiem. - Wspaniały koniec! Deszcz, cóż za piękny deszcz, który rozpuszcza przestrzeń. Koczujący na dole ludzie pozbyli się strachu. Oni również czekali na KONIEC. Po kolei niknęli rozpuszczani w deszczu. Strumienie wody padały z dołu do góry, na boki po eliptycznych torach, ulegając kaprysom przestrzeni. Ci ludzie, którzy jeszcze istnieli popadali w odrętwienie. WIECZNOŚĆ zaczynała niepodzielnie władać światem.

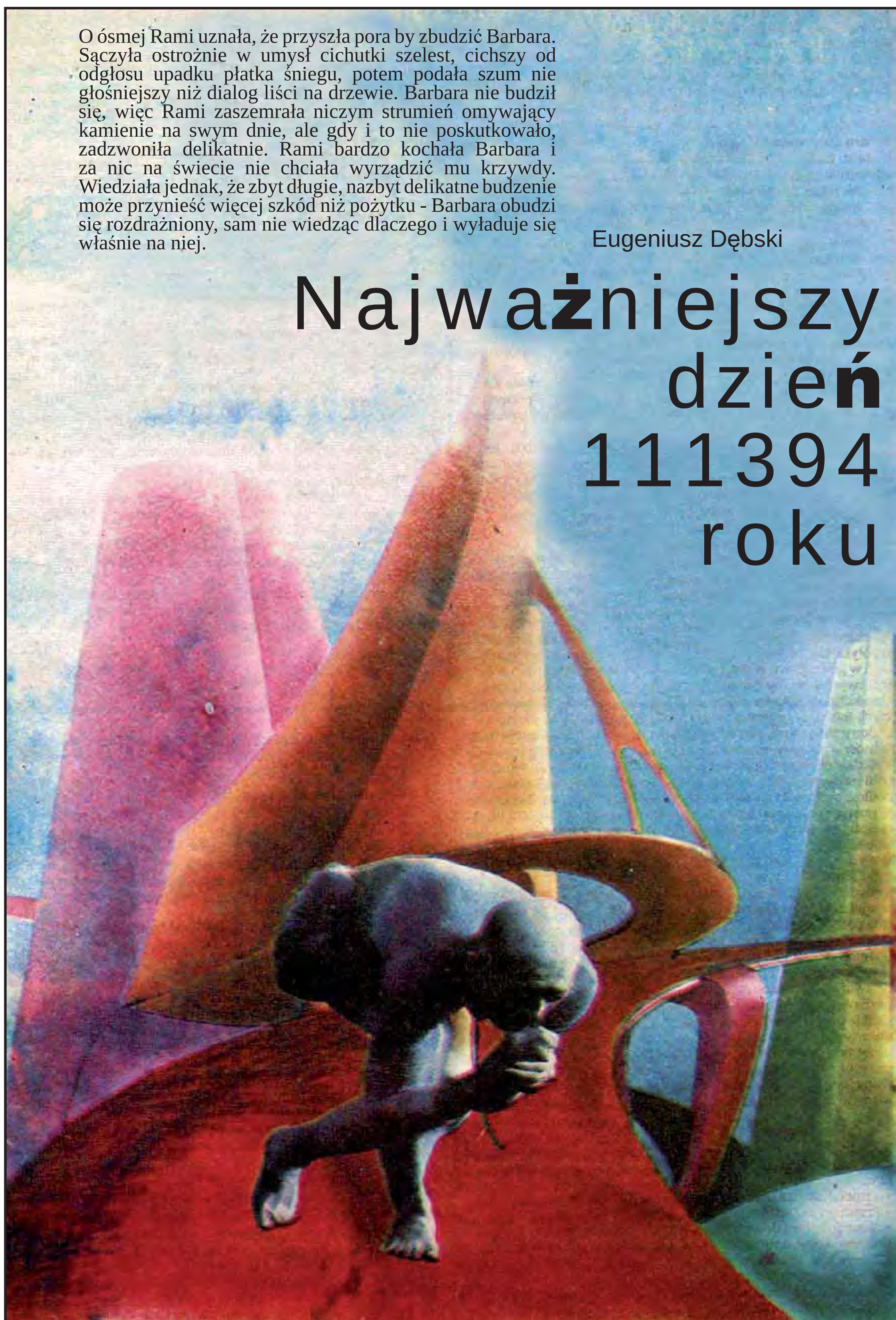
— — — — — — — — — — — — —

Jakież było zdziwienie Starego, kiedy odzyskał przytomność. Przetarł oczy. Przez okno zobaczył słońce i kawałek nieba. Tak, świeciło słońce, złote słońce, a niebo znów było niebieskie. NIC NIE wirowało, nie gięło się, nie skakało. Wszystkie wymiary były namacalne i doskonale odczuwalne. Spojrzał na zegarek chodził.



Wyszedł z chałupy i udał się ulicą prostą przed siebie. Rozglądał sie wokół. Okaleczone domy odbudowały się samoistnie. Na świecie były znowu wszystkie barwy.
- Czyżby koszmar się skończył? TAK, chyba TAK, ale gdzie są ludzie - myślał Stary z niepokojem. Powietrze było rześkie, wspaniale pachnące, jak to po deszczu.
Stary znalazł gromadkę ludzi śpiących pod stacją nadawczą. Począł ich szarpać i budzić. Przecierali oczy jakby po długim śnie. Dostrzegali barwy i zaczynali płakać z radości. Wkrótce pobudzili sie wszyscy. Patrzyli w milczeniu na błękitne niebo, na złote słońce, w końcu zebrali się wokół Starego.
- On tam jest. - Ktoś ze strachem wskazał na wieże.
- Może tylko zasnął - wtrącił jakiś zaniepokojony głos.
- Spalmy to wszystko zanim się obudzi.
Stary pokręcił głową.
- Spokojnie. Teraz wszystko będzie dobrze. Pomóżcie mi otworzyć te drzwi - zwrócił się do ludzi.
Drzwi ustąpiły pod naporem ciał. Weszli do środka z lekiem. Pod sufitem, wśród brzęczącej aparatury, wśród poświaty migoczących w konsolce lampek kontrolnych, wisiał człowiek. Wisiał na pasku swoich spodni.
Oddech ulgi wyrwał się z piersi wchodzących. Stanęli zapatrzeni w to bujające się, martwe ciało,
- Słońce wyszło znowu, bo ON się powiesił - nie wiadomo czy było to pytanie, czy stwierdzenie faktu.
- Tak, tak - przytaknął skwapliwie ktoś z tyłu. Jedynie Stary mruknął pod nosem:
- Głupcy, on powiesił się właśnie dlatego, że wyszło słońce. Ale możecie mi nie wierzyć, to wasza sprawa.
I zmiął w reku papier, który znalazł na pulpicie nadajnika, a na którym były napisane tylko dwa niesamowicie powyginane wyrazy.
„TO NIEMOŻLIWE".

Grzegorz Stefański



Eugeniusz Dębski

Najważniejszy dzień 111394 roku

O ósmej Rami uznała, że przyszła pora by zbudzić Barbara. Sączyła ostrożnie w umysł cichutki szelest, cichszy od odgłosu upadku płatka śniegu, potem podała szum nie głośniejszy niż dialog liści na drzewie. Barbara nie budził się, więc Rami zaszemrała niczym strumień omywający kamienie na swym dnie, ale gdy i to nie poskutkowało, zadzwoniła delikatnie. Rami bardzo kochała Barbara i za nic na świecie nie chciała wyrządzić mu krzywdy. Wiedziała jednak, że zbyt długie, nazbyt delikatne budzenie może przynieść więcej szkód niż pożytku - Barbara obudzi się rozdrażniony, sam nie wiedząc dlaczego i wyładuje się właśnie na niej.

Dzwoneczek w mózgu Barbara zadzwonił jeszcze raz, trochę głośniej i Rami poczuła, że jej pan się budzi. Odczekała jeszcze chwile i szepnęła:
- Dzień dobry. Obudziłeś się siódmego maja 111 394 roku! - starała się by jej emisja była utrzymana w normalnym tonie, broń Boże zbyt suchym, ale też i nie przesłodzonym.
- Ehe! - pomyślał Barbara do Rami. - „Obudziłeś się!" - przedrzeźnił ją. - A może ja w ogóle nie chciałem się budzić? Co? Bardzo dobrze mi się spało.
- Masz dzisiaj do załatwienia kilka spraw - przypomniała uprzejmie Rami. Pomyślała to lekko, bez specjalnego nacisku. Tak jak powinna pomyśleć normalna, opiekuńcza, dobrze funkcjonująca żona. Szczególnie w tak piękny majowy poranek.
- Pamiętam, pamiętam - pomyślał zrzędliwie Barbara. - Dawaj komunikat.
- Już. W czasie snu twój wzrost nie uległ zmianie. Nadal mierzysz 197,3662 centymetra. Natomiast... - Rami postarała się, by w jej emisji zabrzmiała szczera radość - ...co do wagi, to jesteś cięższy o 11 gramów! W sumie 54,7942 kilograma!
- Widzisz? - wrzasnął w myślach Barbara. - Odradzałaś mi te mieszankę betasolową i co?
- Tak - skwapliwie pomyślała Rami. - Chyba nie miałam racji...
- Chyba! Nie zdarzyło się jeszcze, by moja żona przyznała się do błędu. Może będę musiał dokonać w końcu zmiany? - pomyślał i choć Rami czuła, że żartuje, lekki parazytowy prąd przebiegł przez jej obwód emocjonalny. -No? Co jeszcze?
- Terno, ciśnienie, oddech w jak najlepszym porządku. Jesteś absolutnie zdrów i to mnie cieszy - nie wytrzymała i zakończyła przymilnie. - W czasie snu zrobiłam ci poddźwiękowy masaż pleców. Tuż przed obudzeniem przeprowadziłam wszelkie analizy. Wyniki są świetne.
- I to, oczywiście, twoja zasługa - drażnił się Barbara.
- Oczywiście, że nie. To przede wszystkim...
- Dobra, dobra! - przerwał jej Barbara. - Wpadasz w myślotok. Daj... e-e-e... czerwone ubranie. Albo nie! Najpierw gimnastyka.
Leżał absolutnie nieruchomo i czekał cierpliwie aż żona, ostrożnie posługując się siłopolami, zdejmie z niego miękki otulik. Cały walec żony, przeźroczysty od góry, gdzie nakrywał ciało Barbara, ciemnoszafirowy na dole, zasłaniający całą aparaturę żony, zakołysał się. Najpierw tylko kilka stopni wzdłuż osi podłużnej nogi w górę, głowa w dół, potem do tego dodała Rami ruch kolisty obu swych końców. Powoli, by nie przesadzić, zwiększała amplitudę kołysań, gotowa w każdej chwili, na każdy błysk niechętnej myśli Barbara, przerwać ten monotonny kołysaniec, ale jej pan, otulony siłopolami, widocznie wprawiony w dobry humor wiadomością o wadze, milczał. Stopniowo zwalniała ruch wirowy, za to dodała delikatne drżenie całego korpusu, a po chwili, wciąż nie odbierając niechęci, wzniosła się pod sufit, opadła łagodnie do podłogi i wzniosła znowu. Kołysała Barbara całą sobą, bujając sie w pustym pokoju od jednego rogu do drugiego ani na chwile nie osłabiając uwagi. I gdy tylko Barbara zaczął myśleć wyhamowała łagodnie.
- Wystarczy. Tylko ci pozwolić to od razu szalejesz. Nie myślę robić kariery w cyrku - ale w jego myślach Rami nie wyczuwała prawdziwej złości. - Daj czerwone ubranie i lustro. Epiepi w zeszłej kwadrze zapomniał zajrzeć do lustra, a żona się zapętliła i całe pół dnia paradował z jedną dłonią ku górze.
Odgadł prędzej niż poczuł, że Rami wciąga na niego ubranie, podniósł zamknięte dotąd powieki i spojrzał na sufit. Cała płaszczyzna mrugnęła i zmieniła się w lśniącą lustrzaną tafle. Obrzuca uważnym spojrzeniem wydłużoną głowę bez jednego włoska, pozbawioną brwi płaską twarz z cienkimi kreskami powiek, wąziutkie usta prawie bez warg, mocno zaciśnięte. Od szyi w dół był ubrany w jednolicie karminową szatę. Leżała nieskazitelnie, wszystkie fałdki wyrównane i obciągnięte, ręce tak jak się nosi palce wyprostowane, dłonie leżące płasko, wierzchem do góry. Stopy okrywały futrzane scharpetty. Barbara obrzucił jeszcze jednym kontrolnym spojrzeniem całą swą postać i pomyślał do Rami:
- Pokaż teraz siebie.
Natychmiast lustro zamieniło się w ekran, w którym zobaczył spód swojej żony - dolną połowę walca w kolorze ciemnego szafiru.
- Zmień kolor na biały - westchnął w myślach nad głupotą żony.
- Przecież nie pasujemy do siebie, nie widzisz tego?
- Zawsze ty decydowałeś o kolorach, wiec czekałam na ciebie... pośpiesznie wyemitowała Rami, ale Barbara przerwał jej:
- I decyduje nadal. I nie bądź bezczelna, bo... - zawiesił myśl, by sama odgadła rodzaj kary.
Odebrał jej spontaniczny przestrach i uspokoił się.
- Połącz mnie z żoną Martima - pomyślał i w tej samej sekundzie pożałował swojej myśli. Rami wyczuła to, ale ponieważ nie wycofał polecenia zrealizowała połączenie. Barbara usłyszał emisje cudzej żony:
- Dzień dobry. Jestem żoną Martima.
- Barbara. Chciałbym z nim porozmawiać - pomyślał i od razu usłyszał:
- Witam, witam! Co u ciebie?
- Nic szczególnego. Przytyłem trochę... - bąknął Barbara i nie mogąc znaleźć żadnej neutralnej myśli wypalił:
- Chce mieć z tobą dziecko!
Przez chwile nic nie słyszał, widocznie tamten przełączył się na poziom prywatny, niesłyszalny dla nikogo, prócz żony. Barbara zrobił to samo; „Żeby się tylko zgodził".
- Przepraszam cie Barbara. Trochę mnie zaskoczyłeś tą propozycją...
- Martim myślał wolno, ostrożnie dobierając myśli.
- Wiesz, postawmy sprawę jasno - pomyślał zdeterminowany Barbara. - Wiem, że w przyszłym tygodniu chcesz owulować. Bądź mężczyzną - powiedz „tak" albo „nie"! Przecież się nie obrażę...
- To nie o to chodzi - Barbara miał wrażenie, że Martim znowu odłączył się na chwile, pewnie, żeby zakląć.
- Rzeczywiście mam zamiar mieć dziecko. Nawet specjalnie sie nie zastanawiałem z kim. Hm... Myślałeś nad możliwością konfliktu?
- Oczywiście, ale sprawdziłem. Wszystko w porządku! Prawie ideał, możemy mieć nadzwyczaj udane dziecko!
- Ta... Widzę, że się przygotowałeś do rozmowy - w myślach Martima Barbara wyczuł lekki wyrzut. - A mnie bierzesz szturmem. I pewnie chcesz mieć od razu odpowiedź, czuję to - Martim jakby się lekko uśmiechnął.
- Jeżeli ci zależy na czasie do namysłu...
- Nie-e-e... Już zdecydowałem. W czwartek będę w inseminarium, gdzie koło czwartej oddam jajeczko. Przyjdź też i załatwimy sprawę od razu. Urządza cie to?
- Jasne! Przyjdę punktualnie. I dziękuje, że się zdecydowałeś.
- Nie przesadzaj. Lubię cie, jesteśmy przyjaciółmi, wiec nie ma problemu.
- Znakomicie. Bardzo się cieszę... - Barbara chciał jeszcze jakoś wyrazić swą wdzięczność, ale Martim mu przerwał:
- Będziesz dzisiaj w Akademii?
Barbara wziął się w garść.
- A właściwie to po co?
- Dokładnie nie wiadomo. Karmen przechwala się, że to będzie wydarzenie roku. Podobno od wieków nie zdarzyło się nic równie sensacyjnego. Może to tylko gadanie, ale wiesz, on lubi zaskakiwać publiczność, tak jak z tą brodą, którą sobie przeszczepił z jakiegoś zwierzęcia. I jeszcze twierdzi, że kiedyś tam wszyscy mieli takie kłaki na twarzy, he...
- Pamiętam. A później go przelicytował ten... no... co przeszczepu takie futro też na głowę...
- Adan! Tak? O nim mówisz?
- Właśnie.
- Epiepi mówił, że Adan wybieraj się na pokaz Karmen i zapowiada zniszczenie szarlatana i pożera. Może być niezła awantura. Przyjdziesz?
- Jeśli tak, to pewnie, że przyjdę. To lepsze niż spektakle multiplaka. O której początek?
- Karmen zaczyna za czterdzieści minut. Lubisz deszcz? Bo zapowiadają... - zapytał Martim.
- Nie przeszkadza mi. Dopóki Rami jest szczelna mogę nawet nurkować - zażartował Barbara. ,
- Szczelna żona to rzecz podstawowa. Nie mogę zapomnieć o biednym Yoe. Fatalna sprawa... - myśli Martima były smutne i ciężkie.
- Potworne - przytaknął Barbara. - Tym bardziej że lekarze twierdzą, że atmosferyczne powietrze nie jest podobno trujące.
- - Łatwo mówić. Skąd miał wiedzieć jak się takim czymś oddycha? Barbara poczuł, że Martim zaczyna się złościć. Pospiesznie zmienił temat, zdenerwowanie tuż przed zmianą cyklu i owulacją mogło być szkodliwe dla płodu.
- Wiec spotkamy się w Akademii? - pomyślał szybko.
- Aha. Powiedz żonie, żeby dbała o ciebie - nadał Martim i odłączył się.
- Słyszałaś? - pomyślał Barbara do Rami.
- Barbara! Nawet nie wiesz jak się cieszę! Będziesz miał na pewno śliczne dziecko. Jesteś w znakomitej formie, nie wiem jak wytrzymam do pobrania nasienia! - Rami skręcała się ze szczęścia.
- Chyba nie myślisz, że to ty będziesz pobierała nasienie? Tam mają dużo pewniejsze urządzenia - prychnął Barbara, ale nawet nie rozzłościł się na Rami. - Połącz mnie z żoną Martima... właśnie - jak ona ma na imię?
- Rikard.
- No, powiedz Rikard, że wkładam szatę godową. Może Martim też włoży? Szybko, ubierz mnie!
Czekał niecierpliwie aż Rami zakończy zdejmowanie niedawno włożonego ubrania i naciągnie inne, biało-złote.

- Lustro! - zażądał gdy Rami zameldowała o zakończonej manipulacji.
Obejrzał nową szatę z satysfakcją.
- Ech! Piękny dzień - pomyślał tym razem do siebie. Rami posłusznie nie zareagowała. - Wychodzimy. Możesz się nie spieszyć, zrobimy mały spacerek. Kieruj się do Akademii, mamy pół godziny. Lecimy pod kątem trzydzieści stopni! - zakończył zuchwale.
- Barbara, nie szalej! Zawsze trzymałeś się piętnastu, przecież świetnie wszystko widać...
- Nie-e-e... To przechodzi wszelkie pojecie! Jeszcze raz tak sie zachowasz i zmieniam żonę, a z ciebie każę zrobić młynek do glonów! Doigrasz się.
Rami zamilkła. Posłusznie przechyliła się tak, że Barbara leżał teraz pod kątem trzydziestu stopni i mógł spokojnie patrzeć przed siebie. Wylecieli z mieszkania przez okno i ukazali się około dwustu metrów nad poziomem ulicy. Rami szybko zbadała najbliższe otoczenie i, nie widząc niebezpieczeństwa, opadła na poziom zerowy. Zgrabnie wsunęła się w gesty tłum żon. Mieniły sie wszystkimi barwami tęczy, leciały z różnymi prędkościami, przyspieszały i zwalniały, odskakiwały w bok, wplątywały się w ciżbę, pochylone pod różnymi kątami, niektóre z zaciemnionymi kloszami. Barbara, niespodziewanie dla siebie, z wielką przyjemnością patrzył na ten pełen gracji taniec, kazał nawet Rami skręcać lekko na boki, by nie gubić szczegółów i oglądać wszystko w całości.
- Za trzy minuty deszcz - chłodno zameldowała Rami.
- Zostajemy na ulicy. Nic mi nie będzie, tylko śledź temperaturę, żebym się nie przeziębił.
Po chwili pierwsze krople deszczu rozbiły się na przezroczystym kloszu nad ciałem Barbara. Z początku czuł się nieswojo, tym bardziej że ulica wyraźnie opustoszała - w zasięgu wzroku pozostało pięć sylwetek.
- Barbara - usłyszał emisje Rami. - Otrzymałeś pięćset siedemdziesiąt osiem pozdrowień i życzeń od przechodniów, dziękowałam wszystkim sama. Myślę, że nie jesteś zły?
- Skądże! Zdążymy do Akademii?
- Oczywiście, już dolatujemy - Rami wzniosła się wyżej, najpierw na poziom mieszkalny, potem jeszcze wyżej i w końcu wolno wleciała do budynku Akademii. Nie odnalazła w gęstym tłumie Martima, byli natomiast inni znajomi Barbara, wiec kilka minut do rozpoczęcia prezentacji Karmena minęło szybko i przyjemnie. Martim wpadł do sali tuż przed przewodniczącym sesji Samuilem, wsunął się w tłum i zawisł obok Barbara. Miał na sobie taką samą szatę. Barbara przełączył się na poziom prywatny i kazał obniżyć temperaturę o pół stopnia i włączyć się w poziom ogólnosłuchowy. Nad żoną Samuila rozbłysło żółte światło.
- Szanowni zebrani! - usłyszeli myśl przewodniczącego. - Witam serdecznie na dzisiejszej prezentacji. Tradycyjnie zacznę od - choć uważam to za zbędne - przypomnienia, że codziennie najwybitniejsze umysły naszej epoki prezentują swe odkrycia i dokonania. Dzisiejszy pokaz jest tyleż ciekawy, co kontrowersyjny. Prezenterem jest Karmen, szeroko znany obecnym z wielu czasem szokujących odkryć. Jest to umysł niezależny, odważny i nieszablonowy. Nie wszystkim podobają się jego pomysły, ale na pewno pobudzają one do dyskusji i myślenia. Dzisiaj Karmen ma nadzieje obalić kilka pokutujących jakoby wśród nas złudzeń co do pewnych pojęć, zjawisk i zachowań. Nie moją rzeczą jest ocena pokazu, wiec nie będę już zabierał Wam cennego czasu. Kończę tradycyjną również prośbą o niezakłócanie emisji prezentera. Życzę przyjemnego odbioru oraz zdrowia również dla Waszych żon, albowiem, jak powiada starożytna myśl: Jeżeli żony będą zdrowe to i my będziemy zdrowi... Karmen!
Żona Samuila z gracją spłynęła z estrady, na jej miejsce wpadła żona Karmen. Nim zdążyła wyhamować rozjarzył się nad nią żółty blask.
- Drodzy zebrani! - pomyślał Karmen, a słuchacze odebrali jego myśl za pośrednictwem żon. Jego żona przechyliła się prawie do pionu. Była to niezbyt nowa sztuczka, wielu cyrkowców potrafiło otoczyć się siłopolami i trwać tak choćby i godzinę. - Nie waham sie nazwać dzisiejszy dzień najważniejszym dniem naszego 111 594 roku! Jest to bowiem dzień, w którym człowiekowi zostaną przywrócone zdolności, o które nawet siebie nie podejrzewał, które, w najlepszym razie, uważano za bezpowrotnie utracone. Moje badania wykazały niezbicie, że nie wszystko jeszcze człowiek osiągnął, wiele rzeczy jeszcze może dokonać, co za chwile zobaczycie. Oto mój syn Azechiel.
Obok żony Karmen pojawiła się inna, nieco mniejsza, a szybkość z jaką stanęła w pionie zachwyciła nawet wybrednych koneserów sztuki cyrkowej.
- Szanowni zebrani. Osiem lat temu dokonałem błyskawicznej zmiany cyklu i zapłodniłem własne jajo. Nie jest to rzecz niezwykła, choć rzadka. Ja zrobiłem to dlatego, że chciałem mieć swoje wyłącznie dziecko, które mógłbym poddać eksperymentom i ćwiczeniom, na jakie, być może, drugi rodzic by nie pozwolił. Azechiela, od pierwszych nieomal godzin życia poddałem surowemu treningowi, wyniki za chwile pokaże. Jak wiecie jestem zwolennikiem grzebania w przeszłości, gdzie, moim zdaniem, kryje sie wiele tajemnic zagubionych na poszczególnych etapach rozwoju homo sapiens. W wielu, zbyt wielu legendach i przekazach, by mogło to być przypadkiem, pojawia się obraz człowieka inny od dzisiejszego. I dlatego tu jestem - zrobił wyraźną przerwę w myślach.
- Chyba wszyscy wiecie, że teoretycznie możemy oddychać sami, bez pośrednictwa żon, ale nikt dotychczas tego nie robił z prostej przyczyny - nie wiemy jak. To znaczy wy nie wiecie! A to bardzo proste - wystarczy otworzyć usta, o ile możecie, i wciągać powietrze bezpośrednio do płuc. Nie jest to niestety łatwe, trzeba opanować sterowanie całą masą mięśni. Azechiel to umie - odwrócił się do syna.
Zebrani zobaczyli nagle jak opada cześć żony na wysokości twarzy Azechiela, jak chłopak rozchyla bezwargie usta. Barbara poczuł, że napięcie w sali wzrosło tak, że można by je zmierzyć za pomocą chociażby wiatraczka.
- To nie wszystko. Za sprawą prawie tych samych mięsni można spowodować proces odwrotny, to znaczy wypuszczanie powietrza z płuc i można otrzymać przy tym bardzo ciekawy efekt akustyczny. Proszę nakazać swym żonom - kto chce, oczywiście rozchylić siłopolem szczeliny uszne i przekazywać dźwięk bezpośrednio z sali. Gotowe? - znowu przerwał na chwile. Barbara, sam nie wiedząc dlaczego kazał Rami wykonać zalecenie Karmen, choć dotyk siłopola nie był w tym przypadku przyjemny. Azechiel, proszę.
Chłopak, nie zamykając ust, wytrzeszczył oczy i nagle wszyscy, którzy usłuchali Karmen, usłyszeli:
- Ha-e-wi-i-tam... pa-a-nstwa-ła...
Widocznie spora cześć widzów odebrała to powitanie, bo szum jaki buchnął ze wszystkich żon nie dał się żadną miarę sprowadzić do rozsądnych, pojedynczych myśli. Rami czując, że nie zdoła uchronić Barbara przed zgiełkiem wyszła po prostu z poziomu ogólnosłuchowego.
- Boże... Rami! Czy ja nie majaczę? - wydusił z siebie Barbara. Czy on naprawdę to... - szukał w myślach odpowiedniego słowa, ale nie znalazł - ...zrobił?
- Tak - przyznała Rami. - Barbara, sądzę, że powinniśmy stąd pójść. Jesteś w szoku, nie możesz ryzykować...
- Zamknij sie! - ryknął Barbara. - I włączaj ogólnosłuchowy! Zgiełk i szum ucichł prawie zupełnie, widocznie widzowie bali sie stracić coś z myśli Karmen.
- Tak, to nie omam. To fakt - usłyszeli jego triumfujące myśli. Wszyscy, albo prawie wszyscy, tak możemy zrobić, po dłuższym lub krótszym treningu. Przysięgam. W ten sposób moglibyśmy w znacznym stopniu uniezależnić się od naszych własnych żon! Przy okazji... - Karmen zmienił nieco ton myśli - ...trafiłem na bardzo ciekawy materiał związany z genezą żon właśnie i mam nadzieje już w niedługim czasie podzielić się z wami tą ciekawostką. Ale wracajmy do Azechiela. To, co nam pokazał to tylko ułamek jego możliwości. Żeby was nie przemęczać nie będę dawkował rewelacji i pokażemy od razu to, co wydaje się mi najważniejszym moim i syna dokonaniem. Azechiel!
Chłopiec, wciąż w pozycji pionowej, poruszył nogą, lewą, i przestawił ją przed siebie, potem zrobił to samo z nogą prawą i wyszedł z żony! Stał lekko zgięty na lewą stronę, wstrząsany nieznacznymi rytmicznymi drgawkami, ale stal sam, bez pomocy żony i siłopól. Potężny ryk setek myśli ogłuszył Barbara, choć sam wrzeszczał, nie zdając sobie z tego sprawy. Oszołomiona Rami dopiero po dłuższej chwili wyłączyła się z ogólnosłuchowego poziomu i zaaplikowała środki uśmierzające i silentidy. Kilkadziesiąt żon pośpiesznie wyniosło ludzi z sali i reanimowało poza murami Akademii. Minęło jeszcze kilkanaście minut zanim pozostałe żony zdołały przywrócić ludzi do jako takiego stanu. Przez cały ten czas Karmen w żonie i Azechiel samodzielnie stali nieruchomo sycąc oczy efektem.
A gdy zapadła wreszcie cisza, gdzieś z końca sali dobiegła wszystkich myśl-pytanie:
To piękne sztuczki, tylko po co one ludziom? I w tej ciszy, jeszcze głębszej niż przedtem, po dłuższej chwili, zabrzmiała odpowiedz Karmen: Tego jeszcze nie wiem.

Eugeniusz Dębski

Eugeniusz DĘBSKI
(ur. 1952 w Truskawcu) - absolwent Wydziału Filologu Rosyjskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Aktywny w ruchu klubowym wrocławskich tanów SF. W połowie lat siedemdziesiątych pisywał felietony do tygodnika studenckiego „POLITECHNIK”
„Najważniejszy dzień 111 394 roku' jest jego literackim debiutem.
(m. p.)

Wacław Mitoraj

BRZASK NA PUSTKOWIU KRABA

Wydobywane ze snu muszli
świetlistą łyżką kruche ciało
drgnęło i stary Strażnik ruszył
z ojców na synów przekazaną
pamięcią sieci martwych duktów
w służbę swym Wszechpotężnym Panom

grzbiet wysłużony wgniata szara
naołowiony ciężar tarczy
nogi zsieczone pylnym wiatrem
świat odmierzają dawną miarą
oczy wpuszczone w ciemne okna
nie zachwycone dziwną zorzą
czułki - zwiastuny zetknięć, zdążą

ostrzec, gdy przyjdzie kogo spotkać
w pancerzu błyszczy szkarłat słońca
ponurym światłem maże ściany
zaułki cień zalepia krwawy
z krawędzi dachów smuży tęcza

w opończy ciszy miasto czeka
tych którzy zaraz wyjdą z bramy
trzeszczą zużyte krabie stawy:
kres służby bliski - czas nie zwleka

w obchodzie Strażnik punkt po punkcie
pogłębia ścieżkę Ojców Krabów
bez pytań swą tajemną funkcję
pełni - czeka rozkazów
wciąż krok za krokiem wyschłą rzeką
w brzegach kilkudziesięciu pięter

co już nie warte cienia śmiechu
dla Kraba - święte…

maj 1983 r.

WYRÓŻNIENIE W KONKURSIE „FANTASTYKI"

Planeta zielonych widm

jest pierwszą powieścią Zbigniewa Prostaka, autora debiutującego w latach siedemdziesiątych opowiadaniem „Ręka" (wyróżnienie w konkursie „Młodego Technika"). Jak dotąd, Zbigniew Prostak umieszczał swoje teksty w antologiach: „Kroki w nieznane", „Gość z głębin", „Wehikuł wyobraźni", „Wołanie na Mlecznej Drodze", „Spotkanie w przestworzach" (t. 2). Niektóre z nich weszły w skład autorskiego tomiku „Kontakt" (1979). „Planeta zielonych widm", opublikowana w nakładzie 100 000 egzemplarzy, jest odmianą fantastyki „kontaktowej", eksploracyjnej. Fotonowy statek „Sol", penetrujący centrum Galaktyki, osiada na powierzchni nieznanej planety. Równolegle z naprawą krążownika prowadzi się badania tajemniczego globu. Już wkrótce wiadomo, że w głębinach dziwnych jezior-studni kryje się życie reprezentowane przez istoty z gatunku homo sapiens. Istoty te nie życzą sobie jednak „kontaktu" z dociekliwymi naukowcami. Podwodne miasta zostają zamknięte dla Ziemian. A może przed nawiązaniem porozumienia trzeba spełnić kilka warunków? Konflikt narasta. Kapitan Dar Dowódca Grupy Specjalnej jest zwolennikiem użycia siły. I oto dochodzi do decydującej konfrontacji...

Przesłanie powieści wpisuje się w model heroicznej fantastyki kosmonautycznej, która w kostiumie innych światów pyta o granice odpowiedzialności człowieka, jego prawo do ekspansji, tolerancji, poznania. Refleksje socjologiczne nie rażą jednak patosem sformułowań, a co ważniejsze nie rozbijają zwartej fabuły książki. Szybka akcja, zaskakujące rozwiązania sprawiają, że powieść Zbigniewa Prostaka znajdzie z pewnością wielu czytelników.

Warto zwrócić uwagę, że „czarna" seria KAWowska, mimo umiarkowanych cen, systematycznie podnosi jakość swojej szaty graficznej (nie mówimy, rzecz jasna o wydaniach zeszytowych brrr!). Okładka, zaprojektowana przez bydgoskiego plastyka i znanego autora SF - Wiktora Żwikiewicza, stoi już na poziomie europejskim.

(an)

Zbigniew Prostak: *Planeta zielonych widm*. KAW, Warszawa 1983. Cena 45 zł.

Końcówka

to zbiór opowiadań Andrzeja Trepki, pisarza, publicysty, popularyzatora nauki debiutującego w latach 50-tych wspólnie z Krzysztofem Boruniem trylogią: „Zagubiona przyszłość", „Proxima", „Kosmiczni bracia". Jest Trepka autorem kilku powieści SF („Atol Trydakny", 1974; „Dwunastu apostołów", 1978; „Totem leśnych ludzi", 1980; „Kosmiczny meldunek", 1980), twórcą bestsellerów: „Konstanty Ciołkowski - wizjoner Kosmosu", „Zycie we Wszechświecie" podejmujących zagadnienia rozwoju astronautyki, możliwości istnienia Obcych Cywilizacji. Opowiadania zamieszczone w „Końcówce" stanowią sfabularyzowaną wersję hipotez naukowych, którym fantastyka użycza tylko kostiumu literackiego. „Historia pewnej sekundy" to refleksja nad złożonością życia w Kosmosie, tytułowe opowiadanie zbioru oznacza eksperyment nad Czasem i podporządkowanie wydarzeń własnej woli, jest wędrówką w stronę realiów innego świata. „Vistula" wydaje się ironiczną repliką Obcych na wszędobylstwo i przerażającą głupotę ziemskich parlamentariuszy, „Pogoda" - to ucieczka na planetę pozbawioną zła, którego nie można uniknąć na Ziemi... Fantastyka Trepki, surowa i dość rzadko sprzeniewierzająca się solidnym regułom „hard fiction", nie stroni jednak od pewnej poetyckości, nastroju, zadumy nad światem. „Końcówka" ukazała się w nakładzie 100 000 egzemplarzy, a jej cena, mimo pokaźnej objętości (278 stron) nie jest wcale wygórowana. Czyżby KAW zaczął się liczyć z konkurencją?

(an)

Andrzej Trepka: *Końcówka*. KAW, Warszawa 1983. Cena 60zł.

Z pogranicza nauki i SF

Oryginał książki Kennetha Browera „The Starship and the Canoe" ukazał się w 1978 roku, jej polskie wydanie w przekładzie Lecha Jęczmyka - w pięć lat później, a więc względnie szybko. Jest to niewątpliwie zasługa tłumacza, dobrze znanego miłośnikom fantastyki naukowej redaktora „Kroków w Nieznane", żarliwego popularyzatora anglojęzycznej SF; „odkrywcy" twórczości Kurta Vonneguta Jr.

Tym razem Lech Jęczmyk zaproponował nam reportaż literacki z pogranicza nauki i science fiction - „Kosmolot i czółno", pióra amerykańskiego dziennikarza, znawcy przyrody Kennetha Browera.

Ta niezwykła książka opowiada o Freemanie Dysonie, wybitnym astrofizyku, i o jego synu George'u, kontestatorze współczesnej cywilizacji. Dla wielu miłośników fantastyki i zwolenników CETI nazwisko tego uczonego kojarzy się z tzw. sferą Dysona - hipotetyczną, sztuczną otoczką wokół gwiazdy. Zadaniem tej zestalonej (!) otoczki byłoby całkowite wykorzystanie strumienia promieniowania gwiazdy, a także powiększenie przestrzeni życiowej. Freeman Dyson rozważał możliwość zbudowania takiej sfery wokół Słońca, w odległości Ziemi, wykorzystując w tym celu materię planet-olbrzymów: Jowisza, i Saturna. Mimochodem sugerował również, iż jakieś cywilizacje w Galaktyce mogły utworzyć już wokół swoich macierzystych cjwiazd takie otoczki. Należy zatem zwracać baczną uwagę na kosmiczne źródła podczerwieni, ponieważ w tym zakresie długości fal elektromagnetycznych wspomniana sfera winna oddawać w przestrzeń nadwyżki promieniowania. Ideę tę podchwycili zwolennicy CETI. Rozumowanie Dysona zostało poparte obliczeniami, a detekcję źródeł podczerwieni włączono do katalogu problematyki CETI - SETI. Z tej okazji Freeman Dyson został, ku swojemu zdziwieniu, zaproszony na międzynarodową konferencję CETI do Biurakanu w Armenii, z której wyniósł jednak mieszane uczucia i zniechęcenie do abstrakcyjnych rozważań na temat obcych cywilizacji. O samej egzobiologii autor reportażu odzywa się nader kąśliwie nazywając ją pseudonauką (str. 172). Ta niezrównoważona opinia potwierdza wrażenie, jakie odnosi się od początku lektury książki. Kenneth Brower zachowując wielki szacunek do spraw nauki zdradza zarazem, typowe dla dziennikarzy, niezrozumienie problemów, które w dobrej wierze opisuje. Nader często zamieszcza też przestarzałe dane. Toteż rozdziały książki poświęcone Freemanowi Dysonowi i jego ideom w dziedzinie eksploracji kosmosu są znacznie słabsze w porównaniu z rozdziałami o George'u Dysonie, w których autor ujawnia nie tylko talent narracyjny, lecz również głębokie zrozumienie tego, o czym pisze. Dodajmy, że Kenneth Brower zna osobiście obu Dysonów, a nawet można powiedzieć, że jest z nimi zaprzyjaźniony. Mimo to nie ustrzegł się przed naiwnością i spłyceniem tematu, kiedy usiłował przekazać w reportażu idee uczonego ogarniającego wyobraźnią, jeśli nie cały Wszechświat w czasie i przestrzeni, to przynajmniej Grupę Lokalną galaktyk i najbliższą przyszłość cywilizacji ziemskiej. Niektóre idee i pomysły Freemana Dysona odnoszące się do zagadnień eksploracji kosmosu rzeczywiście przypominają, zwłaszcza w ujęciu Browera, motywy spotykane w utworach science fiction. Dotyczy to na przykład pomysłu zaludnienia komet po uprzednim obsadzeniu ich... drzewami, przystosowanymi dzięki inżynierii genetycznej do wegetacji w warunkach próżni, słabej siły przyciągania i małego nasłonecznienia. Później Dyson zainteresował się asteroidami, również pod kątem ich kolonizacji przez człowieka. Brower przyrównuje w tym miejscu Freemana Dysona do Małego Księcia, mieszkańca asteroi du B-612 z utworu Antoine'a de Saint-Exupery'ego. Mamy już więc nawet nie literaturę science fiction, lecz wspaniałą baśń (fantasy), odwieczne marzenie człowieka o gwiazdach, o odległych światach, być może lepszych niż nękana wojnami Ziemia.

Fragmenty książki „Kosmolot i czółno" poświęcone budowie łodzi konstruowanej przez George'a Dysona są znacznie ciekawsze, ponieważ autor porusza się w świecie dobrze mu znanym, dalekim od wyrafinowanych abstrakcji matematyki i fizyki teoretycznej.

W odróżnieniu od ojca George Dyson nie ukończył żadnych studiów, przyjął postawę kontestacyjną (był nawet zamieszany w aferę z narkotyka mi) i na dłuższy czas zerwał stosunki z rodziną. Dziś nie ma stałej pracy ani stałego miejsca zamieszkania - chyba, że za takie uznać chatkę, 'którą zbudował sobie w konarach drzewa na wybrzeżu Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. George Dyson często jednak zmienia miejsce pobytu podróżując po malowniczych wybrzeżach Kanady i Stanów Zjednoczonych położonych nad północnym Pacyfikiem. Jego pasją życiową stało się budowanie czółen wzorowanych na osiągnięciach Aleutów i Eskimosów, znakomitych żeglarzy wód polarnych. Skonstruował kilka takich łodzi używając nowoczesnych materiałów (włókno szklane, aluminium, masy plastyczne) i przemierzył w nich wody oceanu wzdłuż niezwykle rozwiniętej, urozmaiconej linii brzegowej, co ilustrują dwie, zamieszczone na okładkach, mapki. Teraz sądzi, że przeznaczeniem i nadzieją człowieka jest jego powrót do natury, a właściwie - stworzenie cywilizacji iuxta naturam. Jest to więc może nie tyle fantastyka, ile swoista utopia. Książka została podzielona na sześć części. Pierwsza, i zarazem najobszerniejsza, przedstawia na przemian (w kolejnych rozdziałach) Freemana Dysona oraz jego syna George'a. Część druga jest poświęcona wyłącznie Georgedwi - jego czółnom i podróży wzdłuż wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej. Trzecia opowiada o Dysonie seniorze i projekcie Orion, czyli kosmolocie i o jego drodze ku gwiazdom. W następnej, czwartej części, autor opisuje swoją wyprawę czółnem zbudowanym przez George'a, oczywiście w jego towarzystwie. Część piąta znowu została poświęcona Dysonowi juniorowi, jego rodzinie, nowemu, dwunastoosobowemu czółnu, a także porównaniom idei i poglądów obu Dysonów - ojca i syna.

Wreszcie w części szóstej Kenneth Brower powraca do metody przedstawiania na przemian wydarzeń związanych z życiem i działalnością obu Dysonów - wydarzeń, w których sam uczestniczył. Opisuje, między innymi, pierwsze spotkanie ojca z synem od czasu zerwania więzi rodzinnych. W trakcie tego spotkania dochodzi do wzajemnego zrozumienia postaw i motywów działania.

Obaj Dysonowie, znakomicie sportretowani przez Browera, są w równej mierze zaniepokojeni obecnym stanem naszej cywilizacji. Wyjścia z kryzysu poszukują jednak w przeciwnych kierunkach. Być może drogi te zejdą się kiedyś, gdy nowi koloniści na odległych planetach będą tworzyli własną cywilizację.

T. Zbigniew Dworak

Kenneth Brower: *Kosmolot i czółno*. Przełożył Lech Jęczmyk. Czytelnik, Warszawa 1983, Cena 140 zł.

Równia pochyła?

Paru czytelników „Całej prawdy o planecie Ksi", z którymi rozmawiałem, określiło powieść jako gorszą od „Limes inferior", ale zarazem mocniejszą. Podzielam ten pogląd.

Była „Limes inferior" książką znakomicie skonstruowaną, zakończoną metafizycznie i, jak na Zajdla, bardzo zręcznie napisaną. Świeża, nośna metaforycznie wizja elektronicznego cinkciarza podróżującego przez świat nadzerowców i sił pozaziemskich - zapewniała jej miejsce w pierwszej piątce najwybitniejszych polskich powieści SF. „Limes inferior" to rzadki w polskiej prozie wizerunek rzeczywistości alternatywnej, która działa; o mechanizmach Argolandu wiedzieliśmy więcej niż o świecie, w którym żyjemy. „Cała prawda o planecie Ksi" takiej zegarkowej i artystycznie satysfakcjonującej maszynerii świata przedstawionego jednak nie proponuje. Raczej już oferuje Zajdel krótki socjotechniczny kurs przechwytywania władzy. Mamy tu jeszcze wstrząsający, choć pobieżny, zapis moralnego staczania się kieszonkowego Wallenroda. I uwaga - jeśli w stosunku do Snera i innych postaci z „Limes inferior" zachowywał się Zajdel powściągliwie, to tu bywa nawet okrutny. Fakt, książka jest mocna i wobec „Limes inferior" komplementarna.

Pomysł wyjściowy uważam za znakomity. Wśród osadników wiezionych promem na planetę Ksi wybucha tuż po dehibernacji dobrze zorganizowana rebelia. W jej wyniku część hibernowanych nie będzie w ogóle odmrożona, a na planecie Ksi powstanie społeczeństwo inne niż to, jakie zaplanowali Ziemianie. Sprytni terroryści neutralizują pilotów, przechwytują władzę; posługując się przemocą, oszustwem, pseudorewolucyjnym frazesem i zasadą „dziel i rządź", cudzymi rękami wzniosą na Ksi państwowość parafeudalną, a sami usadowią się na szczycie drabiny. Trzyma się to nieźle konwencji SF, a jednocześnie wygląda na ostrą karykaturę wszystkich XX-wiecznych totalitaryzmów z ich faszystowskimi i Pol Potowskimi realizacjami włącznie. Tak trwa pięćdziesiąt lat z górą, do czasu, w którym prawdziwi bohaterowie powieści - członkowie ekspedycji z Ziemi, wysłani dla zbadania sprawy - staną na Ksi i zajrzą w oczy członkom zdegenerowanej społeczności. Poczują się wtedy jak eleganccy współcześni turyści z Europy potykający się o egzotycznych żebraków na ulicy Trzeciego Świata - tak samo współczujący, równie bezradni. Pada pytanie - czy i jak można resocjalizować owo społeczeństwo? Przecież żyją tu pokolenia nie pamiętające Ziemi, do której zresztą wpojono im nieufność i nienawiść. Wszystko co najważniejsze w powieści poznajemy z drugiej ręki, z pamiętnika jednego z pilotów, który powodowany troską o kochaną dziewczynę ulega terrorystom brnąc w otchłań samooszustwa i upodlenia. Takie ujęcie pozwala Zajdlowi dać przejmujący zapis rozpadu osobowości, ale wizja zdarzeń przekazywana nam przez owo medium jest płaska i skrótowa. W sumie nie wychodzi Zajdel poza konstatacje opisujących podobne problemy prozaików, jak Erie Blair, czy myślicieli, jak Erich Fromm. Wywód jest już niemal klasyczny. Wiadomo, że w grupie, która przygotowała pucz (tzw. „jednocyfrowi" - swoisty odpowiednik „nadzerowców") muszą powstać niesnaski. Wiadomo, że stratyfikacja społeczeństwa na elitę i zdegradowaną resztę dokona się powoli i osłoniętą będzie frazeologią konieczności, a także wytworzonym na wspólny użytek wizerunkiem zewnętrznego Wroga. Wiadomo, że z czasem pojawi się konieczność eliminacji bądź wygnania odszczepieńców i buntowników, zaś w potulnej większości pienić się poczną korupcja i cynizm. Zajdel nie kłamie, przeciwnie wykłada syntetyczną wiedzę o totalizmie, jaką na progu lat osiemdziesiątych mógł posiadać oczytany i bystry pisarz polski specjalizujący się w fantastyce społecznej. Ale właśnie dlatego, że syntetyczna i uniwersalna, nie układa się ta wiedza w wizję tak skrzydlatą jak w „Limes inferior".

Nie sądzę, by obniżenie autorskiego poziomu wynikało wyłącznie z tajemniczego fatum wiszącego u nas nad ujęciem i tematem. Rzecz również w tym, że Zajdel to powieściopisarz, któremu się spieszy i który nie oglądając się czasem na styl, na jakość epizodów, dziarsko zmierza do sedna. Uważam to za cnotę problematyczną. W dodatku książka nosi na sobie ślady pierwotnego adresata - młodzieżowego czytelnika Naszej Księgarni; celebracje mistyki kosmicznych podróży i objaśnianie po wielokroć Einsteinowskiego paradoksu bliźniąt na początku powieści trąci trochę popularyzacją.' Ponadto to co w wątku głównym uda się Zajdlowi nazwać, zdemaskować, przyszpilić, bywa czasem pospiesznie dezawuowane nie rozgarniętym komentarzem bohaterów pierwszoplanowych. Ten stop powstał z kruszców szlachetnych, ale ich z przeróżnych powodów nie oczyszczono i nie wymieszano do końca.

Jest oczywiście Zajdel autorem zbyt wytrawnym, by summa summarum nie spaść na cztery łapy. Tę „mocną książkę" czyta się jednym tchem, krytyczna refleksja przychodzi później, choć i wtedy trudno przyganiać autorowi, nie mieszając do zastrzeżeń wyrazów uznania. Zajdlowi w dodatku stała się krzywda - w wyniku perturbacji wydawniczych dostajemy trzy jego ostatnie powieści w kolejności odwrotnej niż powstawały. To „Cała prawda o planecie Ksi" była chronologicznie pierwsza, a „Limes inferior" ostatnia. Równia pochyła skierowana jest więc z góry na dół tylko w przypadku bohatera (a właściwie antybohatera) z planety Ksi. Co się tyczy Zajdla - trzeba to wyraźnie powiedzieć - pisarz jest na krzywej wznoszącej.

Maciej Parowski

Janusz Zajdel: *Cała prawda o planecie Ksi.* KAW, Warszawa 1983, cena 45 zł.

Nazwać swój cień

Polski czytelnik zna baśniową fantastykę Ursuli Le Guin bardziej ze słyszenia niż z autopsji, ale druga jej książka wydana u nas ukazuje całą skalę talentu autorki i wprowadza doskonale w świat jej wyobraźni. „Czarnoksiężnik z Archipelagu" przy całym swoim baśniowym sztafażu, subtelnych odwołaniach do staroangielskich romansów i skandynawskich sag, jest wyraźną parabolą ludzkiego życia i naszego, niczym niepohamowanego, dążenia do poznawania świata. Le Guin stworzyła w swej powieści spójny wizerunek wyimaginowanej rzeczywistości rządzonej własnymi prawami, przenikniętej magią, ale też ogólne prawidłowości kształtujące ludzką egzystencję są analogiczne do prawidłowości, jakie znamy z własnego doświadczenia. Magia i wszyscy magowie o różnym stopniu wtajemniczenia, różnej mocy i zasięgu oddziaływania na świat to odpowiedniki baśniowe jak najbardziej racjonalnej wiedzy i wszystkich dysponentów tej wiedzy, również w rzeczywistości posiadający różne wtajemniczenia. W trakcie lektury „Czarnoksiężnika z Archipelagu" okazuje się paradoksalnie, że władza magów z wysp Archipelagu wcale nie ma nieograniczonego zasięgu, że nie mogą zrobić wszystkiego i że za każde użycie swej magicznej siły muszą ponosić koszty, bo jest to zakłócenie równowagi świata, jego naturalnego biegu. Oczywiście są ingerencje niewielkie, które mają zasięg lokalny, i są ingerencje potężne, jak się o tym , przekonał bohater powieści. Będąc młodym czarnoksiężnikiem zaufał zdobywanej wiedzy, w swoim zadufaniu rzucił wyzwanie mocom, nad którymi nie potrafił zapanować. Powieść opowiada właśnie o tym, jaką cenę za to musiał zapłacić i w jak dramatycznych okolicznościach. Jest to jednocześnie powieść o rozpoznawaniu swego przeznaczenia, dojrzewaniu do pogodzenia się z koniecznością śmierci. Tym właśnie staje się zamiana ucieczki przed bezimiennym cieniem na pościg. Ged odzyskuje spokój dopiero wtedy, gdy dogania cień i zostaje panem samego siebie, zyskuje pewność, ze jego życie nie będzie wykorzystane „w służbie zniszczenia, cierpienia, nienawiści lub ciemności". Osiągnął to zrozumiawszy, że cień nosi jego własne imię, czyli że jest częścią jego, Geda, dopełnia jego osobowość.

Nazwać coś, to zapanować nad tym. Wszystko co odnajdujemy w tej powieści opiera się na tym stwierdzeniu i to raz jeszcze potwierdza tezę, iż magia symbolizuje tu całokształt ludzkiej wiedzy i zdolności poznawczych. Zdobywanie wiedzy o czymś, opanowanie intelektualne czegoś, to właśnie nazwanie. Dlatego w powieściowym świecie prawdziwe imię człowieka stanowi jedną z jego największych tajemnic wyjawianą tylko przyjaciołom, bo ktoś, kto zna imię człowieka, zyskuje nad nim władzę. Toteż „magia zawiera się (...) w prawdziwym nazywaniu rzeczy", ale jak twierdzi jeden z pojawiających się w powieści mędrców - spis prawdziwych nazw nigdy nie zostanie ukończony, nie ma kresu, jak nie ma granic poznanie.

„Mag może panować tylko nad tym, co jest w jego pobliżu, co potrafi nazwać dokładnie i całkowicie". Takie określenia sprawiają, że przesłanie „Czarnoksiężnika z Archipelagu" jest jak najbardziej realistyczne, że - jak słusznie podkreślił w „Posłowiu" Stanisław Lem - baśniowa fantastyka Le Guin posiada w pełni racjonalne podłoże, ba, ta powieść wiele zawdzięcza współczesnej socjolingwistyce: „Moje imię i twoje, i prawdziwe imię słońca, źródła albo nie narodzonego dziecka - wszystkie są sylabami wielkiego słowa, które wypowiadane jest bardzo powoli blaskiem gwiazd. Nie ma innej mocy. Innego imienia. Itd. „Czarnoksiężnik z Archipelagu" jest bardzo piękną i wieloznaczną powieścią, której wszystkich podtekstów ani się nie da wyczerpać, ani nazwać. Zresztą rozdzielanie jej poszczególnych warstw nie miałoby sensu, bo zniszczyłoby największą wartość utworu: urok baśniowości, napięcie, jakie się ujawnia między naszą konkretną rzeczywistością i światem wymyślonym od początku do końca, ale zrodzonym z tej rzeczywistości i niesionych przez nią problemów. Tę powieść można spokojnie (i na przekór Lemowi) porównać z trylogią Tolkiena.

Leszek Bugajski

Ursula K. Le Gum: *Czarnoksiężnik z Archipelagu.* Przełożył Stanisław Barańczak, posłowiem opatrzył Stanisław Lem Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1983. Cena 100 zł.



POETYKA SCIENCE FICTION

Darko Suvin

1. SF jako fikcja (uniezwyklenie)

(...) W niniejszym rozdziale próbuję zdefiniować fantastykę naukową jako literaturę wiedzy uniezwyklonej. Sądzę, że zaletą tej definicji będzie oddanie sprawiedliwości pewnej tradycji literackiej, spójnej wewnętrznie na przestrzeni wieków, a jednocześnie różniącej się od utopii o tyle, o ile ta ostatnia nie utożsamia się z formą fikcyjnego opowiadania. Pozwoli to zapewne stworzyć podstawy dla lednolitej poetyki science fiction. (...)

Fantastyka naukowa rodzi się nie tylko z nieodłącznei ciekawości człowieczej i uczłowieczającej. Poza fantazyjnymi poszukiwaniami, semantyczną grą bez określonych odnośników, gatunek ów wiązał się zawsze z n a d z i e j ą odnalezienia idealnego środowiska, plemienia, państwa, rozumu, które reprezentowałyby najwyższe Dobro (lubteżzobawągrozą przed znalezieniem jego przeciwieństwa). W każdym razie fantastyka naukowa zakłada możliwość istnienia innych systemów, alternatywnych współrzędnych, oraz szczególnych obszarów znaczeniowych. Fikcyjne miejsce bądź zlokalizowane marzenia są przedstawiane w science fiction jako rzeczywiste. Tak więc list Kolumba o Edenie dostrzeżonym za ujściem Orinoko (technicznie i ogólnie niefikcyiny) oraz podróż Swifta do „Laputy, Balnibarbi, Glubdubbdnb, Luggnagg i do Japonii" (technicznie i ogólnie fikcyjna) są dwoma skrajny mi przypadkami stałego przenikania się możliwości imaginacyjnych i empirycznych. Punktem wyjściowym science fiction staje się zawsze fikcyjna hipoteza („literacka") rozwinięta z syntetyzującą ścisłością („naukową"). Specyficzna różnica pomiędzy wypowiedziami Kolumba i Swifta nie przeszkadza w ich ogólnym podobieństwie. Traktowanie fikcji, jak gdyby była ona faktem empirycznym, prowadzi do skonfrontowania ustalonego systemu normatywnego - w rodzaju zamkniętego świata Ptolomeusza - z perspektywą, która wprowadza nowy zespół norm. W teorii literackiej nazywa się to podstawą, bądź- techniką uniezwyklenia. Pojęcie uniezwyklenia, wypracowane przez rosyjskich formalistów (ostranenie; Wiktor Szkłowski, 1917), zostało zdefiniowane przez Bertolta Brechta. Brecht chciał pisać „sztuki dla ery naukowej"; gdy pracował nad dramatem, o Galileuszu, będącym prototypem naukowca, zdefiniował ową postawę (Vertremdungseffekt) swym „Małym organonie dla teatru" (1948) jako reprodukcję, która pozwala rozpoznać odtworzony przedmiot, ale jednocześnie czyni go niezwykłym". I dalej: by móc widzieć takie czy inne wydarzenie jako wątpliwe „trzeba spojrzeć na nie w ów niezależny sposób, w jaki wielki Galileusz obserwował wahający się żyrandol. Dziwiły go te wahania: dotychczas wyobrażał je sobie inaczej, nie mógł ich sobie wytłumaczyć, i w ten właśnie sposób odkrył, że ruch wahadłowy podlega pewnym prawom". Tak więc spojrzenie z dystansu jest zarazem poznawcze i twórcze. „Niesposób stwierdzić - dodaje Brecht - że tego rodzaju postawa odpowiada nauce, a nie sztuce. Dlaczego sztuka nie mogłaby na swój sposób uczestniczyć w wielkim społecznym dziele dominowania nad Życiem?"

W science fiction ów chwyt uniezwyklenia - stosowany przez Brechta w kontekście o zabarwieniu „realistycznym" - stał się f o r m a l n y m założeniem gatunku.

2. SF jako wiedza (krytyka i nauka)

Uniezwyklenie jako zasadnicza postawa i dominujący zabieg formalny pojawia się również w micie, „wiecznym", religijnym sposobie patrzenia ponad empiryczną powierzchnię rzeczy. Science fiction traktuje jednak normy każdej epoki jako osobliwe, przeobrażalne, i w efekcie podległe spojrzeniu poznawczemu. Mit sytuuje się na antypodach podejścia poznawczego, ponieważ zakłada istnienie stosunków międzyludzkich stałych i określonych w sposób nadprzyrodzony, przeciwnie do myśli Montaigne'a: „Sama niezmienność jest jedynie chwiejnością bardziej bezsilną". Mit ujednolica i personifikuje powtarzające się zjawiska z okresów stagnacji, słabego dynamizmu społecznego. Odwrotnie - science fiction, która wyizolowuje ze świata empirycznego elementy zmienne i ostrzegawcze, pojawia się w najbardziej burzliwych okresach historii, tj. XVI i XVII oraz XIX i XX wieku. Zamierzeniem mitu jest przeważnie ostateczne wyjaśnienie istoty zjawisk, fantastyka naukowa traktuje je natomiast jako problemy do rozpatrzenia; ujawnia pozorny charakter statycznej tożsamości mitu, bardzo często zwodniczej, a w najlepszym razie będącej przejściową krystalizacją przypadkowych zdarzeń, podlegających ciągłej ewolucji. Science fiction nie stawia pytań o Człowieka czy Świat; ona pyta; jaki człowiek? w jakim świecie? i dlaczego taki człowiek w takim świecie? Jako gatunek literacki, fantastyka naukowa jest zatem równie obca nadprzyrodzoności, jak i empiryzmowi („realizmowi").

Science fiction jest więc gatunkiem literackim, którego konieczne i wystarczające uwarunkowania, to obecność i współdziałanie elementów poznawczych i udziwniających, a podstawowym zabiegiem formalnym jest fikcyjna konstrukcia, odmienna od empirycznego świata autora.

Chwyt uniezwyklenia staje się zasadą, która odróżnia fantastykę naukową od „realistycznych" nurtów literackich, dominujących od XVIII do XX wieku. Wiedza dzieli ją nie tylko od mitu, lecz również od baśni i od fantastyki. Baśń także neguje prawa empirycznego świata autora, lecz wymyka się z jego granic ku światu położonemu na uboczu, zamkniętemu, obojętnemu wobec wszelkich możliwości poznawczych. Nie posługuje się wyobraźnią dla zrozumienia cech rzeczywistości, lecz traktuje ją jako cel sam w sobie, izolując od zdarzeń rzeczywistych. Typowy rekwizyt baśni, jakim jest latający dywan, nie podlega fizycznemu prawu ciążenia - podobnie jak bohater nie podlega prawu ciążenia społecznego - po prostu dlatego, że autor nie liczy się z tym prawem. Twórca proponuje po prostu inny świat, w którym dywany w magiczny sposób latają, podobnie jak biedacy w magiczny sposób zostają książętami, świat, który osiąga się przez akt wiary i fantazji. W baśni wszystko jest możliwe, ponieważ baśń jest w oczywisty sposób niemożliwa. Dlatego też fantastyka naukowa, która cofa się ku baśni (np. „space opera") zatraca swój ogólny twórczy charakter. Fantastyka (opowieści o duchach, nawiedzonych zamkach, wampirach) jest jeszcze bardziej odległa od literatury science fiction. Jest to gatunek, który do świata uznanego za empiryczny wprowadza założenia przeczące poznaniu. Podczas gdy baśń po prostu ignoruje prawa natury, fantastyka im się sprzeciwia. Można powiedzieć, że fantastyka jest znacząca o tyle, o ile jest nieczysta i nie udaje jej się odtworzyć uporządkowanego i scalonego

świata, co wytwarza groteskowe napięcie pomiędzy arbitralnymi zjawiskami nadprzyrodzonymi a normami empirycznymi, w które zostają wtłoczone. Nos Gogola interesuje nas dlatego, że spaceruje po Newskim Prospekcie, że sytuuje się na pewnym szczeblu drabiny biurokratycznej, itd. Gdyby przechadzał się w enklawie całkowitej fantazji - np. w świecie H.P. Lovecrafta - byłaby to tylko jeszcze jedna opowieść grozy. Jeśli fantastyka nie kryje w sobie napięcia pomiędzy własnymi regułami a normami otoczenia autora, redukuje wszystkie granice do zwykłej perspektywy makabrycznej i staje się po prostu paraliteraturą mistyfikacji. Włączenie science fiction do tej samej kategorii co fantastyka, świadczy o socjologicznym nieporozumieniu, niestety bardzo rozpowszechnionym.

Niniejszy osąd nie dotyczy założeń sielanki, gatunku zbliżonego do fantastyki naukowej. Struktura imaginacyjna sielanki, postulująca świat bez wymiany pieniężnej, aparatu państwowego i dehumanizującej urbanizacji pozwala wyodrębnić, jak w laboratorium, dwie istotne motywacje ludzkie: erotyzm i żądzę władzy. Daje się tu zauważyć taki sam stosunek do science fiction jaki ma alchemia do chemii: krok w dobrym kierunku, lecz przy niewystarczających środkach. Fantastyka naukowa może wiele nauczyć się z tradycji sielanki, przede wszystkim w zakresie kontaktów zmysłowych bez zróżnicowania klasowego. W rzeczywistości szła tą drogą często: za każdym razem gdy podejmowała temat tryumfu maluczkich (Restif, Morris, aż do Simaka, Christophera, Jefremowa...). Barokowa sielanka zarzuciła niestety ten temat dla skostniałej konwencji sentymentalnej i dopiero wówczas, gdy pozostaje wolna od wykwintności, jest istotnym antidotum dla pragmatyzmu, komercjalizacji, konformizmu i technokracji.

Żądanie uniezwyklenia, analogicznego do metody Galileusza czy Giordana Bruna, nie znaczy bynajmniej, że literatura science fiction powinna poświęcić się popularyzacji wiedzy naukowej i przewidywaniom technologicznym, jak to się w wielu wypadkach zdarzało (u Verne'a, w USA w latach 1920-1940 etc). Te inicjatywy potrzebne i chwalebne, pojawiają się często w utworach adresowanych do młodzieży. Lecz jest to science fiction na niższym szczeblu rozwoju, nawet w przypadku „powieści naukowej" a la Jules Verne, w rodzaju „Z Ziemi na Księżyc". Jej powodzenie wśród młodzieży wynika z faktu, że do świata empirycznego zostaje wprowadzona tylko jedna podstawowa zmienna technologiczna (pocisk księżycowy lub, jak w „Niewidzialnym Człowieku" Wellsa, promienie obniżające współczynnik refrakcji materii organicznej). Może się jednak zdarzyć, że utwór kryje w swym wnętrzu subtelniejsze aspekty poznawcze (np. w tej samej powieści Wellsa problem przyrostu wiedzy naukowej bez odpowiedzialności moralnej). Wprowadzenie wyłącznie jednej zmiennej wywołuje uczucie zadowolenia, rzeczywiste, lecz ograniczone, dostosowane bardziej do założeń noweli i ambicji młodych czytelników. Zadowolenie zmniejsza się w miarę jak pozytywistyczne nauki przyrodnicze tracą swą humanistyczną wiarygodność („Nautilus" kapitana Nemo wobec amerykańskiego, atomowego okrętu podwodnego o tej samej nazwie), i odradza się wraz z zastosowaniem nowej wiedzy dla celów pokojowych (astronautyka, cybernetyka). Tak więc nawet u Verne'a „powieść naukowa" ma strukturę uniezwyklenia

o charakterze nietrwałym, właściwą historii kryminalnej, a nie science fiction. Po dokonaniu tych rozróżnień możliwe jest wskazanie pewnych niuansów pojęcia „wiedzy", czy też „zdolności poznawczej'. Termin ten wiąże się nie tylko z refleksją o rzeczywistości, lecz również z refleksją nad rzeczywistością. Jest to metoda zmierzająca bardziej do dynamicznej transformacji niż do zwykłego odzwierciedlenia otoczenia autora. Ten typowy sposób postępowania fantastyki naukowej od Lucjana poprzez More'a, Rabelais'go, Cyrana, Swifta, do Wellsa, Londona, Zamiatina i autorów współcześniejszych - jest w istocie krytyczny, często satyryczny: w najbardziej znaczących przypadkach łączy wskazania rozsądku z metodycznym powątpiewaniem. Pokrewieństwo procesu poznania z podstawami filozofii nauk współczesnych jest „oczywiste.

3. SF jako gatunek literacki (funkcje i modele)

Science fiction jako gatunek w pełni rozwinięty ma swój własny repertuar funkcji, konwencji i metod. Bardzo interesujące dla historii teorii literatury byłoby omówienie niektórych ich aspektów, lecz już samo to wymagałoby napisania całej książki. Można tylko określić niektóre czynniki determinujące.

Za jeden z podstawowych parametrów w typologii gatunków literackich należałoby uznać stosunek pomiędzy światem przedstawionym a „światem zerowym", odpowiadającym empirycznie sprawdzalnemu otoczeniu autora (termin „zero-, wy" jest użyty tu w sensie centralnego punktu odniesienia w układzie współrzędnych). W utworach „realistycznych" bądź „mimetycznych" etyka nie ma bezpośredniego związku z fizyką. We współczesnej literaturze trzęsienie ziemi zapowiadające zabójstwo przywódcy byłoby jedynie melodramatyczną mistyfikacją (pathetic Macy; Ruskin), podobnie jak byłaby nią mżawka służąca wyrażeniu smutku bohaterki: akcja jest zdeterminowana działaniem protagonistów nie dysponujących kosmicznymi przywilejami. Nawet wówczas, kiedy w sytuacji konfliktowej niektórzy mają przewagę technologiczną czy socjologiczną, wszelka predeterminacja rezultatów konfliktu byłaby odczuwana jako fałsz. Przeciwnie zaś w gatunkach niemimetycznych czy metafizycznych. Okoliczności nie są tu neutralne względem bohatera. Świat baśni odgrywa w stosunku do protagonistów rolę pozytywną, Baśń zakłada triumf bohatera: jej świat dostarcza mu magicznych broni lub pomocników, według potrzeb narracji Świat mitu tragicznego jest nastawiony wobec swych protagonistów negatywnie: Edyp, Ozyrys, czy Chrystus są predestynowani przez właściwości ich świata do empirycznej porażki, lecz ta porażka jest wynoszona moralnie i równoważona żarliwością religijną. Fantastyka - będąca pochodną mitu tragicznego, podobnie jak baśń jest pochodną mitu z bohaterem triumfującym - charakteryzuje się straszliwą bezsilnością bohatera: można ją uznać za konglomerat elementów mitu tragicznego, bez zadośćuczynień metafizycznych. Tak więc w baśni i w fantastyce etyka odpowiada siłom fizycznym (pozytywnym lub negatywnym); w micie tragicznym etyka równoważy fizykę; w micie „optymistycznym" etyka stwarza sobie własne środowisko, w którym jest zbieżna z fizyką. Świat utworu science fiction nie może być a priori nastawiony pozytywnie, bądź negatywnie ku swoim protagonistom: w jego założeniu prawdopodobieństwa nic nie przesądza o sukcesie lub porażce bohaterów. Fantastyka naukowa jest zatem jedynym niemetafizycznym gatunkiem antymimetycznym, którego ustosunkowanie wobec świata przyrody jest analogiczne do postawy przyjmowanej przez nowoczesną naukę i filozofię.

Science fiction przyjęła w swych początkach postawę przednaukową, czy pranaukową, w formie zjadliwych satyr bądź naiwnych krytyk społecznych; później zbliżyła się do coraz bardziej skomplikowanego modelu nauk o przyrodzie i o człowieku. Nauki przyrodnicze dogoniły i wyprzedziły wyobraźnię literacką w XIX wieku; nauki dotyczące stosunków międzyludzkich również ją dogoniły w swych najwyższych dokonaniach teoretycznych, lecz na pewno nie w zaniedbanej praktyce społecznej. W XIX wieku science fiction opanowała obszary myśli antropologiczne) i kosmologicznej w formie przewidywań, ostrzeżeń, oraz nade wszystko - scenariuszy różnorodnych możliwości.

4. O poetykę SF (podsumowanie i antycypacja)

Szkic ten należałoby z pewnością uzupełnić całym wywodem socjologicznym na temat „środowiska wewnętrznego" science fiction, która od początku XX wieku została zepchnięta do swoistego „rezerwatu", getta. Izolacja ta, początkowo korzystna, stała się krępująca, ponieważ fantastyka naukowa została odcięta od rywalizacji i najlepszych kryteriów oceny. Podejście socjologiczne pozwoliłoby nam także wykazać istotne różnice pomiędzy najwybitniejszymi dokonaniami science fiction, a żałosnymi produktami fantazji, jakie stanowią w tym gatunku literackim przeważającą większość.

Jeśli nasza argumentacja zostanie przyjęta, można ją będzie uzupełnić przeglądem form i podgatunków. Oprócz takich jak utopia, powiastka filozoficzna i niezwykła podróż, należałoby zbadać rozmaite tematy, jak antycypacja, nadczłowiek, sztuczna inteligencja (roboty, androidy, itp.), podróż w czasie, katastrofa, spotkanie-niezwykłych istot (aliens), itd. Należałoby potem porównać te różnorakie formy i podgatunki science fiction najpierw między sobą, a następnie z innymi gatunkami literackimi i naukami. Na przykład utopia jest przede wszystkim fikcją socjologiczną, lub ścieńcie fiction socjopolityczną; z drugiej strony, współczesna science fiction dopuszcza analogie z nowoczesną kosmologią policentryczną: łączy czas i przestrzeń w postaci einsteinowskiej z czasowościami odmiennymi, lecz kowariantnymi. By być wiarygodną i stanowić źródło trwałego zadowolenia, nowoczesna science fiction zakłada przyszłe istnienie złożonego obszaru wiedzy: interesuje się głównie zastosowaniem i skutkami (politycznymi, psychologicznymi, antropologicznymi) nauk i filozofii nauk, a w konsekwencji powstawaniem lub upadkiem nowych form rzeczywistości. W takim procesie poznawczym, spójność ekstrapolacji, precyzja analogii i bogactwo informacji stają się czynnikami estetycznymi. (Oto dlaczego „powieść naukowa" nie może być całkowicie zadowalająca - jej ubóstwo etyczne odpowiada jej niedostatkom naukowym). Z chwilą gdy elastyczne wymogi strukturalizacji literackiej zostaną spełnione, właśnie element wiedzy - często ściśle naukowej staje się miarą jakości estetycznej i specyficznego zadowolenia, jakie powstaje w wyniku lektury science fiction. Inaczej mówiąc, w fantastyce naukowej aspekt poznawczy wątku fabularnego współdeterminuje samo uniezwyklenie fikcji.

Przełożyła **Barbara Okólska**

Darko SUVIN

urodził się w roku 1930 w Zagrzebiu, w Jugosławii. Studiował w Wielkiej Brytanii, Francji i w Stanach Zjednoczonych. Od wielu lat zajmuje się teorią i historią fantastyki naukowej - należy do najsłynniejszych (i zarazem kontrowersyjnych) badaczy w tej dziedzinie. Obecnie jest profesorem literatury angielskiej na Uniwersytecie McGill w Montrealu. Jego najciekawszymi publikacjami książkowymi są: „Other Worlds, Other Seas" (1970), „Russian Science Fiction" (1976), „H.G. Wells and Modern Science Fiction" (1977), „Methamorphoses of Science Fiction" (1979). Suvin jest również wydawcą znanego magazynu „Science Fiction Studies"

Artykuł przedrukowywany na tamach „Fantastyki" iest fragmentem pierwszego rozdziału pracy „On the Poetics of the Science Fiction Genre" (1972). Autor proponuje tu jedną z bardziej nowoczesnych i zarazem literaturoznawczych definicji science fiction.

A. N.

Górecki Zbysław

(ur. 1926)
Prawnik, literat

Zbysław Górecki urodził się 5 stycznia 1926 r. w rodzinie nauczycielskiej, w Bolesławiu koło Olkusza. Dzieciństwo spędził na kresach wschodnich w okolicach Nowogródka i Nieświeża. Studiował w Katowicach i Wrocławiu, gdzie ukończył Wydział Prawa na tamtejszym uniwersytecie. Od 1952 r. pracował w Prezydium WRN w Koszalinie. W 1956 r. przeniósł się do Darłowa, gdzie był zatrudniony w przedsiębiorstwie rybackim „Kuter" jako radca prawny. W latach siedemdziesiątych zajmował podobne stanowisko w Sianowskich Zakładach Przemysłu Zapałczanego. Przez trzy lata kierował Oddziałem Koszalińskiego Towarzystwa Społeczno Kulturalnego w Darłowie. Był członkiem grupy literackiej „Meduza". Wiele podróżował, m.in. po Europie Zachodniej i Południowej.

Debiutował w 1955 r. powieścią przygodową „Ekspedycja" (Nasza Księgarnia), która otrzymała II nagrodę w konkursie ogłoszonym przez „Nową Kulturę" i „Życie Literackie". W 1958 r. ukazały się jego „Przygody nad Rio Negro" (Nasza Księgarnia), a po 13-letniej przerwie - zbiór opowiadań „Żelazna ściana" (Wyd. Poznańskie, 1971). W rok później ogłasza Górecki „Pierwszą księgę moich przygód" (PAX) - sfabularyzowaną opowieść historyczną z czasów powstania styczniowego. W 1981 r. ukazują się jego wspomnienia „Jedzie klekocząc pod górę" (KTSK - Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne). Opowiadania zamieszczone w tomie „Żelazna ściana" zostały nagrodzone na Koszalińskim Konkursie Literackim w latach 1967-1968. Autor „Ekspedycji" jest również laureatem Wojewódzkiej Nagrody Koszalina za zasługi w upowszechnianiu kultury. „Delta powraca na Ziemię" (Instytut Wydawniczy PAX, 1971) - książka całkiem dziś zapomniana - to jedyna fantastycznonaukowa powieść Zbysława Góreckiego. Na pierwszy rzut oka stanowi typową historię o „kontakcie", spotkaniu z Obcym Rozumem, podboju Kosmosu przez człowieka, eksploracji dalekich planet. I rzeczywiście: w sposobie narracji, nastroju, a zwłaszcza w przebiegu wydarzeń fabularnych można dopatrzeć się tu wpływów powieści przygodowo-kosmonautycznej rozszerzonej o ważne pytania egzystencjalne (por. „Niezwyciężony" S. Lema). Oto kolejna ekspedycja „dalekiego zwiadu" zostaje zaatakowana przez grupę robotów zamieszkującą powierzchnie obcej planety Septimy. Septimę opanowała przed wiekami rasa humanoidalna, ale została unicestwiona w wyniku przyrodniczych i cywilizacyjnych kataklizmów. Przetrwały tylko myślące automaty, które zdołały wykształcić samodzielność, tworząc hierarchiczną strukturę zależności. Roboty nie zapomniały jednak o kategorycznym imperatywie przekazanym przez umierającą rasę tubylców. W specjalnym schronie, pilnie strzeżonym przed najazdem Kosmitów, społeczność automatów przechowuje ostatni okruch życia organicznego, który okaże się w przyszłości zalążkiem nowej cywilizacji. Streszczenie książki w niewielkim stopniu oddaje alegoryczne treści utworu. Bo oto główny nacisk kładzie się tu na analizę zachowań i działań „kosmicznych gości". Społeczność Ziemian (czego zamknięta enklawa „Delty" jest doskonałym przykładem] przypomina zuniformizowaną, pozbawioną indywidualności, wszelkich kontrastów i uczuć cywilizację „Nowego wspaniałego świata". Przesłanką owego systemu jest racjonalność, użyteczność, technokracja sprowadzona do granic absurdu. Emocje zostają wyeliminowane z życia prywatnego - wraz z nimi zanika kultura, sztuka, miłość, wola twórczego przeobrażania rzeczywistości. Stały podsłuch i inwigilacja posunięta do granic intymności przywodzi na myśl najbardziej ponure sceny totalitarnych antyutopii science fiction. To sterroryzowane, całkowicie zreglamentyzowane społeczeństwo, sterowane przez światowe ośrodki wszystkowiedzących komputerów, zaplątane w tryby potężnej cywilizacji, którą samo powołało do życia, staje się już powoli systemem martwym, zdegenerowanym, pozbawionym szansy jakiegokolwiek wyboru, decydowania o swoim losie. Niewłaściwe posunięcia o charakterze ideologicznym, społecznym, gospodarczym czynią coraz głębsze, nieodwracalne spustoszenia w psychice ludzkiej. Aby wyzwolić się z tego piekła ubezwłasnowolnienia trzeba zniszczyć System Kontroli Psychicznej (SKP), wypowiedzieć posłuszeństwo Wielkiemu Koordynatorowi, sprzymierzyć się z przedstawicielami innej cywilizacji. Społeczność „ludzi - automatów" przeciwstawia Górecki robotom Septimy zachowującym swoje „człowieczeństwo". Ta konfrontacja nie wymaga komentarzy. Katastrofizm osobowościowy funkcjonuje w niej jako rodzaj wczesnego ostrzeżenia przed degeneracją dwudziestowiecznych systemów naukowo-technicznych. „Delta" nie jest książką łatwą: autor dla wyrażenia wielu przemyśleń spekulatywno-filozoficznych wybrał platońską formę dialogu, metodę pytań i odpowiedzi. Akcja utworu rozgrywa się w dalekiej przyszłości, ale czy przypomnienie bliskiego nam „barbarzyństwa" rzutowane na tło skompromitowanych osiągnięć cywilizacji nie brzmi aż nazbyt wymownie, nie jest próbą refleksji historiozofficznej? „Fantastyka naukowa penetruje obyczaje i postępowanie ludzi oraz ich motywy- stwierdzał autor w jednym z wywiadów prasowych - kto wie, czy właśnie nie moralistyka stanowi o wielkości utworów zaliczanych do klasyki". Powieść Zbysława Góreckiego (przekładana na język niemiecki - tłum. H. Hiller) stanowi jeden z ciekawszych przykładów nurtu antyutopijnego zainicjowanego w połowie lat pięćdziesiątych utworami S. Lema, A. Hollanka, K. Borunia, R. Gajdy, i Z. Sztaby. Jest również ogniwem pośrednim wobec twórczości najmłodszego pokolenia „science fictionerów": A. Krzepkowskiego, M. Parowskiego, M. Oramusa i A. Wójcika.

Bibliografia wybrana:

- J. Dąbrowa: Z. Górecki, (w:) „Głos Pracy" 1970/68.
- Cz. Kuriata: Marzenia o dniu powszednim, (w:) „Tygodnik Kulturalny" 1970/50.
- J. Narkowicz: Rozmowa ze Zbysławem Góreckim, (w:) „Głos Pomorza" 1978/137.
- (...) 25 lat pracy pisarskiej Z. Góreckiego. (W:) „Głos Pomorza" 1980/253
- B. Kledzik: Dalekie i bliskie, (w:) „Pobrzeże", 1971/31.

Górska Gabriela

Prawnik, literat

Urodziła się w Woli Pękoszewskiej w woj. skierniewickim. Jest z zawodu prawnikiem, ukończyła Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutowała w 1957 r. reportażem literackim wyróżnionym w konkursie „Głosu Wybrzeża". Pod koniec lat pięćdziesiątych opublikowała pierwsze opowiadania drukowane na łamach „Zwierciadła", „Itd" i „Głosu Wybrzeża". Podjęcie studiów, a później pracy zawodowej spowodowało kilkunastoletnią przerwę w twórczości autorki. Dopiero w 1974 r. Gabriela Górska powraca do czynnego życia literackiego i w tym samym roku uzyskuje za opowiadanie „Grobla" nagrodę przyznaną na X Ogólnopolskim Konkursie Białostockim. Plonem kilku następnych lat jest szereg opowiadań i utworów poetyckich o tematyce współczesnej. W 1979 r. ukazuje się powieść „Wielka szansa" (LSW), a w dwa lata później pierwsze opowiadanie SF: „Inicjacja" zamieszczone w zbiorze „Instar omnium" (seria „Stało się jutro", Nasza Księgarnia", 1979). Warto dodać, że utwór ten otrzymał w 1977 r. trzecią nagrodę w konkursie ogłoszonym przez poznański miesięcznik „Nurt" i tam też został po raz pierwszy opublikowany. W 1980 r, Gabriela Górska wydaje tomik nowel fantastyczno-naukowych „Sprawa precedensowa" (seria „Stało się jutro", Nasza Księgarnia; zawartość: „Pereat mundus, fiat iustitia", „Sprawa precedensowa", „Błękitna planeta"), a w 1981 r., w tejże serii, zbiór „Zamknięty krąg" (zawartość: „Kolejne ogniwo", „Punkt odniesienia", „Zamknięty krąg"). W 1982 r. ukazuje się powieść o tematyce SF „Kontakt" (KAW, powieść ta była już wcześniej prezentowana na antenie Polskiego Radia, obecnie została podpisana umowa na jej ekranizację).

Gabriela Górska jest także autorką kilku słuchowisk radiowych, w tym jednego o tematyce fantastyczno-naukowej („Sprawa precedensowa"). Na podstawie opowiadania „Punkt odniesienia" napisała sztukę teatralną SF „Viborg" (współautor: Marek Tadeusz Nowakowski) zakupioną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. W przygotowaniu tom opowiadań SF - „Węzeł" i powieść „Przeklęty Trójkąt".

Refleksyjną prozę Gabrieli Górskiej z wyraźną trudnością przyjdzie zaliczyć do nurtu techniczno-prognostycznej odmiany SF, aczkolwiek autorka nie stroni od podejmowania tradycyjnych motywów tematycznych gatunku. Biorąc jednak za wzór sam wątek, zdarzenie, hipotetycznie możliwą sytuację stara się ją wypełnić prawdziwie ludzkimi treściami, zrozumieniem czasów, w jakich przyszło nam żyć. Przyszłość oznacza dla niej możliwość pełniejszej oceny teraźniejszości, fantastyka jest literackim kostiumem, w którym łatwiej uogólnić symbolikę losu ludzkiego, jego istotę i przeznaczenie. Opowiadania Górskiej przesycone są jakąś wewnętrzną nostalgią, żalem za nie zrealizowanymi marzeniami/Pełno w nich bólu, cierpienia - tak jak w przewrotnym opowiadaniu „Punkt odniesienia" ukazującym wizję świata opartego na egocentryzmie i poniżeniu człowieka - ale jest również promień wiary, nadziei bardziej rozsądnego przeżywania rzeczywistości Metaforyczne teksty Górskiej ostrzegają przed zagubieniem osobowości, klęską uczucia - wpisują historię ludzkości w zamknięte kręgi wydarzeń, przypominają, że od dziedzictwa przeżyć nie ma ucieczki. Indywidualną, niepowtarzalną cechą tych opowiadań jest wewnętrzne rozdarcie, niepokój świadczący o drodze, jaką przebyliśmy, którą kroczymy w każdej chwili naszego życia.

DELTA POWRACA NA ZIEMIĘ

Zbysław Górecki

Ludzie w hamakach milczeli. Każdy na swój sposób i w zależności od liczby stopni Gandta przetrawiał zasłyszane wiadomości.

- Mój Tomie, znakomity humanisto - odezwał się wreszcie Solon - użyczyłeś nam sporo wiedzy o czasach obecnych i o barbarzyństwie, obawiam się jednak, że to nie jest wszystko, o czym mógłbyś opowiedzieć. Wyjaśnij, proszę, swoim przyjaciołom, jak to barbarzyńcy bawili się w tworzenie nowych światów i bohaterów w światach tych żyjących.

- Rzeczywiście - powiedział Tom - nie przyszło mi to na myśl. Istotnie barbarzyńcy byli rozmiłowani w tworzeniu, jak Solon nazywa, nowych światów. Zaczęło sie chyba od tego, że kiedy człowiek po raz pierwszy uświadomił sobie, jak wiele pytań musi pozostać bez odpowiedzi, jaka nieprzemierzona otchłań rozpościera sie nad nim i pod nim, załatwił się z tym problemem szybko i w sposób nieoczekiwany. Po prostu wszystkie luki swojej niewiedzy zasłonił najprzeróżniejszymi kolorowymi mitami, tłumem demonów i fiaddemonów.

- Chyba nie będziesz próbował nam wmówić, że serio traktowali wydumane przez siebie bajki? - przerwał mu Misza.

- Właśnie wygląda to na bajkę o żelaznym wilku, ale tak było. Nic na to nie poradzę. Barbarzyńcy szczerze wierzyli w te demony, modlili się do nich, przekupywali je, często szantażowali, zyskiwali ich protekcje albo im się narażali. Towarzyszyły im również inne postacie. Na przykład zdarzało się, że jakaś jednostka zaważyła na losach zbiorowości, a sympatia i uczucia przyjaźni dla niej trwały niekiedy przez setki lat. Dochodziło do tego, że niedobitki licznych niegdyś grup nie traciły kontenansu, a ich pewność siebie podtrzymywana była przez liczną armie cieni, które żyjący podziwiali i lubili.

- Trochę to śmieszne, ale jednocześnie miłe - powiedział Misza. - Sam chętnie darzyłbym przyjaźnią jakąś sympatyczną postać z przeszłości. Nie posądzono by mnie o schorzenie Webera, a zawsze miałoby się przynajmniej w myślach kogoś bliskiego.

- Jesteś naiwny- odezwał sią Quetzalcoalt - cywilizacja jest i być musi tyranią, a żadna tyrania nie zniesie kultu ludzi, którzy już odeszli, a którzy w jakiś sposób jej nie symbolizują.

Tymczasem Tom ciągnął dalej.

- Barbarzyńcom mało było tego wszystkiego. Raz po raz któryś chwytał za pióro albo za kamerę i tworzył nową fantasmagorie. Dużo i bardzo zawile mówiło sie wtedy o wartości tych dzieł, o szkołach, o wzajemnych wpływach, o sztuce, ale ostatecznie chodziło o jedno: o przezwyciężenie niemocy i samotności.

- Dlaczego teraz nie oddajemy się podobnym rozrywkom? - zapytał Misza.

- Dzisiaj uprawianie literatury jest niemożliwe. O czym byśmy pisali? No powiedzcie, o czym? To było dobre wówczas, kiedy wiedza o człowieku i świecie była ograniczona, a możliwości ludzi znikome. W miarę jak rosła nasza wiedza o świecie, kurczyła się domena literatury. Najpierw musiały ustąpić mity o bogach, potem bajki o czarnoksiężnikach i krasnoludkach. Kiedy zbadano i wymierzono uczucie miłości, odpadła ogromna dziedzina od tysięcy lat eksploatowana przez literaturę. Opisy walki człowieka z człowiekiem dzisiaj nas nie bawią, a przyroda



dawno już została pokonana. Nawet ów najprymitywniejszy rodzaj opowieści, jakim były tzw. komiksy, czy też literatura fantastyczna stracił sens, skoro okazało sie, ż.e Wszechświat to tylko rumowisko wygasłych trupów i mniej lub więcej rozgrzanych mas materii. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że praca nad owymi fantasmagoriami musiała być pasjonująca. Twórca czuł się wszechpotężnym demiurgiem powołującym do życia nowe światy, a jednocześnie pionierem czy też zwiadowcą ludzkości zapuszczającym sie w niezbadane jeszcze dziedziny i przynoszącym coraz to nowy obraz tych zagadkowych stref. Trzeba także przyznać, że mądrość i przenikliwość niejednego z owych demiurgów była olbrzymia. Przedstawiali oni swój obraz świata niekiedy tak trafnie, że dzisiaj nas to zadziwia. Głos zabrał Solon.

- Mówisz, że w miarę rozwoju wiedzy ścisłej kurczyły się możliwości literatury. Opowiedz teraz swoim przyjaciołom, jaki rodzaj owych fantasmagorii przetrwał najdłużej.

- Oczywiście tragedia - mówił Tom szczytem twórczości opowiadaczy barbarzyńskich były historie, w których dotykało się lub przeczuwało sprawy ostateczne, niezmienne i niepodważalne. Tragedia polega na tym, że człowiek walczy ze swoim losem, sądzi, że potrafi go zwyciężyć, tymczasem wysiłki okazują się daremne. Bohaterowie barbarzyńskich tragedii byli podobni szczurom, które aby wydostać się z zamknięcia uparcie skaczą do ścian klatki w nadziei znalezienia jakiegoś wyjścia. A jakąż tragedie my moglibyśmy dzisiaj napisać skoro znamy dogłębnie strukturę owej nieubłaganej ściany - konieczności. Tysiące lat budowaliśmy gmach naszej wiedzy i doświadczenia, aby zakończyć owo bezrozumne miotanie. Niekiedy wiezione szczury przestają w końcu skakać i to już koniec ich tragedii.

- A jednak byłoby interesujące gdyby ktoś opisał nas i nasze przeżycia - stwierdził Misza.

- Ależ zdaje ci się - mówił dalej Tom - o czym tu pisać? Wszyscy, jak jest nas kilka miliardów, jesteśmy do siebie podobni. Wszyscy do szczytu możliwości wykorzystujemy zasoby naszej inteligencji i wiadomo, że Dick ma czterdzieści parę stopni Gandta, a Misza ponad 50 i nic się tu nie poradzi ani nie zmieni. O każdym z was System Kontroli Psychicznej posiada tak wyczerpujące wiadomości, że nic już do nich nie doda najzdolniejszy barbarzyński demiurg.

- Ale nasza sytuacja, mam na myśli załogę „Delty", jest cokolwiek inna.

- To prawda, ale też dopiero teraz zaczynamy żyć. Okoliczności i konieczność walki z automatami wyrwały nas z paraliżu myśli, jakiemu podlegają wszyscy na Ziemi. Pytamy, rozważamy, dyskutujemy, ale to w odniesieniu do cywilizacji nie jest sytuacją normalną i dlatego nikt nie chciałby o nas pisać, następnie nikt nie chciałby o nas czytać, a zatem i opowieść o nas nie miałaby sensu. Nasza ciągle postępująca naprzód wiedza i technika buduje automaty, które i nas powoli rugują. Mamy już mózgi elektronowe, które tłumaczą bezbłędnie literaturę barbarzyńców, mamy takie, które potrafią produkować wiersze o dowolnym ładunku intelektualnym, uczuciowym i filozoficznym i jakim tam jeszcze chcecie. Maszyny do rozstrzygnięć logicznych dokonują kilkudziesięciu tysięcy rozumowań na sekundę, a wnioski tą drogą uzyskane są bezbłędne. Pocieszcie się zatem, że zarówno wy jak i my, w niedługim czasie staniemy sie zbędni. Wszystkie czynności dokonywane przez nas wykonywać będą maszyny. Mało tego, nawet zdobywanie wiedzy i realizowanie postępu technicznego nie będzie im obce.

- Do licha! Wiec do czego to wszystko zmierza? - zawołał Misza.

„Delta powraca na Ziemię", Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1971, wybór ze stron 72-84.

Przygotował **Andrzej Niewiadowski**

FANTASTYKA BLISKIEGO ZASIĘGU

mówi ADAM KASKA, kierownik redakcji literatury pięknej Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej

***Maciej Parowski:** - Ukazywały się kiedyś w Wydawnictwie MON pierwsze wydania „Solaris", „Wysokiego zamku", „Niezwyciężonego" Stanisława Lema; pan osobiście tłumaczył dla innych oficyn Bradbury'ego i Asimova, tymczasem dla fantastyki panują tu od dawna chude czasy. Znudziła się panu fantastyka, nie lubi pan gatunku?*

Adam Kaska: - Chyba nie całkiem chucie. Zależy, co rozumieć pod słowem „fantastyka" Nie jest to określenie precyzyjne i w zależności od tego, jaką zastosujmy definicję, może się okazać, ze wydaliśmy tego typu książek bardzo mato albo - jak na nasze możliwości - dość dużo. Jeśli chodzi o mnie, nie należę do wrogów fantastyki, a wprost przeciwnie - jestem jej zdecydowanym zwolennikiem Do dziś czytuję dla przyjemności jako recenzent fantastykę obcą i polską. Oczywiście najbardziej cenię w lej dziedzinie pisarstwo typu Lema, łączące walory stylu z rzetelną wiedza, odkrywczym spojrzeniem na rożne problemy dzisiejszego świata, plastyczna wyobraźnią, zaprawione - co nie jest bez znaczenia humorem i ironią. Krótko mówiąc- książki pobudzające do myślenia, do zastanawiania się nad światem, w którym żyjemy, nad jego teraźniejszością i przyszłością. Niestety nie da się ukryć takich książek jest stosunkowo niewiele, zarówno u nas w kraju; jak i za granicą, W zachodniej SF grasują liczni „schematyści", którzy produkują masowo powieści i opowiadania pozbawione oryginalnej myśli, powtarzają do cna wyeksploatowane wątki, różniące się między sobą zaledwie drobnymi szczegółami. W wielu krajach powstałe cos w rodzaju przemysłu SF, zatrudniającego jako podwykonawców literatów-chałupników Fakt, ze ich liche na ogół wyroby rozchodzą się w dużych nakładach świadczyłby jednak o autentycznym zapotrzebowaniu na fantastykę. Istnieje ono niewątpliwie i u nas. Są również chętni do pisania. Z moich redakcyjnych doświadczeń wynika, ze wielu kandydatów na pisarzy zaczyna od fantastyki, wyobrażając sobie, ze jest to najłatwiejszy gatunek literatury, do niczego nie zobowiązuje, niczego nie trzeba umieć, wystarczy mieć fantazję. Nie trzeba dodawać, ze jest to pogląd całkowicie błędny

- Jeszcze inni, oczytani, nieco tylko uczciwsi, próbują pisać pod jakiegoś znanego autora. Naśladownictwo wydaje im sie sposobem na SF.

- Na to nie ma recepty. Jednego autorzy nie powinni robić pod groźbą kompromitacji: otóż nie powinni pisać o tym, o czym nie mają zielonego pojęcia. Wiadomo, że wyobrażając sobie wspaniałe wynalazki przyszłości, nie potrafimy się oderwać całkowicie od współczesnego poziomu wiedzy i możemy się w naszych przewidywaniach grubo pomylić Obecnie śmiejemy się z powieść futurologiczne! z roku, powiedzmy, 1860. w której bohaterka w roku 1965 ceruje mężowi skarpetki na maszynie parowej. Uśmiechamy się. gdy Mickiewicz. który - o czym mato kto wie - parał się również fantastyką naukową, pisze jak to w wieku dwudziestym chłop polski będzie słuchał muzyki i wiadomości przez urządzenie akustyczne przypominające rury głosowe na okrętach. Nikt wówczas nie mógł przewidzieć przyszłych zastosowań znanej już wtedy elektryczności. Mówi się, ze Verne był genialnym wizjonerem, który przewidział wszystkie obecne wynalazki. Otóż, moim zdaniem, Veme niczego całkiem nowego nie przewidział: wszystko, o czym pisał, juz było znane za jego czasów, istniało mniej lub bardziej w zamyśle, modelu lub projekcie, ale istniało. O lataniu w powietrzu i podróży na Księżyc myślano juz w starożytności Na długo przed „Kapitanem Nemo" powstały prawzory „Nautilusa", bardzo jeszcze prymitywne, ale już funkcjonujące łodzie podwodne o ręcznym napędzie. Amerykanin Robert Fulton juz w roku 1800 zaproponował Francuzom zniszczenie floty angielskiej za pomocą łodzi podwodnej, a gdy Francuzi nie chcieli kupie prototypu, zwrócił się do Anglików, Anglicy również odmówili, wychodząc ze słusznego założenia, że każda tajna broń niedługo pozostaje tajna więc nie wiadomo dla kogo ten wynalazek będzie groźniejszy: dla Francuzów czy dla panującej na morzach floty angielskiej. Verne ukazał więc wynalazek już istniejący, tylko przedstawił go w dalszych stadiach jego rozwoju. Do czego zmierzam, otóż nie można pisać o wynalazkach przyszłości, nie wiedząc, co istnieje już obecnie, nie znając literatury naukowej ani tendencji rozwojowych w technice, ani najważniejszych odkryć w rożnych dziedzinach wiedzy. Gdy autor przenosi mnie aż w rok 2200 i demonstruje mi jako wspaniały wynalazek przyszłościowy komputer wielkość; naszej poczciwej . Odry" mrugający kolorowymi lampami mogę się najwyżej roześmiać Gorzej, gdy autor mimo woli ujawnia swą całkowitą ignorancję w dziedzinie fizyki, chemii biologii i w paru jeszcze innych gałęziach wiedzy. Gdy na przykład w (ego powieści żołnierze przyszłości miotają „laserowe granaty" i walczą na .laserowe miecze' odbijając nawzajem ich „ostrza" według wszelkich zasad krzyżowej sztuki, gdy dwaj kosmonauci toczą bój' na swych statkach kosmicznych wedle reguł obowiązujących myśliwce podczas II wojny światowej, a „kosmiczna próżnia rozbrzmiewa rykiem ich silników", gdy autor otacza przewody elektryczne „diamentową izolacją" - to tęgo typu literatury nie mogę traktować poważnie. Podałem akurat bardzo „bojowe" przykłady jakby z naszego profilu wydawniczego, zaczerpnąłem ,że jednak z maszynopisów, jakie czasami recenzuje dla wydawnictw cywilnych. Do Wydawnictwa VION wpływa bardzo niewiele prac z gatunku SF Prawdopodobnie wielu autorów nie zdaje sobie sprawy, ze wydajemy również fantastykę:



- Sądziłem, że będzie się pan bronił patriotyczno-obronnym profilem wydawnictwa, które nie ma czasu i miejsca na nieżyciowe igraszki. Tymczasem' zabrzmiało to tak, że gdyby tylko zjawił się ktoś z dobrą prozą SF, to pan umieści ją w planie.

- Oczywiście ze umieszczę Zastrzegam się jednak, ze musimy traktować sprawy we właściwych proporcjach, Redakcja literatury pięknej w Wydawnictwie MON jest niewielka. Wydajemy roczne wraz. ze wznowieniami około 30 tytułów, czasem trochę mniej, czasem więcej Wydajemy literaturę polską i przekładową, powieści, opowiadania i wiersze Dla dorosłych, dla młodzieży i dzieci. I dla bardzo różnych kręgów czytelniczych. Tak więc nie byłoby uzasadnione, gdyby tematyka SF zajmowała w naszej produkcji wydawniczej dominującą pozycję. Proszę nie zapominać, że oprócz zwolenników fantastyki istnieją również ludzie kobiety zwłaszcza - którzy wprost organicznie jej me znoszą Jest to ciekawe zjawisko psychologiczne, którego nie podejmuję się wytłumaczyć. W każdym razie powtarzam: jeśli jakiś autor przyniesie nam coś wartościowego z dziedziny fantastyki, wydrukujemy to bez zastrzeżeń.

- I nie będziecie naginać autorów do profilowych powinności wydawnictwa? Nie będziecie ich namawiać do uprawiania literatury użytkowej?

- Widzi pan, sądzę, ze me ma innej literatury niż użytkowa, w tym sensie, ze każda książka może się gdzieś komuś i do czegoś. przydać, jeśli oczywiście nie stanowi absolutnego dna pod względem artystycznym i intelektualnym, choć t wtedy pewna kategoria czytelników może potraktować ją jako humorystyczną literaturę rozrywkową. Zmieniają się gusty i potrzeby czytelnicza. Bywało, ze fraszki, które autor pisał dla rozbawienia swych przyjaciół i nigdy nie zamierzał publikować, wchodzą na trwałe do historii literatury, a książka, którą traktował jako dzieło swego życia, zamienia się po paru latach w makulaturę. Uważam, że w konwencji litera-

tury fantastycznej też mogą powstawać dzieła o ponadczasowej war tości. Weźmy pierwsze przykłady, jakie mi się nasuwają: „Ptaki" Arystofanesa - dwa i pół tysiąca lat wystawiane na scenach w całym świecie. Można tylko życzyć takiego sukcesu naszym współczesnym autorom... Jonathan Swift „Podrożę Guliwera" - wznowienia od dwustu pięćdziesięciu lat z okładem, tłumaczenia na niemal wszystkie języki... Tomasz Morus „Utopia" - nie można powiedzieć, by to dzieło nie istniało we współczesne] kulturze i polityce, choć przeszło 450 lat minęło od |ego napisania.

- Jeśli już o „Utopii" mowa to myślę, że zupełnie nieźle osadzony w profilu Wydawnictwa MON mógłby być typ fantastyki politycznej.

- Właśnie. Tu wracamy do definicji fantastyki Weźmy powieść Juliusza Znamierowskiego „Pożeracz ciepła", którą wydaliśmy w zeszłym roku która była recenzowana w waszym czasopiśmie Jakkolwiek zawiera ona akcenty polityczne, mieści się doskonale w klasycznym pojęciu literatury SF Ale jeśli rozszerzymy to pojęcie na książki, których akcja toczy się na „wyspie Nigdzie" okazałoby się, ze wydaliśmy ich sporo. Na przykład, niektóre powieści Andrzeja Przypkowskiego. „Taniec marihuany", „Palm City" i „Victoria". Przy czym wyspa u Andrzeja Przypkowskiego nie jest bynajmniej wyspą szczęśliwą. Rozgrywają się na niej dramaty jak najbardziej współczesne. Wydamy w tym roku niewielką powieść Sławomira Siereckiego pt „Drapieżne ptaki nad Rio Maddalena". Porusza ona ważne problemy polityczne, ale jej akcja toczy się w fikcyjnym kraju, możemy się domyślać, że gdzieś w" Ameryce Środkowej. Czy to juz fantastyka, którą moglibyśmy określić przymiotnikiem „polityczna", czy tez jeszcze nie? A jak zakwalifikować współczesne baśnie? Ukazuje się ich sporo na Zachodzie. Pisywał je zmarły przed dziesięciu laty John Ronald Tolkien (m.in. trylogia „Władca pierścieni"), pisuje je Brian Aldiss (m.in. „The Malacia Tapestry" książka utrzymana w konwencji „Kiedy Kara Mustafa wielki mistrz Krzyżaków...", w której ku uciesze autora i zapewne czytelników pomieszane są wszystkie epoki historyczne, wiek dziewiętnasty współistnieje z epoką starożytną, a współcześni Grecy polują na dinozaury). Albo powieść Stephena Kinga „The Shining", na podstawie której Kubrick nakręcił głośny film „Lśnienie"? Według mnie jest to baśń, pełna takiej grozy, że aż śmieszy różnymi nieprawdopodobieństwami, które autor-traktuje jak najbardziej serio, granica między rzeczywistością, marzeniem sennym i wyobraźnią zostaje zupełnie zatarta. Do fantastyki naukowej nie można jej raczej zaliczyć, ale do fantastyki „jako takiej" chyba tak. Tak czy inaczej często zdarzają się kłopoty z odpowiednim zaszufladkowaniem wielu utworów literackich i chyba me jest to potrzebne. Literatura dzieli się przede wszystkim na dobrą i złą, wszelkie inne podziały są mniej ważne.

- Kilka, kilkanaście lat temu ukazało się na Zachodzie parę książek o przypuszczalnych przyczynach i przebiegu III wojny światowej. Wśród nich głośna była książka generała Hacketa. Jest to „fantastyka „ , a raczej „futurologia literacka „ pisana z pozycji politycznych przeciwnych PRL i jej sojusznikom; czy jednak, po opatrzeniu odpowiednimi przypisami i komentarzami, nie można by tych książek przedstawić polskiej publiczności? Tak jak stało sie z filmem „The Day After", kręconym co prawda z pozycji ogólno humanistycznych. Rozumiem, że książka powstała na podstawie filmu i scenariusza „The Day After" miałaby w MON szanse. A te wspomniane wcześniej?

- Nie znam książki Hacketa, więc trudno mi się wypowiadać na ten temat. Wydajemy książki również naszych przeciwników politycznych, jeśli są dla nas interesujące, jeśli mogą przyczynić się do lepszego zrozumienia pewnych faktów historycznych czy wydarzeń nam współczesnych. Tak na przykład ukazały się w naszym wydawnictwie książki Gudenana, Speera, Haidera i innych, którzy bynajmniej naszymi przyjaciółmi nie byli. Jeśli . oryginał książki Hacketa ukazał się kilkanaście lat temu, to dzieło to z pewnością juz się nieco zdezaktualizowało, albowiem wyścig zbrojeń trwa bez przerwy i przez kilkanaście lat wymyślono mnóstwo nowych broni, które przynajmniej częściowo mogą zmienić obraz przyszłej wojny. Jednak najistotniejsza sprawa - broń masowej zagłady - pozostaje nadal bez zmian. Toteż nietrudno sobie wyobrazić, jak wyglądałaby III wojna światowa - mamy za sobą Hiroszimę i Nagasaki, znamy wyniki doświadczeń poligonowych. Dyskusję o celowości wydania książki Hacketa w Polsce mógłbym podjąć po przeczytaniu tego dzieła.

- A co pan powie o takiej paradokumentalnej fantastyce politycznej bliskiego zasięgu, jak wydana niedawno w „Czytelniku" powieść Archera „Czy powiemy prezydentowi"?

- Archer napisał swą książkę w roku 1977 i umieścił akcję w bardzo bliskiej przyszłości, w roku 1983. Przewidywał, że prezydentem w tym czasie będzie Edward Kennedy. Polskie wydanie ukazało się akurat w roku 1983. Jak wiadomo, rządzi nie Kennedy tylko Reagan. Nie czytałem wydania polskiego tej książki, znam ją z oryginału, ale o ile mi wiadomo wprowadzono tam pewne zmiany: przesuwając za zgodą autora akcję w nieco dalszą przyszłość. Archer nie trafił co do personaliów, ale utrafił fakt - zamach rzeczywiście był. To ostatnio sprawdza się przy każdym prezydencie. Nawiasem mówiąc powieść stanowi ciekawy trop pisarstwa przyszłościowego, przewidującego nie tylko wynalazki naukowe, lecz i sytuacje społeczne.

- Jak to jest, że nie oczekuje się podobnej książki od polskiego pisarza - powieści o Polsce A.D. 1996 na przykład? Niby wiadomo, że będzie inna sytuacja duchowa, nieco inny układ personalny, inna moda, inna muzyka; inna, może lepsza, sytuacja gospodarcza. Pokolenie dzisiejszych trzydziestoparolatków - pierwsze fale powojennego wyżu - zdobędzie najprawdopodobniej kluczowe pozycje społeczne. A może zdarzy się coś zupełnie nieprzewidywalnego? Jest strach przed przewidywaniem przyszłości w ten sposób. Teraźniejszość wygląda na trwałą, jakby zamrożoną. Dlaczego?

- Słyszy się często narzekania, że pisarze uciekają w przeszłość, a pan proponuje, żeby uciekali w przyszłość i to bardzo bliską. Teoretycznie rzecz biorąc nic nie stoi na przeszkodzie, by takie książki powstawały. W praktyce chyba nikt nic takiego nie napisze. Brak nam odpowiedniej tradycji. Przypominam sobie, że ostatnią tego typu książkę czytałem w odcinkach w jakiejś gazecie w roku chyba 1937



Fabuła dotyczyła przyszłej wojny polsko-niemieckiej, która wybuchła jak wiadomo w roku 1939. Nic z tego, co przewidywał autor się me sprawdziło. Więc między innymi strach przed rychłą weryfikacją przez rzeczywistość wstrzymuje autorów przed pisaniem takich powieści. I nie tylko to: u nas w ogóle literaturę traktuje się poważnie, zbyt poważnie. Zaraz zaczęto by się zastanawiać, z jakich pozycji autor pisze, za kim, przeciwko komu, satyra to czy panegiryk. Więc raczej takiej literatury nie należy się spodziewać.

- Pozostaje czysta science fiction, dzięki której można omijać przeróżne rafy i obolałe miejsca, pisząc jednocześnie na cały gwizdek... Pytanie na zakończenie. Przed ćwierćwieczem przełożył pan pierwszą na polskim rynku książkę Chandlera „Tajemnica jeziora". Raymond Chandler to chyba jedyny autor kryminałów, którego fanowie SF aprobują. Teraz, w wydanej niedawno przez „Czytelnik" książce „Chandler mówi" jest wzmianka o kilkunastu utworach fantastycznych Chandlera; on zamierzał nawet ułożyć je w tomik. Podobno trudno do nich dotrzeć, nie korci pana ta proza jako tłumacza?

- Korci. Nawet bardzo. Jestem co prawda zaharowany, musiałbym to traktować jako margines, ale nie sądzę, żeby dotarcie do tych opowiadań musiało być trudne. Chandler miał agenta, z którym ktoś w Polsce jest w kontakcie, miał spadkobierców; myślę, ze można do tego dotrzeć. Ja jestem za, bo uważam Chandlera za znaczącego pisarza.

- My w „Fantastyce" także. Może uda sie doprowadzić do druku fantastycznych opowiadań Chandlera najpierw u nas, na naszych łamach. Dziękuje panu za rozmowę i życzę lawiny odważnych i kompetentnych maszynopisów SF w najbliższym czasie.

Notował **Maciej Parowski**

1951 (dokończenie)

80. [ĚFRĚMOV Ivan]: Atol Fakaofo. Tłum. z ros. M[aria] Kowalewska. W: [ĚFRĚMOV Ivan, SOBOLĚV L.]: Opowiadania morskie. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 5-67. 20 000. egz. Na k. tyt. aut.: J. Jefriemow.
81. [ĚFRĚMOV Ivan]: Biały róg. Tłum. z ros. Maria Kowalewska. [Wyd. III.] Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 256, nlb. 3. 50 000 egz. Wyd. na zlecenie RSW „Prasa". Biblioteka „Gazety Pomorskiej". - Niektóre opowiadania fantast. - Na k. tyt. aut.: J. Jefriemow.
82. FRANCE Anatole: Wyspa pingwinów. Tłum. z franc. Jan Sten. Wyd. [IV, powoj.] III. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 218, nlb. 1. 10 000 egz.
*** 83.** GAUTHIER [Theophile], syn: Przygody barona Muenchhausena z ilustracjami Gustawa Dore. Tłum. z franc. Julia Hartwig. Warszawa. Książka i Wiedza. 4° ss. 166, 2 nlb. Na k. tyt. imię aut.: Teofil - Na okł. tyt.: Przygody Muenchhausena. - Utopia/ CJF.
*** 84.** KRASICKI Ignacy: Historia na dwie księgi podzielona. Oprac, i wstęp Jerzy Ziomek. Wyd. I powój, i I osobne - oparte na pierwodruku z 1779 r. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. XXXIII, nlb. 1, 146, nlb. 4.
85. KRASICKI Ignacy. Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Oprac, i wstęp Zdzisław Skwarczyński. Wyd. I w tym Oprac, [skr., ale mniej niż poprz.]. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. XIV, 2 nlb, 157, 1 nlb. 10 000 egz.
86. [LĚONOV Leonid]: Droga na ocean. Powieść. Tłum. z ros. Andrzej Stawar. Wyd. nowe [I powój.]. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° T.I ss. 325, nlb. 1; T.II ss. 363, nlb. 3. 5 000 egz. Na k. tyt. aut.: L. Leonów. - Książka realistyczna z fragm. fantast.
87. LONDON Jack: Żelazna stopa. Tłum. z ang. Józef Mondschein. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 8° ss. XV, nlb. 1/322, nlb 2. 10 000 egz.
88. [PLATON]: Platona Timaios. Kritias. Tłum. [z grec], wstęp, koment. i ilustr. Warszawa, [brak wyd.]. 8° ss 133, 3 000 egz. Biblioteka Meandra, 15.
89. [PLATOV Lěonid]: Archipelag znikających wysp. Powieść. Tłum. z ros. J[erzy] B[ohdan] Rychliński. Posłowie W. Nazarow. Warszawa. 1950 [antydat]. Nasza Księgarnia. 8° ss. 185, 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: L. Płatow. - Książka realistyczna z elementami fantast.
SVARC Ě.: Człowiek... - zob. AF.
90. SWIFT Jonathan: Podróże Guliwera. Tłum. [z ang.] Anonim z r. 1784. Oprac, i przedm. Jan Kott. Wyd. II popr. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. XXII, nlb. 2, 462, nlb 1,10 000 egz.
91. [VOLTAIRE Francois Marie Arouet de]: Tak toczy się światek. Tłum. [z fran] Boy [Tadeusz Żeleński]. Wyd. II powój. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 213, nlb. 2. 10 000 egz. Woltera Powiastki Filozoficzne. T. II. - Na k. tyt.aut.: Wolter.

Fantazja dla dorosłych (AF):

92. BALZAC [Honore de]: Nieznane arcydzieło. Tłum. [z franc] Julian Pogodziński. Wstęp Maciej Żurowski. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 208, nlb. 3. 10 000 egz. Cztery opowiadania, w tym dwa fantast.: Eliksir życia, s. 35-57 oraz Melmoth pojednany, s. 59-102, oba AF/Weird. - Na k. tyt. aut.: Honoriusz Balzac.
93. MARCENAC Jean: Urok szatana. Tłum. z franc. Julia Hartwig. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss.58, nlb. 2, 10 000 egz.
*** 94.** [ŠVARC Ěvgěnij]: Człowiek i cień. Bajka dla dorosłych w 3 aktach. Tłum. z ros. Jerzy Pomianowski. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 112, nlb. 2. AF/Utopia (satyra). - Na k. tyt. aut.: Jewgienij Szwarc.

Horror (W):

BALZAC H.: Nieznane... - zob AF.

„Zagadki nauki" (MS):

95. LABERENNE Paul: Pochodzenie światów. Tłum. z franc. H. Rosiecki. Uzup.: Wł[odzimierz] Zonn. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 212. 10 000 egz.
96. [VAL'DGARD S.]: Życie we Wszechświecie. Tłum. z ros. D. Jarząbek. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss 105, nlb. 2. 10 000 egz. Na k. tyt. aut.: S. Waldgard.

Futuroiogia (F):

DMITRIĚV V.: Podróż... - zob. CJSF.

1952

SF dla dorosłych (ASF):

*** 97.** [ADAMOV Grigorij]: Wygnanie władcy. Tłum. z ros. S[tanisław] Furmanik. Wyd. II. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° T. I, ss. 284; nlb. 3; T. II, ss. 260, nlb. 3. Biblioteka Prasy, nr. 89. - Wyd. na zlecenie RSW „Prasa". - Na k. tyt. aut.: G. Adamów. BOLDYRĚV S.: Igła 2 - zob. Utopia.
ĚFREMOV I.: Biały... - zob. Utopia.
*** 98.** (?) [ĚFRĚMOV Ivan]: Księżycowa skała. Tłum. z ros. Mfaria] Kowalewska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 101, nlb. 2. Opowiadania z elementami fantastyki - Na k. tyt. aut.: I. Jefremow.
99. LEM Stanisław: Astronauci. Powieść fantastyczno-naukowa. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° T. I, ss. 186, nlb. 6; T. II, ss. 200, nlb. 7. 45 000 egz. Biblioteka Prasy, nr 10-11. - Wyd. na zlecenie RSW „Prasa".
100. [LUKOVSKIJ] Igor: Tajemnice wiecznej nocy. Dramat fantastyczno-naukowy w czterech aktach, ośmiu odsłonach. Tłum. z ros. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. [Warszawa]. Czytelnik. 16° ss. 100, nlb. 2. 3 000 egz. Na k. tyt. nazw. aut.: Łukowski.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

*** 101.** (?) [GOFF] Inna: Miasto przyszłości. Tłum. z ros. H[alina] Powiadowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 114, nlb. 2, nlb. 1. Na k. tyt. nazw. aut.: Hoff. PLATOV L: Archipelag...- zob. Utopia.
102. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] 20 000 mil podwodnej żeglugi. Tłum. z franc. Bolesław Kielski. Wyd. II powój. Nasza Księgarnia. 8° T. I, ss. 261, nlb. 2; T. II, ss. 270, nlb. 2. 140 000 egz. Biblioteka „Płomyka" - Na k. tyt. imię aut.: Juliusz - Tom I wyd.' III 1953, a T. II - XII 1952 (!).

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Kiedy w latach sześćdziesiątych biolog z Oksfordu Henry Harris ogłosił, że w swym laboratorium wyhodował coś, co jest jednocześnie cząstką człowieka i cząstką myszy, nikt nie chciał w to uwierzyć. Może dlatego, że wielu ludziom jawiło sie wyobrażenie potwora, koszmarnej zjawy w postaci na przykład wielkiej myszy z ludzką głową. Ale nie, chodziło tylko o komórki, mikroskopijne grudki plazmy, nie różniące się „na oko" od innych komórek. Dla biologów było to jednak coś naprawdę niezwykłego, coś porównywalnego być może właśnie ze smokiem z pradawnych legend.

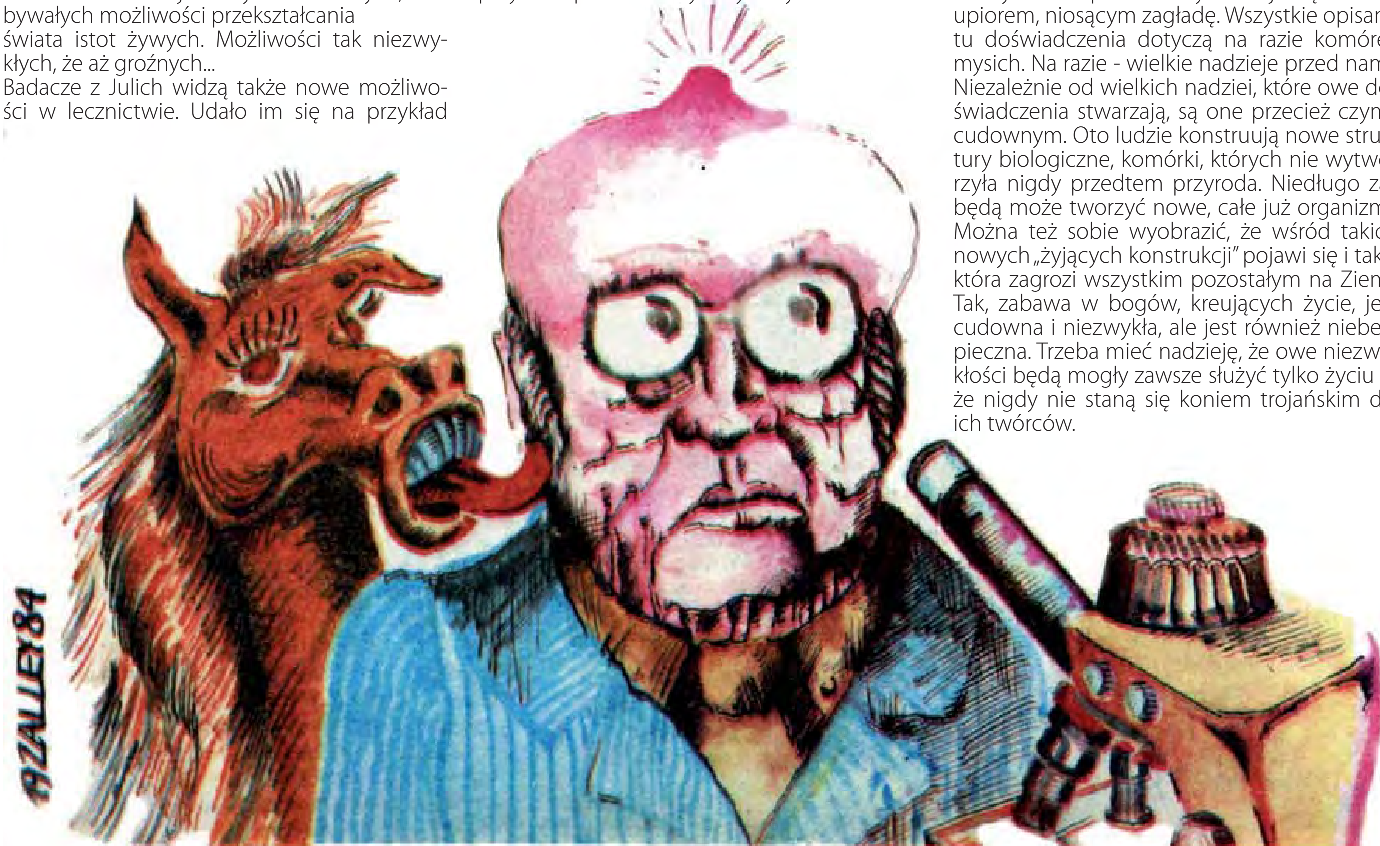
Komórki w laboratorium Harrisa miały bowiem jądra półludzkie-półmysie, były rodzajem hybrydy (hybryda - to mieszaniec powstały ze skrzyżowania dwóch gatunków albo odmian, np. hybrydą jest muł, istota zrodzona ze skrzyżowania klaczy z osłem; no, ale w przypadku muła chodzi o w pełni ukształtowany organizm, krzyżowanie zaś dotyczy gatunków blisko spokrewnionych). Komórki Harrisa były wprawdzie tylko komórkami, niemniej jednak byty tworem, powstałym z zespolenia komórki ludzkiej z komórką myszy, zatem struktur pochodzących z dość odległych szczebli ewolucyjnej drabiny. W grę wchodziły też, oczywiście, komórki niepłciowe, czyli somatyczne,„zwykłe" komórki ciała. Połączenie komórek płciowych - np. jaja myszy z plemnikiem człowieka - jest jeszcze niemożliwe i byłoby z punktu widzenia biologii cudem (niektórzy twierdzą, że do czasu, że i takie cuda będą kiedyś możliwe). Niemniej hybrydy Harrisa były czymś nowym i niepokojącym.
Harris wyzyskał obserwację znaną uczonym już od dawna (tak często dzieje się w nauce, że nagle ktoś dostrzega nowe możliwości w dawno znanym fakcie). Otóż od pewnego czasu wiedziano już, że niektóre wirusy znalazłszy się w żywej tkance, rozpuszczają niekiedy błony między stykającymi się komórkami tej tkanki, komórki zaś wówczas zlewają się ze sobą - powstaje wtedy jedna, większa komórka o dwóch (lub więcej) jądrach. Harris razem z wirusologiem Watkinsem próbował zmusić pewne wirusy (szczepu Sendai), by rozpuściły błony między sztucznie zetkniętymi komórkami pochodzącymi z tkanek ludzkiej i mysiej - i ku zdumieniu samych eksperymentatorów udało się to. Nie dość na tym: powstała komórka-hybryda zaczęła się dzielić - hybrydy potomne były już niewątpliwie tworem w przyrodzie nowym. Później Harris „stworzył" coś jeszcze dziwniejszego - mianowicie hybrydę ludzkokurzą, czyli zespolenie komórek wywodzących się z dwóch odległych gromad świata zwierzęcego.
Hybrydy Harrisa nie były zbyt żywotne, doświadczenia nie zawsze się udawały. Trudno je było także badać, ich funkcje życiowe były upośledzone. Niemniej doświadczenia z Oksfordu przełamały kolejną, nieprzekraczalną - jak się dotąd zdawało - granicę w biologii. Były pierwszym krokiem na nowej drodze, za krokiem pierwszym musiały przyjść następne.
I oto prawie po dwudziestu latach, bardzo niedawno, dokonano kolejnego przełomu. Do zespalania różnych komórek użyto tym razem nie wirusów, a... prądu elektrycznego wysokiego napięcia. Uzyskane-hybrydy okazały się żywotniejsze, łatwiejsze, do badań i różnych

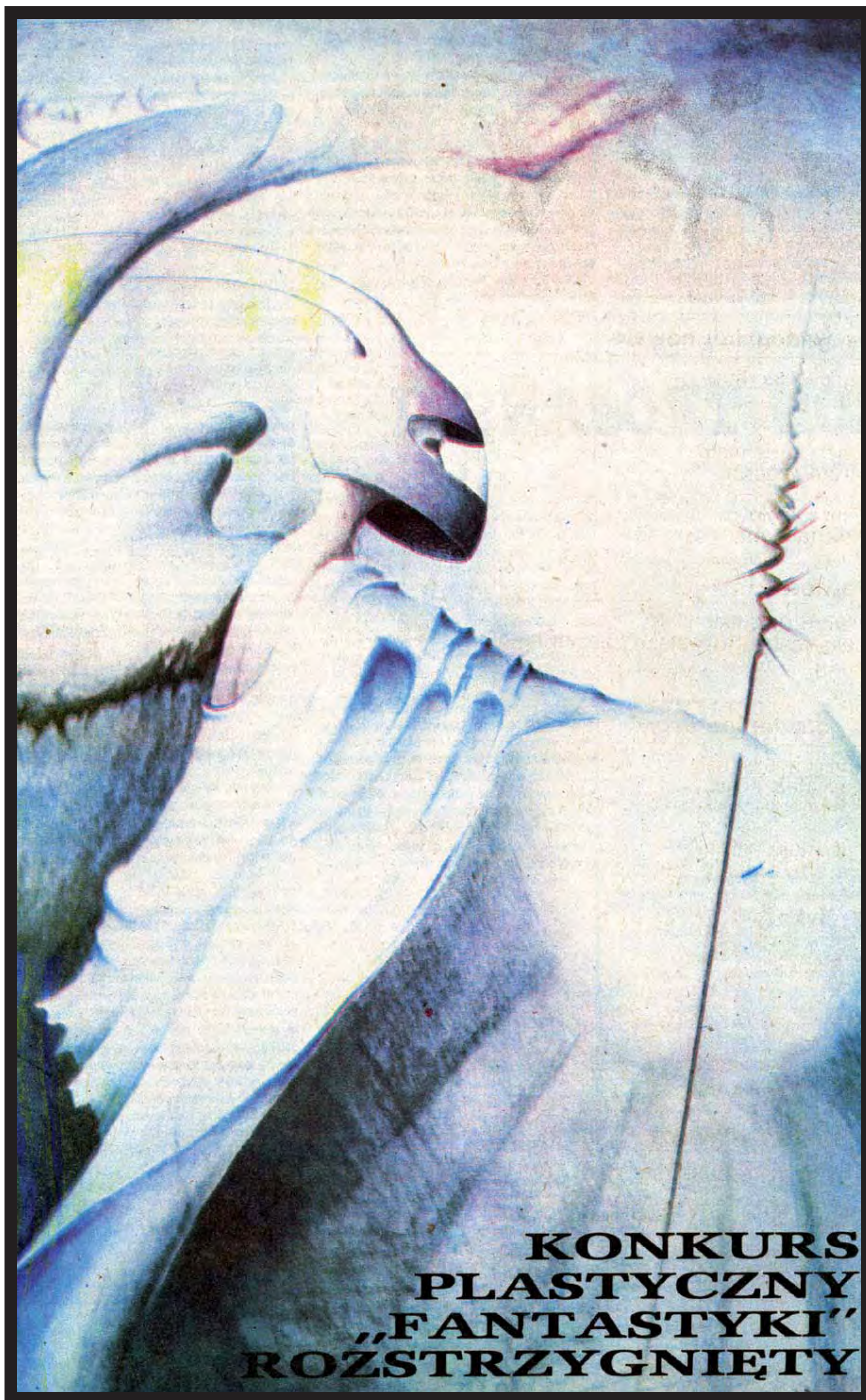
Z tamtej strony lustra

KOŃ TROJAŃSKI

Maciej Iłowiecki

manipulacji. W Ośrodku Badań Jądrowych (chodziło o odpowiednią aparaturę fizyczną) w Julich w Republice Federalnej Niemiec pojawiły się ogromne komórki-hybrydy, żywe i mające nowe właściwości. Właściwości, których nie tylko nie miały komórki macierzyste, użyte do zespolenia, ale takie, które były dotąd w ogóle w przyrodzie nieznane.
Jest to zatem krok następny - pomyślmy, ku czemu kroki na tej drodze mogą zmierzać. Otóż uczonym z Julich udało się już wytworzyć żyjące i mnożące się komórki-hybrydy różnych gatunków prymitywniejszych roślin, zaś z tych komórek hodować nowe, nieznane przyrodzie organizmy roślinne. Dotąd nie udało się otrzymać w ten sposób hybrydy dwóch gatunków roślin uprawnych (a więc roślin z wyższych szczebli drabiny ewolucyjnej, wyżej rozwiniętych), ale jest oczywiste, że to tylko kwestia czasu. Kolejnym więc krokiem na tej drodze może być wyprodukowanie rośliny, łączącej właściwości na przykład pszenicy i łubinu, a więc zarazem produkującej ziarno i wiążącej azot z powietrza. Takiej roślinie nawożenie azotowe nie byłoby potrzebne. Nie jest to fantazja, a możliwość realna - i nie trzeba być rolnikiem, by docenić zalety takiej rośliny. Fantazji Czytelników można pozostawić inne możliwości, np. krzyżówki glonów morskich z hodowlanymi roślinami lądowymi. Dla takich hybryd morze byłoby najlepszym polem uprawnym, ale polem, którego wcale' uprawiać nie trzeba. A hybryda na przykład ziemniaka z truskawką... Nie wiemy, oczywiście, czy powstałyby krzaczki obsypane truskawkami i zarazem rodzące w ziemi pożywne bulwy (może hybryda owocowałaby czymś zupełnie nowym, jakąś kartoflowatą truskawką czy truskawkowym kartoflem, albo jeszcze czymś zupełnie innym), ale nie o to chodzi. Ważne jest uzyskanie nowych, niebywałych możliwości przekształcania
świata istot żywych. Możliwości tak niezwykłych, że aż groźnych...
Badacze z Julich widzą także nowe możliwości w lecznictwie. Udało im się na przykład wyprodukować pewne hybrydy różnych komórek krwi ssaków (w grę wchodzi tu łączenie ze sobą komórek jednego gatunku, np. myszy albo szczura i komórek nawet jednej tkanki - krwi - ale wyspecjalizowanych w bardzo różnych funkcjach, czyli takich komórek, które w żaden sposób w swoim normalnym środowisku zespolić by się nie mogły). Do tych nowych komórek-hybryd wprowadzili cząstki magnetyczne (jakby małe magnesiki). Nie trzeba wysilać wyobraźni, by spostrzec, jakie możliwości daje „magnetyczna hybryda". Otóż takimi tworami można we krwi zdalnie sterować (za pomocą zewnętrznego pola magnetycznego-),rozprowadzając we wnętrzu takich komórek leki do odpowiednich miejsc organizmu. Przecież główny problem dzisiejszej chemioterapii polega na tym, że krew rozprowadza leki po całym organizmie. Tak więc ostry środek chemiczny, niszczący komórki nowotworu, bardzo szkodzi również komórkom zdrowym. Jak dotąd nie umiano temu zapobiec. Sterowany strumień leków cytostatycznych (hamujących rozwój nowotworu) można - dzięki magnetycznym hybrydom - kierować wyłącznie do miejsca, gdzie usadowił się nowotwór. Czyż trzeba czegoś więcej?
Warto jeszcze wyjaśnić, dlaczego cząstek magnetycznych nie można wprowadzić do „zwykłych" komórek ludzkich. Otóż błona komórkowa jest tak skonstruowana, że żadnych zbytecznych cząstek do wnętrza komórki nie wpuści, natomiast impulsy prądu i odpowiednie manipulacje , polem elektrycznym, jakby „otwierają" błonę (w rzeczywistości proces ten jest o wiele bardziej skomplikowany, ale chodzi o zasadę). Na razie są to pierwsze doświadczenia, ale rokują nadzieje
rewolucji w lecznictwie większej niż ta, jaką na przykład spowodowały antybiotyki.
Na horyzoncie jawi się już „bioaktywna kapsułka", komórka-hybryda, transportująca we krwi lek w to miejsce organizmu, które leczone właśnie być powinno i w dodatku uwalniająca ów lek w odpowiednim czasie (albo co pewien czas - by efekt był jeszcze skuteczniejszy).
Komórka-posłaniec, niosąca lek, byłaby wobec nowotworu (i w ogóle wobec różnych schorzeń) prawdziwym koniem trojańskim. Wykonano już pierwsze eksperymenty z erytrocytami (czerwonymi krwinkami) myszy. Erytrocyty łączy się z limfocytami. Nowo powstała hybryda zyskuje właściwości obu rodzajów komórek, a jak wiadomo, limfocyty są obrońcami organizmu, nieomylnie atakują jego wrogów. Do takiej hybrydy wprowadza się cząsteczki magnetyczne o średnicy jednej tysięcznej milimetra, potem zaś taką „magnetyczną hybrydę" „załadowywuje się" odpowiednim lekiem, nową komórkę wprowadza do krwi i... koń trojański gotowy. Odpowiednio manipulując polem magnetycznym (oczywiście nieszkodliwym dla organizmu) - „prowadzi się" ją do miejsca, gdzie zagnieździła się choroba. Uwolnienie leku następuje w tym miejscu samorzutnie: hybrydy-nośniki są tak spreparowane, by po pewnym czasie (właśnie w czasie dotarcia do chorego miejsca) rozpadały się same. Zresztą techniki uwalniania leku mogą być różne. W każdym razie z pierwszych; dokonanych już doświadczeń z myszami wynika, że lek przeciwrakowy wstrzyknięty wprost do krwi, dociera do nowotworu zaledwie w 10% - zaś lek we wnętrzu „konia trojańskiego", w magnetycznej komórce hybrydzie dociera aż w 80%. I oczywiście bez porównania lepiej działa.
Produkuje się też już hybrydy „samonaprowadzające się" do chorych miejsc, dzięki temu, że przyczepia się do nich przeciwciała swoiste dla danego rodzaju nowotworu (czyli atakujące właśnie określone komórki nowotworowe) - owe przeciwciała nieomylnie prowadzą niosące lek hybrydy tam właśnie, gdzie trzeba. Takie komórki-konie trojańskie nazwano w literaturze naukowej angielskim słowem ghosts, czyli duchy, widma, upiory... Może dlatego, że uczeni lubią nazwy niezwykłe i tajemnicze, a może dlatego, że dla nowotworu taki erytrocyt-hybryda, na pozór taki sam, jak inne, normalny i nierozpoznawalny okazuje się właśnie upiorem, niosącym zagładę. Wszystkie opisane tu doświadczenia dotyczą na razie komórek mysich. Na razie - wielkie nadzieje przed nami!
Niezależnie od wielkich nadziei, które owe doświadczenia stwarzają, są one przecież czymś cudownym. Oto ludzie konstruują nowe struktury biologiczne, komórki, których nie wytworzyła nigdy przedtem przyroda. Niedługo zaś będą może tworzyć nowe, całe już organizmy Można też sobie wyobrazić, że wśród takich nowych „żyjących konstrukcji" pojawi się i taka, która zagrozi wszystkim pozostałym na Ziemi. Tak, zabawa w bogów, kreujących życie, jest cudowna i niezwykła, ale jest również niebezpieczna. Trzeba mieć nadzieję, że owe niezwykłości będą mogły zawsze służyć tylko życiu - i że nigdy nie staną się koniem trojańskim dla ich twórców.





Andrzej Sobczyk - praca konkursowa

W pierwszym numerze „Fantastyki" - jak zapewne pamiętają co wierniejsi Czytelnicy naszego pisma - redakcja ogłosiła dwa równoległe konkursy: literacki i plastyczny. Oba były otwarte, a wlec dostępne dla każdego i obejmowały w założeniu podobny zakres tematyczny - najszerzej pojętą sferę fantastyki, a wiec zarówno to, co bywa określane mianem science fiction, jak i całą dziedzinę coraz popularniejszej obecnie fantasy. Plony obu konkursów okazały się bardzo bogate. O literackim pisaliśmy kilkakrotnie, szerzej przy okazji jego rozstrzygnięcia w numerze styczniowym tego roku. Sporo uwag, które nasunęły się przy okazji oceny prac literackich można z powodzeniem odnieść również do konkursu plastycznego.

W jednym i w drugim przypadku redakcja została nieco przytłoczona liczbą nadesłanych prac. Kierownik graficzny naszego pisma, Andrzej Brzezicki, obliczył, że na konkurs plastyczny napłynęły 732 prace. Tak szeroki odzew dawał oczywiście dużą satysfakcje, stawiał jednak zespół oceniający przed niełatwym zadaniem przejrzenia, porównania, a wreszcie merytorycznej i formalnej oceny płodów plastycznej wyobraźni uczestników konkursu. W trakcie oceny wyłoniła się pewna dodatkowa trudność. Wiele prac było dziełem osób dorosłych, w tym sporo świadczyło o niewątpliwym wykształceniu plastycznym ich autorów. Z drugiej zaś strony przynajmniej 40% wszystkich ocenianych materiałów przysłali młodzi Czytelnicy, nawet poniżej 10 lat. Zespołowi oceniającemu nie wydawało sie sprawiedliwe stosowanie w jednym i drugim przypadku identycznych kryteriów oceny. W rezultacie postanowiono osobno wyróżnić autorów najlepszych prac z grupy młodocianych.
Co jeszcze można powiedzieć o wynikach konkursu? Poziom był bardzo zróżnicowany, co oczywiście nie może dziwić przy tego typu imprezach, dostępnych dla wszystkich. Znalazła sie wśród materiałów konkursowych pewna liczba prac, świadczących o dobrych chęciach uczestników, nie połączonych, niestety, z plastycznymi zdolnościami. Były takie, które wystawiały dobre świadectwo bujnej wyobraźni autorów, ale był to ich jedyny walor, nie uzupełniony umiejętnościami warsztatowymi. Jeśli chodzi o podejmowaną tematykę, to - mniej więcej w równym stopniu uczestnicy konkursu sięgali w sferę science fiction, co wyruszali na rozległe obszary niczym nie ograniczonej (poza formatem papieru) „fantasy".

LAUREACI
Po przejrzeniu wszystkich prac konkursowych zespół oceniający w składzie: Adam Hollanek (redaktor naczelny „Fantastyki"), Andrzej Brzezicki (kierownik graficzny) i Marek Zalejski (artysta plastyk) podjął następujące decyzje:
• nie przydzielać pierwszej nagrody,
• przyznać dwie drugie nagrody i dwie trzecie,
• przyznać pięć wyróżnień,
• przyznać trzy wyróżnienia dla najmłodszych uczestników konkursu.

II nagrodę otrzymują:
JAN WALKIEWICZ (Płock, ul. Z. Wolskiego 4/1 m 50),
RYSZARD LECZNAROWICZ (Gdańsk, ul. Ogarną 4/1).
III nagrodę otrzymują:
EDWARD DUDEK (Wrocław, ul. Kolbuszewska 15 m 1),
ANDRZEJ KLISZ (Nowy Bieruń).
Wyróżnienia:
JERZY BIELECKI (Wrocław, ul. Wyszyńskiego 24 m 208),
ZYGFRYD CUKIERMAN (Lublin, ul. Emancypantek 3 m 58),
JERZY HUDYMA (Brzesko, ul. Ogrodowa 11 m 48),
KAZIMIERZ RADOSZEWSKI (Zgorzelec, ul. Traugutta 91 m 1),
ANDRZEJ SZARKOWSKI (Warszawa, ul. Ciołka 28 m 13).
Wyróżnienie w grupie autorów młodocianych:
MATEUSZ KANIEWSKI l. 11 (Warszawa, ul. Dunikowskiego 12 m 33)
CYPRIAN WITKOWSKI l. 7 (Świebodzin, ul. Żaków 2B m
JACEK WRÓBEL l. 8 (ten sam adres)

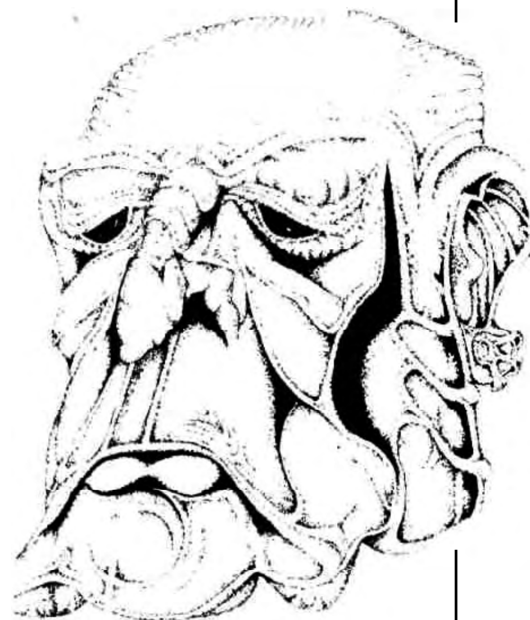
Zgodnie z regulaminem konkursu prace nagrodzone i wyróżnione będą publikowane na łamach „Fantastyki", a ich autorzy otrzymają honoraria zgodne z obowiązującymi cennikami plastycznymi. Ponadto laureaci otrzymają pozycje książkowe z dziedziny fantastyki.

*

Zespół oceniający zakwalifikował ponadto do publikacji w piśmie prace następujących uczestników konkursu:
Bohdan Cieślak, Artur Dudek, Piotr Gawłowski, Robert Hornik, Janusz Konecki, Robert Lechowicz, Zbigniew Mielnik, Krzysztof Pietrzyk, Dariusz Romanowicz, Andrzej Sobczyk, Przemysław Ulatowski, Maciej Wdowikowski, Ryszard Wichtowski, Maciej Wieczorkiewicz, Leszek Witkowski, Andrzej Wójcik, Ireneusz Zawisza.

*

Termin publikacji wszystkich prac nie może, niestety, być określony z większą dokładnością.
Redakcja stara sie mianowicie dobrać - od strony tematycznej -



prace graficzne do publikowanych utworów literackich. W stosunku do niektórych prac konkursowych już to nastąpiło. Inne będą publikowane w kolejnych numerach „Fantastyki".

*

Wszystkim uczestnikom konkursu serdecznie dziękujemy. Wyróżnionym przekazujemy gratulacje i życzenia dalszych artystycznych sukcesów.

Redakcja

Piękna Bella

opowiadanie HEINERA RANKA

STRONA 17